

*wiatraki bogów*

**SIDNEY SHELDON**

Z angielskiego przełożyła  
*Urszula Chlebińska*

**LiBROS**

THE WINDMILLS OF THE GODS

Projekt okładki  
*Elżbieta Pietras*

Redakcja  
*Joanna Egert*

Korekta  
*Elżbieta Żuk*

Copyright © 1987 by The Sidney Sheldon Family Limited Partnership  
© Copyright for the Polish translation by Bertelsmann Media Sp. z o.o.,  
Warszawa 2000

Bertelsmann Media Sp. z o.o.  
Świat Książki  
Libros  
Warszawa 2000

Druk i oprawa  
Drukarnia Naukowo-Techniczna SA, Warszawa

ISBN 83-7227-716-8

Nr 2853

Jorji

„Wszyscy jesteśmy ofiarami, Anselmo. Nasz los zależy od przypadkowego rzutu kości we wszechświecie, wędrówek gwiazd, zbłąkanego podmuchu ślepego losu, wiejącego z wiatraków bogów”.

*H.L. Dietrich, Ostateczne przeznaczenie*

# Prolog

## *Perho, Finlandia*

Spotkanie odbyło się w zacisznym domku stojącym na nie zabudowanym, zadrzewionym terenie tuż przy rosyjskiej granicy, trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Helsinek. Członkowie zachodniej filii Zarządu pojedynczo i w różnych odstępach czasu przybywali na naradę, którą dyskretnie zorganizował starszy minister w Valtioneuvosto, fińskiej Radzie Stanu. Pochodzili z ośmiu krajów, ale nie potrzebowali wiz w paszportach. Każdego z uczestników zebrania eskortowali do chaty uzbrojeni strażnicy, a kiedy za ostatnim z przybyłych zamknęły się szczelnie drzwi domku, wartownicy, gotowi do działania na najmniejszy podejrzanym odgłos, zajęli swoje pozycje, zdani na łaskę i niełaskę przenikliwej styczniowej wichury.

Wszyscy zgromadzeni przy ogromnym prostokątnym stole byli ludźmi piastującymi wysokie stanowiska w rządach swych krajów. Wszyscy spotykali się już wcześniej w mniej tajemniczych okolicznościach, tym razem jednak musieli sobie wzajemnie zaufać, ponieważ nie mieli innego wyjścia. Dla większego bezpieczeństwa każdy z nich występował pod pseudonimem.

Ożywiona dyskusja trwała prawie pięć godzin.

W końcu przewodniczący zdecydował, że nadszedł czas na głosowanie. Powstał z miejsca i zwrócił się do mężczyzny siedzącego po prawej stronie.

— Sigurd?

— Tak.

— Odin?

-Tak.

— Balder?  
— Posuwamy się chyba za daleko. Jeżeli wyjdzie to na jaw, będziemy wszyscy...  
— Tak czy nie?  
— Nie.  
— Freyr?  
— Tak.  
— Sigmund?  
— *Nein*. Ryzyko...  
— Thor?  
— Tak.  
Tyr?  
— Tak.  
— Ja również jestem za. A więc podjęliśmy decyzję. Przekażę wszystko Zwierzchnikowi i podczas naszego następnego spotkania powiem wam, kogo wyznaczył do wszczęcia działania. Na razie to wszystko. Dla zachowania ostrożności będziemy wychodzić co dwadzieścia minut. A teraz — dziękuję, panowie.

Po dwóch godzinach i czterdziestu pięciu minutach domek opustoszał. Pozostało jedynie kilku ludzi dźwigających kanistry. Opróżnili je sprawnie, rozlewając naftę wewnątrz i dookoła budynku. Następnie jeden z nich rzucił zapaloną zapalniczkę i chata stanęła w płomieniach. Czerwone języki ognia tańczyły w podmuchach zgłodniałego wiatru.

Kiedy *palokunta*, straż pożarna z Perho, dotarła na miejsce zdarzenia, zastała już tylko ciemny ślad zgliszczy na białym śniegu.

Zastępca dowódcy załogi podszedł do pogorzelniska, pochylił się i pociągnął nosem.

— Nafta — rzekł. — Podpalenie.

Dowódca patrzył w zadumie na resztki chaty.

— Dziwne — mruknął.

— Co takiego?

— W zeszłym tygodniu polowałem w tym lesie. Tu nie było żadnej chaty.

# Część 1

## *Waszyngton, stan Kolumbia*

1

Stanton Rogers, polityk o dużym autorytecie, był wymarzonym kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Łatwo zdobywał zaufanie ludzi oraz poparcie licznych wpływowych przyjaciół. Niestety dla Rogersa w dalszym pomyślnym przebiegu kariery przeszkodziły mu żądze i — jak to komentowano w Waszyngtonie — „Stary Stanton wypieprzył samego siebie z prezydentury”.

Stanton Rogers wcale nie odgrywał roli Casanovy, przeciwnie, był absolutnie idealnym mężem aż do momentu fatalnej w skutkach przygody. Jako przystojny, bogaty mężczyzna, z szansami na objęcie jednego z najważniejszych stanowisk na świecie, miał niewątpliwie aż nadto okazji, aby zdradzić małżonkę. Nigdy jednak nawet nie spojrzął na inną kobietę.

Jego żona, Elizabeth, była niezwykle piękną i inteligentną kobietą, osobą bardzo lubianą w towarzystwie, co więcej, oboje dzielili te same zainteresowania, podczas gdy Barbara, nowa miłość Rogersa, z którą ożenił się po głośnym rozwodzie, stanowiła, jak na ironię, jego absolutne przeciwieństwo. Starsza o pięć lat, raczej przyjemna niż ładna, nie miała z nim nic wspólnego. Stanton uwielbiał sport; Barbara nienawidziła jakichkolwiek form ruchu. Stanton był towarzyski; Barbara wolała spędzać czas w zaciszu domowym lub w niezbyt liczonym gronie bliskich znajomych. Na domiar wszystkiego mieli zupełnie inne poglądy polityczne; on był liberałem, ona natomiast pochodziła z rodziny zatwardziały konserwatystów.



Paul Ellison, najbliższy przyjaciel Rogersa, powiedział kiedyś:

— Chyba oszalałeś, stary! Ty i Liz w zasadzie kwalifikujecie się do *Księgi Rekordów Guinnessa* jako małżeństwo doskonałe. Nie możesz tego tak po prostu przekreślić.

Rogers odpowiedział krótko:

— Przestań, stary. Kocham Barbarę i zamierzam się z nią ożenić, gdy tylko dostanę rozwód.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jak ujemnie wpłynie to na twoją karierę?

— Połowa małżeństw w tym kraju kończy się rozwodem, dlaczego więc mnie miałyby to zaszkodzić?

Okazało się jednak, że był kiepskim prorokiem. Wiadomość o sprawie rozwodowej stała się łakomym kąskiem dla prasy. Liczne brukowce gorliwie dostarczały coraz to nowszych, sensacyjnych plotek o nocnych schadzkach w rozkosznym mieszkanku urządzonym przez Rogersa, ze zdjęciami tegoż mieszkanka włącznie. Wydawcy gazet utrzymywali całą historię na pierwszych stronach tak długo, jak było to możliwe, a kiedy wreszcie wszystko ucichło, wpływowi przyjaciele Stanton Rogersa, dotąd popierający jego kandydaturę na prezydenta, dyskretnie swoje poparcie wycofali. Mieli bowiem nowego czarnego konia: Paula Ellisona.

Ellison stanowił bardzo trafny wybór. Choć nie tak przystojny jak Stanton i bez jego charyzmy, był jednakże inteligentny, miły i pochodził z dobrej rodziny. Niezbyt wysokiego wzrostu, miał dość regularne rysy i szczere, niebieskie oczy. Od dziesięciu lat był szczęśliwym mężem córki potentata stalowego i oboje z żoną uchodzili za dobraną i kochającą się parę.

Paul Ellison, podobnie jak Stanton Rogers, uczył się w Yale, a następnie ukończył Wyższe Studia Prawnicze w Harvardzie. Rodzina jednego i drugiego miała sąsiadujące ze sobą letnie domy w Southampton, więc obaj chłopcy wspólnie dorastali, uczyli się pływać, grać w baseball, a później, gdy dorośli, razem umawiali się z dziewczynami na randki. W Harvardzie chodzili na te same ćwiczenia i chociaż obaj mieli doskonałe wyniki,

to jednak Stanton był chlubą uczelni. Jego ojciec jako starszy wspólnik pracował w poważnej firmie prawniczej na Wall Street, dzięki czemu obaj młodzi ludzie mogli tam odbywać praktykę podczas miesięcy letnich. Po ukończeniu studiów Rogers stał się szybko wschodzącą gwiazdą w świecie polityki i jeśli można powiedzieć, że był kometa, to Ellison zawsze stanowił jej warkocz.

Rozwód Stantona odwrócił tę sytuację; teraz on stanął w cieniu swego przyjaciela. Prawie piętnaście lat trwała mozolna wspinaczka Ellisona na sam szczyt; najpierw przegrał jedne wybory do Senatu, wygrał następne i w przeciągu kilku kolejnych lat stał się powszechnie cenionym i szanowanym prawodawcą. Walczył nieustannie z opieszałością rządu i waszyngtońską biurokracją. Był populistą i wierzył głęboko w możliwość odprężenia międzynarodowego. Kiedy poproszono go, aby wygłosił przemowę na rzecz poprzedniego prezydenta, stojącego do walki w nowych wyborach, wywiązał się z tego zadania tak znakomicie, że natychmiast go zauważono. W cztery lata później został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Pierwsze swoje spotkanie w Białym Domu miał odbyć z doradcą do spraw zagranicznych... Stantonem Rogersem.

Teoria Marshalla McLuhana, że telewizja przekształci cały glob ziemski w jedną wielką wspólnotę, stała się rzeczywistością. Inauguracja czterdziestych drugich wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych była transmitowana przez telewizję satelitarną do ponad 190 krajów świata.

Siedząc w towarzystwie czterech kumpli w popularnej knajpie dziennikarskiej „Czarny Kogut” w Waszyngtonie, Ben Cohn, zasłużony reporter działu politycznego w *The Washington Post*, oglądał inaugurację wyborów na ekranie wielkiego telewizora umieszczonego nad barem.

— Ten sukinsyn kosztował mnie pięćdziesiąt zielonych — poskarżył się jeden z dziennikarzy.

— A mówiłem ci, żebyś na niego postawił, serdeczko — przyciął mu Cohn. — On naprawdę coś w sobie ma.

Kamera pokazywała właśnie ogromny, zbity tłum zgro-

madzony na Pensylwania Avenue, ludzi skulonych w płaszczach w obronie przed podmuchami zimnego, styczniowego wiatru i wsłuchanych w głos płynący z głośników. Jason Merlin, prezes Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, właśnie zakończył odczytywanie formuły przysięgi. Nowy prezydent uściskał mu dłoń i podszedł do mikrofonu.

— Popatrzcie no tylko na tych idiotów, sterczących tam na zimnie i odmrażających sobie tyłki — roześmiał się Ben Cohn. — Czy wiecie, dlaczego nie siedzą w tej chwili w domu jak normalni ludzie i nie oglądają tego w telewizji?

— Dlaczego?

— Bo to człowiek tworzy historię, moi drodzy. Pewnego dnia wszyscy ci ludzie opowiedzą swoim dzieciom i wnukom, że oni tam byli w dniu, w którym Paul Ellison został zaprzysiężony. I będą się chwalić: „Byłem tak blisko niego, że mogłem go dotknąć”.

— Jesteś cynikiem, Cohn.

— I jestem z tego dumny. Powiem wam coś. Wszyscy politycy na całym świecie są ulepieni z tej samej gliny. Każdy próbuje wyrwać jak najwięcej dla siebie. Powiedzmy sobie szczerze, panowie; nasz nowy prezydent jest liberałem i idealistą. To wystarczy, żeby każdego inteligentnego człowieka zaczęły dręczyć koszmary nocne. Według mnie liberał to taki facet, który buja w obłokach, i to cholernie wysoko.

W rzeczywistości Ben Cohn nie był tak cyniczny, jak to się mogło zdawać. Śledził karierę Paula Ellisona od samego początku i chociaż pierwotnie Ellison nie wywarł na nim większego wrażenia, to w miarę upływu czasu Cohn stopniowo zmieniał swą opinię. W końcu stwierdził, że ten polityk nie jest marionetką, którą łatwo manipulować; zdecydowanie ma własne zdanie. Był jak dąb rosnący w lesie płaczących wierzb.

Na zewnątrz rozpadało się na dobre. Nie jest to chyba zapowiedź następnych czterech lat, pomyślał Cohn, po czym powrócił do oglądania transmisji.

„Prezydentura Stanów Zjednoczonych jest pochodnią, która została zapalona przez obywateli amerykańskich wiele lat temu i jest przekazywana z rąk do rąk co cztery lata. Ta najpotężniejsza na świecie broń, którą tym razem powierzyliś-

cie mnie, jest silna na tyle, że mogłaby obrócić w popiół całą naszą cywilizację. Ale może ona także stać się latarnią, która oświetli przyszłość naszą i całego świata. Wybór należy do nas. Przemawiam dzisiaj nie tylko do naszych sprzymierzeńców, ale również do krajów należących do obozu sowieckiego. Mówię im dzisiaj, kiedy stoimy u progu dwudziestego pierwszego wieku, że nie będzie więcej miejsca na żadne konfrontacje i że musimy sprawić, aby powiedzenie „jeden świat” stało się prawdziwe. Obranie jakiegokolwiek innej drogi doprowadzić może tylko do ogólnej masakry, z której nie podźwignie się żaden naród. Zdaję sobie sprawę z tego, jak ogromna przepaść dzieli nas i kraje zza żelaznej kurtyny, ale dla mnie i mojego rządu najważniejszym zadaniem będzie zbudowanie niezniszczalnych mostów nad tą przepaścią”.

W jego słowach brzmiała głęboka, prosto z serca płynąca szczerłość. Ten facet nie blefuje, pomyślał Cohn, miejmy tylko nadzieję, że nikt się nie będzie chciał dobrać do tego gościa.

Dzień był ponury, powietrze ciężkie i lepkie od wilgoci. Padał tak gęsty śnieg, że widoczność na szóstej autostradzie w Junction City w stanie Kansas była prawie żadna. Mary Ashley ostrożnie prowadziła starą furgonetkę prawą stroną autostrady, która została już oczyszczona przez pługi. Wiedziała, że spóźni się na swój wykład, jako że zamieć uniemożliwiła szybką jazdę. Posuwała się bardzo powoli, drżąc na myśl, że samochód może wpaść w poślizg. Z radia dobiegał głos prezydenta.

„...wielu jest takich, i to zarówno w rządzie, jak i wśród was, obywateli tego kraju, którzy uważają, że Ameryka powinna budować więcej fos aniżeli mostów. Moja odpowiedź na to brzmi: nie możemy już dłużej skazywać siebie i naszych dzieci na przyszłość stale zagrożoną wizją światowej konfrontacji i wojny nuklearnej...”

Cieszę się, że na niego głosowałam, pomyślała Mary Ashley. Paul Ellison będzie wspaniałym prezydentem.

Zacisnęła mocniej ręce na kierownicy i wytrzymała wzrok, usiłując dostrzec cokolwiek przez gęstą ścianę śniegu.

W St. Croix tropikalne słońce świeciło na bezchmurnym, lazurowym niebie, ale mimo to Harry Lantz nie zamierzał wcale opuszczać swego mieszkania, w którym bardzo miło spędzał czas. Zupełnie nagi leżał na wielkim łóżku, mając obok siebie dwie siostry Dolly, które w rzeczywistości nie były wcale siostrami, o czym Lantz doskonale wiedział. Annette była wysoką brunetką, a Sally równie wysoką blondynką, mało jednak obchodziło go ich ewentualne pokrewieństwo, jako że wykonywały swoją pracę tak starannie, że Lantz aż pojękiwał z zadowolenia.

Na ekranie telewizora, stojącego w drugim końcu pokoju motelowego, ukazała się postać prezydenta.

„...ponieważ wierzę, że każdy problem może zostać rozwiązany przy odrobinie dobrej woli obu stron; betonowy mur otaczający Berlin Wschodni, a także żelazna kurtyna zasłaniająca pozostałe kraje — satelity Związku Radzieckiego — muszą przestać istnieć”.

Sally zaprzestała na moment swojej działalności i spytała:

- Chcesz, żebym wyłączyła to gównno, kochanie?
- Nie, zostaw. Chcę tego posłuchać.
- Głosowałeś na niego? — Annette uniosła głowę.
- Hej, co jest?! Do roboty! — ryknął Harry.

„Jak wszyscy dobrze wiemy, trzy lata temu, po śmierci swego prezydenta, Rumunia zerwała stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi. Otóż pragnę was z radością poinformować, że udało nam się nawiązać kontakt z rumuńskim rządem oraz prezydentem Alexandrosem Ionescu i uzyskać zgodę na odnowienie współpracy z naszym krajem”.

Szmer radości przebiegł przez tłum zgromadzony na Pennsylvania Avenue.

Harry Lantz usiadł tak gwałtownie, że zęby Annette wbiły się w jego penis.

— Jezu Chryste! — zawył Lantz. — Już raz byłem obrzezany! Co ty, do cholery ciężkiej, wyprawiasz?!

— To przestań się wiercić, złotko.

Lantz jej nie słuchał. Siedział na łóżku, nie odrywając oczu od telewizora.

„Jednym z pierwszych kroków, jakie zamierzam podjąć — ciągnął prezydent — będzie wysłanie naszego ambasadora do Rumunii. Będzie to zaledwie początek naszego działania...”

W Bukareszcie był już wieczór. Zima nagle zelzała i ulice miasta pełne były ludzi tłoczących się w kolejkach.

Prezydent Rumunii, Alexandros Ionescu, siedział w swym gabinecie w starym pałacu Peles na Calea Victoriei, otoczony przez sześciu doradców, i słuchał transmisji radiowej.

„...Nie zamierzam na tym poprzestać”, mówił amerykański prezydent. „W 1946 roku Albania zerwała wszelkie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Zamierzam naprawić zerwane więzi, łączące niegdyś nasze kraje. Nie koniec na tym; pragnę również poszerzyć i umocnić naszą współpracę z Bułgarią, Czechosłowacją i Niemiecką Republiką Demokratyczną”.

Z radia dobiegły odgłosy radości i wiwatów.

„Wysłanie nowego ambasadora do Rumunii będzie początkiem ogólnoświatowego ruchu pod hasłem LUDZIE DLA LUDZI. Nie zapominajmy nigdy o tym, że wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną, mamy te same zmartwienia i wszystkich nas czeka ten sam los. Pamiętajmy też, że problemy, które nas jednoczą, są ważniejsze od tych, które nas dzielą, a które sami stwarzamy”.

Na przedmieściach Paryża, w Neuilly, wewnątrz dobrze strzeżonej willi, rumuński przywódca ruchu oporu, Marin Groza, oglądał wystąpienie prezydenta na drugim kanale telewizji francuskiej.

„...Obiecuję wam tu i teraz, że dam z siebie wszystko i tego samego wymagać będę od innych”.

Owacja trwała pełne pięć minut.

— Chyba nadszedł nasz czas — odezwał się w końcu pogrążony w myślach Groza. — Ten prezydent mówi poważnie.

Lev Pasternak, jego szef bezpieczeństwa, odparł po chwili:

— Ale czy *taka polityka* nie umocni *pozycji Ionescu*?

Groza potrząsnął przecząco głową.

— Ionescu jest tyranem i kiedy nadejdzie odpowiedni moment, nikt i nic mu nie pomoże. Muszę jednak być bardzo ostrożny. Już raz przegrałem, gdy próbowałem obalić Ceausescu; nie może się to powtórzyć.

Pete Connors pił już od kilku godzin, ale ciągle jeszcze nie był zalany. Właśnie wysączył piątą porcję dobrej szkockiej whisky, kiedy Nancy, sekretarka, z którą mieszkał, spytała:

— Nie sądzisz, że na dzisiaj masz dosyć?

Uśmiechnął się i klepnął ją w pośladek.

— Powinnaś okazać więcej zrozumienia; przemawia nasz prezydent. — Odwrócił się z powrotem do telewizora, na którego ekranie widniała postać prezydenta. — Ty komunistyczny skurwysynu! — wrzasnął z wściekłością. — To jest mój kraj i CIA nie pozwoli ci go rozpieprzyć. Zastopujemy cię, Charlie. Możesz się założyć o własny tyłek, że to zrobimy.

## 2

— Będę bardzo potrzebował twojej pomocy, przyjacielu — oznajmił prezydent Ellison.

— I otrzymasz ją — odrzekł spokojnie Stanton Rogers.

Znajdowali się w Owalnym Gabinecie. Prezydent siedział za biurkiem, z tyłu na ścianie wisiała wielka flaga amerykańska. Było to ich pierwsze spotkanie w tym gabinecie i prezydent Ellison czuł się trochę nieswojo.

Gdyby Stanton nie popełnił tego jednego błędu, pomyślał, teraz on siedziałby na tym miejscu zamiast mnie.

Jakby zgadując jego myśli, Rogers powiedział:

— Muszę ci coś wyznać. Nie masz pojęcia, jak bardzo ci zazdrościłem w dniu, w którym zostałeś wybrany na prezydenta. To było przecież moje marzenie, a spełniło się tobie. Ale wiesz co? W końcu uświadomiłem sobie, że skoro ja nie mogę zajmować tego miejsca, to jedyną osobą na świecie, którą

pragnąłbym widzieć w tym fotelu, jesteś ty. Doskonale do ciebie pasuje.

Paul uśmiechnął się do niego i odparł:

— Prawdę powiedziawszy, Stan, boję się tego miejsca jak diabli. Czuję wokół siebie duchy Waszyngtona i Lincolna, i Jeffersona.

— No, mieliśmy również takich prezydentów, którzy...

— Tak, wiem. Ale dla nas wzorem mogą być tylko ci najlepsi.

Nacisnął dzwonek na biurku i natychmiast do pokoju wszedł steward w nieskazitelnie białej marynarce.

— Słucham, panie prezydencie.

— Kawy? — zwrócił się Ellison do Rogersa.

— Z przyjemnością.

— Coś do kawy?

— Nie, dziękuję. Barbara każe mi dbać o linię.

Prezydent dał znak Henry'emu i steward wyszedł.

Barbara. Zaskoczyła wszystkich. W Waszyngtonie przepowiadano, że ich małżeństwo nie przetrwa nawet roku. Tymczasem minęło już piętnaście lat i wszystko układało się doskonale. Stanton Rogers rozwinął praktykę prawniczą w Waszyngtonie, a Barbara zdobyła opinię doskonałej gospodyni.

Paul Ellison wstał i zaczął przemierzać pokój.

— Zdaje się, że moje przemówienie inauguracyjne wywołało ogromną wrzawę. Przeglądałeś już gazety?

Rogers wzruszył ramionami.

— Znasz ich przecież. Uwielbiają wynosić swoich bohaterów na piedestał po to tylko, aby móc ich potem stamtąd zrzucić z hukim.

— W zasadzie nie obchodzi mnie, co piszą w gazetach. Chciałbym natomiast wiedzieć, co ludzie sądzą na ten temat.

— Mówiąc szczerze, Paul, napędziłeś porządnego stracha wielu z nich. Siły zbrojne są przeciwne twoim planom, a kilku wpływowych mącieli marzy o tym, żeby się nie powiodły.

— Zawiodą się. — Paul usiadł wygodniej w fotelu. — Czy wiesz, co jest największym problemem dzisiejszego świata? To, że nie istnieje obecnie ani jeden prawdziwy mąż stanu.



Krajami rządzą politycy. Nie tak dawno temu ziemia była wręcz zatłoczona mocarzami. Niektórzy byli dobrzy, niektórzy źli, ale na Boga, byli prawdziwymi gigantami. Roosevelt i Churchill, Hitler i Mussolini, Charles de Gaulle i Józef Stalin. Dlaczego wszyscy oni żyli w tym samym czasie? Dlaczego dzisiaj nie ma ani jednego męża stanu ?

— Trudno jest być mocarzem na dwudziestojednocalowym ekranie.

Wszedł steward, niosąc na srebrnej tacy dzbanek z kawą i dwie filiżanki, na których wygrawerowany był znak prezydenta. Zręcznie nalał kawę do filiżanek.

— Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze, panie prezydencie?

— Nie, to wszystko, Henry, dziękuję.

Prezydent odczekał, aż steward wyjdzie.

— Chciałbym pomówić z tobą o znalezieniu odpowiedniego kandydata na ambasadora w Rumunii.

— Tak, słucham.

— Nie muszę ci chyba mówić, jak wielkie ma to znaczenie. Chciałbym, abyś zajął się tym tak szybko, jak to możliwe.

Stanton Rogers dopił kawę i podniósł się.

— Dopilnuję, by moi ludzie natychmiast się tym zajęli.

Przedmieście Neuilly. Godzina druga w nocy. Nad spowitą w hebanowe ciemności willą Marina Grozy kłębiły się ciężkie chmury, zza których blado prześwitywał księżyc. Ulice o tej godzinie były opustoszałe, tylko od czasu do czasu odgłos kroków spóźnionego przechodnia mącił ciszę. Ubrany na czarno mężczyzna przemknął bezszelestnie między drzewami w kierunku ceglanego muru otaczającego willę. Na ramieniu niósł linę i koc, przy jego boku kołysał się uzi zaopatrzony w tłumik oraz mały miotacz strzałek. Kiedy mężczyzna dotarł do muru, zatrzymał się. Odczekał nieruchomo pięć minut, nasłuchując. Wreszcie usatysfakcjonowany rozwinął nylonową linę, do której przywiązany był hak. Tajemniczy osobnik zamachnął się i rzucił hak w górę tak, że zaczepił się o krawędź ogrodzenia z drugiej strony. Zwinnie wspiął się po linie na

szczyt muru, następnie narzucił nań koc, by przykryć wystające metalowe kolce, których ostre końce nasączone były trucizną. Ponownie zatrzymał się i nasłuchiwał. Zmienił położenie haka tak, że teraz lina wisiała po wewnętrznej stronie ogrodzenia, po czym ześliznął się na ziemię. Sprawdził przy pasie niezawodny składany nóż Filipino, który można było błyskawicznie otworzyć i zamknąć jedną ręką.

Teraz powinien nastąpić atak psów. Nieproszony gość przykucnął, czekając, aż psy wywęszą jego zapach. Były to trzy wielkie doberman, specjalnie tresowane, żeby zabijać. Stanowiły pierwszą, ale nie jedyną przeszkodę w dotarciu do drzwi budynku. Zarówno w willi, jak i na terenie wokół niej pełno było urządzeń elektronicznych i kamer, które nieustannie lustrowały każdy niemal zakamarek posiadłości. Wszystkie listy i paczki dostarczano najpierw do strażnicy, gdzie skrupulatnie je sprawdzano. Wszystkie drzwi były tak skonstruowane, że nawet wybuch nie mógłby ich zniszczyć. Woda pochodziła ze sprawdzonego źródła, a jeden z członków ochrony zawsze próbował żywności, którą przygotowywano dla Marina Grozy. Willa była więc w zasadzie nie do zdobycia. Tej nocy postać w czerni miała udowodnić, że jest inaczej.

Usłyszał biegnące ku niemu psy, zanim je zobaczył. Wyskoczyły nagle z ciemności, próbując dosięgnąć gardła nieznajomego. Były tylko dwa. Wycelował miotacz strzałek w psa po lewej stronie i wystrzelił. Błyskawicznie skierował broń w stronę drugiego psa i znowu strzelił, cofając się jednocześnie przed walącymi się na ziemię cielskami dobermanów. Odwrócił się szybko, słysząc nadbiegającego trzeciego psa i kiedy go zobaczył, strzelił jeszcze raz, po czym znowu zapanowała cisza.

Napastnik znał dobrze położenie pułapek dźwiękowych ukrytych w ziemi i omijał je starannie. Bezszelestnie poruszał się naprzód, wybierając te części terenu, które nie były pilnowane przez kamery. W dwie minuty od momentu przejścia przez mur dotarł do tylnych drzwi domu. Sięgał już do klamki, kiedy nagle oślepił go snop światła.

— Nie ruszaj się! — usłyszał. — Rzuć broń i podnieś ręce.

Człowiek w czerni upuścił broń i spojrział w górę. Zobaczył sześciu mężczyzn stojących na dachu, trzymających różnego rodzaju broń wycelowaną prosto w niego.

— Dlaczego, do cholery, tak długo to trwało?! — warknął na nich. — Nie powinienem był dotrzeć aż tutaj.

— Nie dotarłeś — poinformował go główny strażnik. — Zaczęliśmy cię śledzić, jeszcze zanim przeszedłeś przez mur.

Lev Pasternak nie był zadowolony.

— Powinniście byli zatrzymać mnie dużo wcześniej; mogłem przecież być nasłanym samobójcą z ładunkiem granatów albo cholera wie kim. Jutro rano chcę widzieć wszystkich na zebraniu załogi, punktualnie o ósmej. Psy są uśpione. Niech ktoś zostanie przy nich, aż się obudzą.

Lev Pasternak szczyił się tym, że był najlepszym strażnikiem ochrony na świecie. Był pilotem podczas wojny sześciodniowej w Izraelu, a po jej zakończeniu został najlepszym agentem Mossadu, jednej z pięciu izraelskich służb wywiadowczych.

Pamiętał dobrze poranek przed dwoma laty, kiedy pułkownik wezwał go do biura.

— Lev, ktoś chce cię wypożyczyć na kilka tygodni.

— Mam nadzieję, że to blondynka — zażartował Pasternak.

— To Marin Groza.

Mossad posiadał kompletne akta tego rumuńskiego buntownika, przywódcy ludowego ruchu oporu, dążącego do obalenia Alexandrosa Ionescu. Groza był już o krok od celu, kiedy został zdradzony przez jednego ze swoich ludzi. Około dwudziestu czterech członków podziemia zostało straconych, a Marin Groza ledwo uszedł z życiem i musiał uciekać z kraju. Znalazł schronienie we Francji, która udzieliła mu azylu politycznego, Ionescu ogłosił go zdrajcą narodu i wyznaczył wysoką cenę za jego głowę. Jak dotychczas udaremniono sześć zamachów na Grozę, w ostatnim jednak został ranny.

— Czego on chce ode mnie? — spytał Pasternak. — Ma przecież ochronę rządu.

— Nie jest wystarczająco dobra. Potrzebuje kogoś, kto

zorganizuje absolutnie doskonały system bezpieczeństwa. Przeszedł z tym do nas, poleciłem mu ciebie.

— Musiałbym pojechać do Francji?

— To zajmie tylko kilka tygodni.

— Ja nie...

— Lev, mówimy o kimś naprawdę wyjątkowym. To jest nieskazitelny facet. Nasze informacje mówią, że ma tak ogromne poparcie w swoim kraju, że mógłby zwyciężyć Ionescu. I kiedy tylko przyjdzie odpowiedni moment, Groza wykona swój ruch. Do tego czasu musimy go chronić, aby pozostał przy życiu.

Lev Pasternak zamyślił się.

— Kilka tygodni, powiedziałaś?

— Tylko tyle.

Pułkownik mylił się co do terminu, ale jego opinia o Marinie Grozie była słuszna. Szczupły, o delikatnym wyglądzie, roztaczał wokół siebie dziwną, ascetyczną aurę. Jego twarz była jakby napiętnowana cierpieniem. Miał orli nos, ostry podbródek i szerokie czoło, które zasłaniały siwe włosy. Kiedy mówił, jego głębokie, czarne oczy zapalały się swoistym blaskiem.

— Tu nie chodzi o moje życie — powiedział do Lwa w czasie ich pierwszego spotkania. — Wszyscy umrzemy. Mnie interesuje tylko to, kiedy umrę. Muszę pożyć jeszcze rok lub dwa lata. Tyle czasu potrzebuję, żeby usunąć Ionescu z mojego kraju. — Jego ręka bezwiednie błędziła po sieniej bliźnie na policzku. — Żaden człowiek nie ma prawa brać w niewolę innych ludzi. Musimy uwolnić Rumunię i pozwolić ludziom decydować o swoim losie.

Lev Pasternak rozpoczął opracowywanie systemu ochrony w willi w Neuilly. Wziął kilku swoich ludzi, a nowych sprawdzał bardzo dokładnie. Każda część wyposażenia była dziełem sztuki.

Pasternak widywał codziennie przywódcę rumuńskiego podziemia, a im więcej czasu z nim spędzał, tym bardziej go podziwiał. I kiedy Marin Groza poprosił go, aby pozostał jego szefem ochrony, Pasternak nie wahał się ani chwili.

— Zostanę tutaj — powiedział — aż będziesz gotów do działania, wtedy wrócę do Izraela.

Umowa została zawarta.

Od czasu do czasu Pasternak dokonywał niespodziewanych ataków na willę, aby sprawdzić, jak działa system bezpieczeństwa. Niektórzy strażnicy zaniedbują czujność, pomyślał teraz. Trzeba będzie ich zmienić.

Szedł przez korytarze, starannie sprawdzając czujniki ciepła, elektroniczny system ostrzegawczy, systemy promieniowania podczerwonego zainstalowane w progu każdych drzwi. Kiedy doszedł do sypialni Grozy, usłyszał głośny trzask i w chwilę później Groza zaczął krzyczeć nieludzkim głosem.

Lev Pasternak minął jego pokój i poszedł dalej.

### 3 \_\_\_\_\_

Główna siedziba CIA jest usytuowana nad rzeką Potomac w Langley w stanie Wirginia, około jedenastu kilometrów na północny zachód od Waszyngtonu. Na drodze prowadzącej bezpośrednio do Agencji znajduje się brama z czerwonym, pulsującym światłem na szczycie. Wartownia strzeżona jest przez całą dobę, a wszyscy wchodzący otrzymują kolorowe przepustki, które upoważniają do wejścia jedynie na teren tej sekcji, w której przybysze mają coś do załatwienia. Przed szarym, siedmiopiętrowym budynkiem Agencji, jak na przekór nazywanym Fabryką Zabawek, stoi ogromna statua Nathana Hale'a. W środku na parterze szklana ściana oddziela korytarz od wewnętrznego dziedzińca, na którym znajduje się niewielki ogród, ozdobiony krzewami magnolii. Nad recepcją, wyryty w murze, widnieje napis:

„I poznasz prawdę, a ona cię wyzwoli”.

Zwykli śmiertelnicy nie mają wstępu do Agencji. Na tego, kto chciałby niepostrzeżenie wkraść się do tej broniącej swoich

tajemnic twierdzy, czeka u wylotu korytarza prowadzącego do mahoniowych drzwi windy kilku wartowników w szarych mundurach, dzień i noc obserwujących wejście.

Na siódmym piętrze, w sali konferencyjnej, pilnowanej przez uzbrojonych ludzi z ochrony, odbywało się jak zwykle w poniedziałek rano spotkanie robocze. Zgromadzeni przy wielkim dębowym stole, siedzieli: Ned Tillingast, szef naczelny CIA; generał Oliver Brooks, szef sztabu wojskowego; sekretarz stanu, Floyd Baker; Pete Connors, szef kontrwywiadu, i Stanton Rogers.

Ned Tillingast, sześćdziesięciokilkuletni szef CIA, był miłym, oziębłym człowiekiem, dźwigającym brzemię wielu przerażających tajemnic. CIA bowiem prowadzi nie tylko jawną, oficjalną działalność. Tillingast od siedmiu lat kieruje tajną sekcją, w której pracuje cztery tysiące pięćset osób, zajmujących się operacjami nie zawsze zgodnymi z prawem.

Generał Oliver Brooks, żołnierz z West Point, stosował surową dyscyplinę wojskową zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym. Był człowiekiem lubiącym towarzystwo, pod warunkiem, że tym towarzystwem była Armia Stanów Zjednoczonych.

Floyd Baker, sekretarz stanu, stanowił anachronizm. Był jakby zabytkiem z poprzedniej epoki. Pochodził z Południa; wysoki, siwowłosy, o dystygowanym wyglądzie i staromodnych manierach, nosił dziwaczne kamaszki. Był właścicielem koncernu skupiającego poważne gazety, wydawane w całym kraju. Powszechnie uważano, że jest niewiarygodnie bogatym człowiekiem. Nikt w Waszyngtonie nie posiadał tak wielkiego wyczucia politycznego, co pozwalało mu na ciągłe dostrajanie się do zmiennych wiatrów polityki Kongresu.

Pete Connors, ciemnowłosy, uparty Irlandczyk, którego niełatwo było czymkolwiek zaskoczyć, lubił często zaglądać do kieliszka. Jego praca w Agencji zbliżała się do końca, w czerwcu miał przejść na przymusową emeryturę. Był szefem sekcji kontrwywiadu, której działalność otaczano najściślejszą tajemnicą. Doszedł do tego stanowiska, pracując w różnych wydziałach służby wywiadowczej. Pamiętał jeszcze stare,

dobre czasy, kiedy agenci CIA byli nazywani „złotymi chłopcami”; sam do nich należał. Brał udział w słynnej akcji, która przywróciła szachowi tron królewski w Iranie, jak również w operacji „Mangusta”, będącej próbą obalenia rządu Fidela Castro w 1961 roku.

— Wszystko się zmieniło po wojnie w Zatoce Świń — żalił się od czasu do czasu, a to, jak długo wyrzekał, zależało zwykle od ilości wypitego przezeń alkoholu. — Byliśmy atakowani przez różnych świętoszków we wszystkich gazetach na całym świecie. Nazwali nas gromadą zakłamanych, przebiegłych klaunów, którzy nie potrafią sobie poradzić nawet z samymi sobą. Kilku przeciwnych nam sukinsynów wydrukowało nazwiska naszych agentów i Dick Welch, szef grupy w Atenach, został zamordowany.

Pete Connors miał za sobą trzy nieudane małżeństwa, które rozpadły się z powodu charakteru jego pracy, stresów i sytuacji z nią związanych, ale jak mówił, nie było rzeczy, której by nie poświęcił dla kraju.

Teraz, w samym środku zebrania, jego twarz poczerwieniała ze złości.

— Jeżeli pozwolimy prezydentowi na prowadzenie jego pieprzonego programu LUDZIE DLA LUDZI, to on po prostu wyda nasz kraj w obce ręce. To nie do pomyślenia. Nie możemy pozwolić, aby...

— Prezydent zasiada w gabinecie zaledwie od tygodnia — przerwał mu Floyd Baker. — A my wszyscy jesteśmy tu po to, żeby popierać jego politykę i...

— Ja, drogi panie, na pewno nie jestem tu po to, żeby oddać mój kraj w ręce przeklętych czerwonych. Prezydent nigdy nie wspominał nawet o takim programie przed tą nieszczęsną przemową. Zrobił nam wszystkim niespodziankę. Nie mieliśmy absolutnie żadnej szansy, żeby się temu sprzeciwić.

— A może właśnie o to chodziło — podsunął Baker.

Connors spojrział na niego zdumiony.

— Na Boga! Ty się z tym zgadzasz?!

— On jest moim prezydentem — odparował pewnie Baker. — A także i twoim.

Ned Tillingast zwrócił się do Stanton Rogersa.

— Pete ma trochę racji. Plan prezydenta zapewne doprowadzi do tego, że Rumunia, Albania, Bułgaria i inne kraje komunistyczne będą przysyłały tu swoich szpiegów pod maskami attache kulturalnych, szoferów, sekretarek i pokojówek. Wydajemy miliony dolarów na strzeżenie kuchennych drzwi do naszego kraju, a wygląda na to, że prezydent zamierza otworzyć na oścież drzwi frontowe.

Generał Brooks z aprobatą pokiwał głową.

— Mnie również nikt nie pytał o zdanie. Sądzę, że plan prezydenta może nawet doprowadzić nasz kraj do ruiny.

— Panowie — odezwał się Stanton Rogers — nawet jeżeli poglądy niektórych z nas są odmienne od poglądów prezydenta, nie zapominajmy o tym, że to naród wybrał Paula Ellisona, aby rządził tym krajem. — Przesunął wzrokiem po twarzach mężczyzn siedzących przy stole. — Należy do jego zespołu, naszym obowiązkiem więc jest podążać za nim i pomagać mu, jak tylko umiemy. — Jego słowom towarzyszyła niechętna cisza. — A więc, do rzeczy. Prezydent pragnie natychmiast otrzymać wszelkie informacje o obecnej sytuacji w Rumunii. Wszystko, co macie.

— Nasze tajne materiały również? — spytał Pete Connors.

— Wszystko. Proszę mi to dostarczyć jak najszybciej. Jaka jest sytuacja w Rumunii z Alexandrosem Ionescu?

— Ionescu siedzi mocno w siodle — odparł Ned Tillingast. — Pozbył się całej rodziny Ceausescu, a wszystkich, którzy sprzyjali byłemu prezydentowi, wymordował, uwięził albo wygnał. Cały kraj spłynął krwią, odkąd Ionescu przejął władzę. Ludzie go nienawidzą.

— Czy istnieje możliwość rewolucji?

— To jest dość interesujący temat — powiedział Tillingast. — Pamiętacie zapewne, jak kilka lat temu Marinowi Grozie prawie udało się obalić rząd Ionescu.

— O tak, Groza ledwo zdołał wtedy uratować własną skórę.

— Z naszą pomocą zresztą. Mamy informacje, że wielu dałoby wszystko, żeby go ściągnąć z powrotem. Groza byłby



odpowiedni dla Rumunii, a także i dla nas, gdyby to się udało. Cały czas obserwujemy rozwój sytuacji.

— Czy masz już listę kandydatów na stanowisko ambasadora w Rumunii? — Stanton Rogers zwrócił się do sekretarza stanu.

Floyd Baker otworzył skórzaną aktówkę, wyjął z niej kilka arkuszy papieru i podał jeden z nich Rogersowi.

— To nasi najlepsi kandydaci. Wszyscy są zawodowymi dyplomatami o wysokich kwalifikacjach. Zostali dokładnie sprawdzeni. Są czyści, pewni, żadnych problemów natury finansowej, żadnych kompromitujących wspomnień. — Stanton wziął listę, a sekretarz stanu dodał: — Oczywiście Departament Stanu opowiada się raczej za wyborem zawodowego dyplomaty, a nie polityka z mianowania. Chodzi o kogoś, kto zna się dobrze na tej robocie, zwłaszcza że sytuacja jest nietypowa. Stanowisko ambasadora w Rumunii to wyjątkowo delikatna sprawa, dlatego też ostateczna decyzja musi być bardzo starannie przemyślana.

— To prawda. — Stanton Rogers powstał z miejsca.

— Jadę teraz spotkać się z prezydentem i omówić z nim tę sprawę. Bardzo mu zależy na jak najszybszym obsadzeniu tego stanowiska. Dam wam znać o wyniku naszej rozmowy.

Podczas gdy wszyscy uczestnicy spotkania wychodzili powoli z sali, Ned Tillingast powiedział do Connorsa:

— Zostań jeszcze chwilę, chciałbym z tobą pomówić.

— Kiedy zostali sami, Tillingast odezwał się ponownie: — Ostro wystartowałeś, Pete.

— Bo mam rację — odparł Connors z uporem. — Prezydent próbuje sprzedać ten kraj. Jak sądzisz, co my mamy robić w tej sytuacji?

— Trzymać mordę na kłódkę.

— Ned, nauczono nas, jak wytropić wroga i go zniszczyć. A co mamy zrobić, jeśli wróg jest wśród nas — i zasiada w Ovalnym Gabinetcie?

— Bądź ostrożny. Bardzo ostrożny.

Tillingast pracował dla rządu dłużej niż Connors. Był związany z CIA, kiedy jeszcze nazywała się OSS i kierował nią Bill Donovan, zwany Dzikim. Ned również nie cierpiał lalusiów

z Kongresu, jego zdaniem szkodzących organizacji, którą kochał. W rzeczywistości nawet w samej CIA istniał wyraźny podział na tych, którzy uważali, że rosyjskiego niedźwiedzia można łatwo oswoić i przemienić w nieszkodliwe zwierzątko domowe, oraz zwolenników twardej linii. My musimy bić się o każdy dolar, pomyślał Tillingast, a w Moskwie Komitet Cosudarstwiennoj Bieзопасnosti — KGB — szkoli 1000 agentów za jednym zamachem. Ned Tillingast zwerbował Pete'a Connorsa do współpracy prosto z uczelni — i trafił w dziesiątkę. Connors okazał się jednym z jego najlepszych agentów. Jednakże w ciągu ostatnich kilku lat zaczął się wymykać spod kontroli i działać na własną rękę. Stał się zbyt niezależny i za szybko pociągał za cyngiel, jednym słowem, zrobił się niebezpieczny.

— Pete, czy obilo ci się o uszy cokolwiek na temat tajnej organizacji o nazwie „Patrioci Wolności”? — spytał po chwili Tillingast.

Connors zmarszczył brwi.

— Nie, nie przypominam sobie. Kim oni są?

— Jak do tej pory dotarły do mnie tylko pogłoski, nic konkretnego, niestety. Chciałbym, żebyś spróbował jakoś do nich dotrzeć.

— W porządku, postaram się.

Godzinę później Pete Connors dzwonił z budki telefonicznej przy Hains Point.

— Mam wiadomość dla Odina.

— Tu Odin, słucham — powiedział generał Oliver Brooks.

Siedząc wygodnie w limuzynie wiozącej go do biura, Stanton Rogers otworzył kopertę zawierającą listę nazwisk kandydatów na stanowisko ambasadora i studiował ją przez chwilę. Tak, wszystko było w najlepszym porządku, sekretarz stanu świetnie wywiązał się z zadania. Każdy z kandydatów pracował już poprzednio zarówno we wschodnich, jak i w zachodnich krajach Europy, a kilku z nich miało również doświadczenie w pracy na Dalekim Wschodzie i w Afryce. Prezydent będzie zadowolony, pomyślał Stanton.

— To wszystko antyki — skrzywił się Paul Ellison i rzucił listę na biurko. — Każdy z nich po kolei.

— Ależ Paul — zaprotestował Rogers — ci ludzie to zawodowi dyplomaci z ogromnym doświadczeniem.

— I potwornie zaśniedziali w swoich poglądach. Pamiętaj, w jaki sposób straciliśmy Rumunię trzy lata temu? Wszystkiemu winien był właśnie nasz doświadczony zawodowy dyplomata. Dreszczy dostają na myśl o tych facetach w garniturach w prążki. Oni dbają tylko o własny tyłek. A ja poważnie mówiłem o realizacji programu LUDZIE DLA LUDZI. Musimy wyrzucić jak najlepsze wrażenie na kraju, który w chwili obecnej nie bardzo nam ufa.

— Ale to ogromne ryzyko posyłać tam amatora, kogoś niedoświadczonego.

— A może potrzebujemy kogoś z doświadczeniem o nieco innym charakterze, niezawodowym. Rumunia ma być sprawdzianem dla mojego programu, takim lotem próbnym, powiedziałbym — zawahał się. — Ja nie zamierzam oszukiwać siebie samego. Wkraczam na bardzo wąską i stromą ścieżkę. Zdaję sobie sprawę, że wielu jest takich, którzy marzą o tym, żeby mój plan się nie powiódł. I jeśli tak się stanie, to na zawsze będę miał związane ręce. Będę musiał wybić sobie z głowy Bułgarię, Albanie, Czechosłowację i pozostałe kraje zza żelaznej kurtyny. A ja nie zamierzam do tego dopuścić.

— Mógłbym sprawdzić kilku naszych mianowanych polityków, którzy...

Prezydent Ellison potrząsnął przecząco głową.

— To samo. Chcę kogoś, kto ma całkowicie nowy, świeży punkt widzenia. Kogoś, kto przełamie pierwsze lody, kto byłby zaprzeczeniem typowego „niedobrego Amerykanina”.

Stanton Rogers popatrzył na prezydenta nieco zdumiony.

— Paul, mam wrażenie, że już kogoś wybrałeś. Czy mam rację?

Ellison wyjął cygaro z pudełka stojącego na biurku i przypalił je.

— Właściwie można by powiedzieć, że tak — odparł powoli. — Sądzę, że mam taką osobę.

— Kto to jest?

— Kobieta. Czy zwróciłeś uwagę na artykuł pod tytułem *Odpęźnienie — teraz*, wydrukowany w ostatnim wydaniu „Foreign Affairs”?

— Owszem.

— Co o tym sądzisz?

— Uważam, że to całkiem interesujące. Autor wierzy, że jesteśmy obecnie w stanie przekonać kraje komunistyczne, aby przyłączyły się do naszego obozu, jeśli zaproponujemy im współpracę gospodarczą i... — Przerwał. — Ten artykuł był bardzo podobny do twojego przemówienia inauguracyjnego.

— Tylko że został napisany sześć miesięcy przed moim przemówieniem. Autorka opublikowała już kilka wspaniałych artykułów, które zostały wydrukowane w „Commentary” i „Public Affairs”. Rok temu przeczytałem jej książkę na temat polityki krajów Europy Wschodniej i muszę powiedzieć, że pomogło mi to w sprecyzowaniu niektórych poglądów.

— W porządku. A więc ona się zgadza z twoimi teoriami. Ale to jeszcze nie powód, żeby brać ją pod uwagę jako kandydata na stanowisko tak waż...

— Stan, ona nie tylko zgadza się z moją teorią, ona poszła jeszcze dalej. Przedstawiła w ogólnym zarysie pewien niesamowity plan. Proponuje mianowicie, żeby połączyć cztery najważniejsze organizacje ekonomiczne świata.

— Ale jak możemy...?

— Oczywiście zabraloby to trochę czasu, ale to jest możliwe. Posłuchaj, jak wiesz, w 1949 roku kraje bloku wschodniego utworzyły Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej zwaną RWPG, a w 1958 roku kilka zachodnich krajów europejskich stworzyło EWG — Europejską Wspólnotę Gospodarczą — Wspólny Rynek.

— Zgadza się.

— My mamy Organizację Wspólnoty Gospodarczej i Rozwoju, w skład której wchodzi Stany Zjednoczone i kilka krajów z bloku zachodniego. Nie zapominaj również, że kraje Trzeciego Świata mają także swoją niezależną organizację, z której my jesteśmy wykluczeni. — Głos prezydenta drzał z podniecenia. — Pomyśl tylko, jakie powstałyby możliwości,

gdybyśmy mogli połączyć te wszystkie organizacje i stworzyć jeden wielki rynek — mój Boże, to byłoby coś niesamowitego! I to dopiero oznaczałoby prawdziwy handel ogólnoświatowy. I mogłoby również przynieść pokój.

— To bardzo interesujący pomysł, ale daleka droga do jego realizacji — powiedział ostrożnie Stanton.

— A znasz takie stare chińskie przysłowie: „Aby przejść tysiąc kilometrów, należy najpierw zrobić jeden krok”.

— Ale ona jest tylko amatorem.

— Niektórzy z naszych najlepszych ambasadorów byli również tylko amatorami. Annę Armstrong, nasz poprzedni ambasador w Wielkiej Brytanii, była nauczycielką bez żadnego politycznego doświadczenia. Perle Mesta został wysłany do Luksemburga, Clare Boothe Luce był ambasadorem we Włoszech. John Gavin, aktor, został ambasadorem w Meksyku. Jedna trzecia naszych obecnych ambasadorów jest, jak ty to nazywasz, amatorami.

— Ale przecież nic nie wiesz o tej kobiecie.

— Owszem, prócz tego, że jest ona diabelnie inteligentna i że odbieramy na tej samej częstotliwości. Dowiedz się o niej wszystkiego. — Wziął do ręki egzemplarz „Foreign Affairs”. — Nazywa się Mary Ashley.

Dwa dni później prezydent Ellison i Stanton Rogers jedli razem śniadanie.

— Mam informacje, o które prosiłeś. — Rogers wyjął z kieszeni zapisaną kartkę papieru. — Mary Ashley, 27 Old Milford Road, Junction City, Kansas. Wiek 35 lat, mąż doktor Edward Ashley, dwoje dzieci, Beth, dwanaście lat, i Tim, lat dziesięć. Przewodnicząca Ligi Kobiet Głosujących w okręgu Junction City. Profesor zwyczajny, nauka o polityce krajów Europy Wschodniej, Uniwersytet Stanowy w Kansas. Dziadek urodzony w Rumunii. — Podniósł wzrok w zadumie. — Może rzeczywiście to jest odpowiedni ambasador dla Rumunii.

— Sądzę, że to możliwe, Stan — odparł wolno prezydent. — Chcę, żebyście dokładnie sprawdzili wszystko, co ma z nią jakikolwiek związek.

— Dopilnuję tego.

— Nie, nie zgadzam się z tym, profesor Ashley. — Barry Dylan, najmłodszy i zarazem najzdolniejszy student seminarium nauk politycznych, rozejrzał się z zakłopotaniem. — Alexandros Ionescu jest o wiek gorszy od poprzedniego prezydenta.

— Czy możesz poprzeć to stwierdzenie jakimiś faktami? — spytała Mary Ashley.

Dwunastu absolwentów biorących udział w seminarium, odbywającym się w jednej z klas Holu Dykstra Uniwersytetu Stanowego w Kansas, siedziało półkolem z twarzami zwróconymi w stronę Mary. Lista studentów pragnących brać udział w jej wykładach była o wiele dłuższa niż u innych profesorów. Mary Ashley należała do tak znakomych, pełnych humoru i ciepła wykładowców, że zajęcia z nią były czystą przyjemnością. Jej owalna twarz, w zależności od nastroju, zmieniała się z interesującej w piękną. Lekko wystające kości policzkowe, piwne oczy o migdałowym kształcie, ciemne, gęste włosy i wspaniała figura wywoływały zazdrość studentek i pobudzały fantazję studentów. Mary jednak była zupełnie nieświadoma swojej urody.

Barry zastanawiał się, czy profesor Ashley jest szczęśliwa ze swoim mężem. Ociągając się powrócił do omawianego tematu.

— No więc, kiedy Ionescu przejął władzę w Rumunii, zaczął prowadzić twardą politykę prosowiecką i stosować represje wobec zwolenników Grozy. Nawet Ceausescu nie był tak okrutny.

— Dlaczego w takim razie prezydent Ellison tak bardzo pragnie nawiązać z nimi stosunki dyplomatyczne? — zapytał inny student.

— Ponieważ chce go nakłonić do zmiany orientacji politycznej.

— Nie zapominajcie — powiedziała Mary — że Nicolae Ceausescu również współpracował z obydwoma obozami politycznymi. Kiedy dokładnie rozpoczęła się ta współ-

— W 1963 roku — odparł Barry — kiedy Rumunia zajęła jednoznaczne stanowisko w sprawie konfliktu pomiędzy Związkiem Radzieckim i Chinami, żeby w ten sposób udowodnić swoją niezależność w polityce międzynarodowej.

— A jakie są obecne stosunki Rumunii z krajami Układu Warszawskiego, a zwłaszcza ze Związkiem Radzieckim? — spytała Mary.

— Powiedziałbym, że są teraz dużo silniejsze.

— A ja się nie zgadzam z tym stwierdzeniem — zaprotestował ktoś inny. — Przecież Rumunia ostro skrytykowała inwazję Związku Radzieckiego na Afganistan, jak również jego porozumienie z EWG. Poza tym...

W tym momencie rozległ się dzwonek, oznajmiający koniec zajęć.

— W poniedziałek będziemy rozmawiać o podstawowych czynnikach, wpływających na stanowisko Związku Radzieckiego wobec Europy Wschodniej — powiedziała Mary.

— Omówimy również prawdopodobne konsekwencje planu prezydenta Ellisona, dotyczące bloku wschodniego. Życzę wszystkim miłego wypoczynku niedzielnego.

Studenci powoli wychodzili z klasy.

— Wzajemnie, pani profesor.

Mary uwielbiała taką wymianę zdań, opinii i poglądów. Geografia i historia przestawały być tylko martwymi słowami, a wydarzenia i postacie historyczne ożywały na nowo. Już piąty rok wyładała na Uniwersytecie Stanowym w Kansas i wciąż sprawiało jej to ogromną przyjemność. W ciągu roku szkolnego prowadziła pięć grup na wydziale nauk politycznych, a także seminaria uzupełniające dla absolwentów. Głównym tematem jej zajęć był Związek Radziecki i kraje z nim związane. Czasami czuła się trochę jak oszust. Nigdy nawet nie byłam w żadnym z tych krajów, myślała, w ogóle nie byłam nigdzie poza granicami Stanów Zjednoczonych.

Mary Ashley urodziła się w Junction City, podobnie jak i jej rodzice. Jedynym członkiem rodziny, który znał Europę, był dziadek, urodzony w małej wiosce Voronet w Rumunii.

Kiedy Mary ukończyła studia z tytułem magistra, zaplanowała podróż za granicę, ale latem tego samego roku poznała Edwarda Ashleya i wielka wyprawa do Europy przemieniła się w trzydniowy „miesiąc miodowy” w Waterville, osiemdziesiąt kilometrów od Junction City, gdzie Edward zajmował się jednym ze swoich pacjentów.

— Za rok koniecznie musimy wybrać się w długą podróż — powiedziała Edwardowi Mary zaraz po ślubie. — Marzę o tym, żeby zobaczyć Rzym, Paryż i Rumunię.

— Ja również. A więc jesteśmy umówieni za rok.

Ale latem następnego roku przyszła na świat Beth, a Edward musiał odrabiać zaległości w pracy w szpitalu Geary. Dwa lata później urodził się Tim. Mary uzyskała stopień naukowy doktora filozofii, rozpoczęła nauczanie na uniwersytecie i tak niepostrzeżenie minęło kilka ładnych lat. Poza nielicznymi, krótkimi wypadami do Chicago, Atlanty czy Denver, Mary nie wychyliła nosa poza granice stanu Kansas.

Pewnego dnia, obiecała sobie. Pewnego dnia...

Mary zebrała notatki i spojrzała za okno, na którym mróz wymalował przedziwne wzory. Znowu zaczynał padać śnieg. Włożyła swój skórzany płaszcz, czerwony szalik i ruszyła w stronę wyjścia na ulicę Vattier, gdzie zaparkowała samochód.

Teren uniwersytetu jest ogromny, zajmuje 130 hektarów, na których znajduje się 87 budynków mieszczących laboratoria, teatry, kaplice, a pomiędzy nimi rozciągają się trawniki z rosnącymi tu i ówdzie drzewami. Z pewnej odległości brązowe budynki uniwersytetu, ozdobione wieżyczkami, przywodzą na myśl średniowieczną fortecę, gotową w każdej chwili do odparcia ataków wroga. Kiedy Mary mijała Denison Hall, ujrzała przed sobą nieznanego z aparatem marki Nikon. Skierował obiektyw aparatu na budynek i nacisnął migawkę. Mary znalazła się na pierwszym planie ujęcia. Powinam się usunąć, pomyślała, zepsułam mu zdjęcie.

Godzinę później ta sama fotografia była już w drodze do Waszyngtonu.



Każde miasto posiada swój własny, charakterystyczny rytm, tętno życia, które wyznaczają jego mieszkańcy. Junction City znajduje się w rolniczym okręgu Geary i jest zamieszkane przez 20 381 osób. Miasteczko leży w odległości dwustu dziesięciu kilometrów na zachód od Kansas City, a jego mieszkańcy twierdzą z dumą, że jest geograficznym środkiem powierzchni lądowej Stanów Zjednoczonych. Ma własną gazetę — „The Daily Union” — stację radiową i telewizyjną. Wzdłuż ulic Szóstej i Waszyngtona utworzono śródmiejski ciąg handlowy: sklepy, kilka stacji benzynowych oraz bary szybkiej obsługi. Typowy obraz niewielkiego miasteczka, powielany bez końca w całym Stanach Zjednoczonych — domy towarowe Penney, Pierwszy Bank Narodowy, Domino Pizza, Flower leweler i sklepy Woolworth, przystanek autobusowy, sklep z odzieżą męską, sklep monopolowy. Obywatele Junction City kochają sielankowy spokój i ciszę panującą tu w ciągu tygodnia. Podczas sobót i niedziel bowiem przeistacza się ono w ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy dla żołnierzy z pobliskiego Fortu Riley.

Mary Ashley wstąpiła w drodze do domu do Dillon's Market, aby zrobić zakupy na obiad, po czym ruszyła na północ, w kierunku Old Milford Road — malowniczej dzielnicy domków jednorodzinnych, położonych nad jeziorem. Po lewej stronie drogi rósł rząd dębów i wiązów, a po prawej wznosiły się piękne domy, zbudowane z kamienia, cegieł i drewna.

Ashleyowie mieszkali w jednopiętrowym domu z kamienia, stojącym pomiędzy dwoma łagodnie opadającymi wzgórzami. Kupili ten dom trzynaście lat temu. Na parterze znajdował się przestronny salon, duża jadalnia, biblioteka, mała jadalnia i kuchnia, a na piętrze — wielka sypialnia oraz dwie mniejsze.

— Ten dom jest o wiele za duży dla dwóch osób — protestowała Mary.

Edward objął ją wtedy mocno i przytulił do siebie.

— A kto powiedział, że będzie nas tylko dwoje?

Kiedy Mary przyjechała do domu, powitali ją Tim i Beth.

— Zgadnij, co się stało? — wykrzyknął Tim. — Nasze zdjęcie będzie w gazecie!

— Pomóście mi rozpakować zakupy — powiedziała Mary. — W jakiej gazecie?

— Ten facet nie powiedział, ale zrobił zdjęcie i obiecał, że da nam znać.

Mary zatrzymała się i popatrzyła uważnie na syna.

— Czy powiedział, o co chodzi ?

— Nie ■— odparł Tirr, — ale miał świetny aparat fotograficzny. Nikon!

W niedzielę Mary obchodziła, choć nie w bezgranicznym zachwycie, trzydzieste piąte urodziny. Edward przygotował dla niej niespodziankę — przyjęcie w klubie za miastem. Kiedy tam przybyli, kilka osób, w tym również ich sąsiedzi, Florence i Douglas Schifferowie, już na nich czekało. Edward cieszył się jak mały chłopiec na widok zdumionej miny Mary, kiedy ujrzała zastawiony stół i transparent na jej cześć. Wiedziała o tym przyjęciu już od dwóch tygodni, ale nie miała serca zepsuć mu niespodzianki. Uwielbiała swojego męża i nie dostrzegała w tym nic dziwnego — każdy by go uwielbiał. Był przystojny, inteligentny i troskliwy. Jego dziadek i ojciec byli lekarzami i Edward uważał za rzecz naturalną kontynuowanie tradycji rodzinnej. Był najlepszym chirurgiem w Junction City, dobrym ojcem i wspaniałym mężem.

Mary zdmuchnęła świece na torcie urodzinowym, spojrzęła na Edwarda i pomyślała: Która kobieta ma takie szczęście jak ja?

W poniedziałek rano Mary obudziła się z kacem. Poprzedniej nocy wzniesiono zbyt wiele toastów, a ona nie była przyzwyczajona do picia alkoholu. Z wielkim wysiłkiem wstała z łóżka. Ten szampan mnie wykończył, pomyślała. Nigdy więcej.

Zeszła na dół i zaczęła przygotowywać śniadanie dla dzieci, próbując zignorować łupanie w czaszce.

— Szampan — mruknęła z ironią — francuska zemsta na nas. ,

Do kuchni weszła Beth z książkami pod pachą.

— Z kim rozmawiasz, mamó?  
— Ze sobą.  
— To nienormalne.  
— Jak zwykle masz rację. — Mary postawiła na stole pudełko. — Kupiłam nową owsiankę dla ciebie. Powinna ci smakować.

Beth przysiadła na stole kuchennym i zaczęła uważnie studiować nalepkę na pudełku z owsianką.

— Nie mogę tego jeść. Próbujesz mnie otruć.  
— Lepiej nie podsuwaj mi takich pomysłów — ostrzegawczo odparła Mary. — Czy mogę cię prosić, żebyś zajęła się jedzeniem?

Dziesięcioletni Tim wpadł do kuchni. Wsunął się na krzesło i powiedział:

— Dla mnie jajka na bekonie.  
— Co się stało z „dzień dobry” ? — spytała Mary.  
— Dzień dobry. Dla mnie jajka na bekonie.  
— Poproszę.  
— Daj spokój, mamó, spóźnię się do szkoły.  
— Cieszę się, że wspomniałeś o szkole. Dzwoniła do mnie pani Reynolds. Podobno zaniedbałeś się w matematyce. Co powiesz na ten temat? »

— To się wyjaśni.  
— Tim, czy to ma być żart?  
— Osobiście nie uważam, że jest w tym coś śmiesznego  
— prychnęła pogardliwie Beth.

Tim wykrzywił się do siostry.

— Jeśli chcesz się pośmiać, to spójrz w lusterko.  
— Dostyc tego — przerwała Mary. — Zachowujcie się.  
Ból głowy dokuczał jej coraz bardziej.  
— Mamó, czy po szkole mogę pójść na lodowisko?

— spytał Tim.

— I tak ślizgasz się po cienkim lodzie. Wrócisz do domu i będziesz się uczyć. Jak to wygląda, żeby syn profesora uczelni miał dwóję z matematyki?

— Zupełnie w porządku. Przecież nie uczysz matematyki.

Mówi się o niemożliwych dwulatkach, pomyślała ponuro

Mary. A co z okropnymi dziewięcio-, dziesięcio-, jedenasto- i dwunastolatkami?

— Czy Tim powiedział ci, że dostał dwóję z ortografii?

— spytała Beth.

Tim posłał siostrze piorunujące spojrzenie.

— Czy kiedykolwiek słyszałaś o Marku Twainie?

— A co Mark Twain ma z tym wspólnego? — spytała Mary.

— Mark Twain powiedział, że nie ma ani krzty szacunku dla człowieka, który umie pisać słowo tylko w jeden sposób.

Z nimi się nie wygra, jęknęła w duchu Mary, są bystrzejsi od nas.

Zapakowała im już drugie śniadanie, kiedy przypomniała sobie, że Beth jest na nowej, „cudownej” diecie.

— Beth, bardzo proszę, żebyś zjadła dzisiaj drugie śniadanie.

— Zjem, jeśli nie zawiera żadnych sztucznych składników. Nie życzę sobie, żeby moje zdrowie było rujnowane tylko dlatego, że przemysł spożywczy używa różnych trucizn, aby osiągnąć większe zyski — odparła dziewczynka.

Ciekawe, co powiedziałyby o starym, dobrym żarciu, które jadali jej rodzice, kiedy byli młodzi, przemknęło Mary przez myśl.

Tim wyciągnął luźną kartkę z notatnika Beth.

— Posłuchajcie! — wykrzyknął. — „Droga Beth, czy chcesz siedzieć ze mną w jednej ławce? Myślałem o tobie przez cały wczorajszy dzień i...”

— Oddaj mi to natychmiast! — wrzasnęła Beth. Była wściekła. — To moje!

Starala się go złapać, ale Tim wymykał się zręcznie.

Dostrzegł podpis pod notatką.

— Hej, to jest podpisane „Virgil”. Myślałem, że kochasz się w Arnoldzie.

Beth wyrwała mu w końcu kartkę.

— Co ty wiesz o miłości? — prychnęła z pogardą.

— Jesteś jeszcze dzieckiem.

Łupanie w głowie Mary stawało się nie do zniesienia.

— Dzieciaki, przestańcie.

Dobiegł ją odgłos klaksonu szkolnego autobusu, lim i Beth pomknęli do drzwi.

— Czekajcie! Nie zjedliście jeszcze śniadania — zawołała Mary i pospieszyła za nimi do holu.

— Nic z tego, mamó. Musimy lecieć.

— Cześć, mamó.

— Na zewnątrz jest potwornie zimno. Weźcie kurtki i szaliki.

— Ja nie mogę, zgubiłem szalik — odpowiedział Tim.

I już ich nie było. Mary poczuła się, jakby wypompowano z niej powietrze. Być matką to jak dostać się w sam środek cyklonu, pomyślała.

Zobaczyła Edwarda, schodzącego po schodach do kuchni, i rozpogodziła się. Po tylu latach małżeństwa on wciąż jest dla mnie najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam, pomyślała. Kiedy go poznała, zauroczyła ją jego niezwykła łagodność. A przecież szare, intefigentne oczy potrafiły również zmienić się w dwie błyskawice, wiedy coś poruszyło go do głębi.

— Dzień dobry, kochanie. — Pocałował ją w policzek. Weszli razem do kuchni.

— Najdroższy, czy zrobiłbyś coś dla mnie?

— Oczywiście, moja śliczna, wszystko, co zechcesz.

— Chcę sprzedać nasze dzieci.

— Oboje?

— Tak.

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— Kto je zechce kupić?

— Obcy. Są już w takim wieku, że cokolwiek bym zrobiła, to wszystko jest nie tak. Beth zwariowała na punkcie zdrowej żywności, a twój syn staje się niezmiernym osłem.

— A może to nie nasze dzieci — zastanowił się Edward.

— Też tak sędzę. Przygotowałam ci owsiankę.

Edward spojrzął na zegarek.

— Przykro mi, kochanie, ale nie zdążę już zjeść. Za pół

godziny mam zacząć operację. Hank Cates został pokiereszowany przez jakąś maszynę, grozi mu utrata kilku palców.

— Czy on nie jest już za stary, żeby pracować na farmie?

— Masz szczęście, że tego nie słyszy.

Mary doskonale wiedziała, że Hank Cates od trzech lat nie zapłacił mężowi ani jednego rachunku. Jak większość farmerów, cierpiał niedostatek z powodu niskich cen w rolnictwie i obojętnego stosunku Zarządu Kredytu dla Farmerów do tego problemu. Wiele osób traciło gospodarstwa, na których pracowali przez całe życie. Edward nigdy nie wywierał nacisku na swoich pacjentów, aby płacili mu za leczenie. Wielu farmerów nie posiadających pieniędzy zwracało mu należność za wizyty w naturze. Piwnica Ashleyów pełna była kukurydzy, ziemniaków i pszenicy. Kiedyś jeden z farmerów zaproponował krowę w ramach uregulowania długu. Gdy Edward powiedział o tym Mary, odrzekła: „Na miłość boską, powiedz mu, że leczenie było za darmo”.

Teraz spojrzała na męża i pomyślała, że naprawdę ma w życiu szczęście.

— W porządku — powiedziała. — Może jednak zatrzymam dzieci. Bardzo lubię ich ojca.

— Prawdę mówiąc, ja uwielbiam ich matkę. — Przyciągnął ją do siebie i objął. — Wszystkiego najlepszego w pierwszym dniu po urodzinach.

— Czy wciąż jeszcze mnie kochasz, mimo że jestem już staruszką?

— Lubię staruszki.

— Dziękuję ci. — Mary nagle o czymś sobie przypomniała. — Muszę wcześniej wrócić do domu i przygotować obiad. Schifferowie przychodzą dzisiaj do nas.

Poniedziałkowy brydż z sąsiadami stał się już tradycją. To, że Douglas Schiffer był również lekarzem i pracował z Edwardem w tym samym szpitalu, jeszcze bardziej ich do siebie zbliżało.

Mary i Edward razem wyszli z domu, chowając głowy przed silnym wiatrem. Edward wsiadł do swojego forda

granady, zapiął pasy i poczekał, aż Mary usadowi się za kierownicą furgonetki.

— Droga jest zapewne oblodzona! — zawołał do żony.  
— Jedź ostrożnie!

— Ty również uważaj, kochanie!

Posłała mu całusa i oba samochody ruszyły; jeden w stronę szpitala, drugi do miasta Manhattan, gdzie w odległości dwudziestu pięciu kilometrów znajdował się uniwersytet.

Ich odjazd obserwowało dwóch mężczyzn, siedzących w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko domu Ashleyów. Mężczyźni poczekali, aż oba pojazdy znikną z pola widzenia.

— Idziemy.

Podjechali do domu sąsiadującego z domem Ashleyów. Siedzący za kierownicą Rex Olds pozostał w samochodzie, podczas gdy jego towarzysz podszedł do drzwi frontowych i zadzwonił. Otworzyła trzydziestokilkuletnia, atrakcyjna brunetka.

— Czym mogę służyć?

— Czy mam przyjemność rozmawiać z panią Schiffer?

— Tak...?

Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął legitymację.

— Nazywam się Donald Zamlock i jestem z Urzędu Bezpieczeństwa przy Departamencie Stanu.

— O Boże! Tylko mi nie mówcie, że Doug obrabował bank!

— Nie, proszę pani — uśmiechnął się agent. — A przynajmniej nam nic o tym nie wiadomo. Chciałbym pani zadać kilka pytań dotyczących sąsiadki państwa, pani Ashley.

Popatrzyła na niego z nagłym niepokojem.

— Mary? A co z nią?

— Czy mogę wejść?

— Tak, oczywiście. — Florence wprowadziła go do salonu. — Proszę się rozgościć. Napije się pan kawy?

— Nie, dziękuję. Zajmę pani tylko kilka minut.

— Dlaczego interesuje was Mary?

— To tylko rutynowe sprawdzenie. Ona nie jest o nic podejrzana.

— Mam nadzieję — oburzyła się Florence. — Mary jest jedną z najsympatyczniejszych osób, jakie znam. A czy pan ją zna? — dodała.

— Nie, proszę pani. Moja wizyta ma charakter poufny i byłbym wdzięczny, gdyby nikomu pani o niej nie mówiła. Jak długo zna pani panią Ashley?

— Jakieś trzynaście lat. Od dnia, w którym wprowadziła się z mężem do domu obok.

— Czy powiedziała pani, że dobrze zna panią Ashley?

— Oczywiście, że tak. Mary jest moją najbliższą przyjaciółką. Co...?

— Czy dobrze jej się układa z mężem?

— Po mnie i Douglasie są drugą najlepiej dobraną parą, jaką znam. — Zastanowiła się chwilę. — Nie, cofam to. Oni są najlepiej dobraną parą, jaką znam.

— Zdaje się, że pani Ashley ma dwoje dzieci, dwunastoletnią dziewczynkę i dziesięcioletniego chłopca?

— Zgadza się. Beth i Tim.

— Czy jest dobrą matką?

— Ona jest wspaniałą matką. Co się...?

— Pani Schiffer, czy pani zdaniem pani Ashley jest osobą zrównoważoną emocjonalnie?

— Jak najbardziej.

— Czy nie posiada jakichś problemów natury emocjonalnej, o których pani wiadomo?

— Z pewnością nie.

— Czy pani Ashley pije?

— Nie. Ona nie lubi alkoholu.

— Narkotyki?

— Żle pan trafił, drogi panie. Nie mamy tutaj, w Junction City, żadnych problemów z narkotykami.

— Mąż pani Ashley jest lekarzem?

— Tak.

— Jeśli więc chciałyby zdobyć narkotyki...

— Myli się pan, i to bardzo. Ona nie używa żadnych narkotyków, nie wacha ani nie daje sobie w żyłę.

Agent przyglądał się jej przez chwilę.

— Wydaje się pani znać dobrze fachową terminologię.



— Oglądam *Miami Vice*, tak jak wszyscy. — Florence Schiffer stawiała się coraz bardziej zniecierpliwiona. — Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Dziadek pani Ashley pochodził z Rumunii. Czy słyszała pani, żeby kiedykolwiek mówiła coś na ten temat?

— Och, od czasu do czasu, bardzo rzadko, wspomina historie o tym kraju, które kiedyś opowiadał jej dziadek. On urodził się w Rumunii, ale przybył tutaj, gdy miał zaledwie kilkanaście lat.

— Czy pani Ashley kiedykolwiek wypowiadała się negatywnie o obecnym rządzie rumuńskim?

— Nie, nie przypominam sobie nic takiego.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy pan lub pani Ashley kiedykolwiek mówili coś przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych?

— Absolutnie nigdy!

— A więc w pani odczuciu oboje są lojalnymi Amerykanami?

— Mogę się z panem o to założyć. Czy mógłby mi pan powiedzieć...?

Gość wstał.

— Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, pani Schiffer. I jeszcze raz chciałbym podkreślić, że to sprawa ściśle poufna. Bardzo proszę z nikim na ten temat nie rozmawiać, nawet z mężem.

W chwilę później już go nie było. Florence Schiffer stała w drzwiach i patrzyła za nim.

— Nie chce mi się wierzyć, że ta rozmowa naprawdę się odbyła — powiedziała głośno do siebie.

Obaj agenci jechali wzdłuż ulicy Waszyngtona w kierunku północnym. Minęli właśnie wielką tablicę, na której widniał napis: „Baw się dobrze na Ziemi Westchnień”.

— Słodkie — mruknął Rex Olds.

Przejechali obok domu towarowego i budynku organizacji charytatywnej, sklepu ze zwierzętami i baru o nazwie „Duża Szansa”. Ciąg budynków publicznych skończył się nagle.

— Jeżu, główna ulica ma parę metrów. To nie jest miasto, to jakaś zapadła dziura — powiedział Donald Zamlotik.

— Dla ciebie i dla mnie to dziura, ale dla t^ejszych ludzi to miasto — odparł Olds.

Zamlock pokręcił głową.

— Może to i miłe miejsce, żeby tu mieszkać, ale z pewnością nie dla mnie.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do Banku Stanowego i Rex Olds wszedł do budynku. Po dwudziestu minutach był z powrotem.

— W porządku — rzucił, wsiadając do samochodu. — Ashleyowie mają siedem tysięcy dolarów na koncie, hipotekę na dom i na czas płacą rachunki. Prezes banku uważa, że doktor ma zbyt miękkie serce, aby być dobrym biznesmenem, ale ufa mu całkowicie.

Zamlock rzucił okiem na tablicę z ogłoszeniami, stojącą obok banku.

— Sprawdźmy jeszcze kilka nazwisk i wracajmy do cywilizacji, zanim zacznę porykiwać.

Douglas Schiffer był miłym i uprzejmym człowiekiem, ale w chwili obecnej miał ponury wyraz twarzy. Schifferowie i Ashleyowie rozgrywali cotygodniową partię brydża i Schifferowie byli o 10 000 punktów w tyle. Po raz czwarty tego wieczora Florence zagrała beznadziejnie. Douglas Schiffer rzucił z furią karty na stół.

— Florence! — wybuchnął. — Po czyjej stronie grasz? Czy wiesz, jak bardzo przegrywamy?

— Przepraszam — odpowiedziała nerwowo. — Chyba się nie mogę dzisiaj skoncentrować.

— To widać — prychnął jej mąż.

— Czy coś cię trapi? — spytał łagodnie Edward.

— Nie mogę ci powiedzieć.

Cała trójka spojrzała na nią ze zdumieniem.

— A to co ma znaczyć? — spytał Douglas.

Florence wzięła głęboki oddech.

— Chodzi o ciebie, Mary.

— To znaczy?

- Masz jakieś kłopoty, prawda?  
Mary wytrzeszczyła na nią oczy.
- Kłopoty? Nie, ale dlaczego tak sądzisz?
- Nie mogę ci powiedzieć. Obiecałam.
- Komu obiecałaś ? — spytał Edward.
- Agentowi federalnemu z Waszyngtonu. Był u mnie dzisiaj rano i zadawał różne pytania o Mary. Brzmiało to tak, jakbyś była jakimś międzynarodowym szpiegiem albo kimś w tym rodzaju.
- Ale o co pytali ? — nalegał Edward.
- No wiecie, czy jest lojalną Amerykanką, czy jest dobrą żoną i matką, czy bierze narkotyki.
- A dlaczego, u diabła, go to interesowało?
- Chwileczkę — powiedziała podniecona Mary.
- Chyba wiem. Chodzi o moją pracę.
- Co takiego ? — zdziwiła się Florence.
- Kończy się moja umowa. Uniwersytet prowadzi jakieś ważne badania dla rządu, muszą więc prawdopodobnie sprawdzić wszystkich pracowników.
- No, Bogu dzięki, że się to wyjaśniło — odetchnęła z wyraźną ulgą Florence. — Myślałam, że chcą cię co najmniej przymknąć.
- Mam nadzieję, że mnie przymkną, i to na długo
- uśmiechnęła się Mary. — Na Uniwersytecie Stanowym w Kansas.
- No to teraz, kiedy już wyjaśniliśmy wszystko — powiedział Schiffer — czy możemy wrócić do gry? A ciebie, jeśli źle rozegrasz następną partię, przełożę przez kolano i stłukę na kwaśne jabłko — zwrócił się do żony.
- Obiecanki cacanki.

*Abbeywood, Anglia*

— Spotkanie nasze odbędzie się jak zwykle z zachowaniem ustalonych reguł. Żadnych dyskusji na ten temat, żadnej dokumentacji. Zwracamy się do siebie używając wyłącznie pseudonimów, które otrzymaliśmy.

W bibliotece piętnastowiecznego zamku Claymore znajdowało się ośmiu mężczyzn, którzy przed chwilą przybyli na miejsce spotkania, każdy osobno. Przed drzwiami biblioteki stał uzbrojony strażnik, a na zewnątrz zamku czuwało jeszcze dwóch ludzi z ochrony w cywilnych ubraniach.

Przewodniczący mówił dalej:

— Zwierzchnik otrzymał pewne niepokojące wieści. Marin Groza szykuje się do ataku na Alexandrosza Ionescu. Grupa wyższej rangi oficerów wojskowych w Rumunii zdecydowała się go poprzeć. Tym razem może mu się udać.

— Jaki to miałoby wpływ na nasz plan? — spytał Odin.

— Druzgocący. Otworzyłyby zbyt wiele dróg na Zachód.

— Musimy więc temu zapobiec — powiedział Freyr.

— W jaki sposób? — spytał Balder.

— Zlikwidujemy Grozę — odrzekł przewodniczący.

— Wątpię, czy to możliwe. O ile wiem, ludzie Ionescu próbowali już sześciokrotnie, bez powodzenia. Miejsce, w którym się znajduje, jest nie do zdobycia. Zresztą nikt z obecnych tutaj nie może być zamieszany w próbę morderstwa.

— Nie będziemy mieć z tym nic wspólnego — rzekł przewodniczący.

— W takim razie jak?

— Zwierzchnik odkrył pewne tajne akta dotyczące międzynarodowego terrorysty, którego można wynająć.

— Czy chodzi o Abula Abbasa — tego, który porwał statek „Achille Lauro”?

— Nie, to ktoś nowy, panowie. Dużo lepszy. Nazywa się Angel.

— Nigdy o nim nie słyszałem — powiedział Sigmund.

— Właśnie. Jego „listy uwierzytelniające” są co najmniej imponujące. Zgodnie z tym, co jest w aktach, które posiada Zwierzchnik, Angel brał udział w zamachu na Sikh Khalistana w Indiach. Pomagał terrorystom Macheteros w Puerto Rico i Czerwonym Khmerom w Kambodży. Dokonał sześciu udanych, genialnych wprost zamachów na oficerów wojskowych w Izraelu. Izraelczycy wyznaczyli milion dolarów nagrody za schwytanie go żywego lub martwego.

— To brzmi obiecująco — rzekł Thor. — Jak do niego dotrzeć ?

— Co prawda jego usługi są dosyć drogie. Jeśli się zgodzi na naszą propozycję, będzie to kosztować ze dwa miliony dolarów.

Freyr gwizdnął, po czym wzruszył ramionami.

— Nie będzie z tym problemu. Weźmiemy pieniądze z naszego ogólnego funduszu.

— Jak się z nim można skontaktować? — spytał Sigmund.

— Wszystkie interesy załatwia przez swoją kochankę, kobietę o nazwisku Neusa Muñez.

— Gdzie ją można znaleźć?

— Mieszka w Argentynie. Angel wynajmuje dla niej apartament w Buenos Aires.

— Co więc zamierzamy robić? Kogo pošlemy, żeby skontaktował się z tą kobietą w naszym imieniu? — spytał Thor.

— Zwierzchnik zaproponował niejakiego Harry’ego Lantza — odparł przewodniczący.

— Znajome nazwisko.

— Owszem — sucho potwierdził przewodniczący. — Pisali o nim w gazetach. Harry Lantz jest sam sobie panem. Został wyrzucony z CIA za to, że próbował zorganizować swój „prywatny” handel narkotykami w Wietnamie. Kiedy jeszcze był w CIA, pracował przez jakiś czas w Ameryce Południowej, a więc zna dobrze teren. Będzie doskonałym pośrednikiem. — Zrobił pauzę. — Proponuję głosowanie. Tych, którzy są za wynajęciem Angela, proszę o podniesienie rąk.

Uniosło się osiem starannie wypielęgnowanych dłoni.

— W takim razie postanowione. — Przewodniczący powstał. — Spotkanie uważam za zakończone. Proseę o zachowanie zwykłych środków ostrożności.

Był poniedziałek. Posterunkowy Leslie Hanson znajdował się w oranżerii na terenie należącym do zamku, gdzie w zasadzie nie powinien się znajdować. Nie był sam, z czego później musiał się wytłumaczyć swoim przełożonym. Jego towarzyszka, hoża, wiejska dziewczyna o imieniu Annie namówiła go na piknik w oranżerii, gdzie było ciepło i przyjemnie. „Ty przynieś jedzenie, a ja zajmę się deserem”, powiedziała obiecującym tonem.

„Deser” miał sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, jędrne piersi i kształtne biodra, które rozbudzały wyobraźnię niejednego mężczyzny.

Niestety, podczas „konsumowania deseru” uwagę posterunkowego rozproszył warkot samochodu, wyjeżdżającego przez bramę pałacową.

— Przecież w poniedziałki zamek jest zamknięty — zamruczał z niezadowolaniem.

— Nie zwracaj na to uwagi — przymilnie szepnęła Annie.

— Masz rację, maleńka.

Dwadzieścia minut później znowu usłyszeli odjeżdżający samochód. Tym razem Hanson podniósł się i wyjrzał przez okno, aby sprawdzić, co się dzieje. Zobaczył limuzynę wyglądającą na samochód rządowy, z przyciemnianymi szybami, uniemożliwiającymi rozpoznanie pasażerów.

— No, chodźże tu wreszcie, Leslie!

— Już idę. Zastanawiam się tylko, kto to mógł być. Przecież poza dniami dla zwiedzających, zamek jest zwykle zamknięty.

— To samo zaraz będzie ze mną, jeśli nie przyjdiesz tu w tej chwili.

Ale dwadzieścia minut później, kiedy Hanson usłyszał trzeci odjeżdżający samochód, instynkt policjanta wziął górę nad jego libido. Ujrzał jeszcze pięć limuzyn, opuszczających teren zamku z dwudziestominutowymi przerwami. Jedna z nich zatrzymała się na moment, aby przepuścić przebiega-

jącą sarnę, co umożliwiło policjantowi zapisanie numeru rejestracyjnego.

— I to ma być twój wolny dzień — zaczęła narzekać Annie.

— To może być coś ważnego — odparł Hanson, ale w tym samym momencie zaczął się zastanawiać, czy właściwie powinien zameldować swoim przełożonym o tym wydarzeniu.

-

— A co wy robiliście w zamku Claymore? — Sierżant Twill domagał się jasnej odpowiedzi.

— Zwiedzałem, panie sierżancie.

— Ale przecież zamek jest nieczynny ?

— Tak jest, ale oranżeria była otwarta.

— Ach, więc zwiedzaliście oranżerię?

— Tak jest, panie sierżancie.

— Oczywiście — sam?

— No cóż, prawdę mówiąc...

— Możecie oszczędzić mi szczegółów. Co takiego podejrzanego było w tych samochodach?

— Ich zachowanie, panie sierżancie.

— Samochody się nie zachowują, Hanson, tylko kierowcy.

— Tak jest. No więc kierowcy zdawali się zachowywać jakąś szczególną ostrożność. Na przykład to, że odjeżdżali dokładnie co dwadzieścia minut...

— Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobnie jest na to mnóstwo zupełnie normalnych wyjaśnień. Właściwie, Hanson, zdaje się, że jedynym, który nie potrafi usprawiedliwić swojego zachowania, jesteście wy sami.

— Tak jest. Ale pomyślałem, że powinienem o tym zameldować.

— No, dobrze. A więc to jest numer rejestracyjny, który zapisaliście?

— Tak, panie sierżancie.

— W porządku, możecie odejść. — Zastanowił się chwilę nad dowcipem, który mógłby dodać. — I pamiętajcie, że niebezpiecznie jest rzucać kamieniami w innych, kiedy mieszka się w szklanym domu.

Przez cały ranek chichotał na wspomnienie swego celnego żartu.

Kiedy przyszedł raport dotyczący numeru rejestracyjnego, sierżant Twill pomyślał, że posterunkowy Hanson musiał się pomylić. Wziął raport, podszedł do inspektora Pakuli i wyjaśnił, z czym przychodzi.

— Nie zawracałbym panu tym głowy, ale ten numer rejestracyjny...

— Tak, rozumiem. Zajmę się tym.

— Dziękuję, panie inspektorze.

W kwaterze głównej Służby Specjalnych Badań inspektor Pakuła spotkał się z jednym z naczelnych szefów Wywiadu Brytyjskiego, sir Alexem Hyde-White'em.

— Dobrze pan zrobił, że przyszedł z tym do mnie — uśmiechnął się sir Alex — ale wydaje mi się, że nie ma nic niezwykłego w tym, że ktoś z rodziny królewskiej zorganizował sobie małe, nieoficjalne wakacje bez powiadamiania o tym prasy i całego narodu.

— Przykro mi, że niepotrzebnie zabrałem panu tyle cennego czasu. — Inspektor Pakuła wstał, zakłopotany.

— Nic się nie stało. To tylko dowodzi, jak czujni są wasi pracownicy. Szczególnie ten młody posterunkowy...

— Hanson, Leslie Hanson.

Kiedy inspektor opuścił gabinet, sir Alex podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

— Mam wiadomość dla Baldera. Pojawił się mały problem. Wyjaśnię to szerzej podczas następnego spotkania. A obecnie proszę o przeniesienie służbowe dla trzech osób: sierżanta policji Twilla, inspektora Pakuli i posterunkowego Lesliego Hansona. W ciągu kilku dni proszę wysłać ich do różnych miejscowości, jak najdalej od Londynu. Poinformuję o tym Zwierzchnika i dowiem się, czy należy podjąć dalsze kroki w tej sprawie.



W środku nocy w jednym z pokoiów nowojorskiego hotelu zabrzączał nagle dzwonek telefonu. Harry Lantz obudził się. Kto, u diabła, wie, że jestem tutaj, pomyślał. Spojrzał nieprzytomnie na zegarek i podniósł słuchawkę.

— Do cholery ciężkiej, jest czwarta rano! Kto...?

W słuchawce odezwał się spokojny głos, na którego dźwięk Lantz poderwał się z łóżka z bijącym sercem.

— Tak jest — odpowiedział. — Nie... ale mogę to odwołać i będę wolny. — Słuchał przez dłuższy czas. W końcu odrzekł: — Tak, wszystko zrozumiałem. Polecę do Buenos Aires pierwszym samolotem. Dziękuję panu.

Odłożył słuchawkę i drżącymi rękoma zapalił papierosa. Człowiek, z którym przed chwilą rozmawiał, był jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie i to, co zlecił Harry'emu... Co się, do diabła, szykuje, pomyślał, zdaje się, że to coś dużego. Jego rozmówca był gotów zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dostarczenie komu trzeba pewnej informacji. Poza tym wspaniale będzie znowu znaleźć się w Argentynie. Harry uwielbiał południowoamerykańskie kobiety. Znam chyba z tuzin dziwek, które wolą się pieprzyć niż jeść, pomyślał z uciechą. Dzień rozpoczął się cudownie.

O godzinie dziewiątej rano Lantz zadzwonił do argentyńskich linii lotniczych — Aerolinas Argentinas.

— O której odlataje pierwszy samolot do Buenos Aires?

Boeing 747 przyleciał na lotnisko Ezeiza w Buenos Aires o piątej po południu tego samego dnia. Lot trwał dość długo, ale Harry Lantz wcale tego nie zauważył. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dostarczenie wiadomości. Kiedy koła samolotu dotknęły pasa do lądowania, poczuł przyływ radości i podniecenia. Już pięć lat nie był w Argentynie i teraz z przyjemnością myślał o odnowieniu starych znajomości.

Kiedy wysiadał z samolotu, podmuch gorącego powietrza zamroczył go na moment. Ach, prawda, przypomniał sobie, tutaj jest teraz lato.

Jadąc taksówką do miasta, Harry rozglądał się po okolicy

i ze zdziwieniem zauważył, że napisy nagryzmołone na budynkach są wciąż te same. *PLEBISCITO LAS PELOTAS* (Pieprzcie plebiscyt). *MILITARES, ASESINOS* (Armia, mordercy). *TENEMOS HAMBRE* (Jesteśmy głodni). *MARIHUANA LIBRE* (Narkotyki za darmo). *DROGA, SEXO Y MUCHO ROCK* (Narkotyki, seks i rock'n'roll). *JUICIO Y CASTIGO A LOS CULPABLES* (Sąd i kara dla winnych).

Tak, dobrze znowu tu wrócić.

Właśnie skończyła się sješta i ulice pełne były ludzi spieszących na spotkania lub z nich wracających. Kiedy taksówkarz zatrzymał samochód przed wejściem do hotelu El Conquistador w samym centrum wytwornej dzielnicy Barrio Norte, Lantz wręczył mu milion peso.

— Reszty nie trzeba — rzucił. To były śmieszne pieniądze.

Zarejestrował się w recepcji, kupił egzemplarz „Buenos Aires Herald” i „La Prensa” i polecił portierowi, by zaprowadził go do apartamentu. Sześćdziesiąt dolarów za dobę za sypialnię, łazienkę, pokój gościnny z telewizorem, całość oczywiście z klimatyzacją. W Waszyngtonie taki apartament kosztowałby majątek, pomyślał Harry. Jutro szybko załatwię sprawę z tą dziwką Neusą i potem zabawię się przez kilka dni.

Minęły ponad dwa tygodnie, zanim Lantz wpadł na ślad Neusy Muñez.

Poszukiwania rozpoczął od przeglądania miejscowych książek telefonicznych. Najpierw sprawdził dzielnice położone w centrum miasta: Area Constitucion, Plaža San Martin, Barrio Norte, Catelinas Norte. W żadnej z książek nie znalazł nazwiska, którego szukał. Nie znalazł go również w spisach nazwisk innych dzielnic: Bahía Blanca i Mar del Plata.

Gdzie, u diabła, można ją znaleźć, zastanawiał się Lantz. Postanowił odnowić stare kontakty.

Kiedy wszedł do baru La Biela, powitał go okrzyk barmana:

— *Señor Lantz? Por dios* — słyszałem, że pan nie żyje.

— Tak było, ale stęskniłem się za tobą, Antonio, i postanowiłem wrócić do świata żywych.

— Co pan robi w Buenos Aires?

— Przyjechałem tutaj, aby odnaleźć moją dziewczynę.  
— Jego głos zabrzmiał melancholijnie. — Mieliśmy się pobrać, ale jej rodzina wyprowadziła się i zaginał po nich ślad. Nazywa się Neusa Muñez.

Barman podrapał się po głowie.

— Nigdy o niej nie słyszałem. *Lo siento*.

— Popytaj znajomych, dobrze?

— *Por que no ?*

Następnym miejscem, do którego udał się Lantz, była kwatera główna policji.

— Lantz! Harry Lantz! *Dios! Que pasa?*

— Cześć, Jorge. Miło cię znowu widzieć.

— Ostatnio, kiedy słyszałem o tobie, wykopali cię z CIA.

Lantz się roześmiał.

— Nie, przyjacielu, błagali mnie, żebym został, ale zdecydowałem się założyć własny interes.

— *Si?* Jaki interes?

— Otworzyłem prywatną agencję detektywistyczną. To właśnie jest powodem mojej wizyty w Buenos Aires. Jeden z moich klientów zmarł kilka tygodni temu i zostawił ogromny majątek, który zapisał swojej córce. Próbuję ją odnaleźć, a wiem o niej tylko to, że mieszka gdzieś w Buenos Aires.

— Jak się nazywa?

— Neusa Muñez.

— Poczekaj chwilę.

Chwila wydłużyła się do półgodziny.

— Przykro mi, am/go, ale obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Nie mamy jej w komputerze ani w aktach.

— Trudno. Jeśli coś o niej usłyszysz, daj mi znać. Mieszkam w El Conquistador.

— *Bueno*.

Następne były bary. Stare, znajome meliny. Pepe Gonzales i Almeida, Cafe Tabac.

— *Buenas tardes, amigo. Soy de los Estados Unidos. Estoy buscando una mujer. El nombre es Neusa Muñez. Es una emergencia.*

— *Lo siento, señor. No la conozco.*

Odpowiedź była wszędzie taka sama. Nikt nigdy nie słyszał o tej cholernej dziwce, denerwował się Lantz.

Włóczył się po La Boca, barwnej dzielnicy położonej nad przystanią, gdzie kołysały się na wodzie stare, rdzewiejące statki. Nikt w okolicy nie znał Neusy Muñez. Po raz pierwszy Harry Lantz zaczął się obawiać, że jego poszukiwania zakończą się fiaskiem.

\* \* \*

Ta zła passa odmieniła się dopiero w małym barze o nazwie Pilar, znajdującym się w dzielnicy Floresta. Był właśnie piątkowy wieczór i knajpa pękała w szwach. Dziesięć minut zajęło Harry'emu, żeby zwrócić uwagę barmana. Jeszcze zanim skończył tłumaczyć, o co chodzi, barman powiedział:

— Neusa Muñez? *Sí*, Znam ją. Powiem jej, że ktoś o nią pytał. Jeśli zechce z tobą rozmawiać, to przyjdzie tutaj mañana, koło północy.

Następnego wieczoru Lantz przyszedł do baru Pilar około jedenastej. Gości stopniowo przybywało. Kiedy nadeszła północ, Lantz ze zdumieniem stwierdził, że zaczyna się coraz bardziej denerwować. Co zrobi, jeśli ona nie przyjdzie? A może to wcale nie ta Neusa Muñez, której szuka?

Popatrzył na grupę chichoczących dziewczyn, które właśnie podeszły do baru. Po chwili przyłączyły się do siedzących przy jednym ze stolów mężczyzn. Ona musi przyjść, pomyślał. Jeśli się nie pojawi, to żegnajcie, pieniądze.

Ciekaw był, jak wygląda kobieta, której szukał. Musi być pierwsza klasa. Lantz otrzymał polecenie zaoferowania jej przyjacielowi dwóch milionów dolarów za zabicie kogoś. Z tego jasno wynikało, że ten facet, Angel, musiał mieć forsę jak lodu. Mógł więc pozwolić sobie na piękną, młodą kochankę. Do diabła, prawdopodobnie może sobie pozwolić na tuzin takich

dziewczyn. Ta Neusa jest pewnie aktorką albo modelką. Kto wie, pomyślał, może i ja będę mógł się z nią zabawić, zanim wyjadę. Nie ma to jak łączenie przyjemnego z pożytecznym.

Otworzyły się drzwi i Lantz zastygł w oczekiwaniu. Weszła jakaś kobieta. Była już nie pierwszej młodości, a przy tym brzydka. Jej opaste ciało i wielkie, obwisłe piersi trzęsły się przy każdym kroku. Wokół nalanej, ospowatej twarzy zwisały tlenione blond włosy, jednakże jej ciemna skóra zdradzała indiańskie pochodzenie jednego z rodziców. Ubrana była w źle dopasowaną spódnicę i sweter przeznaczony dla znacznie młodszej kobiety. O cholera, pomyślał Lantz, życzę jej powołania, ale kto na nią poleci?

Kobieta rozejrzała się po barze bezmyślnym wzrokiem, skinęła niepewnie głową kilku osobom i zaczęła się powoli przepychać przez tłum, aż doszła do baru.

— Chcesz mi postawić drinka? — Mówiła z silnym hiszpańskim akcentem i z bliska była jeszcze brzydsza.

Wygląda jak tłusta, mleczna krowa, pomyślał Lantz. I jest kompletnie zalana.

— Spadaj, siostró.

— Esteban mówi, że mnie szukasz, nie?

Wytrzeszczył na nią oczy.

— Kto?

— Esteban. Barman.

Lantz wciąż nie mógł w to uwierzyć.

— Musiał się pomylić. Szukam Neusy Muñez.

— Sf. Yo soy Neusa Muñez.

Ale chyba nie ta, pomyślał. A niech to szlag.

— Czy znasz Angela?

Uśmiechnęła się bezmyślnie.

— Si.

Harry natychmiast odzyskał swój wigor i nawet uśmiechnął się z przymusem.

— No, no. Czy możemy usiąść gdzieś w kącie i porozmawiać?

— Może być. — Skinęła obojętnie głową.

Przecisnęli się przez zadymiony bar do jakiegoś stolika.

Kiedy wreszcie usiedli, Lantz oznajmił:

— Chciałbym porozmawiać o...  
— Postaw mi rum, dobra?  
— Oczywiście — zgodził się natychmiast.  
Podszedł kelner w brudnym fartuchu i Harry powiedział:  
— Jeden rum i szkocka z sodą.  
— Dla mnie podwójny — odezwała się Muñez.  
Kiedy kelner odszedł, Lantz znowu zwrócił się do Neusy.  
— Chcę spotkać się z Angelem.  
Popatrzyła na niego tępyimi, załzawionymi oczami.  
— A po co ?  
Lantz zniżył głos.  
— Mam dla niego mały prezent.  
— S/7 Jaki prezent?  
— Dwa miliony dolarów. — Zjawiły się drinki. Harry podniósł swój kieliszek. — Na zdrowie.  
— Tak. — Neusa wypila rum za jednym razem. — A dlaczego chcesz dać Angelowi dwa miliony dolarów?  
— O tym muszę porozmawiać z nim osobiście.  
— To niemożliwe. Angel z nikim nie rozmawia.  
— Moja pani, za dwa miliony dolarów...  
— Mogę jeszcze dostać rumu? Podwójnego, dobra?  
Boże, ona i tak wygląda, jakby miała za chwilę stracić przytomność, pomyślał Lantz.  
— Jasne.  
Zawołał kelnera i zamówił drinka.  
— Długo znasz Angela? — próbował nadać głosowi łagodny ton.  
Wzruszyła ramionami.  
— No.  
— To musi być interesujący facet.  
Gapiała się pustymi oczami na jakiś punkt na stole.  
Jezu! Zupełnie jakbym mówił do ściany, pomyślał Harry.  
Dostała drinka i znowu wypila go jednym haustem.  
Wygląda jak krowa, a zachowuje się jak świnia, stwierdził z obrzydzeniem.  
— Kiedy będę mógł porozmawiać z Angelem?  
Neusa Muñez wstała z trudnością.  
— Powiedziałam ci, że on z nikim nie rozmawia. *Adios.*

Lantz wpadł w panikę.

— Hej! Poczekaj chwilę! Nie odchodź.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z góry mętными oczami.

— Czego chcesz?

— Usiądź — powiedział powoli Lantz — to ci powiem, czego chcę.

Usiadła ciężko.

— Muszę się napić rumu, dobra?

Lantz osłupiał. Co to za facet, ten Angel. Jego kochanka jest nie tylko najbrzydszą dziwką w całej Ameryce Południowej, ale także skończoną alkoholiczką.

Nie lubił mieć do czynienia z pijakami. Nie można było na nich polegać. Z drugiej zaś strony — nie chciał stracić pięćdziesięciu tysięcy. Począł, aż Muñez połknęła rum. Ciekawe, ile już wypła, zanim tu przyszła.

Uśmiechnął się do niej i powiedział zgodnym tonem:

— Neusa, jeśli nie mogę pogadać z Angelem, to jak mam z nim ubić interes?

— Prosto. Powiesz mi, czego chcesz. Ja powiem Angelowi. Jak on powie, że tak, to powiem ci, że tak. A jak on powie nie, to powiem ci, że nie.

Lantz nie był zachwycony tą propozycją, ale nie miał wyboru.

— Słyszałaś o Marinie Grozie?

— Nie.

Pewnie, że nie słyszała, bo to nie jest nazwa rumu. Ta głupia suka pewnie pokręci wszystko i zepsuje całą sprawę.

— Chcę drinka.

Poklepał przyjaźnie jej tłustą rękę.

— Oczywiście. — Zamówił nowego drinka. — Angel będzie wiedział, kim jest Groza. Powiedz po prostu Marin Groza. On będzie wiedział, o kogo chodzi.

— Tak? No i co?

Była głupsza, niż na to wyglądała. Czy ona, do cholery, myślała, że za dwa miliony dolarów Angel ma pocałować Grozę?

— Ludzie, którzy mnie przysłali, chcą, żeby go usunąć.

Zamrugnęła oczami.

— Jak to — usunąć?

O Boże, jęknął w duchu Lantz.

— No, żeby został zabity.

— Aha. — Kiwnęła tylko głową bez większego zainteresowania. — Zapytam Angela. — Jej głos przeszedł w bełkot. — Mówiłeś, że jak nazywa się ten facet?

Lantz miał ochotę ją zdzielić.

— Groza. Marin Groza.

— Dobra. Angel wyjechał z miasta. Zadzwońię do niego i jutro ci powiem. Mogę się jeszcze napić?

Neusa Muñez stawała się koszmarem.

Następnego wieczoru Harry Lantz czekał przy tym samym stoliku od północy do czwartej rano, gdy bar został zamknięty. Murieź się nie pojawiła.

— Wiesz, gdzie ona mieszka ? — spytał barmana.

Ten popatrzył na niego niewinnie.

— Qu/en sabe?

Cholerna dziwka wszystko spieprzyła. Jakim cudem taki facet jak Angel mógł wybrać sobie na pośrednika w interesach taką skończoną łajzę? Harry uważał się za profesjonalistę. Był zbyt ostrożny, żeby wdawać się w tego typu sprawę bez dokładnego poznania szczegółów. Przeprowadził małe, prywatne śledztwo i najbardziej zainteresował go fakt, że Izraelczycy wyznaczili wysoką nagrodę za głowę Angela. Za milion dolarów nieźle można byłoby się zabawić przez dłuższy czas. Ale teraz, kiedy stracił jedyny kontakt z Angelem, mógł się pożegnać zarówno z nagrodą, jak i pięćdziesięcioma tysiącami za dostarczenie wiadomości. Będzie musiał zadzwonić do swego zleceniodawcy i powiedzieć mu, że nie wywiązał się z zadania.

Poczekam, zdecydował w końcu Harry. Może ona zjawi się tu za jakiś czas, może w innych barach zabraknie rumu. A może ja sam powinienem sobie skopać tyłek za to, że w ogóle zgodziłem się załatwić ten pieprzony interes.



## 6

Następnej nocy już o jedenastej Lantz siedział w barze Pilar i gryzł na przemian orzeszki i własne paznokcie. O drugiej nad ranem przez drzwi wtoczyła się Muñez i serce Harry'ego zabiło radośnie na jej widok. Z trudnością dotarła do jego stolika.

— Cześć — wymamrotała niewyraźnie i osunęła się ciężko na krzesło.

— Co się z tobą działo? — spytał natarczywie Harry, z ledwością powstrzymując złość.

— Hm? — Zamrugła głupawo oczami.

— Miałaś się ze mną spotkać wczoraj wieczorem.

— Taaak?

— Byliśmy umówieni, Neusa.

— Aha. Byłam w kinie z przyjaciółką. Dają teraz ten nowy film, wiesz? Jest o takim facecie, który zakochuje się w takiej jednej pieprzonej zakonnicy i...

Lantz miał tak dosyć tego wszystkiego, że chciało mu się wyć. Co, do diabła, mógł Angel widzieć w tej głupiej, stale zalanej kurwie?! Musi mieć chyba złotą cipę.

— Neusa, czy rozmawiałaś z Angelem?

Popatrzyła na niego bezmyślnie, próbując zrozumieć pytanie.

— Angel? *Si*. Mogę dostać drinka?

Lantz zamówił dla niej podwójny rum, a dla siebie podwójną szkocką. Czuł, że musi się napić.

— Co Angel powiedział?

— Angel? A, powiedział, że tak. Wszystko w porządku.

Lantz poczuł ogromną ulgę.

— To świetnie!

Właściwie nie interesowała go już rola chłopca na posyłki, miał dużo lepszy pomysł. Ta pijana dziwka zaprowadzi go do Angela, który jest wart milion dolarów.

Patrzył, jak Neusa wlewa w siebie rum, którego część pociekła na jej brudną bluzkę.

— Co jeszcze mówił Angel?

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się.

— Angel chce wiedzieć, kto cię przysłał.

Lantz uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Powiedz mu, że to tajemnica. Nie mogę tego powiedzieć.

Pokiwała obojętnie głową.

— W takim razie Angel kazał ci powiedzieć, żebyś się odpięprzył. Mogę jeszcze dostać jednego drinka, zanim pójdę?

Lantz zaczął myśleć w błyskawicznym tempie. Jeśli ona teraz pójdzie, to już jej więcej nie zobaczy.

— Neusa, powiem ci, co zrobię. Zatelefonuję do ludzi, dla których pracuję i jeśli oni się zgodzą, powiem ci, kim są. W porządku ?

Wzruszyła ramionami.

— Mnie to nie obchodzi.

— Wiem o tym — odparł cierpliwie Harry — ale na pewno obchodzi Angela. Powiedz mu więc, że jutro będę miał dla niego odpowiedź. Czy jest jakieś miejsce, gdzie mogę cię złapać?

— No pewnie.

Powoli robił postępy.

— Gdzie?

— Tutaj.

Przynieśli jej drinka i Lantz patrzył z obrzydzeniem, jak jednym haustem połknęła zawartość szklanki.

Miał ochotę ją zabić.

\* \* \*

Aby uniknąć możliwości zarejestrowania, Lantz zamówił rozmowę z budki telefonicznej na Calvo Street. Minęła godzina, zanim uzyskał połączenie.

— Nie — odpowiedział Zwierzchnik. — Powiedziałem wyraźnie, żebyś nie wymieniał żadnych nazwisk.

— Tak, wiem. Ale jest problem. Neusa Muñez, przyjaciółka Angela, mówi, że on jest chętny do współpracy, ale nie ruszy się, jeśli nie będzie wiedział, dla kogo ma pracować. Oczywiście powiedziałem jej, że nie mogę sam de-

cydować w tej sprawie i że muszę się skontaktować z panem.

— Jaka jest ta kobieta ?

Ze Zwierzchnikiem nie było żartów.

— Jest gruba, brzydka i głupia.

— To zbyt duże ryzyko, żeby podawać jej moje nazwisko.

Lantz czuł, że sprawa wymyka mu się z rąk.

— Tak jest — odparł poważnie. — Rozumiem. Jednakże Angel zawdzięcza swoją reputację temu, że potrafi milczeć. Jeśli pracując w tym fachu, zaczęłby za dużo mówić, nie przeżyłby nawet pięciu minut.

W słuchawce długo nikt nie odpowiadał.

— Masz rację. — Znowu cisza. — Dobrze. Możesz podać Angelowi moje nazwisko. Ale on nie ma prawa go wyjawić nikomu, ani też kontaktować się ze mną bezpośrednio. Wszystko ma się odbywać za twoim pośrednictwem.

Harry chętnie zatańczyłby z radości.

— Tak jest, dobrze. Powtórzę mu to. Dziękuję bardzo. — Odwiesił słuchawkę i szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy. A więc jednak dostanie swoje pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

A później jeszcze milion nagrody.

Tego samego wieczoru Harry spotkał się z Muñez. Od razu zamówił dla niej podwójny rum i rzekł wesoło:

— Wszystko zostało uzgodnione, mam pozwolenie.

Spojrzała na niego obojętnie.

— Tak?

Powiedział jej nazwisko Zwierzchnika. Było ono znane chyba na całym świecie i Lantz wyobrażał sobie, że wyrze wielkie wrażenie na Muñez.

— Nigdy o nim nie słyszałam. — Wzruszyła tylko ramionami.

— Neusa, ludzie, dla których pracuję, chcą, żeby to zlecenie zostało wykonane jak najszybciej. Marin Groza przebywa obecnie w willi w Neuilly i...

— Gdzie?

Na Boga wszechmogącego! Równie dobrze mógł próbować dogadać się z pijanym osłem. Odpowiedział jednak cierpliwie:

— To takie małe miasteczko pod Paryżem. Angel będzie wiedział.

— Chcę jeszcze drinka.

Godzinę później Neusa wciąż jeszcze piła, ale teraz już sam Lantz ją do tego zachęcał. Nie dlatego, że potrzebowała jakiegokolwiek zachęty. Kiedy będzie wystarczająco pijana, pomyślał, zaprowadzi mnie prosto do swojego przyjaciela. A dalej już pójdzie gładko.

Zerknął na Neusę, wpatrującą się z miłością w drinka.

Nie powinno być problemu ze schwyтaniem Angela. Może i jest twardy, ale na pewno niezbyt bystry.

— Kiedy Angel wraca do miasta?

Zwróciła na niego przekrwione oczy.

— W przyszłym tygodniu.

Harry wziął jej rękę i pogłaskał pieszczotliwie.

— A może poszlibyśmy do ciebie? — spytał miękko.

— Dobra.

To był niezły początek.

Neusa Muñez zajmowała nędzne dwupokojowe mieszkanie w dzielnicy Belgrano. Było niechlujne i zaniedbane, zupełnie jak jego właścicielka. Ledwo weszli, Neusa natychmiast skierowała się do małego barku w kącie. Niezbyt pewnie trzymała się już na nogach.

— Napijesz się czegoś?

— Nie, dziękuję — odparł Lantz — ale ty się nie krępuj.

Obserwował ją, kiedy nalewała sobie drinka, po czym go wypila. To najbrzydsza i najbardziej odpychająca dziwka, jaką kiedykolwiek spotkałem, stwierdził w duchu, ale milion dolarów będzie wyglądał ślicznie.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Na małym stoliku zauważył kilka książek. Zaciekawiony, co też taki facet jak Angel może czytać, wziął je do ręki i przejrzał pobieżnie. Tytuły książek zdziwiły go mocno: *Gabriela, goździk i cynamon* Jorge Amado;

*Ogień z gór* Omara Cabezasa; *Sto lat samotności* Gabriela Garcii Marqueza; *Nocą koty...* Antonia Cisnerosa. A więc Angel jest intelektualistą. Książki zdecydowanie nie pasowały ani do tego miejsca, ani do tej kobiety.

Lantz podszedł do Neusy i objął jej grube, sflaczałe cielsko.

— Jesteś naprawdę słodka, wiesz o tym? — Położył dłonie na jej piersiach. Były wielkie jak arbuzy. Lantz nie cierpiał kobiet o dużym biuście. — Masz wspaniałe ciało.

— Taaak? — Jej oczy były szkliste i mętne.

Ręce Harry'ego powędrowały w dół i zaczęły lekko głaskać grube uda kobiety.

— Co na to powiesz? — wyszeptał.

— Co?

To było beznadziejne. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby zaciągnąć tę kwokę do łóżka. Ale musiał być bardzo ostrożny. Jeśli obraziłby ją, na pewno powiedziała by o tym Angelowi, a to oznaczałoby koniec całej zabawy. Żadne czułe słówka do niej nie docierały. Była zbyt pijana, żeby zrozumieć, co się do niej mówiło.

I kiedy Lantz usilnie próbował wymyślić jakiś zgrabny fortel, Neusa wymamrotała:

— Chcesz się pieprzyć?

Odetchnął z ulgą.

— Świetny pomysł, malutka.

— Chodź do sypialni.

Kilka razy potknęła się, zanim doszli do pokoju sypialnego. Znajdowały się w nim: szafa, której drzwi były lekko uchylone, wielkie łóżko w ogromnym nieładzie, dwa krzesła i biurko, a nad nim pęknięte lustro. Uwagę Lantza przykuła szafa, w której zauważył rząd wiszących garniturów męskich.

Neusa siedziała na brzegu łóżka, niezdarnie walcząc z guzikami przy bluzce. W normalnych warunkach Harry siedziałby teraz obok niej, rozbierając i pieszcząc ją, szepcząc podniecające nieprzyzwoitości do jej ucha. Ale na widok Muñez chciało mu się rzygać. Stał więc, patrząc, jak zdejmuje spódnice, pod którą zresztą nic nie miała. Naga wydawała się jeszcze brzydsza. Jej ogromny, obwisły biust i opasty brzuch

trzęsły się jak galareta przy każdym ruchu, a na grubych udach widoczne były zwały tłuszczu. Ona jest naj obrzydł i wszą rzeczą, jaką w życiu widziałem, pomyślał Lantz. Myśl pozytywnie, rozkazał sam sobie, to się za parę minut skończy, a milion dorców zostanie.

Powoli zmusił się do rozebrania. Neusa leżała rozparta na łóżku, czekając na niego. Wyglądała jak potwór. Położył się obok niej.

— Powiedz mi, co lubisz — powiedział.

— Hm ? Czekoladę. Lubię czekoladę.

Była bardziej pijana, niż przypuszczał. To dobrze. To ułatwi sprawę, pomyślał. Zaczął pieścić jej tłuste, białe cielsko.

— Jesteś piękną kobietą, kochanie. Wiesz o tym?

— Taaak?

— Bardzo cię lubię, Neusa. — Jego ręka powędrowała w dół, aż dotknął owłosionego miejsca pomiędzy grubymi udami. Zaczął poruszać delikatnie palcami, wykonując nimi małe kółka. — Założę się, że prowadzisz ekscytujące życie.

— Hm?

— To znaczy — będąc dziewczyną Angela. To musi być naprawdę interesujące. Powiedz mi, kochanie, jaki jest Angel?

Nie było odpowiedzi i Lantz pomyślał, że Neusa zasnęła. Wsadził palce w miękką, wilgotną szczelinę między jej nogami i poczuł, że się poruszyła.

— Nie zasypiaj jeszcze, kochanie. Jeszcze nie. Jakim mężczyzną jest Angel? Czy jest przystojny?

— Bogaty. Angel jest bogaty.

Palce Lantza nadal poruszały się delikatnie.

— Czy jest dobry dla ciebie?

— Taaak. Angel jest dobry dla mnie.

— Ja też będę dobry dla ciebie, mała.

Głos Lantza brzmiał miękko. Problem polegał na tym, że wszystkie części jego ciała były również miękkie. Potrzebował natychmiast erekcji, za którą niedługo powinien dostać milion dolarów. Zaczął myśleć o siostrach Dolly i niezwykłych emocjach, których tak często mu dostarczały. Wyobraził je sobie, pieszczące jego nagie ciało delikatnymi dłońmi, lekkimi

dotknięciami języków i sutków. Poczuł wreszcie, że penis staje się coraz większy i twardszy. Szybko położył się na Neusie i wszedł w nią. Boże, pomyślał, czuję się tak, jakbym wsadzał go w budyń.

— Dobrze ci ze mną?

— Może być.

Uduśliłby ją z dziką przyjemnością. Tuziny pięknych kobiet na całym świecie drżałyby z rozkoszy na samą myśl o pójściu z nim do łóżka, a ta spasiona dziwka mówi: „Może być”.

Zaczął poruszać biodrami w przód i w tył.

— Opowiedz mi o Angelu. Kim są jego przyjaciele?

— Angel nie ma żadnych przyjaciół. Ja jestem jego przyjacielem — odpowiedziała sennym głosem.

— Oczywiście, że jesteś, kochanie. Czy Angel mieszka tu z tobą, czy ma własne mieszkanie?

Neusa zamknęła oczy.

— Hej, chce mi się spać. Kiedy zamierzasz skończyć?

Nigdy, pomyślał. Nie z tą krową.

— Już skończyłem — skłamał.

— To chodźmy spać.

Lantz stoczył się z niej i położył obok, ledwie pohamowując wściekłość. Czy Angel nie mógł wybrać sobie innej dziewczyny? Młodej, ładnej, z temperamentem. Wtedy na pewno nie miałby problemów, żeby zdobyć informacje, których potrzebował. Ale ta piekielna suka! Ale... istniały przecież inne sposoby, żeby dowiedzieć się paru rzeczy.

Leżał spokojnie dość długi czas, aż był pewien, że Neusa zasnęła. Wtedy ostrożnie wstał z łóżka i podszedł cicho do szafy. Zapalił światło wewnątrz niej i przytknął drzwi, żeby nie obudziło śpiącego potwora.

Ujrzał tuzin garniturów i dresów, wiszących na wieszaku, i sześć par męskich butów, ustawionych równo na dolnej półce. Lantz zaczął studiować metki. Wszystkie garnitury zostały uszyte na zamówienie w pracowni Herrera przy Avenida la Plata. Buty pochodziły ze sklepu Villa. Trafiałem w dziesiątkę, pomyślał, dumny z siebie, w sklepach będą mieli adres Angela. Jutro rano pójde do Herrera i trochę popytam. Zastanowił się przez chwilę. Nie, żadnych pytań. Musi być

ostrożny, w końcu ma do czynienia z zawodowym mordercą o światowej sławie. Bezpieczniej będzie, jeśli poczeka, aż Neusa zaprowadzi go do Angela. Wtedy wystarczy tylko powiadomić przyjaciół z Mossadu, a następnie odebrać nagrodę. Już on udowodni Nedowi Tillingastowi i reszcie gnojków z CIA, że stary Harry Lantz jeszcze do czegoś się nadaje. Najzdolniejsi faceci uganiają się bez skutku za Angelem, ale tylko mnie się to w końcu uda.

Wydało mu się, że usłyszał jakiś odgłos, dobiegający z łóżka. Wyrzwał ostrożnie zza drzwi szafy, ale Neusa spała spokojnie.

Wyłączył światło w szafie i zbliżył się do łóżka. Muñez miała zamknięte oczy. Podeszedł na palcach do biurka i zaczął przeglądać szuflady, mając nadzieję, że trafi na zdjęcie Angela. Bez powodzenia. Cicho wśliznął się do łóżka. Neusa chrapała głośno.

Kiedy w końcu Harry zasnął, przyśnił mu się biały jacht, pełen pięknych, nagich dziewcząt z małymi, jędrnymi piersiami.

Rano, gdy obudził się, Neusy już nie było w łóżku. Przeraził się na moment, że poszła na spotkanie z Angelem, ale w tej samej chwili usłyszał hałas dobiegający z kuchni. Wskoczył szybko z pościeli i ubrał się. Neusa stała przy kuchence.

— *Buenos días* — powiedział pierwszy.

— Chcesz kawy? — wymamrotała niewyraźnie. — Nie zrobię śniadania, bo muszę wyjść. Mam spotkanie.

Na pewno z Angelem. Lantz próbował ukryć podniecenie.

— Nie przejmuj się, nie jestem głodny. Wiesz co? Idź na to spotkanie, a wieczorem przyjadę po ciebie i pójdziemy na obiad. — Objął ją, pieszcząc jej obwisłe piersi. — Dokąd chciałybyś pójść? Dla mojej dziewczynki wszystko, co najlepsze. — Powinienem być zostać aktorem, pomyślał, zadowolony z siebie.

— Wszystko jedno.

— Znasz Chiquin na Avenida Cangallo?

— Nie.



— Będzie ci się podobało. Przyjadę do ciebie o ósmej, dobrze? Muszę dzisiaj załatwić mnóstwo spraw. — Nie miał nic do załatwienia.

— Okay.

Musiał zebrać całą siłę woli, żeby zmusić się do pocałowania Neusy na pożegnanie. Jej usta były sflaczale, mokre i obrzydliwe.

— No to do ósmej.

Lantz wyszedł z mieszkania i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Miał nadzieję, że Neusa patrzy przez okno.

— Niech pan skęci w pierwszą w prawo — polecił kierowcy. Kiedy skęcili, Harry powiedział: — Wsiadam tutaj.

Taksówkarz spojrział na niego ze zdumieniem.

— Tak blisko chciał pan jechać?

— Tak jest. Mam chorą nogę, rana z wojny.

Zapłacił i wrócił pospiesznie do sklepu z gazetami naprzeciwko budynku, w którym mieszkała Muñez. Zapalił papierosa i czekał.

Dwadzieścia minut później Neusa wyszła z domu. Lantz patrzył, jak kobieta, kołysząc się niezgrabnie niczym kaczką, oddala się na bezpieczną odległość, po czym ruszył za nią. Nie mógł jej zgubić, poruszała się wolno i ciężko jak słoń.

Nie śpieszyło się jej, poczłapała na Avenida Belgrano, minęła Bibliotekę Hiszpańską i poszła dalej wzdłuż Avenida Cordoba. W końcu weszła do sklepu Berenes z wyrobami ze skóry. Stojąc po drugiej stronie ulicy, Lantz obserwował, jak rozmawiała ze sprzedawcą. Być może miało to jakiś związek z Angelem. Na wszelki wypadek zanotował w pamięci nazwę sklepu.

Po kilku minutach Neusa wyszła ze sklepu, niosąc niewielką paczkę. Następny jej przystanek był przy małym sklepiku na Corrientes, gdzie kupiła lody. Potem poszła powoli ulicą San Martin. Wydawało się, że spaceruje bez żadnego określonego celu.

A co, do diabła, z tym jej spotkaniem, zastanawiał się Lantz. Gdzie jest Angel? Nie wierzył w to, co powiedziała Neusa, że Angel wyjechał z miasta. Instynkt podpowiadał mu, że jest gdzieś w pobliżu.

Nagle zdał sobie sprawę, że nigdzie nie widać Neusy. Skręciła za róg i zginęła z pola widzenia. Przyśpieszył kroku. Minał róg, ale nadal nigdzie jej nie było. Zaczął iść powoli wzdłuż ulicy, lustrując wzrokiem wszystkie sklepy po drodze. Obawiał się, że Neusa zobaczy go, zanim on ją spostrzeże.

Znalazł ją w końcu w *biambreteria*, delikatesach, gdzie robiła zakupy. Ciekawe, czy dla siebie, czy też spodziewała się kogoś na lunch? Może kogoś, kto nazywa się Angel!

Zachowując bezpieczną odległość, Lantz obserwował ją nadal. Weszła do *verduleria*, gdzie kupiła warzywa i owoce. Śledził ją również w drodze do domu. Przez cały czas nie zauważył nic podejrzanego.

Przez następne cztery godziny spacerował w pobliżu domu, w którym mieszkała Neusa, starając się nie rzucać nikomu w oczy. Wreszcie uznał, że Angel już nie przyjdzie. Może uda mi się wyciągnąć z niej więcej informacji dzisiaj wieczorem, pomyślał. Może nawet nie będę musiał jej pieprzyć. Na samą myśl o tym, że znów musiałby kochać się z Neusą, zrobiło mu się niedobrze.

Był wieczór. Paul Ellison siedział w Owalnym Gabinetcie w Białym Domu. To był długi i męczący dzień. Cały świat zdawał się składać z komitetów i rad, i ważnych depesz, i tajnych zebrań, i sesji. W rezultacie w ciągu dnia nie miał ani jednej chwili dla siebie, aż do teraz. Chociaż nawet teraz nie był sam. Naprzeciwko niego siedział Stanton Rogers. Ale w jego obecności prezydent mógł się odprężyć.

— Już dosyć późno, Stan, ale jeszcze nie puszcę cię do domu.

— Nie ma problemu, Paul.

— Chciałem porozmawiać o sprawie Mary Ashley. Czy mamy już wszystkie potrzebne informacje?

— Prawie. Skończymy jutro albo pojutrze. Jak dotąd wszystko wygląda bardzo dobrze. Zaczynam się przekonywać do twego pomysłu. Chyba coś z tego wyjdzie.

— My sprawimy, że na pewno coś z tego wyjdzie. Napijesz się czegoś?

— Nie, dziękuję, chyba że mnie jeszcze potrzebujesz. Zabieram Barbarę na otwarcie Centrum Kosmicznego Kennedyego.

— No to leć — odrzekł Paul. — Alice i ja spodziewamy się dzisiaj gości. Kilka osób z jej rodziny.

— Przekaż Alice pozdrowienia ode mnie. — Rogers wstał.

— A ty moje Barbarze. — Paul poczekał, aż Stanton wyjdzie, i zaczął rozmyślać o Mary Ashley.

Kiedy Harry Lantz przybył wieczorem do mieszkania Neusy, aby zabrać ją na obiad, nikt nie odpowiedział na jego pukanie. Przez chwilę poczuł się niewyraźnie, czyżby wyszła, nie czekając na niego?

Poruszył kławką; drzwi nie były zamknięte. Może Angel przyszedł, żeby się z nim spotkać i porozmawiać o kontrakcie w cztery oczy? Harry wyprostował się i z pewną miną wkroczył do mieszkania. Duży pokój był pusty. Na jego powitanie odpowiedziało tylko echo. Wszedł do sypialni. Neusa leżała w poprzek łóżka, kompletnie pijana.

— Ty cholerna... — Pohamował się. Nie wolno mu było zapominać, że ta głupia, pijana kurwa jest jego kopalnią złota.

Wziął ją za ramiona i próbował podnieść.

Otworzyła oczy.

— Co się stało?

— Martwię się o ciebie — powiedział Lantz. Jego głos był przepełniony szczerością. — Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa, a przypuszczam, że pijesz, bo jesteś nieszczęśliwa z jakiegoś powodu. Przecież jestem twoim przyjacielem, możesz mi wszystko powiedzieć. To z powodu Angela, nieprawdaż?

— Angel — wybełkotała z trudnością.

— Jestem pewien, że to wspaniały facet — stwierdził Lantz uspokajająco. — Po prostu posprzeczałyście się trochę, mam rację?

Nadal bezskutecznie próbował posadzić ją prosto. Równie dobrze mógłbym próbować wyciągnąć wieloryba na brzeg, pomyślał.

Usiadł obok niej.

— Opowiedz mi o Angelu. Czy on cię krzywdzi ?

Neusa podniosła zamglone oczy, próbując spojrzeć na niego.

— Chodź się pieprzyć.

O Boże, jeszcze jedna długa, koszmarna noc.

— Dobra. Świetny pomysł.

Powoli, z ociąganiem zaczął się rozbierać.

Obudzwszy się rano, Harry przypomniał sobie wydarzenia z ostatniej nocy i zrobiło mu się niedobrze na to wspomnienie.

Neusa zerwała go w środku nocy.

— Wiesz, co chcę, żebyś mi zrobił? — wymamrotała. Powiedziała mu.

Nie wierzył własnym uszom, ale zrobił wszystko, co mu kazała. Nie mógł się jej przecież sprzeciwić. Okazała się obrzydliwym bydlęciem o spaczonej psychice i Harry zastanawiał się, czy Angel również robił jej wszystkie te rzeczy, które on musiał zrobić. Na samą myśl o tym, do czego został przez nią zmuszony, chciało mu się wymiotować.

Z łazienki dobiegł go fałszywy śpiew Neusy. Nie był pewien, czy będzie mógł na nią jeszcze raz spojrzeć. Mam dość, pomyślał zdesperowany. Jeśli ona mi teraz nie powie, gdzie jest Angel, pójdę do jego krawca i szewca.

Wygramolił się z pościeli i wszedł do łazienki. Neusa stała przed lustrem. Włosy miała nakręcone na wałki i wyglądała jeszcze gorzej niż zwykle, choć wydawało się to niemożliwe.

— Ty i ja musimy porozmawiać — powiedział Lantz stanowczym głosem.

— Dobra. — Neusa wskazała wannę pełną wody.

— Przygotowałam ci kąpiel. Jak skończysz, zrobię śniadanie.

Harry był zniecierpliwiony, ale wiedział, że nie wolno mu naciskać zbyt mocno.

— Lubisz omlety?

Nie miał ochoty na żadne jedzenie.

- Tak. Brzmi nieźle.
- Robię dobre omloty. Angel mnie uczy.

Lantz patrzył, jak Neusa zdejmuje wałki z włosów. Wszedł powoli do wanny.

Muñez wzięła do ręki dużą suszarkę elektryczną, włączyła ją do kontaktu i zaczęła suszyć włosy.

Lantz wyciągnął się wygodnie w ciepłej wodzie i zaczął rozmyślać. Chyba powinien zdobyć jakąś broń i sam dobrać się Angelowi do skóry. Jeśli pozwoli, by zrobili to Izraelczycy, może być potem dochodzenie, kto wzięł nagrodę. A jeśli zrobi to sam, nie będzie potem żadnych pytań. Powie im po prostu, gdzie znaleźć ciało.

Neusa powiedziała coś, ale Harry ledwie dosłyszał jej głos poprzez szum suszarki.

- Co mówisz? — zawołał.

Neusa podeszła do wanny.

- Mam dla ciebie prezent od Angela.

Wrzuciła suszarkę do wody i stała, patrząc, jak ciało Lantza tańczy w śmiertelnych drgawkach.

## 7

Prezydent Ellison odłożył na biurko ostatni raport służby bezpieczeństwa, dotyczący Mary Ashley, i powiedział:

- Ona jest bez skazy.
- Wiem o tym i sądzę, że jest doskonałym kandydatem na ambasadora. Oczywiście Departament Stanu nie będzie uszczęśliwiony twoim wyborem.
- Poślę im chusteczkę do nosa. Miejmy nadzieję, że Senat nas poprze.

Gabinet Mary Ashley znajdował się w Kedzie Hall. Był to nieduży, przyjemny pokój zastawiony półkami pełnymi książek naukowo-informacyjnych o krajach środkowo- i wschodnio-

europijskich. Niewiele tu było mebli — stare biurko, obracane krzesło, mały stolik przy oknie, na którym piętrzyły się prace egzaminacyjne, zwykłe drewniane krzesło i lampa. Na ścianie nad biurkiem wisiała mapa Bałkanów. Na innej ścianie — stara fotografia dziadka Mary. Została zrobiona na początku wieku; postać na niej była ubrana w strój z tego okresu i stała sztywno w nienaturalnej pozie. To zdjęcie było dla Mary najcenniejszą pamiątką. To właśnie dziadek rozbudził we wnuczce głębokie zainteresowanie Rumunią. Opowiadał jej romantyczne historie o królowej Marii, o baronowych i księżniczkach, legendy o Albercie, angielskim księciu-małżonku, i o Aleksandrze II, carze Rosji, i o wielu innych, równie interesujących postaciach.

W żyłach naszych przodków płynęła błękitna krew, mówił. Gdyby nie rewolucja, byłabyś księżniczką.

Mary często śniły się opowieści dziadka.

Mary była zajęta sprawdzaniem prac egzaminacyjnych, kiedy otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł rektor Hunter.

— Dzień dobry, pani Ashley. Czy ma pani wolną chwilę?

— Pierwszy raz zdarzyło się, że rektor przyszedł do jej gabinetu.

Poczuła silną ekscytację. Istniał tylko jeden powód, dla którego rektor mógł pofatygować się osobiście do jej pokoju — chce jej zaproponować pozostanie na uczelni na stałe.

— Ależ oczywiście — odrzekła. — Proszę, niech pan siada.

Rektor usiadł na drewnianym krześle.

— Jak tam wykłady?

— Bardzo dobrze, przynajmniej tak sędzę. — Nie mogła się już doczekać, żeby przekazać radosną nowinę Edwardowi. Na pewno będzie bardzo z niej dumny. Rzadko się zdarzało, że komuś w tak młodym wieku proponowano stałe stanowisko na uniwersytecie.

Hunter wydawał się czymś skřępowany.

— Czy ma pani jakieś kłopoty, pani Ashley?

To pytanie kompletnie ją zaskoczyło.

— Kłopoty? Ja... nie... Dlaczego pan pyta?

— Byli u mnie ludzie z Waszyngtonu i wypytywali o panią.

Mary przypomniwała sobie słowa Florence Schiffer: „Jakiś agent federalny z Waszyngtonu!... Zadawał różne pytania dotyczące Mary. Wyglądało to tak, jakby Mary była co najmniej międzynarodowym szpiegiem... Czy jest lojalną obywatelką amerykańską? Czy jest dobrą żoną i matką?...”

A więc nie chodziło o jej pracę. Mary nagle poczuła, że ma ściśnięte gardło.

— O co... o co pytali ci ludzie, panie rektorze?

— Chcieli wiedzieć, jaką ma pani opinię jako wykładowca na naszej uczelni. Interesowało ich również pani życie prywatne.

— Nie potrafię tego wyjaśnić. Naprawdę nie wiem, o co chodzi. Nie mam żadnych problemów. A przynajmniej tak mi się wydaje — dodała zrezygnowana.

Hunter przyglądał się jej z wyraźnym niedowierzaniem.

— Czy oni chociaż wyjaśnili, dlaczego się mną interesują?

— Nie. Nawet prosili, żeby utrzymać rozmowę z nimi w tajemnicy. Ale ja pragnę być lojalny wobec swoich pracowników i uważałem za swój obowiązek poinformować panią o tym incydencie. Jeżeli jest coś, o czym powinienem wiedzieć, wolałbym, żeby pani sama mi o tym powiedziała. Jakikolwiek skandal, w który byłby zamieszany jeden z naszych profesorów, rzuciłby cień na dobrą reputację uniwersytetu.

Bezradnie pokręciła głową.

— Ja... ja naprawdę nie wiem, o co chodzi.

Spojrzał na nią tak, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale pokiwał tylko głową.

— A więc dobrze.

Co ja takiego, na Boga, mogłam zrobić, zastanawiała się, patrząc, jak rektor wstaje i wychodzi z pokoju.

Podczas obiadu Mary milczała. Postanowiła zaczekać, aż Edward skończy jeść, zanim powie mu o ostatnich wydarzeniach. Może razem uda im się rozwiązać ten problem. Dzieci znowu były nieznośne. Beth nie chciała nawet tknąć obiadu.

— Nikt obecnie nie jada mięsa. To barbarzyński zwyczaj pochodzący z epoki kamienia łupanego. Ludzie cywilizowani nie jadają żywych zwierząt.

— To nie jest żywe — zaperzył się Tim. — Jest kompletnie zdechłe, a więc możesz to spokojnie zeżreć.

— Dzieci! — Nerwy Mary były napięte do ostatnich granic. — Ani słowa więcej. Beth, idź i zrób sobie sałatkę.

— Może niech pójdzie i popasie się trochę na łące — zaproponował Tim.

— Tim! Proszę kończyć obiad. — Ból rozsadał jej czaszkę. — Edward...

Zadzwoił telefon.

— To do mnie — rzuciła Beth. Poderwała się z krzesła i podbiegła do aparatu. Szybko podniosła słuchawkę i spytała namiętnym głosem: — Virgil? — Słuchała przez chwilę, po czym skrzywiła się. — Tak, jasne — odpowiedziała z ironią. Ze złością cisnęła słuchawkę i wróciła do stołu.

— Kto to był? — zapytał Edward.

— Jakiś dowcipniś. Powiedział, że dzwoni do mamy z Białego Domu.

— Z Białego Domu? — zdziwił się Edward.

Znowu zadzwonił telefon.

— Ja odbiorę — rzekła Mary i podeszła do aparatu.

— Halo? — Słuchała chwilę i nagle odrzekła rozgniewana:

— Jemy właśnie obiad i doprawdy, nie wydaje mi się to ani trochę śmieszne. Pan tylko... co? Kto? Prezydent? — W pokoju nagle zapanowała absolutna cisza. — Zaraz... ja... och, dobry wieczór, panie prezydencie. — Na jej twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie. Cała rodzina wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. — Tak, oczywiście. Poznaję pana głos. Ja... przepraszam za odłożenie słuchawki przed chwilą. Beth myślała, że to Virgil i... tak. Dziękuję. — Stała, słuchając uważnie. — Czy zechciałabym objąć jakie stanowisko? — Jej twarz oblała się nagle rumieńcem.

Edward zerwał się na równe nogi i podbiegł do niej, a za nim dzieci.

— Musiała zająć jakąś pomyłka, panie prezydencie. Moje nazwisko brzmi Mary Ashley. Jestem wykładowcą na Uniwer-



sytecie Stanowym w Kansas i... Pan to czytał? Dziękuję bardzo... Bardzo mnie to cieszy... Tak, sądzę, że tak. — Znowu długa chwila ciszy. — Tak, zgadzam się. Ale to nie znaczy, że ja... Tak. Tak. Rozumiem. Cóż, to dla mnie ogromny zaszczyt. Uważam, że to cudowne, ale ja... Dobrze, oczywiście. Przedyskutuję to z mężem i dam panu odpowiedź. — Wzięła długopis i zanotowała numer. — Tak, zapisałam. Dziękuję, panie prezydencie. Do widzenia.

Powoli odłożyła słuchawkę i stała, zszokowana.

— O co, na Boga, chodziło? — gorączkowo dopytywał się Edward.

— To naprawdę był prezydent? — zapytał Tim.

Mary osunęła się na krzesło.

— Tak, naprawdę.

Edward ujął jej dłoń w swoje ręce.

— Mary, co on powiedział? Czego chciał?

Mary siedziała bez ruchu, myśląc: „To dlatego wypytywali wszystkich o mnie”.

Spojrzała na męża i dzieci i powoli powiedziała:

— Prezydent czytał moją książkę i artykuł, który wydrukowano w „Foreign Affairs” i bardzo mu się podobały. Powiedział, że taki sposób myślenia jest niezbędny do realizacji programu LUDZIE DLA LUDZI. Chce mianować mnie ambasadorem w Rumunii.

Na twarzy Edwarda odmalowało się wyraźne niedowierzanie.

— Ciebie?! Dlaczego ciebie?

Mary zadawała sobie dokładnie to samo pytanie, ale teraz pomyślała, że Edward mógłby wykazać nieco więcej taktu. Mógł na przykład powiedzieć: „To cudownie! Na pewno byłabyś wspaniałym ambasadorem”. Ale on myślał realnie. Właśnie, dlaczego ona?

— Nie masz przecież żadnego doświadczenia w polityce.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — odparła Mary opryskliwie. — Uważam, że cała sprawa jest po prostu śmieszna.

— Będziesz ambasadorem? — dopytywał się Tim. — Czy przeprowadzimy się do Rzymu?

— Do Rumunii.

— Gdzie leży Rumunia?

Edward odwrócił się do dzieci.

— Natychmiast wracajcie do obiadu. Wasza mama i ja chcemy porozmawiać.

— A my nie będziemy brać udziału w głosowaniu?

— zaniepokoił się Tim.

— Owszem, jako głosujący nieobecni.

Edward wziął Mary pod rękę i poprowadził do biblioteki. Stał przed nią i rzekł:

— Wybacz mi. Zdaje się, że zachowałem się jak nadęty osioł. To po prostu było takie...

— Nie, miałaś rację, Edwardzie. Niby dlaczego miałiby wybrać właśnie mnie?

Zawsze gdy Mary nazywała go „Edwardem”, wiedział, że wpadł w tarapaty.

— Kochanie, byłabyś prawdopodobnie wspaniałym ambasadorem czy ambasadorką, czy jak to tam obecnie nazywają. Ale musisz przyznać, że ta propozycja przyszła dość niespodziewanie.

Mary nieco zmięła.

— Dlaczego nie powiesz: jak grom z jasnego nieba?

— powiedziała figlarnie. — Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

— Roześmiała się. — Zaczekaj, aż powiem o tym Florence.

Padnie z wrażenia.

Edward przyglądał jej się z uwagą.

— Bardzo się z tego cieszysz, prawda?

Popatrzyła na niego, zaskoczona.

— Ależ oczywiście. A ty byś się nie cieszył?

Edward starannie dobierał słowa.

— To jest ogromny zaszczyt, kochanie, i jestem pewien, że nie każdego mógłby spotkać. Na pewno mieli dostateczne powody, aby wybrać ciebie. — Zawahał się. — Musimy dobrze to przemyśleć. W jaki sposób mogłoby to wpłynąć na nasze życie?

Mary wiedziała, co zamierza dalej powiedzieć, i pomyślała: Edward ma rację. Oczywiście, że ma rację.

— Nie mogę tak po prostu zostawić mojej praktyki

i opuścić pacjentów. Ja muszę zostać. Nie wiem, na jak długo musiałabyś wyjechać, ale jeśli jest to dla ciebie ważne, możemy przecież jakoś wszystko zaplanować. Mogłabyś pojechać z dziećmi, a ja dołączyłbym do was, jak tylko...

— Ty wariacie — odrzekła miękko Mary — czy sądzisz, że ja mogłabym żyć z dala od ciebie?

— No wiesz, to jest ogromny zaszczyt i...

— Być twoją żoną również. Nic nie jest dla mnie ważniejsze od ciebie i dzieci. Nigdy was nie opuszczę. Poza tym to miasto nie znajdzie drugiego tak wspaniałego lekarza jak ty, a żeby znaleźć lepszego ode mnie ambasadora, prezydent musi tylko zajrzeć do książki telefonicznej.

Wziął ją w ramiona.

— Czy jesteś tego pewna?

— Całkowicie. Bardzo się ucieszyłam, że mi to zaproponowali. To wystarczy...

Otworzyły się drzwi, wbiegli Beth i Tim. Beth zawołała:

— Dzwoniłam przed chwilą do Virgila i powiedziałam mu, że będziesz ambasadorem.

— W takim razie zadzwoń do niego jeszcze raz i powiedz, że nie będę.

— Dlaczego nie? — spytała dziewczynka.

— Twoja matka zdecydowała, że zostaje tutaj.

— Dlaczego? — zajęczała Beth. — Nigdy nie byłam w Rumunii. W ogóle nigdy nigdzie nie byłam.

— Ja też nie — dodał Tim. Odwrócił się do Beth. — Mówiłem, że nigdy się stąd nie wydostaniemy.

— Ten temat jest skończony — poinformowała ich Mary.

\* \* \*

Następnego dnia rano Mary wykręciła numer, który dostała od prezydenta. Kiedy zgłosiła się centrala, powiedziała:

— Mówi Mary Ashley. Zdaje się, że zastępca prezydenta, pan Green, czeka na telefon ode mnie.

— Proszę chwilę zaczekać.

Męski głos po drugiej stronie powiedział:

— Halo! Pani Ashiey?

— Tak — odparła Mary. — Czy byłby pan uprzejmy przekazać prezydentowi wiadomość ode mnie?

— Oczywiście.

— Proszę mu przekazać, że czuję się ogromnie zaszczycona jego propozycją, ale zawód mojego męża wymaga jego obecności tutaj, na miejscu, w związku z czym obawiam się, że nie będę mogła jej przyjąć. Mam nadzieję, że prezydent to zrozumie.

— Przekażę mu wiadomość od pani — odpowiedział głos obojętnie. — Dziękuję, pani Ashiey. — Połączenie zostało przerwane.

Mary powoli odłożyła słuchawkę. Przez jedną krótką chwilę miała coś, o czym marzyła. Ale to było tylko marzenie. A tu jest mój prawdziwy świat, pomyślała. Lepiej przygotuję się do następnych zajęć.

Manama, Bahrajn

Biały dom z kamienia stał pośród wielu innych, podobnych domów, niedaleko od *souks*, wielkiego targu. Jego właściciel, kupiec, był przyjacielem organizacji, znanej pod nazwą „Patrioci Wolności”.

— Będziemy go potrzebować na jeden dzień — poinformował kupca głos przez telefon.

Wszystko zostało przygotowane i teraz przewodniczący przemawiał do mężczyzn zgromadzonych w pokoju gościnnym.

— Zaistniał pewien problem — rozpoczął. — Przedsięwzięcie, które rozpoczęliśmy niedawno, napotkało trudności.

— Jakiego rodzaju trudności? — spytał Balder.

— Pośrednik, którego wybraliśmy, Harry Lantz, nie żyje.

— Nie żyje? Jak to się stało?

— Został zamordowany. Jego ciało znaleziono pływające niedaleko przystani w Buenos Aires.

— Czy policja wie, kto to zrobił? To znaczy, czy mogą to jakoś powiązać z nami?

— Nie, my jesteśmy bezpieczni.

— Co z naszym planem ? — zapytał Thor. — Czy możemy go kontynuować?

— Niestety, chwilowo nie. Nie wiemy, jak odnaleźć Angela. Lecz Angel zna nazwisko Zwierzchnika. Harry Lantz wyjawiał mu je za specjalnym przyzwoleniem. Jeżeli jest zainteresowany naszą propozycją, znajdzie sposób, żeby się z nami skontaktować. A na razie — musimy czekać.

Nagłówki na pierwszej stronie „Daily Union”, gazety wydawanej codziennie w Junction City, głosiły: *MARY ASHLEY Z JUNCTION CITY ODMAWIA PRZYJĘCIA STANOWISKA AMBASADORA.*

Dalej następował długi artykuł o Mary, a obok jej zdjęcie. Miejskowa stacja radiowa poświęciła jej całą popołudniową i wieczorną audycję. Fakt, że Mary odmówiła przyjęcia propozycji prezydenta, czynił całą sprawę o wiele bardziej interesującą, niż gdyby ją przyjęła. W oczach dumnych mieszkańców Junction City w Kansas było ważniejsze niż Bukareszt w Rumunii.

Kiedy Mary jechała do miasta, żeby zrobić zakupy na obiad, wciąż słyszała przez radio swoje nazwisko.

„...Wcześniej prezydent Ellison powiedział, że wysłanie ambasadora do Rumunii będzie początkiem realizacji jego programu LUDZIE DLA LUDZI, kamieniem węgielnym jego polityki zagranicznej. W jaki sposób odmowa Mary Ashley zaważy na...”

Przełączyła radio na inną stację.

„... jest żoną doktora Edwarda Ashleya i uważa się, że...”

Mary wyłączyła radio. Już od rana w domu urywał się telefon. Dzwonili znajomi, sąsiedzi, studenci i ciekawscy obcy ludzie, a nawet reporterzy z miejsc tak odległych jak Londyn czy Tokio. Przesadzają, pomyślała Mary. To nie moja wina, że prezydent zdecydował, iż powodzenie jego polityki zagranicznej zależeć będzie od sukcesu w Rumunii. Ciekawe, jak długo

potrwa to zamieszanie. Pewnie wszystko ucichnie za dzień lub dwa.

Skręciła do stacji benzynowej Derby i zatrzymała furgonetkę przy pompie samoobsługowej.

Kiedy wysiadła z samochodu, podbiegł do niej kierownik stacji.

— Dzień dobry, pani Ashley. Nie mogę pozwolić na to, żeby pani ambasador sama nalewała benzynę. Pozwoli pani, że jej pomogę.

— Dziękuję, ale jestem do tego przyzwyczajona — uśmiechnęła się Mary.

— Nie, nie. Ja nalegam.

Kiedy bak został napełniony, Mary pojechała na ulicę Waszyngtona, gdzie zaparkowała przed sklepem z butami, w którym mieściła się pracownia szewska.

'— Dzień dobry, pani Ashley — powitał ją ekspedient.

— Jak się dzisiaj pani miewa, pani ambasador?

To się staje męczące, pomyślała Mary, a głośno powiedziała:

— Nie jestem ambasadorem, ale dziękuję, miewam się dobrze. — Wręczyła mu parę butów. — Przyniosłam półbuty Tima do podzelowania.

Sprzedawca przyjrzał się butom.

— Czy nie są to te same, które reperowaliśmy w zeszłym tygodniu?

— I dwa tygodnie temu również — westchnęła Mary.

Następnym miejscem, do którego udała się Mary, był Dom Towarowy Longa. Ledwo przekroczyła próg sklepu, podeszła do niej kierowniczką działu ubrań damskich, pani Hacker.

— Właśnie słyszałam, jak mówili o pani przez radio. Dzięki pani Junction City jest znowu sławne. Tak, proszę pani. Można powiedzieć, że pani, Eisenhower i Alf Landon jesteście jedynymi znanymi osobistościami politycznymi Kansas, pani ambasador.

— Nie jestem ambasadorem — odparła Mary cierpliwie.

— Odmówiłam przyjęcia tego stanowiska.

— Właśnie to miałam na myśli.

Nie było sensu rozmawiać na ten temat.

— Szukam džinsów dla Beth, najlepiej w kolorze stalowym.

— W jakim wieku jest Beth? Około dziesięciu lat?

— Ma dwanaście lat.

— O mój Boże, dzieci tak szybko teraz rosną, nieprawdaż? Zanim się pani obejrzy, będzie już nastolatką.

— Beth urodziła się nastolatką, pani Hacker.

— A jak tam Tim?

— Niewiele różni się od Beth.

Zakupy trwały dwa razy dłużej niż zwykle. Każdy miał coś do powiedzenia na temat tego, co się wydarzyło. W sklepie Dillona, gdzie Mary weszła, żeby kupić żywność, spotkała panią Dillon.

— Witam, pani Ashley.

— Dzień dobry, pani Dillon. Czy dostanę u pani jedzenie, które nic nie zawiera?

— Co takiego?

Mary spojrzała na kartkę, którą trzymała w dłoni.

— Bez cukrów, sodu, tłuszczów, węglowodanów, kofeiny, sztucznych barwników, kwasów witaminowych i przypraw smakowych.

Pani Dillon popatrzyła na spis.

— Czy chodzi o jakiś eksperyment medyczny?

— W pewnym sensie. To dla Beth. Ona nie jada nic, co zawiera sztuczne składniki.

— To może wyprowadzić ją po prostu na pastwisko, niech sobie gryzie trawę.

— Dokładnie to samo zaproponował mój syn — roześmiała się Mary. Wzięła z półki jedno z pudełek i przeczytała nalepkę. — To wszystko moja wina, nie powinienam jej była nauczyć czytać.

Jadąc do domu, Mary prowadziła samochód bardzo ostrożnie, gdyż droga wiodła pod górę, w stronę jeziora Milford. Termometr wskazywał kilka stopni powyżej zera, ale mroźny wiatr potęgował wrażenie chłodu. Wokoło rozciągały się pola,

nic więc nie mogło osłabić jego mocy, mógł hulać bezkarnie. Trawniki pokrywał śnieg, co przypomniało Mary burzę śnieżną, która zeszłej zimy nawiedziła cały okręg. Uszkodziła linie wysokiego napięcia i prawie przez tydzień nie mieli prądu. Ona i Edward kochali się każdej nocy. Może będą mieć szczęście i tej zimy znowu wysiądzie prąd ? Na tę myśl Mary uśmiechnęła się do siebie.

\* \* \*

Kiedy przyjechała do domu, Edward jeszcze nie wrócił ze szpitala. Tim oglądał program fantastyczno-naukowy w telewizji. Mary zostawiła zakupy i weszła do pokoju, żeby stawić czoło synowi.

— Czy nie powinienes odrabiać lekcji?

— Nie mogę.

— A to niby dlaczego ?

— Bo tego nie rozumiem.

— I na pewno nie zrozumiesz, jeśli będziesz gapić się bez przerwy w telewizję. Pozwolisz, że ja zajrzę do twoich lekcji.

Tim przyniósł jej książkę do matematyki.

— To są strasznie głupie zadania — powiedział.

— Nie ma głupich zadań. Są tylko głupi uczniowie. A teraz przyjrzyjmy się temu bliżej.

Mary zaczęła głośno czytać zadanie.

— W pociągu wyjeżdżającym z Minneapolis znajdowało się stu czterdziestu dziewięciu pasażerów. W Atlancie wsiadło więcej osób. Teraz w pociągu było dwustu dwudziestu trzech pasażerów. Ilu pasażerów wsiadło w Atlancie? — Spojrzała na syna. — To przecież proste, Tim. Trzeba tylko od dwustu dwudziestu trzech odjąć sto czterdzieści dziewięć.

— Nie, nie trzeba — odparł Tim. — To musi być równanie. Sto czterdzieści dziewięć dodać  $N$  równa się dwieście dwadzieścia trzy.  $N$  równa się dwieście dwadzieścia trzy odjąć sto czterdzieści dziewięć.  $N$  równa się siedemdziesiąt cztery.

— To głupie — powiedziała Mary.



Przechodząc obok pokoju Beth, Mary usłyszała. Otworzyła drzwi i weszła. Beth siedziała na podłodze skrzyżowanymi nogami, oglądając telewizję, słuchając n rockowej z płyty i odrabiając lekcje.

— W jaki sposób możesz się skupić przy takim hałasie?  
— Mary musiała krzyknąć.

Podeszła do telewizora i wyłączyła go, a następnie wyłączyła gramofon.

Beth popatrzyła na nią, zdumiona.

— Dlaczego to wyłączyłaś? To był George Michael.

Ściany pokoju Beth oklejone były plakatami z wizerunkami muzyków i zespołów muzycznych. Byli tu: Kiss, Halen, Motley Crue i Aldo Nova, i David Lee Roth. Całe łóżko zakryte było magazynami dla nastolatków: „Seventeen”, „Idol” i innymi. Wszędzie walały się różne części garderol

— Beth, jak ty możesz tu mieszkać?

Dziewczynka spojrzała na matkę ze zdziwieniem.

— Jak mieszkać?

Mary zacisnęła tylko zęby.

— Nieważne. — Spojrzała na kopertę leżącą na biurku

— Pisziesz do Ricka Springfieldda?

— Jestem w nim zakochana.

— Myślałam, że kochasz się w George'u Michaelu.

— Ja płonę z miłości do George'a Michaela, natomiast w Ricku Springfielddzie jestem zakochana. Mamo, czy ty, kiedy byłaś młoda, nigdy nie płonęłaś z miłości do kogoś?

— Kiedy byłaś młoda, byliśmy zajęci przecieraniem szlaków wozami zaprzężonymi w konie.

Beth westchnęła.

— Czy wiesz, że Rick Springfield miał trudne dzieciństwo?

— Szczerze mówiąc, Beth, nie miałam o tym pojęcia.

— To było straszne. Jego ojciec był wojskowym i ciągle musieli się przeprowadzać. On też jest wegetarianinem, tak jak ja. Jest po prostu niesamowity.

A więc to była przyczyna dziwnej diety Beth!

— Mamo, czy mogę iść z Virgilem do kina w sobotę?

— Z Virgilem? A co się stało z Arnoldem?

Beth milczała przez chwilę.

— Arnold za dużo sobie pozwalał. To kretyn.

Mary próbowała zachować spokój.

— Co masz na myśli, mówiąc, że za dużo sobie pozwalał ?

— Tylko dlatego, że zaczyna mi rosnać biust, chłopaki myślą, że jestem łatwa. Mamo, czy kiedykolwiek czułaś się głupio z powodu swojego ciała?

Mary podeszła do Beth i objęła ją.

— Tak, kochanie. Kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, strasznie głupio się czułam.

— Nienawidzę okresów i tego, że rośnie mi biust i włosy. Dlaczego ?

— Tak jest ze wszystkimi dziewczętami. Przyzwyczaisz się do tego z czasem.

— Nie przyzwyczaję się. — Beth odsunęła się od Mary i dodała zdecydowanym głosem: — Nie mam nic przeciwko byciu zakochaną, ale nigdy nie zgodzę się na seks. Nikt mnie do tego nie przekona, ani Arnold, ani Virgil, ani Kevin Bacon.

Mary odrzekła z powagą:

— Cóż, jeśli taka jest twoja decyzja...

— I to nieodwołalna. Mamo, a co powiedział prezydent, kiedy mu odpowiedziałaś, że nie będziesz jego ambasadorem?

— Był bardzo dzielny — zapewniła ją Mary. — Wiesz co? Chyba pójdę już nastawić obiad.

Gotowanie było piętą achillesową Mary Ashley. Nie cierpiała gotować i w związku z tym robiła to źle, a że lubiła być dobra we wszystkim, co robiła, nienawidziła gotowania coraz bardziej. Było to błędne koło, z którego częściowo znaleźli wyjście, zatrudniając Lucindę. Lucinda trzy razy w tygodniu przychodziła gotować i sprzątać. Ten dzień był jednym z tych, kiedy Lucinda nie przychodziła.

Kiedy Edward wrócił ze szpitala, Mary była zajęta w kuchni, przypalając właśnie groszek. Odwróciła się od kuchenki i pocałowała męża na powitanie.

— Witaj, kochanie. Jak minął twój dzień? Beznadziejnie?

— Mam wrażenie, że rozmawiałaś z naszą córką — odpowiedział Edward. — Chociaż rzeczywiście nie był to naj-

lepszy dzień. Przywieźli trzynastoletnią dziewczynkę, która miała owrzodzenie narządów płciowych.

— Och, kochanie. — Mary wyrzuciła groszek i otworzyła puszkę z pomidorami.

— Wiesz, pomyślałem o Beth.

— Nie musisz się o nią martwić — zapewniła go Mary.

— Planuje umrzeć jako dziewica.

\* \* \*

Podczas obiadu Tim zapytał:

— Tato, czy mogę dostać na urodziny deskę surfingową ?

— Tim, nie chcę cię martwić, ale tak się zdarzyło, że mieszkasz w Kansas.

— Wiem o tym. Ale Johnny zaprosił mnie, żebym pojechał z nim na Hawaje w lecie za rok. Jego starzy mają domek kempingowy w Manui.

— Cóż — odparł Edward — sądzę, że jeśli Johnny ma domek kempingowy, to prawdopodobnie ma też i deskę surfingową.

Tim zwrócił się do matki:

— Będę mógł pojechać?

— Zobaczmy. Nie jedź tak szybko, Tim. Beth, nic nie zjadłaś.

— Nie widzę na stole nic, co odpowiadałoby podniebieniu istoty ludzkiej. — Spojrzała na rodziców wymownie.

— Pragnę wam oznajmić, że zamierzam zmienić nazwisko.

— Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego chcesz to uczynić? — spytał ostrożnie Edward.

— Zdecydowałam się rozpocząć karierę artystyczną.

Mary i Edward wymienili zbolale spojrzenia.

— Dowiedz się, proszę, ile nam za nie zapłacą — powiedział Edward.

W 1965 roku Mehdi ben Barka, przeciwnik króla Maroka Hassana II, przebywający na przymusowej emigracji w Genewie, został podstępnie zwabiony do Paryża i tam zamordowany przy współudziale francuskich służb wywiadowczych. Był to skandal, który wstrząsnął międzynarodowymi organizacjami wywiadowczymi. Wkrótce po tym wydarzeniu prezydent Charles de Gaulle odebrał kontrolę nad działalnością służb tajnych premierowi i przekazał ją Ministerstwu Obrony. Dlatego też za bezpieczeństwo Marina Grozy, któremu rząd francuski udzielił azylu politycznego, odpowiedzialny był obecny minister obrony — Roland Passy. Przed willą w Neuilly dzień i noc czuwali żandarmi, ale to fakt, iż Lev Pasternak strzegł bezpieczeństwa Grozy, sprawiał, że Passy mógł spać spokojnie. Sprawdzał osobiście wszystkie zabezpieczenia i był przekonany, że willa jest nie do zdobycia.

Od jakiegoś czasu w świecie dyplomatycznym zaczęły krążyć pogłoski, że Marin Groza planuje powrót do Rumunii i że Alexandros Ionescu zostanie usunięty ze stanowiska prezydenta przez starszych oficerów wojskowych.

Lev Pasternak zapukał do drzwi, po czym wszedł do biblioteki pełnej książek, która służyła Grozie za gabinet do pracy. Groza siedział za biurkiem, jak zwykle zajęty pracą. Kiedy Pasternak wszedł, Marin podniósł na niego wzrok.

— Wszyscy chcą wiedzieć, kiedy nastąpi rewolucja — powiedział Lev. — Jest to najgorzej strzeżona tajemnica, jaką znam.

— Powiedz im, żeby byli cierpliwi. Lev, czy pojedziesz ze mną do Bukaresztu?

Bardziej niż cokolwiek, Pasternak pragnął powrotu do Izraela.

— Będę pracować dla ciebie tymczasowo — oświadczył Grozie po przybyciu — póki nie będziesz gotów do działania.

„Tymczasowo” zamieniło się w tygodnie, miesiące, a w końcu — w trzy lata.

W świecie zaludnionym przez pigmejów mnie dane jest służyć gigantowi, myślał Lev. Marin Groza był najbardziej

bezinteresownym, bez reszty oddanym idei człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał.

Na początku Pasternak często zastanawiał się, jaki los spotkał rodzinę Grozy. On sam nigdy o tym nie mówił, ale jeden z oficerów, którzy zajmowali się sprawą Grozy, opowiedział mu całą historię.

— Groza został zdradzony. Zabrała go Bezpieka i torturowali go przez pięć dni. Obiecywali go uwolnić, jeśli poda nazwiska współtowarzyszy z podziemia. Ale nie chciał nic powiedzieć. Aresztowali jego żonę i czternastoletnią córkę i przyprowadzili je do pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie. Dali mu do wyboru: albo będzie mówić, albo zobaczy, jak umierają. To była chyba najtrudniejsza decyzja, jaką człowiek musiał kiedykolwiek podjąć. Był to wybór pomiędzy życiem ukochanej żony i córki a życiem setek ludzi, którzy w niego wierzyli. — Oficer przerwał, jakby zastanawiając się nad czymś, po czym kontynuował opowieść. — Myślę, że Groza podjął w końcu taką a nie inną decyzję, ponieważ był pewien, że on i jego rodzina i tak zostaną zabici. Odmówił podania nazwisk. Strażnicy przywiązali go do krzesła i zmusili, żeby patrzył, jak gwałcą po kolei jego żonę i córkę, zanim je zabil. Ale i tego było im za mało. Kiedy skończyli z jego rodziną, wykastrowali go nad ich okrwawionymi ciałami.

— O mój Boże!

Oficer popatrzył na Pasternaka i dodał:

— Najważniejsze jest to, żebyś zrozumiał, że Marin Groza nie pragnie wrócić do Rumunii, żeby szukać zemsty. Chce tam wrócić, żeby uwolnić swój naród i upewnić się, że takie zbrodnie nigdy więcej nie będą miały miejsca w kraju, który kocha ponad wszystko.

Od tego dnia Lev został z Grozą, a im więcej czasu spędzał z rewolucjonistą, tym bardziej go podziwiał i kochał. Teraz musiał zdecydować, czy ma zrezygnować z powrotu do Izraela i udać się z Grozą do Bukaresztu.

Tego wieczoru Pasternak szedł korytarzem i kiedy mijał drzwi sypialni Grozy, usłyszał, nie po raz pierwszy, okrzyki bólu. A więc dzisiaj jest piątek, pomyślał. W piątki przycho-

dziły prostytutki. Były sprowadzane z Anglii, Ameryki Północnej, Brazylii, Japonii, Tajlandii i z wielu innych krajów, a wybierano je na chybił trafił. Nigdy nie wiedziały, dokąd je zabierano ani do kogo. Odbierano je z lotniska Charles'a de Gaulle'a, wieziono prosto do willi, a po kilku godzinach odwożono na lotnisko, wsadzano do samolotu i odsyłano, skąd przybyły. W każdy piątek wieczorem korytarze rozbrzmiewały krzykami Grozy. Strażnicy snuli różne domysły na temat dziwnych upodobań seksualnych Grozy. Jedynym, który wiedział, co się naprawdę dzieje za drzwiami sypialni, był Lev Pasternak. Albowiem wizyty prostytutek nie miały nic wspólnego z seksem. Były pokutą. Raz w tygodniu Groza rozbierał się do naga, po czym kobieta przywiązywała go do krzesła i chłostała z całych sił, aż jego ciało spływało krwią, a za każdym uderzeniem Marin widział swoją żonę i córkę gwałcone na śmierć, wzywające pomocy. I wtedy zaczynał krzyczeć:

— Wybaczcie mi! Będę mówić. O Boże, pozwólcie mi mówić...

\* \* \*

Po dziesięciu dniach od odnalezienia ciała Harry'ego Lantza, Zwierzchnik odebrał wiadomość przez telefon. Prowadził właśnie w pokoju konferencyjnym spotkanie robocze dla pracowników, kiedy odezwał się sygnał interkomu.

— Wiem, że kazał pan sobie nie przeszkadzać, ale to telefon zza oceanu. Coś ważnego, jak sądzę. Dzwoni pani Neusa Muñez z Buenos Aires. Powiedziałem jej, że...

— W porządku. — Zwierzchnik próbował zapanować nad podnieceniem. — Odbiorę w swoim gabinecie.

Przeprosił obecnych, przeszedł do gabinetu i zamknął drzwi.

— Halo, pani Muñez?

— Taaak. — Prostacki głos w słuchawce miał silny południowoamerykański akcent. — Mam dla ciebie wiadomość od Angela. Nie podobał mu się ten wężący szpicel, którego przystaliście.

— Przykro mi — Zwierzchnik starannie dobierał słowa — ale mimo to nadal chcielibyśmy, żeby Angel zajął się naszą sprawą. Czy jest to możliwe?

— Taaak, mówi, że może to zrobić.

Ledwo udało mu się powstrzymać westchnienie ulgi.

— Wspaniale. W jaki sposób mamy dostarczyć mu zaliczkę?

Kobieta zaśmiała się, ale trwało to krótko.

— Angel nie potrzebuje żadnej zaliczki; nikt go nie oszuka. — Coś powodowało, że słowa te zabrzmiały groźnie. — Jak robota będzie skończona, macie wysłać pieniądze... poczekaj, mam to gdzieś zapisane... O, mam: Bank Stanowy w Zurychu. To gdzieś w Szwajcarii.

„Ta kobieta musi być kompletną idiotką”.

— Potrzebny mi jest numer konta.

— A, tak. Numer jest... Jezu, zapomniałam. Poczekaj, gdzieś go mam. — W słuchawce dał się słyszeć szelest papieru. Po chwili kobieta znów się odezwała: — Jest. J-trzy-cztery-dziewięć-zero-siedem-siedem.

Powtórzył numer.

— Ile czasu zajmie załatwienie tej sprawy?

— Jak tylko Angel będzie gotów, *señor*. On mówi, że się dowiecie, jak już zrobi, co trzeba. Przeczytacie o tym w gazetach.

— Dobrze. Na wszelki wypadek, gdyby Angel chciał się ze mną skontaktować, podam pani swój domowy numer telefonu.

Powoli podyktował jej numer.

#### *Tbilisi, Gruzja*

Tym razem miejscem spotkania była dacza stojąca na uboczu nad brzegiem rzeki Kury.

Przewodniczący powiedział:

— Są dwie ważne sprawy. Pierwsza to dobra wiadomość: Zwierzchnik nawiązał kontakt z Anielem. Nasz plan posuwa się naprzód.

— To wspaniała nowina! — wykrzyknął Freyr. — A jaka jest zła wiadomość?

— Obawiam się, że dotyczy to kandydata na ambasadora w Rumunii, którego wybrał prezydent, ale to jest do załatwienia...

Mary trudno było skoncentrować się na zajęciach. Coś się zmieniło. W oczach studentów dostrzegała cześć i podziw. Czowała, że jej to trochę pochlebia. Widziała, jak wszyscy chłoną każde jej słowo.

— Jak wiemy, rok 1956 był rokiem olbrzymich zmian dla wielu krajów Europy Wschodniej. W Polsce, wraz z powrotem Gomułki do władzy, bardzo nasilił się ogólnonarodowy komunizm. W Czechosłowacji przywódcą Partii Komunistycznej był Antonin Mavorony. Natomiast w Rumunii nie zaszły żadne poważne zmiany w sferze politycznej... — Rumunia... Bukareszt... Chociaż znała to miasto tylko z fotografii, zawsze uważała, że musi być najpiękniejszym miastem w Europie. Nie zapomniała ani jednej z opowieści o Rumunii, które słyszała od dziadka. Dobrze pamiętała, jak bardzo bała się jako mała dziewczynka historii o strasznym księciu Władysławie z Transylwanii. „Był wampirem, Mary. Mieszkał w ogromnym zamku, wysoko w górach, i tam wypijał krew swoich niewinnych ofiar”.

Mary nagle zdała sobie sprawę, że w sali od dłuższej chwili panuje cisza. Studenci przyglądali się jej. Ciekawe, ile czasu stoję tak tutaj, śniąc na jawie, przemknęło jej przez myśl. Pośpiesznie wróciła do kontynuowania wykładu.

— W Rumunii Gheorghiu-Dej umacniał swoją pozycję wśród członków Partii Komunistycznej...

Wydawało się, że zajęcia nigdy się nie skończą, ale jakoś dobiegła do końca wykładu.

— Waszym zadaniem domowym będzie napisanie pracy na temat planowania i zarządzania ekonomicznego w Związku Radzieckim z dokładnym opisem podstawowych organów rządowych oraz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Chcę również, żebyście przeprowadzili analizę oddziaływania wewnętrznego i zewnętrznego polityki sowieckiej, ze szczególnym uwzględnieniem jej wpływów w Polsce, Czechosłowacji i Rumunii.



Rumunia... „Witamy w Rumunii, pani ambasador. Pani limuzyna czeka, żeby *zabrać* panią do jej ambasady”. Jej ambasada. Zaproponowano jej, żeby zamieszkała w jednej z najbardziej pasjonujących stolic świata, jak to mówił prezydent, i realizowała najważniejszą część jego programu LUDZIE DLA LUDZI. Na pewno przesłabym do historii, pomyślała.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek, zajęcia były skończone. Czas wracać do domu i przebrać się. Edward miał wrócić wcześniej ze szpitala i zabrać ją na obiad do klubu za miastem.

Żeby uczcić niedoszlą panią ambasador.

— Nagły wypadek! Nagły wypadek! — rozległo się w trzeszczących głośnikach na korytarzach szpitala. Sanitariusze natychmiast pośpieszyli do wyjścia, skąd już dobiegał sygnał nadjeżdżającego ambulansu. Szpital publiczny Geary mieścił się w brązowym, skromnie wyglądającym trzypiętrowym budynku, stojącym na wzgórzu przy ulicy St. Mary w południowo-zachodniej części Junction City. Dysponował sześćdziesięcioma sześcioma łóżkami, dwiema nowoczesnymi salami operacyjnymi oraz szeregiem gabinetów i pokoi administracyjnych.

Dla personelu oddziału pogotowia ten piątek był ciężkim dniem. Poczekalnia ledwie mieściła żołnierzy, którzy odnieśli różnego rodzaju obrażenia podczas „zabawy” w mieście. Przybyli oni z pobliskiego Fortu Riley, który stanowił bazę Pierwszej Dywizji Piechoty, powszechnie nazywanej Wielką Czerwoną Jedyką.

Doktor Edward Ashley zszywał właśnie ranę ciętą głowy żołnierzowi, który przegrał walkę w barze. Edward pracował w szpitalu Geary od trzynastu lat. Przed rozpoczęciem prywatnej praktyki był chirurgiem wojsk lotniczych w randze kapitana. Kilka słynnych szpitali z różnych miast próbowało go pozyskać do pracy, ale on wolał zostać w Junction City.

Skończył zszywanie i rozejrzał się dookoła. Co najmniej tuzin żołnierzy czekało jeszcze na opatrunek. Na zewnątrz słychać było syrenę zbliżającego się ambulansu.

— Znowu grają naszą melodię.

Doktor Douglas Schiffer, opatrujący ranę postrzałową, pokiwał tylko głową.

— Mamy tu prawdziwą jatkę. Czuję się, jakbym był na wojnie.

— To jedyny rodzaj wojny, w której mogą brać udział, Doug. Dlatego przyjeżdżają co piątek do miasta i szaleją. Są sfrustrowani. — Edward skończył ostatni szew. — No, to by było na tyle, żołnierzu. Jesteś teraz jak nowy. — Odwrócił się do Schiffera. — Chodźmy na dół do ambulansu.

Pacjent miał na sobie cywilne ubranie. Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Był w szoku. Oddychał z trudnością i pocił się obficie. Ashley zbadał jego puls — był słaby i ledwo wyczuwalny. Na marynarce chłopca widniała wielka plama krwi. Edward zwrócił się do lekarza, który przywiózł pacjenta.

— Co tu mamy?

— Ranę kłutą klatki piersiowej, panie doktorze.

— Sprawdźmy, czy płuco nie jest uszkodzone. — Odwrócił się do pielęgniarki. — Proszę zrobić zdjęcie klatki piersiowej w pozycji stojącej. Ma pani na to trzy minuty.

Doktor Schiffer obserwował żyły szyjne, były bardzo nabrzmiałe. Spojrzał na Edwarda.

— Jest wypełniona. Chyba zostało uszkodzone osierdzie.

Oznaczało to, że worek osierdziowy osłaniający serce wypełnił się krwią i uciskał mięsień sercowy, utrudniając jego pracę.

— Ciśnienie szybko spada — oznajmiła pielęgniarka. Monitor rejestrujący pracę serca wskazywał coraz wolniejsze tempo uderzeń. Zaczynali tracić pacjenta.

Przybiegła pielęgniarka ze zdjęciem klatki piersiowej. Edward tylko na nie zerknął.

— Tamponada serca.

Serce zostało przebite, płuco było zapadnięte.

— Proszę wprowadzić rurkę intubacyjną i rozszerzyć płuco. — Głos Ashleya brzmiał spokojnie, ale zdecydowanie. — Potrzebny będzie anestezjolog. Musimy otworzyć klatkę piersiową. Zaintubujcie go i zróbcie sztuczne oddychanie.

Pielęgniarka podała Schifferowi rurkę intubacyjną. Edward skinął na niego.

— Teraz.

Schiffer ostrożnie wprowadził rurkę do tchawicy nieprzytomnego chłopca, po czym zaczął równomiernie ścisnąć worek umieszczony na końcu rurki, pompując w ten sposób powietrze do płuc pacjenta. Akcja serca zaczęła ustawać, aż na ekranie monitora pojawiła się zupełnie prosta linia. Zdawało się, że śmierć tym razem zwyciężyła.

— Nie żyje.

Nie było czasu, żeby przewieźć pacjenta na salę operacyjną. Doktor natychmiast podjął decyzję.

— Będziemy otwierać klatkę piersiową. Skalpel.

Pielęgniarka podała mu narzędzie. Edward pochylił się nad pacjentem i zdecydowanym ruchem wykonał cięcie wzdłuż mostka. Krwawienie było minimalne, ponieważ serce uwięzło w osierdziu.

— Retraktor!

Natychmiast podano mu narzędzie. Edward włożył je do klatki piersiowej operowanego i odciągnął żebra.

— Nożyce. Proszę się odsunąć!

Pochylił się niżej, szukając worka osierdziowego. Nakłuł go nożycami. Uwolniona nagle krew trysnęła na fartuch Ashleya i stojącej obok niego pielęgniarki. Edward włożył ręce do środka i zaczął masować serce. Po chwili aparat zaczął wydawać dźwięki świadczące o powrocie pracy serca. Również puls stał się wyczuwalny. W dolnej ścianie komory serca widoczne było niewielkie cięcie.

— Zabierzcie go na salę operacyjną.

Trzy minuty później pacjent leżał na stole operacyjnym.

— Transfuzja — tysiąc mililitrów.

Nie było czasu, żeby zbadać krew, użyto więc uniwersalnej grupy 0 Rh-.

Kiedy rozpoczęto transfuzję, doktor Ashley powiedział:

— Poproszę dren numer trzydzieści dwa.

Pielęgniarka podała mu przyrząd, a doktor Schiffer rzekł:

— Ja go zamknę, Ed. Idź się umyć.

Fartuch chirurgiczny Edwarda cały pokryty był krwią.  
Ashley spojrzał jeszcze na monitor, serce biło równo i mocno.  
— Dzięki.

Edward wziął prysznic, przebrał się i poszedł do swojego gabinetu, żeby napisać wymagany raport medyczny. Pokój był ładny, wypełniony szafkami z książkami medycznymi i różnego rodzaju akcesoriami lekarskimi. Oprócz tego stały w nim: biurko, krzesło i mały stolik z dwoma fotelami. Na ścianach wisiały starannie oprawione dyplomy.

Edward czuł się ociężały i zmęczony z powodu napięcia, przez które właśnie przeszedł. Ale jednocześnie czuł narastające podniecenie, jak zwykle po jakiejś poważnej operacji. „Stawanie twarzą w twarz ze śmiercią uzmysławia nam wartość życia”, wyjaśnił Edwardowi pewnego razu psychiatra. Natomiast uprawianie miłości jest spełnieniem naturalnego pragnienia przetrwania. Bez względu na to, jaki jest tego powód, pomyślał Ashley, chciałbym, żeby Mary była tutaj ze mną.

Wybrał jedną z fajek z wieszaka na fajki, zapalił ją i usiadł wygodnie, wyciągając przed siebie nogi. Myśl o Mary sprawiała, że czuł się winny. Z jego powodu żona odmówiła prezydentowi i w zasadzie były po temu ważne przyczyny. Ale było jeszcze coś, do czego Edward przyznawał się przed sobą. Byłem zazdrosny, pomyślał. Zachowałem się jak rozpieszczony gówniarz. A gdyby to mnie prezydent zaproponował coś takiego? Prawdopodobnie skakałbym z radości. Jezu! A ja myślałem tylko o tym, żeby Mary została w domu i zajmowała się mną i dziećmi. I pomyśleć, jak wielki ze mnie, prawdziwie męski, szowinistyczny łajdak!

Siedział, paląc fajkę, bardzo z siebie niezadowolony. Za późno, pomyślał ponuro, ale ja jej to wynagrodzę. Zrobię jej niespodziankę i w lecie pojedziemy do Paryża albo Londynu. A może zabiorę ją do Rumunii. Będziemy mieć prawdziwy miesiąc miodowy.

Biały, trzy poziomowy budynek Klubu Rekreacyjnego Junction City jest położony pośród malowniczych wzgórz. Zaraz obok rozciąga się niewielkie pole golfowe, dalej są dwa korty

tenisowe, jak również basen, bar i restauracja z kominkiem, pokój do gry w karty na górze i szatnie na dole.

Ojciec Edwarda należał do tego klubu, ojciec Mary również, w związku z czym już od dzieciństwa Edward i Mary często bywali w klubie. Mieszkańcy miasta stanowili jedną wielką rodzinę, której ulubionym miejscem spotkań był właśnie ten klub.

Kiedy Ashleyowie przybyli do restauracji, było już dosyć późno i niewielu gości siedziało przy stolikach. Wszyscy spojrzeli na Mary i zaczęli szeptać między sobą. Zdążyła się już do tego przyzwyczać.

Edward spojrzął na żonę.

— Nie żałujesz?

Pewnie, że żałowała. Ale to, czego było jej żal, i tak nie mogłoby się spełnić. Były to cudowne, niedoścignione marzenia, które ma każdy człowiek. Gdybym urodziła się księżniczką, gdybym była milionerką, gdybym dostała Nagrodę Nobla za wyleczenie raka, gdyby... gdyby... gdyby...

— Nie, kochanie. To był wspaniały przypadek, że mnie w ogóle o to poprosili. Ale tylko przypadek. Przecież nie mogłabym opuścić ciebie lub dzieci. — Wzięła jego rękę w swoje dłonie. — Niczego nie żałuję; cieszę się, że odmówiłam.

Edward pochylił się w jej stronę i wyszeptał:

— Za to ja chcę ci zrobić propozycję nie do odrzucenia.

— Chodźmy — uśmiechnęła się Mary.

Na początku małżeństwa ich pożycie seksualne było gwałtowne i zmysłowe. Wciąż czuli silną, fizyczną potrzebę siebie nawzajem i zawsze tak długo się kochali, aż oboje byli zupełnie wyczerpani. Z czasem potrzeba ta złagodniała, ale pozostało wciąż silne uczucie, dojrzałe i zarazem słodkie.

Kiedy wrócili do domu, bez pośpiechu rozebrali się i położyli do łóżka. Edward tulił ją w ramionach, a następnie zaczął gładzić jej ciało, pieszcząc piersi, delikatnie dotykając sutków, przesuwał dłoń powoli w dół, do aksamitnie miękkiego źródła rozkoszy.

— To cudowne — westchnęła Mary w upojeniu.

Zmieniła pozycję tak, że teraz ona znajdowała się na górze. Jej język delikatnie muskał ciało Edwarda, aż poczuła jego twardniejącą męskość. Kiedy ich podniecenie osiągnęło szczyt, zaczęli kochać się namiętnie, aż poczuli się kompletnie wyczerpani. Leżeli objęci obok siebie.

— Tak bardzo cię kocham, Mary.

— Ja kocham cię jeszcze bardziej. Dobranoc, kochanie.

O trzeciej rano wyrwał ich ze snu dźwięk telefonu. Edward, zaspany, sięgnął po słuchawkę i przyłożył do ucha.

— Halo...

— Doktor Ashley ? — spytał zaniepokojony głos kobiety.

— Tak...

— Pete Grimes ma atak serca. Aż się skręca z bólu. Wydaje mi się, że umiera, a ja nie mam pojęcia, co robić.

Edward usiadł na łóżku, próbując otrząsnąć się ze snu.

— Proszę nic nie robić. Niech leży nieruchomo. Zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę, wyslizgnął się z łóżka i zaczął się ubierać.

— Edward...

Spojrzał na Mary. Miała na wpół otwarte oczy.

— Co się stało?

— Wszystko w porządku, śpij spokojnie.

— Obudź mnie, jak wrócisz — wymamrotała. — Czuję, że znowu będę miała na ciebie ochotę.

— Będę się śpieszyć — uśmiechnął się Edward.

Pięć minut później był już w drodze na farmę Grimesów.

Jechał w dół ulicą Old Milford, w kierunku ulicy J Hill. Poranek był mroźny i nieprzyjemny. Wiał silny północno-zachodni wiatr, który sprawiał, że temperatura spadła poniżej zera. Edward włączył ogrzewanie w samochodzie. Kiedy tak jechał, pomyślał, że może powinien wezwać ambulans. Co prawda ostatnie dwa „ataki serca” Petera Grimesa okazały się po prostu bólami wrzodów żołądka. Nie, najpierw sprawdzi, o co chodzi.

Skręcił na dwupasmową drogę numer osiemnaście, która

prowadziła przez Junction City. Miasto było uśpione, tylko wiatr hulał między domami.

Dojechał do końca Szóstej Ulicy i znalazł się na drodze Pięćdziesiątej Siódmej, jadąc w kierunku Grandview Plaza. Ile razy jeździł tymi drogami w gorące, letnie dni, kiedy wszędzie unosił się zapach kukurydzy i siana? Ile razy mijał niewielkie laski, w których rosły topole, cedry i drzewa oliwne, a w sierpniu stały stogi siana na polach, rozciągających się wokół? W powietrzu czuć było wtedy woń spalonych drzew cedrowych, które trzeba było regularnie karczować, gdyż zarastały pola. A ile już zim przemierzał tę samą drogę, spoglądając na oszroniony krajobraz, poprzecinany liniami wysokiego napięcia, przystrojonymi misternymi koronkami, którymi ozdobił je mróz, i samotnymi smugami dymu z odległych kominów? Jadąc tak w ciemności poranka, patrząc na uciekające cicho pola i drzewa, miało się niesamowite, a zarazem radosne uczucie odizolowania od reszty świata.

Edward prowadził samochód dość szybko, pamiętając jednak o śliskiej nawierzchni jezdni. Pomyślał o czekającej na niego w ciepłym łóżku Mary. „Obudź mnie, jak wrócisz. Czuję, że znowu będę miała na ciebie ochotę”.

Był doprawdy szczęściarzem. Wszystko jej wynagrodzę, obiecał sobie. Zorganizuję najwspanialszy miesiąc miodowy, o jakim może marzyć kobieta.

Niedaleko, przed skrzyżowaniem dwóch autostrad, stał znak „Stop”. Edward skręcił w drogę Siedemdziesiątą Siódmą i kiedy wyjechał na skrzyżowanie, nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się ciężarówka. Usłyszał głośny ryk klaksonu. Jego samochód znajdował się dokładnie pomiędzy dwoma jasnymi strumieniami przednich świateł samochodu, który pędził prosto na niego. Przez ułamek sekundy mignęła mu sylwetka walącej się na niego, ogromnej, pięcietonowej ciężarówki wojskowej, a ostatnim dźwiękiem, który usłyszał, był jego własny krzyk.

t

W Neuilly w ciszy spokojnego południa rozległ się głos dzwonów kościelnych. Zakurzony renault, krążący w pobliżu willi Marina Grozy, nie przyciągnął uwagi żandarmów, strze-

gących domu. Angel jechał powoli, ale nie za wolno, żeby nie wzbudzać podejrzeń, i rejestrował w pamięci najdrobniejsze szczegóły dotyczące willi. Dwóch strażników od frontu, wysoki mur, prawdopodobnie pod napięciem, a wewnątrz na pewno bezsensowne systemy alarmowe, czujniki, promienie podczerwone — jak wszędzie. Do zdobycia willi potrzebna byłaby cała armia. Ale ja nie potrzebuję armii, pomyślał Angel, tylko mojego talentu. Marin Groza jest już martwy. Gdyby tylko moja matka żyła i mogła zobaczyć, ile mam teraz pieniędzy! Jakże byłaby szczęśliwa.

W Argentynie biedne rodziny żyły w wielkiej nędzy, a matka Angela była jedną z owych nieszczęsnych *descamisados*. Nikt nie wiedział ani nie interesował się, kim był ojciec dziecka. Przez wiele lat Angel widział, jak krewni i znajomi umierają z głodu albo od różnych chorób. Śmierć była sposobem na życie, więc Angel doszedł filozoficznie do wniosku, że skoro i tak trzeba umrzeć, to dlaczego by na tym nie zarobić? Na początku byli tacy, którzy wątpili w zabójcze zdolności Angela, ale ci, którzy próbowali mu przeszkodzić, mieli dziwny zwyczaj znikania. Reputacja Angela jako mordercy rosła. Zawsze mi się udaje, pomyślał Angel. Jestem Aniołem — Aniołem Śmierci.

•

Na pokrytą śniegiem autostradę padała krwawoczerwona łuna błyskających świateł pojazdów. Stały tu wóz strażacki, ambulans, pojazd do holowania, cztery samochody patrolowe, wóz szeryfa, a w samym środku jasno oświetlona pięcioletnia ciężarówka wojskowa M871 z przyczepą i ledwie widoczny spod ciężarówki, zmiażdżony samochód Edwarda Ashleya. Kilku policjantów i strażaków kręciło się wokół, rozcierając dłonie i przytupując, aby trochę się rozgrzać, gdyż poranek był niezmiernie mroźny. Na środku drogi leżały



zwłoki mężczyzny, przykryte brezentem. Nadjechał samochód szeryfa i kiedy powoli hamował, wyskoczyła z niego Mary Ashley.

Była tak roztrzęsiona, że ledwo mogła utrzymać się na nogach. Zobaczyła ciało okryte brezentem i ruszyła w jego kierunku.

Szeryf Munster chwycił ją za ramię.

— Na pani miejscu nie oglądałbym tego.

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła.

Wyrwała się i pobiegła w stronę brezentu.

— Pani Ashley, bardzo panią proszę. Lepiej, żeby pani nie widziała, jak on wygląda.

Zdażył ją złapać i przytrzymać, kiedy padała zemdlnona.

Ocknęła się w samochodzie szeryfa na tylnym siedzeniu. Szeryf Munster siedział z przodu, patrząc na Mary. W samochodzie było włączone ogrzewanie i zrobiło się bardzo duszno.

— Co się stało? — spytała tępo Mary.

— Zemdlała pani.

Nagle sobie przypomniała: „Lepiej, żeby pani nie widziała, jak on wygląda”.

Patrzyła przez okno na pojazdy ratunkowe i czerwone, błyskające światła i myślała, że tak właśnie wygląda piekło. Pomimo gorąca panującego w samochodzie, szczękały jej zęby.

— Jak... — Słowa przychodziły jej z wielką trudnością. — Jak to się s... stało?

— Zlekceważył znak stopu. Ciężarówka jechała Siedemdziesiątą Siódmą i kierowca próbował ominąć jego samochód, ale pani mąż wyjechał prosto na niego.

Zamknęła oczy i w duchu wyobraziła sobie cały wypadek. Zobaczyła ciężarówkę najeżdżającą na Edwarda i poczuła panikę, która ogarnęła go w tym ostatnim momencie.

— Edward był bardzo o... ostrożnym kierowcą. Nigdy nie z... zlekceważyłby znaku stopu. — Tylko taka odpowiedź przyszła jej do głowy.

Szeryf popatrzył na nią ze współczuciem.

— Pani Ashley, mamy naocznych świadków. Ksiądz i dwie zakonnice widzieli, jak to się stało, a także pułkownik Jenkins z Fortu Riley. Wszyscy powiedzieli to samo. Pani mąż zignorował znak stopu.

Od tego momentu wszystko się działo jakby w zwolnionym tempie. Mary patrzyła, jak wkładano ciało Edwarda do ambulansu. Policja przesłuchiwała księdza i obie zakonnice, a Mary pomyślała, że przecież mogą się przeziębić, stojąc tak na mrozie.

— Zabierają ciało do kostnicy — powiedział szeryf.

Ciało.

— Dziękuję — odpowiedziała grzecznie.

Szeryf przyjrzał się jej bacznie i poczuł się nieswojo.

— Najlepiej będzie, jeśli zabiorę panią teraz do domu — powiedział. — Jak się nazywa pani lekarz rodzinny?

— Edward Ashley — odparła Mary. — Lekarz naszej rodziny nazywa się Edward Ashley.

Później pamiętała, że szła do domu i że szeryf Munster wprowadził ją do środka. W salonie czekali na nią Florence i Douglas Schifferowie. Dzieci wciąż jeszcze spały.

Florence objęła ją mocno.

— Och, kochanie, strasznie mi przykro.

— W porządku — powiedziała Mary spokojnie. — Edward miał wypadek. — Zachichotała.

Douglas spojrzął na nią uważnie.

— Pozwól, że cię zaprowadzę na górę.

— Nic mi nie jest, dziękuję. Może napijecie się herbaty?

— Chodź, położę cię do łóżka — powtórzył Schiffer.

— Nie jestem wcale śpiąca. Naprawdę nie macie na nic ochoty?

Kiedy Douglas prowadził ją po schodach do sypialni, Mary powiedziała do niego:

— To był wypadek. Edward miał wypadek.

Spojrzał w jej oczy. Były szeroko otwarte i puste. Przeszedł go dreszcz.

Zszedł na dół po torbę z lekarstwami. Kiedy wrócił, Mary wciąż tkwiła nieruchomo w tym samym miejscu.

— Dam ci coś, co pomoże ci zasnąć.

Podał jej środek uspokajający, pomógł wejść do łóżka i usiadł przy niej. Minęła godzina, a Mary wciąż nie spała.

Douglas dał jej drugą tabletkę, a potem jeszcze jedną. Po tej dawce Mary wreszcie usnęła.

W Junction City obowiązuje ściśle przestrzegana procedura postępowania śledczego, dotycząca raportów o numerze kodowym 1048 — czyli wypadków samochodowych, w których osoby doznały obrażeń cielesnych. Na miejsce wypadku wysyłany jest ambulans Pogotowia Ratunkowego, wzywany jest również oficer z biura szeryfa. Jeśli w wypadek zamieszana jest osoba wojskowa, wówczas włącza się do śledztwa CID — Wojskowy Urząd Śledczy.

Shel Planchard, oficer cywilny z CID przy kwaterze głównej w Fort Riley, szeryf i jego zastępca siedzieli w biurze szeryfa, badając raport o wypadku.

— Ja tego nie rozumiem — powiedział szeryf Munster.

— Czego pan nie rozumie, szeryfie? — spytał Planchard.

— No cóż, chociażby ten fragment. Było pięciu świadków wypadku, tak? Ksiądz, dwie zakonnice, pułkownik Jenkins i kierowca ciężarówki, sierżant Wallis. Wszyscy zeznali, że samochód doktora Ashleya skręcił na autostradę, minął bez zatrzymania znak stopu, po czym został uderzony przez ciężarówkę.

— Tak jest — zgodził się Planchard. — I co pan w tym widzi niezwykłego?

Munster podrapał się po głowie.

— Proszę pana, czy widział pan kiedykolwiek raport z wypadku, w którym chociaż dwóch naocznych świadków zeznało dokładnie to samo? — Uderzył dłonią w papiery leżące na stole. — To mnie właśnie dziwi, że każdy z nich mówi słowo w słowo to samo.

Planchard wzruszył ramionami.

— To po prostu dowodzi, że było tak, a nie inaczej.

— Jest jeszcze inny drobny szczegół, który wzbudza moją podejrzliwość — dodał szeryf.

— Mianowicie?

— Co też ksiądz, dwie zakonnice i pułkownik mogli robić o czwartej rano na Siedemdziesiątej Siódmej autostradzie?

— Nie ma w tym nic zagadkowego. Ksiądz i siostry byli w drodze do Leonardville, a pułkownik wracał właśnie do Fortu Riley.

— Poza tym — mówił dalej szeryf — sprawdziłem w Wydziale Komunikacji. Ostatni mandat doktor Ashiey zapłacił sześć lat temu za nieprawidłowe parkowanie. Nigdy nie miał żadnego wypadku.

Oficer z CID obserwował go bacznie.

— Czy pan coś sugeruje, szeryfie?

Munster wzruszył ramionami.

— Ja niczego nie sugeruję. Po prostu to wszystko wydaje mi się trochę dziwne.

— Rozmawiamy o wypadku, który widziało pięć osób. Jeśli pan uważa, że kryje się w tym jakaś tajemnica, to muszę powiedzieć, że pańska teoria ma duże braki. I...

Szeryf kiwnął głową.

— Wiem, wiem. Gdyby nie był to zwykły wypadek, to kierowca ciężarówki walnąby po prostu w ten samochód i pojechał dalej. Nie byłoby tych wszystkich świadków i całego zamieszania.

— Właśnie. — Planchard wstał i przeciągnął się. — No, muszę wracać do bazy. Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że kierowca ciężarówki, sierżant Willis, jest niewinny. — Spojrzał na szeryfa. — Zgadza się pan ze mną?

— Tak. To musiał być wypadek — odpowiedział z ociąganiem szeryf Munster.

Mary obudził płacz dzieci. Leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. To jest dalszy ciąg mojego nocnego koszmaru, pomyślała. Wciąż jeszcze śpię, a kiedy się obudzę, Edward będzie przy mnie, żywy i zdrowy.

Ale płacz dzieci nie ustawał. W końcu Mary otworzyła

oczy i leżała, wpatrując się w sufit. Wreszcie niechętnie podniosła się i wstała z łóżka. Czuła się odurzona jak po alkoholu. Poszła do pokoju Tima, były tam również Beth i Florence. Wszyscy troje płakali. Jaka szkoda, że ja nie mogę płakać, przemknęło jej przez myśl. Bardzo chciałabym móc płakać.

Beth podniosła na nią wzrok.

— Cz... czy tatuś naprawdę n... nie żyje ?

Mary skinęła tylko głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Usiadła na brzegu łóżka.

— Musiałam im powiedzieć — odezwała się Florence.

— Zamierzali iść bawić się z innymi dziećmi.

— Dobrze zrobiłaś. — Mary pogłaskała Tima po głowie.

— Nie płacz, kochanie, wszystko będzie w porządku.

Nic nie miało być w porządku.

Nigdy.

Komenda Wojskowa Urzędu Śledczego Armii Stanów Zjednoczonych w Forcie Riley mieści się w bloku 169, starym budynku otoczonym drzewami. Do jego wejścia prowadzą długie schody. W biurze na pierwszym piętrze oficer Shel Planchard rozmawiał z pułkownikiem Jenkinsem.

— Obawiam się, że przynoszę niedobre wieści, sir. Sierżant Willis, kierowca ciężarówki, która zabiła tego cywilnego lekarza...

— Tak?

— ... zmarł dziś rano na atak serca.

— To okropne.

— Tak. Jego ciało jeszcze dziś zostanie poddane kremacji. To stało się tak nagle.

— Niestety — pułkownik wstał — przenoszą mnie za ocean. — Uśmiechnął się lekko. — Dostałem awans.

— Gratuluję. Zasłużył pan na to.

Dużo później Mary stwierdziła, że jedynie fakt, iż przez cały ten czas znajdowała się w stanie szoku, ocalił ją przed

utrata zmysłów. Wszystko, co się wydarzyło, zdawało się dotyczyć kogoś innego. Miała wrażenie, jakby znajdowała się pod wodą: poruszała się w zwolnionym tempie, głosy innych docierały do niej przytłumione, jakby zza ściany.

Ceremonia pogrzebowa odbyła się w Domu Pogrzebowym Mass-Hinitt-Alexander przy ulicy Jeffersona. Był to niebieski budynek z pomalowanym na biało portykiem, nad którym wisiał wielki, biały zegar. Duży hol dosłownie pękał w szwach, tak tłumnie przybyli przyjaciele i znajomi Edwarda. Mnóstwo wiązanek i wieńców. Do jednego z największych dołączona była karta z napisem: „Z głębokim współczuciem — Paul Ellison”.

Mary, Beth i Tim siedzieli w małym pokoju dla rodziny przy holu. Dzieci były spokojne, tylko oczy miały zaczerwienione od płaczu.

Trumna, w której spoczywało ciało Edwarda, została zamknięta. Mary bała się myśleć o tym, co miało teraz nastąpić.

— Boże — przemówił pastor. — Tyś jest naszym Przeznaczeniem. Przez wszystkie pokolenia, zanim powstały góry, ziemia i świat cały, po wszystkie wieki wieków Ty jesteś naszym Panem. I dlatego nie boimy się niczego. Nawet jeśli ziemia przestanie istnieć, a góry opadną na dno morza...

Mary i Edward siedzieli w małej żaglówce na jeziorze Milford.

— Lubisz żeglować? — spytał podczas ich pierwszej randki.

— Nigdy nie próbowałam.

— A więc w sobotę — odparł. — Jesteśmy umówieni.

W tydzień później pobrali się.

— Czy wie pani, dlaczego się z panią ożeniłem? — żartował Edward. — Bo zdałaś egzamin. Dużo się śmiałaś i nie wypadłaś za burtę.

Kiedy ceremonia się skończyła, Mary i dzieci wsiedli do długiej, czarnej limuzyny, która ruszyła na czele konduktu żałobnego na cmentarz.

Cmentarz Highland przy ulicy Ash wygląda jak rozległy park, wokół którego biegnie droga wysypana żwirem. Jest to najstarszy cmentarz w Junction City. Wiele nagrobków znisz-

czył czas. Z powodu zimna, przenikającego do szpiku kości, pogrzeb nie trwał długo.

— Jam jest Zmartwychwstaniem i Życiem. Kto wierzy we mnie, choćby i umarł, żyć będzie, a każdy, kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki. Oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata.

Wreszcie pogrzeb się skończył. Mary i dzieci stali na wietrze, patrząc, jak trumna zanurza się powoli w zamrażającą, nieczułą ziemię.

Żegnaj, najdroższy.

Śmierć oznacza zwykle koniec, ale dla Mary Ashley śmierć męża była początkiem prawdziwego piekła. Nieraz rozmawiała z Edwardem o śmierci i była przekonana, że potrafi pogodzić się z tym, co nieuniknione, ale teraz, kiedy śmierć tak nagle i nieoczekiwanie stała się przerażającą rzeczywistością, Mary nie umiała sobie z tym poradzić. To już nie było coś, co miało nastąpić kiedyś, w odległej przyszłości, i nie było sposobu, żeby to zmienić. Wszystko w niej wołało przeciwko temu, co stało się z Edwardem. Wraz z jego śmiercią umarło to, co najlepsze. Za każdym razem, kiedy o tym myślała, wciąż na nowo doznawała szoku. Chciała być sama. Zamknęła się głęboko w sobie, czując się jak małe, przerażone dziecko, porzucone przez troskliwego opiekuna. Złorzeczyła nawet Bogu. Dlaczego nie zabrałeś najpierw mnie, pytała z gniewem. Była wściekła na Edwarda za to, że ją opuścił, wściekła na dzieci, wściekła na siebie samą.

Jestem trzydziestopięcioletnią kobietą z dwojgiem dzieci i nie wiem, kim jestem. Kiedy byłam panią Edwardową Ashley, miałam jakąś tożsamość, należałam do kogoś, kto należał do mnie.

Czas mijał, pogłębiając pustkę. Jej życie toczyło się jak pociąg, nad którym nie miała kontroli.

Florence i Douglas Schifferowie i wielu innych znajomych próbowali ją pocieszać, ale Mary wolałaby, żeby dali jej spokój

i zostawili ją samą. Któregoś popołudnia Florence przyszła do Mary i zastała ją siedzącą przed telewizorem, oglądającą mecz piłki nożnej.

— Nawet nie zauważyła, że weszłam — opowiadała potem mężowi — tak rozpaczliwie skoncentrowana była na grze. Aż mnie dreszcz przeszedł.

— Dlaczego?

— Mary nie cierpi piłki nożnej. To Edward zawsze oglądał każdy mecz.

Mary musiała zebrać resztkę sił, by uporać się ze sprawami, które należało załatwić po śmierci Edwarda. Był przecież testament i ubezpieczenie, konto w banku, podatki, wszelkiego rodzaju opłaty, pożyczki i majątek. Miała ochotę krzyknąć na prawników, bankierów i księgowych, żeby zostawili ją w spokoju.

Nie wytrzymam tego, szlochała. Edward odszedł, a wszyscy chcieli rozmawiać tylko o pieniądzach.

Ale w końcu musiała stawić temu czoło.

— Obawiam się, pani Ashley — powiedział Frank Dunphy, prawnik Edwarda — że większość pieniędzy z ubezpieczenia pochłoną rachunki i opłaty za pogrzeb. Pani mąż niezbyt dbał o to, żeby jego pacjenci płacili rachunki. Wiele osób winnych mu jest pieniądze. Dopilnuję, by agencja zajęła się uregulowaniem należności od...

— Nie — odparła ostro Mary. — Edward by tego nie chciał. Dunphy nie bardzo wiedział, co ma robić.

— Cóż, w takim razie pani stan majątkowy wynosi trzydzieści tysięcy dolarów w gotówce i dom, na którym jest dług hipoteczny. Jeśli sprzeda pani dom...

— Edward nie chciałby, żebym go sprzedała.

Siedziała sztywna i nieruchoma, pogrążona w cierpieniu, a Dunphy pomyślał, że wiele by dał za to, żeby jego żona tak go kochała.

Ale najgorsze miało dopiero przyjść. Nadszedł czas, aby zrobić porządek z rzeczami osobistymi Edwarda. Florence zaproponowała Mary pomoc, ale ona odrzekła:

— Nie. Edward wolałby, żebym zrobiła to sama.



W domu było wiele drobiazgów, należących do Edwarda: tuzin fajek, świeża puszka tytoniu, dwie pary okularów do czytania, notatki do wykładu, którego już nigdy nie wygłosi. Mary otworzyła szafę i przesunęła dłonią po garniturach Edwarda, których nigdy już nie miał włożyć. Niebieski krawat, który miał na sobie w noc, kiedy ostatni raz byli razem. Rękawiczki i szalik, które nosił w mroźne dni zimowe. Nie będzie ich potrzebował w zimnym grobie. Poruszając się jak automat, ostrożnie odłożyła na bok jego maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów.

Znalazła listy miłosne, które pisali do siebie, i to przywołało wspomnienia dawnych chudych, ale szczęśliwych lat, kiedy Edward dopiero zaczynał praktykę lekarską: obiad bez indyka w Dniu Dziękczynienia; pikniki latem i jazdę saniami zimą; jej pierwszą ciążę, podczas której oboje czytali książki i puszczały muzykę klasyczną, żeby Beth uczyła się tego, jeszcze będąc w łonie matki; list miłosny, który Edward napisał, kiedy urodził się Tim; pozłacane jabłko, które podarował jej, kiedy zaczęła uczyć, i wiele innych słodkich rzeczy, które wycisnęły jej łzy z oczu. Jego śmierć była jakby okrutną sztuczką czarnoksiężnika. W jednym momencie Edward był tutaj żywy, mówiący, śmiejący się, kochający, a w następnym momencie zniknął w zimnej ziemi.

Jestem przecież dorosłym człowiekiem, myślała. Muszę się z tym pogodzić. Nie jestem wcale dorosła. Nie mogę się z tym pogodzić. Nie mam ochoty żyć.

Nocą leżała w łóżku nie śpiąc i myślała, że łatwo mogłaby dołączyć do Edwarda, przerwać to powolne konanie, znaleźć ukojenie. Dorastamy z przekonaniem, że kiedyś przyjdzie szczęśliwy i spokojny kres, rozmyślała Mary. Ale nie ma szczęśliwego końca. Jest tylko ciągle czyhająca na nas śmierć. Znajdujemy miłość i szczęście, aż nagle, ni stąd, ni zowąd, jest to nam odbierane. Żyjemy na opuszczonym statku kosmicznym, dryfującym bez celu na morzu gwiazd. Świat to ogromne Dachau, a my wszyscy jesteśmy Żydami.

Po jakimś czasie, zmęczona, zasnęła, ale w środku nocy jej krzyk obudził dzieci, które natychmiast przybiegły do pokoju i weszły do łóżka, tuląc się do niej mocno.

— Ty nie umrzesz, prawda? — wyszeptał Tim.  
Nie mogę ze sobą skończyć, pomyślała Mary. Jestem im potrzebna. Edward nigdy by mi tego nie wybaczył.

Musiała więc jakoś żyć. Dla nich. Musiała dać im miłość, której Edward nie mógł im już dać. Bez Edwarda, myślała, jesteśmy tacy bezradni. Bardzo potrzebujemy siebie nawzajem. To czysta ironia, że tak ciężko nam znieść jego śmierć, ponieważ było nam tak dobrze razem. Jest wiele powodów, dla których za nim tęsknimy, wiele wspomnień, które są już tylko wspomnieniami. Gdzie jesteś, Boże? Czy słyszysz mnie? Pomóż mi. Błagam, pomóż mi.

Ring Lardner powiedział kiedyś: „Troje z trojga umrą, więc zamknij się i żyj”. Muszę dać sobie radę. Jestem potworną egoistką. Zachowuję się tak, jakbym była jedyną osobą na świecie, którą spotkało nieszczęście. Bóg wcale nie próbuje mnie ukarać. W życiu ciągle spotyka nas coś nieoczekiwanego. W tej chwili gdzieś na świecie ktoś traci dziecko, zjeżdża na nartach, przeżywa orgazm, obcina włosy, cierpi na łożu boleści, śpiewa na scenie, tonie, żeni się, głoduje. W końcu, czy nie jesteśmy wszyscy tacy sami? Setki milionów lat trwa wieczność, a całe wieki temu każdy atom w naszym ciele był częścią jakiegoś ciała niebieskiego. Boże, zwróć na mnie swój wzrok. Jesteśmy przecież częścią Twego wszechświata i jeśli umrzemy, część Twego wszechświata umrze razem z nami.

\* \* \*

Edward był wszędzie.

Był w piosenkach nadawanych przez radio, we wzgórzach, obok których wiele razy przejeżdżali razem. Był w łóżku, obok niej, kiedy budził ją wschód słońca.

Muszę wcześniej wstać, kochanie. Czeka mnie dzisiaj ciężki dzień: będę robić histerektomię i operację biodra.

Słyszała jego głos bardzo wyraźnie. Zaczęła z nim rozmawiać. Martwię się o dzieci, Edwardzie, mówiła. Nie chcą chodzić do szkoły. Beth mówi, że boją się, iż kiedy wrócą do domu, mnie może tam nie być.

Każdego dnia Mary chodziła na cmentarz, gdzie stała na mrozie, pogrążona w rozpacz, rozmyślając nad tym, co utraciła na zawsze. Było jej bardzo ciężko na sercu. Nie ma cię tutaj, mówiła do Edwarda. Powiedz mi, proszę, gdzie jesteś...

Przypomniała sobie opowiadanie napisane przez Marguerite Yourcenar, zatytułowane *lak uratował się Wang-Fo*. Była to historia o chińskim malarzu, skazanym przez cesarza na śmierć za to, że kłamał malując na swych obrazach wspaniały, piękny świat, jakże inny od zwykłej rzeczywistości. Ale artyście udało się oszukać cesarza. Namalował łódź i na niej odплыł. Ja też chciałabym uciec, myślała Mary. Nie umiem żyć tutaj bez ciebie, najdroższy.

Florence i Douglas próbowali podnosić ją na duchu. Mówili jej, że Edward spoczywa w pokoju, że jest szczęśliwy i temu podobne rzeczy. Łatwo im było ją pocieszać, ale dla niej nie było pocieszenia. Ani teraz, ani nigdy.

Często budziła się w nocy i biegła do pokoju dzieci, by upewnić się, że są bezpieczne. Moje dzieci też kiedyś umrą, myślała. Wszyscy kiedyś umrzemy. Ludzie spokojnie spacerowali ulicami. Idioci, śmieją się, są szczęśliwi, a przecież oni wszyscy umierają. Ich godziny są policzone, a oni trwonią cenny czas grając w karty, chodząc do kina na głupie filmy czy oglądając bezsensowne mecze piłki nożnej. Chciała krzyknąć do nich, żeby się ocknęli, że ziemia jest wielką rzeźnią, należąca do Boga, a oni są bydłem, przeznaczonym na rzeź. Czy nie zdają sobie sprawy z tego, co czeka ich i wszystkich, których kochają?

Gorzka prawda docierała do niej powoli przez gęstą zasłonę smutku. Ludzie dobrze wiedzieli, jaki ich czeka los. Te ich gry były formą sprzeciwu, ich śmiech — rozpaczliwym aktem odwagi; odwagi płynącej ze świadomości nieuchronnie zbliżającego się końca, który czeka wszystkich. Jej strach i gniew powoli topniały i przemieniały się w podziw dla męstwa bliźnich. Powinam wstydić się za siebie, robiła sobie wyrzuty. Muszę odnaleźć swoją własną drogę w labiryncie czasu. Na końcu drogi każdy z nas zostaje sam, ale do tej pory powinniśmy trzymać się razem, pomagać sobie i wspierać się nawzajem.

Biblia mówi, że śmierć nie jest końcem, ale tylko przejściem z jednego stanu istnienia w inny. Edward nigdy przecież nie opuściłby jej i dzieci. Był gdzieś tutaj, pośród nich.

Wciąż prowadziła z nim rozmowy. Rozmawiałam z nauczycielem Tima dziś rano. Pytał, czy zamierzam wrócić do pracy na uniwersytecie. Powiedziałam mu, że jeszcze nie. Nie chcę zostawiać dzieci samych ani na moment. Tak bardzo mnie potrzebują. A ty myślisz, że powinnam wrócić?

Innym razem znowu mówiła: Douglas otrzymał awans, Edwardzie. Został kierownikiem personelu szpitala.

Czy Edward może ją słyszeć? Nie wiedziała. Czy w ogóle istnieje Bóg i życie pozagrobowe, czy to tylko bajka?

T.S. Eliot powiedział kiedyś: „Bez żadnego Boga człowiek nie jest nawet interesujący”.

Prezydent Paul Ellison, Stanton Rogers i Floyd Baker mieli spotkanie w Ovalnym Gabinetcie. Sekretarz stanu mówił:

— Panie prezydencie, powoli zaczynają na nas naciskać. Nie możemy już dłużej zwlekać z wyborem ambasadora w Rumunii. Chciałbym, żeby przejrzał pan listę, którą otrzymał ode mnie, i wybrał...

— Dziękuję, Floyd. Doceniam pańskie starania. Nadal jednak sądzę, że Mary Ashley byłaby najlepsza. Jej sytuacja rodzinna uległa zmianie. To, co dla niej było nieszczęściem, może stać się szansą dla nas. Chcę spróbować jeszcze raz zaproponować jej to stanowisko. Stan — zwrócił się do Rogersa — chciałbym, żebyś poleciał do Kansas i przekonał panią Ashley, żeby przyjęła to stanowisko.

— Jeśli pan sobie tego życzy, panie prezydencie.

\* \* \*

Mary przygotowywała właśnie obiad, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos telefonisty:

— Łączę z Białym Domem. Prezydent chce rozmawiać z panią Mary Ashley.

Nie teraz, pomyślała. Nie chcę rozmawiać ani z nim, ani z nikim.

Pamiętała swoje radosne podniecenie, wywołane jego poprzednim telefonem. Teraz nie miało to żadnego znaczenia.

— Mówi Mary Ashley — odparła — ale...

— Proszę zaczekać.

Po chwili odezwał się znajomy głos.

— Pani Ashley? Mówi Paul Ellison. Chciałbym, żeby pani wiedziała, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci pani męża. To musiał być wspaniały człowiek.

— Dziękuję, panie prezydencie. To bardzo miłe z pana strony, że przysłał pan kwiaty.

— Nie chciałbym zakłócać pani spokoju, pani Ashley, i zdaję sobie sprawę, że niewiele czasu minęło od tragedii, która panią spotkała, ale teraz, kiedy pani sytuacja domowa uległa zmianie, chcę panią prosić, by ponownie zastanowiła się nad propozycją przyjęcia stanowiska ambasadora.

— Bardzo dziękuję, ale nie mogłabym...

— Proszę mnie wysłuchać. Posłałem kogoś, żeby z panią porozmawiał. Nazywa się Stanton Rogers. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zechciała pani chociaż z nim się spotkać.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Jak mogła wyjaśnić, że jej świat został przewrócony do góry nogami, że całe jej życie zostało rozbite? Wszystko, co jej pozostało, to Beth i Tim. Zdecydowała w końcu, że spotka się z człowiekiem prezydenta i wtedy wyjaśni powody swej odmowy.

— Porozmawiam z nim, panie prezydencie, ale nie zmienię zdania.

Do lubianego baru na Boulevard Bineau wpadali często w wolnym czasie strażnicy z willi Marina Grozy w Neuilly. Czasami wstępował tu nawet Lev Pasternak. Angel usiadł przy stoliku stojącym w miejscu, z którego słychać było rozmowy innych. Z dala od willi i panującej w niej ścisłej dyscypliny strażnicy lubili sporo wypić, a kiedy wypili, zaczęli dużo mówić. Angel zaś słuchał, próbując znaleźć jakiś słaby punkt w systemie bezpieczeństwa willi. Zawsze istniał taki punkt. Tylko trzeba było być na tyle bystrym, żeby go odnaleźć.

Minęły trzy dni, zanim Angel usłyszał coś, co podsunęło mu pomysł na załatwienie sprawy, z którą przybył.

Jeden ze strażników mówił:

— Nie mam pojęcia, co Groza wyczynia z dziewczkami, które sobie sprowadza, ale za to one nieźle katuja go biczem. Powinniście usłyszeć, jak on krzyczy. Tydzień temu widziałem te bicze, które trzyma w swojej szafie...

Następnej zaś nocy:

— Kurewki sprowadzane przez naszego nieustraszonego dowódcę do willi to prawdziwe piękności. Przywożą je z różnych stron świata. Lev sam to załatwia. On jest naprawdę niegłupi, każda dziewczyna przyjeżdża tylko raz. W ten sposób nikt nie dobierze się do Grozy za pośrednictwem tych panienek.

To było wszystko, co Angel chciał wiedzieć.

Nazajutrz wczesnym rankiem Angel wynajął nowy samochód i pojechał do Paryża. Sex shop znajdował się na Montmartre przy placu Pigalle, w części zamieszkałej przez dziwki i alfonsów. Angel wszedł i przechadzając się wolno po sklepie, oglądał różne rzeczy. Znajdowały się tu kajdany i łańcuchy, hełmy z żelaznymi ćwiekami, skórzane spodnie z rozcięciami z przodu, przyrządy do masażu penisa, nadmuchiwane lalki z gumy i video-kasety z filmami porno. Były też sztuczne męskie członki, kremy o różnym przeznaczeniu oraz niemal dwumetrowe plecione bicze ze skóry, zakończone rzemieniami.

Angel wybrał jeden bicz, zapłacił gotówką i wyszedł.

Następnego ranka wrócił z biczem do sklepu. Kierownik spojrzał na niego i zawarczał z niechęcią:

— Nie ma zwrotów.

— Ja nie chcę zwrócić — wyjaśnił Angel. — Po prostu dziwnie się czuję, nosząc to ze sobą. Byłbym zobowiązany, gdyby mogli państwo wysłać to pod wskazany przeze mnie adres. Oczywiście zapłacę za tę przysługę.

Jeszcze tego samego dnia po południu Angel siedział w samolocie lecącym do Buenos Aires.

Starannie opakowany bicz dotarł do willi w Neuilly następnego dnia. Odebrał go jeden ze strażników przy bramie. Przeczytał uważnie plaketkę, otworzył paczkę i dokładnie obejrzał bicz. Kto by pomyślał, że nie wystarczy mu te, które ma, zdziwił się.

Przekazał bicz innemu strażnikowi, który zaniósł go do sypialni Grozy i umieścił w szafie pośród wielu innych.

## 10

Fort Riley, jeden z najstarszych fortów czynnej służby wojskowej w Stanach Zjednoczonych, został zbudowany w 1853 roku, kiedy Kansas wciąż jeszcze należało do Indian. Zadaniem żołnierzy była wówczas obrona pociągów przed napaścią oddziałów Indian, będących na wojennej ścieżce. Obecnie służył jako baza dla helikopterów i lądowisko dla mniejszych samolotów wojskowych.

Kiedy wylądował DC-7, którym przybył Stanton Rogers, powitali go komendant bazy i jego załoga. Obok czekała już limuzyna, żeby zawieźć Rogersa do domu Ashleyów. Zadzwoił do Mary i umówił się na spotkanie zaraz po telefonie prezydenta.

— Obiecuję, że moja wizyta nie zajmie pani dużo czasu, pani Ashley. Zamierzam przylecieć w poniedziałek po południu, jeśli to pani odpowiada.

Jest taki uprzejmy, pomyślała Mary. Poza tym to ważna osobistość. Dlaczego prezydent przysłała go, żeby ze mną porozmawiał?

— Dobrze. Czy zje pan z nami obiad? — spytała machinalnie.

Zawahał się.

— Tak, dziękuję.

To będzie długi i nudny wieczór, westchnęła w duchu.

Florence Schiffer osłupiała, kiedy usłyszała tę nowinę.

— Doradca prezydenta do spraw zagranicznych przyjeżdża tutaj na obiad? To oznacza, że zamierzasz przyjąć ich propozycję!

— Florence, to nic takiego nie znaczy. Obiecałam prezydentowi, że porozmawiam. I to wszystko.

Florence objęła Mary i uściśnęła serdecznie.

— Ja po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa.

— Wiem o tym.

Mary zdziwiła się, że Stanton Rogers jest tak potężnym mężczyzną. Widywała go nieraz w telewizji i na fotografiach w „Timie”, ale na żywo wydawał jej się jeszcze większy. Był uprzejmy, ale czuło się pewien dystans w jego zachowaniu.

— Niech mi będzie wolno jeszcze raz wyrazić szczere współczucie z powodu tragedii, która panią spotkała, pani Ashley.

— Dziękuję.

Przedstawiła mu Beth i Tima. Podczas gdy gość i dzieci rozmawiali o tym i o owym, Mary poszła do kuchni, żeby sprawdzić, jak Lucinda daje sobie radę z obiadem.

— Wszystko już gotowe — oświadczyła Lucinda. — Ale jestem pewna, że nic nie będzie mu smakować.

Kiedy Mary poinformowała ją, że Stanton Rogers będzie u nich na obiedzie i powiedziała, żeby przygotować pieczony schab, ta oburzyła się.

— Ludzie tacy jak pan Rogers nie jadają pieczonego schabu.

— Tak? A co oni jadają?

— Chateaubriand i crepes suzette.

— A my będziemy jeść pieczony schab.

— Dobrze — odparła Lucinda z uporem — ale to nie jest odpowiedni obiad.

Do schabu przygotowała tłuczone ziemniaki, warzywa i sałatkę. Na deser upiekła placek z dyni. Stanton Rogers wymiół talerz do czysta.

Podczas obiadu Mary dyskutowała z nim o problemach, z którymi borykają się farmerzy.

— Farmerzy zamieszkujący Środkowy Zachód są w po-



trzasku. Z jednej strony grożą im niskie ceny, a z drugiej nadprodukcja — mówiła z przejęciem. — Są zbyt biedni, aby dać sobie radę, a jednocześnie zbyt dumni, by zrezygnować z tego, co posiadają.

Potem rozmawiali o bogatej historii Junction City, aż w końcu Rogers sprowadził dyskusję na temat Rumunii.

— Jaka jest pani opinia o rządzie prezydenta Ionescu? — spytał.

— W Rumunii nie istnieje rząd w prawdziwym tego słowa znaczeniu — odparła. — Ionescu sam jest rządem. Posiada absolutną władzę.

— Czy sądzi pani, że może tam dojść do rewolucji?

— Nie w obecnej sytuacji. Jedynym człowiekiem na tyle potężnym, żeby usunąć Ionescu, jest Marin Groza, ale on przebywa na wygnaniu we Francji.

Badanie trwało. Doskonale orientowała się we wszystkich sprawach dotyczących krajów zza żelaznej kurtyny i wywarło to na Rogersie ogromne wrażenie. Mary natomiast przez cały wieczór miała dziwne uczucie, że jest przesłuchiwana. I właściwie nie myliła się.

Paul miał rację, myślał Rogers. Ona rzeczywiście jest autorytetem w sprawach Rumunii. I jeszcze coś: potrzebowali kogoś, kto byłby przeciwieństwem typowego „niedobrego Amerykanina”, a Mary idealnie pasowała do tej roli. Ona wraz z dziećmi stanowiła śliczną amerykańską rodzinę; coś, co każdy łatwo kupi. Stanton był coraz bardziej podniecony tą myślą. Ona mogła być przydatna bardziej niż przypuszczała.

Pod koniec wieczoru Rogers powiedział:

— Pani Ashley, będę z panią szczerzy. Początkowo byłem przeciwny temu, żeby prezydent mianował panią na tak dla nas ważne stanowisko. Powiedziałem mu to. I mówię to pani teraz, ponieważ zmieniłem zdanie. Uważam, że może być pani doskonałym ambasadorem.

Mary potrząsnęła głową.

— Przykro mi, panie Rogers. Nie jestem politykiem, jestem tylko amatorem.

— Kilku naszych najlepszych ambasadatorów było rów-

nież amatorami, jak to słusznie zauważył prezydent Ellison. Znaczy to po prostu, że nie zdobyli swego doświadczenia i wiedzy dzięki pracy za granicą. Walter Annenberg, nasz poprzedni ambasador w Zjednoczonym Królestwie Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii, był wydawcą gazety.

— Ja nie jestem...

— John Kenneth Galbraith, nasz ambasador w Indiach, był z kolei profesorem. Mikę Mansfield zaczynał jako dziennikarz, potem został senatorem, a następnie wyznaczono go na ambasadora w Japonii. Mógłbym wymienić jeszcze z tuzin podobnych przykładów. Wszyscy ci ludzie byli, jak to pani nazywa, amatorami. Mieli za to niepospolity intelekt, kochali swój kraj i mieli dużo życzliwości dla obywateli kraju, do którego zostali posłani.

— Pan sprawia, że to wszystko wydaje się takie proste.

— Jak pani zapewne wie, została pani bardzo dokładnie sprawdzona. Nigdy nie miała pani żadnych konfliktów z prawem, regularnie płaci pani podatki. Rektor Hunter uważa, że jest pani znakomitą wykładowcą, no i oczywiście ekspertem w sprawach dotyczących Rumunii. Ma pani doskonały start. I jeszcze rzecz ostatnia i najważniejsza: reprezentuje pani to wszystko, co prezydent chciałby pokazać krajom zza żelaznej kurtyny, gdzie wciąż karmi się wszystkich wrogą dla nas propagandą.

Mary słuchała go zamyślona.

— Panie Rogers, chcę, aby zarówno pan, jak i prezydent wiedzieli, że doceniam wszystko, co pan powiedział. Ale nie mogę się zgodzić. Muszę myśleć o Beth i Timie. Nie mogę przecież wyrwać ich tak po prostu, jak...

— W Bukareszcie jest bardzo dobra szkoła dla dzieci dyplomatów — odparł Stanton. — Życie w obcym kraju byłoby dla Tima i Beth wspornikiem edukacją. Nauczyliby się na pewno wielu rzeczy, których nigdy nie nauczą się tutaj.

Rozmowa przybierała zupełnie inny obrót, niż to zaplanowała Mary.

— Ja nie... Zastanowię się nad tym.

— Zostaję w mieście na noc — rzekł Rogers. — Zatrzymam się w motelu „Ali Seasons”. Niech mi pani wierzy,

pani Ashley, że zdają sobie sprawę, jak ważna jest to dla pani decyzja. Ten program jest istotny nie tylko dla prezydenta, ale również dla naszego kraju. Proszę o tym pomyśleć.

Po wyjściu Rogersa Mary poszła na górę. Dzieci czekały na nią podniecone.

— Zamierzasz się zgodzić? — spytała Beth.

— Musimy porozmawiać. Jeśli zgodzę się, będzie to oznaczać, że musicie opuścić szkołę i wszystkich przyjaciół. Będziecie żyć w innym kraju, gdzie ludzie mówią językiem, którego my nie znamy, i będziecie chodzić do innej szkoły.

— Rozmawialiśmy o tym z Timem — powiedziała Beth — i wiesz, co myślimy?

— Co?

— Że każdy kraj miałby szczęście, gdybyś była w nim ambasadorem, mamo.

Tej samej nocy rozmawiała z Edwardem. Powinieneś być go słyszeć; brzmiało to tak, jakby prezydent rzeczywiście mnie potrzebował. Bardzo mi to pochwaliło, chociaż dobrze wiem, że istnieje prawdopodobnie milion osób, które bardziej by się do tego nadawały. Pamiętasz, jak ty i ja rozmawialiśmy o tym, jakie byłoby to ekscytujące? Cóż, znów mam tę szansę i nie wiem, co zrobić. Prawdę mówiąc, jestem przerażona. To jest nasz dom. Czy umiałabym go zostawić? Jest tu tak wiele ciebie. Rozpłakała się. To wszystko, co mi z ciebie zostało. Pomóż mi podjąć decyzję. Proszę, pomóż mi...

Siedziała w szlafroku przy oknie, patrząc na drzewa kołyszące się na wietrze.

O świcie zdecydowała się.

O dziewiątej rano Mary zadzwoniła do motelu „Ali Seasons” i poprosiła Stantoną Rogersa.

Kiedy podszedł do telefonu, powiedziała:

— Panie Rogers, proszę przekazać prezydentowi, że będę zaszczycona, przyjmując jego nominację na ambasadora.

Ta jest jeszcze ładniejsza niż inne, pomyślał strażnik. Nie wyglądała na prostytutkę. Mogłaby być aktorką lub modelką. Miała może ze dwadzieścia lat, długie blond włosy i świeżą, mlecznobiałą karnację. Była w eleganckiej sukni.

Lev Pasternak sam po nią wyszedł do bramy i zaprowadził do domu. Dziewczyna miała na imię Bisera, była Jugosłowianką. Do Francji przybyła po raz pierwszy. Widok uzbrojonych strażników sprawił, że trochę się zdenerwowała. Ciekawe, w co się wpakowałam, pomyślała. Alfons wręczył jej powrotny bilet lotniczy i powiedział tylko tyle, że dostanie dwa tysiące dolarów za kilkugodzinną robotę.

Pasternak zapukał do drzwi sypialni Grozy i usłyszał jego głos:

— Proszę wejść.

Lev otworzył drzwi i wprowadził dziewczynę do pokoju. Marin Groza stał przy łóżku. Miał na sobie szlafrok. Dziewczyna widziała, że poza tym był nagi.

— To jest Bisera — odezwał się Pasternak. Nie wymienił jednak nazwiska Grozy.

— Dobry wieczór, moja droga. Wejdz, proszę.

Lev wyszedł, zamykając za sobą starannie drzwi. Groza został sam z dziewczyną.

Podeszła do niego i uśmiechnęła się kusząco.

— Zdaje się, że dobrze się czujesz. A może i ja się rozbiore i obojgu nam będzie przyjemnie? — Powoli zaczęła zdejmować sukienkę.

— Nie, nie rozbieraj się, proszę.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie chcesz, żebym...

Groza podszedł do szafy i wybrał bicz.

— Chcę, żebyś użyła tego.

A więc o to chodziło: sadomasochizm. Dziwne, nie wyglądał na takiego. Nigdy nic nie wiadomo, pomyślała Bisera.

— Dobra, złotko, cokolwiek cię podnieca.

Groza zdjął szlafrok i odwrócił się. Widok jego pokale-

czonogo ciała zaszokował Bisere — całe plecy pokryte okropnymi bliznami. W tym człowieku było coś, co ją zastanowiło, a kiedy domyśliła się, co to było, zdziwiła się jeszcze bardziej. Ból. Ten mężczyzna ogromnie cierpiał. Dlaczego chciał, żeby go biczować? Patrzyła, jak podszedł do stołka i na nim usiadł.

— Mocno — powiedział. — Bij mocno.

— Tak jest. — Wzięła do ręki długi, skórzany bicz. Sadomasochizm nie był dla niej niczym nowym, ale w tym wypadku wyczuwała coś dziwnego, czego nie mogła zrozumieć. W końcu to nie moja sprawa, zdecydowała; bierz forsę i w nogi.

Uniosła bicz i uderzyła w nagie plecy mężczyzny.

— Mocniej — nalegał. — Jeszcze mocniej.

Drzął przy każdym uderzeniu ostrej skóry pejcza. Raz... i drugi... i jeszcze raz... i jeszcze, mocniej i mocniej. Wtedy zobaczył obraz, na który czekał. Ujrzał scenę gwałtu, dokonanego na jego żonie i córce. Był to gwałt zbiorowy — śmiejący się żołnierze przechodzili od kobiety do dziecka, mieli opuszczone spodnie i czekali w rzędzie na swoją kolej. Groza naprężył wszystkie mięśnie, jakby chciał rozerwać jakieś niewidzialne pęta. Przy każdym uderzeniu bicia słyszał krzyki żony i córki. Błagające o litość, krztuszące się penisami mężczyzn, wpychanymi im w usta, gwałcone od przodu i od tyłu jednocześnie, aż zaczęły krwawić i w końcu ich krzyki ustały.

— Mocniej! — jęczał Groza i z każdym trzaskiem bicia czuł na nowo ostrze noża wrzynające się w jego genitalia, kastrujące go.

— Zawołaj... zawołaj... — Jego głos przeszedł w charkot. Czuł, że nie może oddychać.

Dziewczyna zatrzymała się z biczem uniesionym do góry.

— Hej! Dobrze się czujesz? Ja...?

Patrzyła, jak runął na podłogę. Jego oczy były szeroko otwarte i nieruchome.

— Pomocy! Pomocy! — krzyknęła Bisera.

Wbiegł Pasternak z rewolwerem w dłoni. Zobaczył postać na podłodze.

— Co się stało?

Bisera wpadła w histerię.

— On nie żyje! Nie żyje! Ja mu nic nie zrobiłam. Ja go tylko biczowałam, tak jak kazał, przysięgam!

Po kilku sekundach wbiegł lekarz, mieszkający na stałe w willi. Spojrzał na ciało Grozy i pochylił się, aby je dokładnie obejrzeć. Skóra była sina, a mięśnie zesztyniałe.

Podniósł bicz i powąchał.

— Co jest ?

— Cholera! Kurara. To wyciąg z rośliny rosnącej w Ameryce Południowej. Inkowie używali jej do strzał, żeby zabijać wrogów. W ciągu trzech minut paraliżuje cały układ nerwowy.

Obaj mężczyźni stali, patrząc bezsilnie na martwe ciało swego przywódcy.

Wiadomość o zamordowaniu Marina Grozy została przekazana wszędzie poprzez satelity. Pasternak zdołał utrzymać w tajemnicy okoliczności, w jakich nastąpiła śmierć. W Waszyngtonie prezydent spotkał się ze Stantonem Rogersem.

— Jak sądzisz, kto za tym stoi, Stan?

— Albo Rosjanie, albo Ionescu. W zasadzie to to samo, nieprawdaż? Nie życzyli sobie żadnych zmian.

— A więc będziemy mieć do czynienia z Ionescu. Postarajmy się, żeby Mary Ashley pojechała tam jak najszybciej.

— Ona jest już w drodze tutaj.

— To dobrze.

Słuchając wiadomości, Angel uśmiechnął się. Stało się to szybciej niż przypuszczał.

O dwudziestej drugiej zadzwonił prywatny telefon i Zwierzchnik podniósł słuchawkę.

— Halo?

Usłyszał gardłowy głos Neusy Muñez.

— Angel widział dzisiejsze gazety. Powiedział, żebyście przesłali pieniądze na jego konto w banku.

— Proszę mu powiedzieć, że natychmiast się tym zajmę. I proszę dodać, panno Muñez, że jestem bardzo zadowolony oraz że mogę go znowu potrzebować, i to wkrótce. Czy może mi pani podać numer telefonu, pod którym można panią zastać?

Nastąpiła długa cisza. Wreszcie Muñez odparła:

— Taaak, chyba tak. — Podyktowała numer.

— W porządku. Jeśli Angel...

Osoba z drugiej strony wyłączyła się.

Do diabła z tą głupią dziwką, pomyślał ze złością.

Pieniądze zostały złożone w banku w Zurychu jeszcze tego samego ranka, a w godzinę potem przeniesione do Banku Arabsko-Saudyjskiego w Genewie. W dzisiejszych czasach trzeba być bardzo ostrożnym, myślał Angel. Ci cholerni bankierzy oszukują, jak tylko mogą.

## 12 \_\_\_\_\_

To nie było zwykłe pakowanie rzeczy. Czowała się tak, jakby pakowała całe swoje życie. Oznaczało przecież rozstanie z trzynastoma latami marzeń, wspomnień i miłości. Było ostatecznym pożegnaniem z Edwardem. Tu był ich dom, a teraz pozostanie tylko budynek, w którym zamieszkają obcy ludzie, nic nie wiedzący o chwilach radości i smutku, łez i śmiechu, które widziały te ściany.

Douglas i Florence Schiffer byli zachwyceni faktem, że Mary zdecydowała się przyjąć nominację.

— Będiesz świetna — zapewniała Florence. — Doug i ja będziemy tęsknić za tobą i dziećmi.

— Musicie obiecać, że przyjedziecie do Rumunii nas odwiedzić.

— Przyjedziemy na pewno.

Mary czuła się przytłoczona nadmiarem rzeczy, którymi

należało się zająć, a o których nie miała najmniejszego pojęcia. Sporządziła listę:

Zawiadomić agencję, zajmującą się przechowywaniem rzeczy, żeby zabrała to, co zostanie.

Odwołać mleczarza.

Odwołać dostawę gazet.

Dać listonoszowi nowy adres.

Podpisać umowę wynajmu domu.

Załatwić ubezpieczenie.

Zawiadomić o zmianie gazownię i przedsiębiorstwo wodociągowe.

Uregulować wszystkie rachunki.

Nie panikować!

Zwolnienie z pracy załatwiła z rektorem Hunterem.

— Mam już kogoś, kto poprowadzi pani zajęcia ze studentami. Z tym nie ma problemu. Ale absolwenci, z którymi miała pani seminaria, będą za panią tęsknić. — Uśmiechnął się. — Jestem pewien, że wszyscy będziemy z pani bardzo dumni. Powodzenia.

— Dziękuję.

Mary wypisała dzieci ze szkoły. Musiała jeszcze przygotować się do podróży, kupić bilety lotnicze. Nigdy o tym wszystkim nie myślała, bo takimi sprawami zajmował się Edward. Teraz nie było Edwarda; pozostał na zawsze tylko w jej myślach i sercu.

Martwiła się o Beth i Tima. Z początku byli bardzo podnieceni tym, że mają pojechać do innego kraju, ale kiedy wyjazd zbliżał się nieuchronnie, zaczęli mieć obawy i wątpliwości. Przyszli oddzielnie, żeby porozmawiać z Mary.

— Mamo — tłumaczyła Beth — ja nie mogę tak po prostu zostawić moich przyjaciół. Może już nigdy nie spotkam Virgila. Czy nie moglibyśmy zostać chociaż do końca semestru?

Tim natomiast powiedział:

— Właśnie załapałem się do Małej Ligi. Jeśli teraz wyjadę, oni wezmą kogoś innego na trzeciego rozgrywającego. Może



poczekajmy do końca lata, aż się skończy sezon, proszę cię, mammo!

Boją się, myślała Mary. Tak samo jak ich matka. Stanton Rogers był bardzo przekonujący, ale kiedy rozmyślała o tym nocą, leżąc w łóżku, zaczynała mieć wątpliwości. Nie mam najmniejszego pojęcia, co to znaczy być ambasadorem, mówiła do siebie. Jestem zwykłą kurą domową z Kansas, której wydaje się, że jest co najmniej mężem stanu. Każdy łatwo zorientuje się, że jestem oszustką. Chyba jestem szalona, że się na to zgodziłam.

Wreszcie, jakimś cudem, wszystko było gotowe. Dom został wynajęty na długi czas rodzinie, która właśnie sprowadziła się do Junction City.

Nadszedł czas odjazdu.

— Doug i ja odwieziemy was na lotnisko — nalegała Florence.

Na lotnisku znajdującym się na Manhattanie mieli wsiąść do sześciuosobowego samolotu, który miał ich zabrać do Kansas City w stanie Missouri, stamtąd natomiast mieli już polecieć do Waszyngtonu.

— Poczekajcie na mnie jeszcze chwilę — poprosiła Mary.

Poszła na górę do sypialni, którą przez tyle cudownych lat dzieliła z Edwardem. Stojąc w drzwiach, po raz ostatni ogarnęła wszystko wzrokiem.

Odchodzę już, mój najdroższy, mówiła w myśli do Edwarda. Chciałam tylko powiedzieć ci jeszcze — żegnaj. Myślę, że robię to, co ty uważałbyś za słuszne. Mam nadzieję, że tak jest. Niepokoi mnie tylko myśl, że może już nigdy tu nie wrócimy. Mam wrażenie, że cię opuszczam, zostawiam tu samego. Ale ty przecież będziesz ze mną, gdziekolwiek się znajdę. Potrzebuję cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. Zostań ze mną. Pomóż mi. Tak bardzo cię kocham. Czasami myślę, że nie wytrzymam bez ciebie. Czy mnie słyszysz, kochany? Czy jesteś tu...?

Odprawą ich bagażu na lotnisku zajął się Douglas. Wszystko było w porządku aż do momentu, kiedy Mary zobaczyła samolot. Wtedy z jej ust wyrwał się okrzyk:

— O mój Boże!

— O co chodzi? — spytała zaniepokojona Florence.

— Taka byłam zajęta, że zupełnie o tym zapomniałam.

— Ale o czym?

— O lataniu, Florence. Ja nigdy w życiu nie leciałam samolotem! Nie polecę tą zabawką!

— Mary, wypadki zdarzają się jeden na milion.

— Nie lubię wypadków — odparła bezbarwnie Mary.  
— Pojedziemy pociągiem.

— Nie możecie. W Waszyngtonie oczekują, że przylecisz dziś po południu.

— Oczekują także, że przylecę cała i zdrowa. Martwa na nic im się nie przydam.

Schifferowie przekonywali ją około kwadransa, żeby wsiadła do samolotu. Pół godziny później Mary i dzieci siedzieli przypięci pasami na pokładzie samolotu Air MioVest. Kiedy silniki zaczęły zwiększać obroty i maszyna ruszyła, pędząc po pasie startowym, Mary zamknęła oczy i mocno przytrzymała się oparcia siedzenia. Kilka sekund później byli w powietrzu.

— Mamo...

— Ciii, nic nie mówcie!

Siedziała sztywno, bojąc się spojrzeć za okno, skoncentrowana na utrzymywaniu samolotu w powietrzu. Za to dzieci wyglądały przez okno, podziwiały widok i świetnie się bawiły.

Dziewci, pomyślała gorzko Mary, co one wiedzą.

Na lotnisku w Kansas City przesiedli się na DC-10 i wystartowali, lecąc już prosto do Waszyngtonu. Beth i Tim siedzieli razem, a Mary obok, po drugiej stronie przejścia. Jej sąsiadką była starsza kobieta.

— Muszę pani powiedzieć, że trochę się boję — wyszeptała do Mary. — Nigdy przedtem nie leciałam samolotem.

Mary uśmiechnęła się i poklepała uspokajająco jej dłoń.

— Nie ma się czego bać, wypadki zdarzają się jeden na milion.



## Część II

### 13

Kiedy Mary z dziećmi wylądowali na lotnisku Dulles w Waszyngtonie, powitał ich młody mężczyzna z Departamentu Stanu.

— Witamy w Waszyngtonie, pani Ashley. Jestem John Burns. Pan Rogers prosił mnie, żebym powitał panią na lotnisku i dopilnował, aby bezpiecznie dojechała pani do hotelu. Zarezerwowałem pokoje w hotelu „Riverdale Towers”. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona.

— Dziękuję panu.

Przedstawiła mu Beth i Tima.

— Jeśli pani pozwoli, wezmę kwity bagażowe i zajmę się dostarczeniem bagaży do hotelu.

Dwadzieścia minut później siedzieli w limuzynie prowadzonej przez szofera, jadącej do centrum.

Tim patrzył przez okno, lekko oszołomiony.

— Patrzcie! — wykrzyknął. — To pomnik Lincoln!

Beth wyglądała drugim oknem.

— A tu jest posąg Waszyngtona!

Mary spojrzała na Burnsa z zakłopotaniem.

— Obawiam się, że dzieci nie są przyzwyczajone do tylu wrażeń — powiedziała usprawiedliwiająco. — Wie pan, one nigdy nie wyjeżdżały poza... — Spojrzała przez okno i szeroko otworzyła oczy. — O mój Boże! — krzyknęła. — Spójrzcie, to Biały Dom!

Limuzyna jechała wzdłuż Pennsylvania Avenue; miejsca, które było świadkiem wielu niezwykłych wydarzeń. To miasto rządzi całym światem, tu jest władza i siła, myślała Mary

z podnieceniem. I w jakimś stopniu ja będę małą tego cząstką.

Dojeżdżali już do hotelu i Mary spytała:

- Kiedy będę mogła spotkać się z panem Rogersem ?
- Powiedział, że skontaktuje się z panią jutro rano.

Pete Connors, szef sekcji kontrwywiadu CIA, pracował do późna, a wciąż jeszcze miał mnóstwo roboty. Każdego ranka o godzinie trzeciej zgłaszał się zespół przygotowujący dla prezydenta codzienną listę informacji wywiadu, które nadeszły w ciągu nocy. Lista owa musiała być gotowa na godzinę szóstą rano, by mogła dotrzeć na biurko prezydenta przed rozpoczęciem jego urzędowania. Do Białego Domu listę dostarczał uzbrojony posłaniec. Pete Connors był ogromnie zainteresowany wiadomościami przechwytywanymi z krajów zza żelaznej kurtyny, ponieważ większość z nich dotyczyła mianowania Mary Ashley na ambasadora Stanów Zjednoczonych w Rumunii.

Związek Radziecki był zaniepokojony planem prezydenta Ellisona. Podejrzewano, że chce on w ten sposób przeniknąć do krajów socjalistycznych, aby móc tam szpiegować, lub nawet próbować przeciągnąć sowieckich zwolenników na swoją stronę.

Ta cała sprawa bardziej martwi mnie niż Ruskich, myślał Connors. Jeżeli plan prezydenta powiedzie się, w całym kraju zaroi się od ich cholernych szpiegów.

Wiedział już o przybyciu Mary do Waszyngtonu. Widział fotografie jej i dzieci. Ona będzie doskonała, myślał zadowolony.

Hotel „Riverdale Towers”, znajdujący się w pobliżu osiedla Watergate, jest niewielkim, przytulnym hotelem z gustomie i wygodnie urządzonymi pokojami.

Portier wniósł bagaże na górę i Mary zaczęła powoli się rozpakowywać, kiedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Halo?
- Pani Ashley? — zapytał męski głos.
- Tak.

— Nazywam się Ben Cohn, jestem dziennikarzem „The Washington Post”. Czy poświęciłaby pani kilka minut na rozmowę ze mną?

Mary się zawahała.

— Dopiero przyjechaliśmy i ja właśnie...

— To potrwa chwilę. Chciałem tylko przywitać się z panią.

— No cóż, sądzę, że...

— Zaraz będę na górze.

Ben Cohn był niskim, krępyim mężczyzną o muskularnym ciele i pokieszowanej twarzy zawodowego boksera. Wygląda raczej jak reporter sportowy, zdziwiła się Mary.

Usiadł na fotelu naprzeciw Mary.

— Pani po raz pierwszy w Waszyngtonie? — spytał.

— Tak. — Zauważyła, że nie ma ani notesu, ani magnetofonu.

— Nie będę zadawał pani głupich pytań.

Zmarszczyła brwi.

— A jakie są te „głupie pytania”?

— Jak podoba się pani Waszyngton? Kiedy jakaś ważna osobistość wysiada gdzieś z samolotu, pierwsze pytanie, które pada, brzmi: „Jak się pani lub panu tutaj podoba?”

Mary się roześmiała.

— Nie jestem co prawda ważną osobistością, ale myślę, że polubię Waszyngton.

— Była pani wykładowcą na Uniwersytecie Stanowym w Kansas?

— Tak. Prowadziłam zajęcia na wydziale polityki współczesnej Europy Wschodniej.

— Rozumiem, że po raz pierwszy prezydent dowiedział się o pani z książek i kilku artykułów, które pani opublikowała.

— Tak.

— A zresztą, jak to mówią, to historia.

— Sądzę, że to dość niezwykły sposób na...

— Nie tak znowu niezwykły. W ten sam sposób prezydent Reagan zwrócił uwagę na Jeane Kirkpatrick i uczynił ją ambasadorem w Organizacji Narodów Zjednoczonych.

— Uśmiechnął się do Mary. — A więc widzi pani, że istnieje pewien precedens. To jedno z wielkich i ważnych słów tutaj w Waszyngtonie. *P r e c e d e n s*. Pani dziadkowie byli Rumunami?

— Zgadza się. Ściślej mówiąc — mój dziadek.

Przez mniej więcej kwadrans Cohn wypytywał Mary o jej pochodzenie i przeszłość.

— Kiedy ten wywiad ukaże się w gazecie? — spytała wreszcie. Chciała przesłać kilka egzemplarzy Florence i Douglasowi, i innym przyjaciółom z Junction City.

— Na razie zatrzymam te informacje dla siebie — odparł wykrętnie Cohn. Było w tym wszystkim coś, co go zastanawiało. Problem polegał na tym, że nie bardzo wiedział, co to było. — Porozmawiamy jeszcze później.

Kiedy wyszedł, w pokoju pojawili się Beth i Tim.

— Czy on był miły, mammo?

— Tak — odparła z wahaniem. — Wydaje mi się, że tak.

Następnego ranka zadzwonił telefon.

— Dzień dobry, pani Ashley. Mówi Stanton Rogers.

Słyszając jego głos, Mary miała wrażenie, że dzwoni do niej stary, dobry przyjaciel. To pewnie dlatego, pomyślała, że jest on jedynym człowiekiem, którego znam w tym mieście.

— Dzień dobry, panie Rogers. Chciałabym podziękować, że wysłał pan pana Burnsa, by odebrał nas z lotniska, oraz za zarezerwowanie dla nas hotelu.

— Mam nadzieję, że jest pani zadowolona?

— Jak najbardziej.

— Pomyślałem, że dobrze by było, gdybyśmy spotkali się i porozmawiali o pewnych procedurach, przez które będzie pani musiała przejść.

— Oczywiście, bardzo bym tego chciała.

— Może w takim razie zjedlibyśmy dzisiaj razem lunch w Grandzie? To blisko pani hotelu. O pierwszej?

— Dobrze.

— Będę czekał na panią w restauracji na dole.

Zaczynało się.

Mary zamówiła dla dzieci obiad do pokoju i o pierwszej wysiadła z taksówki pod Grand Hotelem. Spojrzała z lękiem na budynek. Grand Hotel ma w sobie coś, co wzbudza szacunek; promieniuje z niego jakaś nieokreślona potęga. Głowy państw i dyplomaci z całego świata zatrzymują się tutaj i łatwo można odgadnąć, jaki jest tego powód. Gmach był wspaniały, z imponującym holem, gdzie z podłogi wyłożonej włoskim marmurem wyrastają smukłe kolumny, wspierające okrągły sufit. Nieco dalej znajduje się zadbane dziedziniec wewnętrzny z wielką fontanną oraz odkryty basen kąpielowy. Marmurowe schody prowadzą w dół do niewielkiej restauracji. Tam czekał na nią Stanton Rogers.

— Dzień dobry, pani Ashley.

— Dzień dobry, panie Rogers.

— To brzmi tak oficjalnie. A może po prostu: Stan i Mary?

— Tak będzie dużo lepiej — odrzekła z uśmiechem.

Stanton Rogers wydawał się nieco inny, ale Mary nie umiała powiedzieć dlaczego. W Junction City wyczuwała w nim powściągliwość, nawet niechęć w stosunku do niej. Teraz wydawało się, że to zniknęło. Rogers był miły i bardzo serdeczny. Różnica polega na tym, że mniej zaakceptował, pomyślała z zadowoleniem Mary.

— Napijesz się czegoś?

— Dziękuję, nie.

Zamówili lunch. Wszystkie dania były bardzo drogie. Tutejsze ceny różniły się od cen w Junction City. Za każdy dzień pobytu w hotelu, w którym się zatrzymali, płacili 25 dolarów. Jeśli tak dalej pójdzie, nasze pieniądze nie starczą na długo, pomyślała Mary.

— Stan, nie chcę być niegrzeczna, ale czy możesz mi powiedzieć, ile zarabia ambasador?

Roześmiał się.

— To dobre pytanie. Twoje zarobki będą wynosić sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie plus utrzymanie.

— Kiedy dostanę pierwszą pensję?

— Jak zostaniesz zaprzysiężona.

— A do tego momentu?



— Będziesz dostawać siedemdziesiąt pięć dolarów dziennie.

Serce w niej zamarło. Nie pokryje to nawet rachunku hotelowego, nie mówiąc o innych wydatkach.

— Czy długo zostanę w Waszyngtonie? — spytała.

— Około miesiąca. Zrobimy wszystko, żeby twój wyjazd nastąpił jak najszybciej. Sekretarz stanu wysłał już do rządu rumuńskiego depeszę z prośbą o akceptację twojej nominacji. Tak między nami powiem ci, że odbyły się już nieoficjalne rozmowy pomiędzy obydwojma rządami. Ze strony Rumunów nie będzie żadnych przeszkód, ale musisz jeszcze uzyskać zgodę Senatu.

A więc rząd rumuński ma zamiar mnie zaakceptować, pomyślała Mary z niedowierzaniem. Może rzeczywiście nie doceniałam swoich umiejętności.

— Umówiłem cię na nieoficjalne spotkanie z przewodniczącym Komitetu do Spraw Zagranicznych przy Senacie. Następnie odbędzie się przesłuchanie otwarte w obecności całego komitetu. Będą zadawać ci pytania dotyczące twojego pochodzenia, lojalności wobec naszego kraju, twoich sądów na temat pracy oraz czego zamierzasz dokonać.

— I co się później dzieje?

— Członkowie Komitetu głosują, a kiedy ich raport jest gotów, odbywa się głosowanie w Senacie.

— Zdarzało się w przeszłości, że nominacje zostały odrzucone w czasie głosowania, nieprawdaż? — spytała wolno Mary.

— W tym wypadku prestiż prezydenta będzie wystawiony na próbę. Masz całkowite poparcie Białego Domu. Prezydent pragnie, aby twoja nominacja została jak najszybciej zatwierdzona. Nawiasem mówiąc, pomyślałem, że ty i dzieci chcielibyście pewnie pozwiedzać trochę w ciągu następnych kilku dni, więc zorganizowałem dla was samochód i kierowcę, a także prywatne zwiedzanie Białego Domu.

— Och! Bardzo ci dziękuję.

Stanton Rogers uśmiechnął się.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Zwiedzanie Białego Domu odbyło się następnego ranka. Towarzyszył im specjalny przewodnik, który pokazał Ogród Jacqueline Kennedy oraz amerykański ogród w osiemnastowiecznym stylu, gdzie znajdował się staw, drzewa i zioła, przeznaczone do użytku w kuchni Białego Domu.

— Na wprost — mówił przewodnik — widzimy Skrzydło Wschodnie. Znajdują się tam biura wojskowe, biuro dla gości oraz biura dla pracowników Pierwszej Damy.

Przeszli przez Skrzydło Zachodnie i obejrzeli Owalny Gabinet prezydenta.

— Ile pokoi jest w tym domu ? — spytał Tim.

— Sto trzydzieści dwa pokoje, sześćdziesiąt dziewięć gabinetów, dwadzieścia osiem kominków i trzydzieści dwie łazienki.

— Pewnie wszyscy często chodzą do łazienki.

— Prezydent Waszyngton czuwał nad budową Białego Domu. Był to jedyny prezydent, który nigdy tu nie mieszkał.

— Nie dziwię mu się — mruknął Tim. — Ten dom jest o wiele za duży.

Mary, zaczerwieniona, lekko trąciła go łokciem.

Zwiedzanie zajęło im prawie dwie godziny, pod koniec Ashleyowie byli zmęczeni, ale zachwyceni.

To właśnie tutaj wszystko się zaczyna, pomyślała Mary. A teraz ja będę w tym uczestniczyć.

— Mamo?

— Słucham, Beth?

— Masz śmieszny minę.

Następnego dnia rano Mary otrzymała telefon z biura prezydenta.

— Dzień dobry, pani Ashley. Prezydent Ellison pragnie dowiedzieć się, czy miałaby pani dziś po południu czas, żeby się z nim spotkać.

Mary przełknęła ślinę.

— Tak, ja... oczywiście.

— Czy godzina trzecia pani odpowiada?

— Tak, doskonale.

— Limuzyna będzie czekać na panią na dole o drugiej czterdzieści pięć.

Paul Ellison wstał, kiedy Mary weszła do Owального Gabinetu. Podeszedł, żeby się z nią przywitać, i uśmiechając się szeroko, powiedział:

— Mam panią!

Mary się roześmiała.

— Bardzo się z tego cieszę, panie prezydencie. To dla mnie ogromny zaszczyt.

— Proszę usiąść, pani Ashley. Czy mogę mówić do pani po prostu Mary?

— Proszę bardzo.

Usiedli na kanapie.

— Będziesz moim *doppelganger* — rozpoczął prezydent.  
— Czy wiesz, co to jest?

— Coś w rodzaju duchowego sobowtóra człowieka.

— Tak jest. To właśnie ty i ja. Nie potrafię ci opisać, jak wielkie podniecenie czułem, kiedy czytałem twój ostatni artykuł, Mary. To było tak, jakbym czytał coś, co sam napisałem. Wiele ludzi nie wierzy, że nasz program LUDZIE DLA LUDZI powiedzie się, ale ty i ja zrobimy z nich głupców.

Nasz program LUDZIE DLA LUDZI. M y zrobimy z nich głupców. On jest czarujący, pomyślała w duchu Mary, a głośno powiedziała:

— Zrobię wszystko, co mogę, żeby pomóc, panie prezydencie.

— Liczę na ciebie, i to bardzo. Rumunia jest polem doświadczalnym. Twoje zadanie stało się trudniejsze, odkąd Groza został zamordowany. Jeśli nam się tam uda, nie będziemy mieć problemów w innych krajach komunistycznych.

Następne trzydzieści minut spędzili, omawiając niektóre czekające ich problemy. W końcu Paul Ellison rzekł:

— Stan Rogers będzie z tobą w bliskim kontakcie. Stał się twoim wielkim fanem. — Podał jej rękę. — Powodzenia, *doppelganger*.

Stan Rogers zadzwonił do Mary następnego dnia po południu.

— Jutro o dziewiątej rano masz spotkanie z przewodniczącym Komitetu do Spraw Zagranicznych przy Senacie.

Biura Komitetu do Spraw Zagranicznych mieszczą się w Dirksen Building. Po prawej stronie od wejścia znajduje się tablica z napisem: KOMITET DO SPRAW ZAGRANICZNYCH SD-419.

Przewodniczący był dość tęgim, siwowłosym mężczyzną o bystrych zielonych oczach i nienagannych manierach zawodowego polityka.

Już w drzwiach powitał Mary.

— Charlie Campbell. Bardzo mi miło panią poznać, pani Ashley. Wiele już o pani słyszałem.

Dobrego czy złego? pomyślała Mary z zaciekawieniem.

Poprowadził ją do fotela.

— Może kawy?

— Nie, dziękuję, senatorze. — Była zbyt zdenerwowana, żeby utrzymać w dłoni filiżankę.

— W takim razie przejdźmy od razu do sedna sprawy. Prezydent gorąco pragnie, aby właśnie pani reprezentowała nas w Rumunii. My, oczywiście, chcemy dać mu pełne poparcie w każdy możliwy sposób. Powstaje jednak pytanie, czy uważa pani, że posiada odpowiednie kwalifikacje, aby dać sobie radę na tym stanowisku, pani Ashley.

— Nie, panie senatorze.

Jej odpowiedź zupełnie go zaskoczyła.

— Słucham?

— Jeżeli chodzi panu o to, czy mam jakiegokolwiek doświadczenie dyplomatyczne we współpracy z innymi krajami, to rzeczywiście nie mam odpowiednich kwalifikacji. Jednakże powiedziano mi, że jedna trzecia ambasadorów naszego kraju to także osoby bez żadnego politycznego doświadczenia. Ja wniosłabym do pracy moją wiedzę o Rumunii. Znam jej problemy ekonomiczne i społeczne, a także przeszłość polityczną. Sądzę, że potrafiłabym ukazać Rumunom nasz kraj w pozytywnym świetle.

A spodziewałem się kogoś potwornie napuszonego, pomyślał ze zdziwieniem Charlie Campbell. Prawdę mówiąc, jeszcze przed spotkaniem z Mary czuł do niej niechęć. Dostał z góry polecenie, żeby komitet zaaprobował Mary Ashley bez względu na to, jakie będzie ich zdanie. W Waszyngtonie wiele mówiło się po cichu, jak wielką gafę popełnił prezydent, wybierając nie znaną nikomu prostaczkę z zapadłej dziury zwanej Junction City w Kansas. Ale, jak mi Bóg miły, zdaje się, że chłopcy będą nieco zaskoczeni, powiedział w duchu Campbell, głośno zaś rzekł:

— Komitet Przesłuchujący zbiera się w środę o dziewiątej rano.

W noc poprzedzającą przesłuchanie Mary wpadła w panikę. Co ja im powiem, kochanie, kiedy spytają o moje doświadczenie? Że w Junction City grałam powracającą królową albo że trzy lata z rzędu wygrywałam w konkursie jazdy na lodzie? Okropnie się boję. Och, tak bardzo chciałybym, żebyś był tu ze mną.

Raz jeszcze uprzytomniła sobie ironię sytuacji; gdyby Edward żył, nie byłoby jej tutaj. Byłaby teraz w domu z mężem i dziećmi, bezpieczna i spokojna; tam było jej miejsce.

Całą noc nie spała.

Przesłuchanie miało się odbyć w sali zebrań Komitetu do Spraw Zagranicznych przy Senacie, w obecności wszystkich piętnastu członków Komitetu, zasiadających na podium naprzeciwko ściany, na której wisiały cztery ogromne mapy świata. Wzdłuż lewej strony sali ustawione były stoły dla prasy, a pośrodku — dwieście miejsc dla publiczności. Sala była jasno oświetlona, aby umożliwić pracę kamerom telewizyjnym. Wszystkie miejsca były zajęte. W jednym z tylnych rzędów siedział Pete Connors. Kiedy weszła Mary z Beth i Timem, wszyscy się nagle uciszyli.

Mary ubrana była w ciemny, dwuczęściowy kostium i białą bluzkę. Dzieci zostały zmuszone do odłożenia dżinsów i swetrów i włożenia najlepszych, niedzielnych ubrań.

Siedzący przy stole dla dziennikarzy Ben Cohn przyjrzał im się dokładnie. Jezu, pomyślał, wyglądają jak z obrazka.

Odźwierny wskazał dzieciom miejsca w pierwszym rzędzie i poprowadził Mary do fotela dla świadków, stojącego przodem do komitetu. Usiadła w jaskrawym blasku padających na nią światła, próbując ukryć zdenerwowanie.

Rozpoczęło się przesłuchanie. Charlie Campbell uśmiechnął się do niej ze swego miejsca na podium.

— Dzień dobry, pani Ashley. Dziękujemy za stawienie się przed komitetem. Przejdźmy do pytań.

Zaczęły się dość niewinnie.

— Nazwisko...?

— Stan cywilny...?

— Dzieci...?

Pytania były prosto i jasno sformułowane.

— Z pani biografii, którą otrzymaliśmy, wynika, że przez kilka ostatnich lat wykladała pani nauki polityczne na Uniwersytecie Stanowym w Kansas. Czy to prawda?

— Tak, proszę pana.

— Jest pani mieszkanką Kansas?

— Tak, senatorze.

— Pani dziadkowie byli Rumunami?

— Mój dziadek. Tak, proszę pana.

— Napisała pani książkę i artykuły na temat zbliżenia pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i krajami bloku sowieckiego?

— Tak.

— Pani ostatni artykuł został wydrukowany w „Foreign Affairs” i zwrócił uwagę prezydenta?

— Owszem, tak się stało.

— Pani Ashley, czy zechciałaby pani wyjaśnić temu Komitetowi, jakie są podstawowe założenia pani artykułu?

Jej zdenerwowanie gdzieś znikło. Znalazła się na pewnym gruncie, omawiając temat, w którym była autorytetem. Czuli się tak, jakby prowadziła zajęcia seminaryjne w szkole.

— Istnieje obecnie na świecie kilka regionalnych paktów ekonomicznych, a ponieważ wzajemnie się wykluczają, przyczyniają się raczej do podziału świata na antagonistyczne,

walczące ze sobą bloki, niż do jego zjednoczenia. Europa ma Wspólny Rynek, blok wschodni ma RWPG, poza tym jest jeszcze OECD, jednocząca trzy państwa o wolnym rynku, oraz niezależna organizacja Krajów Trzeciego Świata. Moje założenie jest bardzo proste: chciałabym, by wszystkie te oddzielne organizacje połączyły się więzami ekonomicznymi. Osoby, które są współnikami w przynoszącej zyski spółce, nie zabijają się nawzajem. Zakładam, że ta sama zasada dotyczy i krajów. Pragnęłabym gorąco, aby nasz kraj stanął na czele ruchu, którego celem byłoby stworzenie wspólnego rynku, jednoczącego zarówno kraje z nami sprzymierzone, jak i naszych przeciwników. Obecnie, na przykład, płacimy biliony dolarów za magazynowanie nadprodukcji ziarna w elewatorach zbożowych, podczas gdy ludzie w wielu krajach umierają z głodu. Ogólnoświatowy wspólny rynek rozwiązałby takie problemy. Zlikwidowałby niesprawiedliwy podział po cenach rynkowych dostępnych dla każdego.

Głos zabrał senator Harold Turkel, starszy członek komitetu i członek partii opozycyjnej.

— Chciałbym zadać kandydatce kilka pytań.

Ben Cohn siedząc pochylił się w przód. Zaczynało się.

Senator Turkel miał siedemdziesiąt kilka lat, był twardy, nieustępliwy i znany ze swej gburowatości.

— Czy jest pani w Waszyngtonie po raz pierwszy, pani Ashley?

— Tak. Myślę, że jest to jedno z najbardziej...

— Domyślam się, że wiele pani podróżowała?

— W zasadzie nie. Planowaliśmy z mężem podróżę, ale...

— Czy była pani kiedykolwiek w Nowym Jorku?

— Nie.

— W Kalifornii?

— Nie.

— Była pani w Europie?

— Nie. Jak już powiedziałam, planowaliśmy...

— Czy mówiąc szczerze, była pani w ogóle gdziekolwiek poza granicami stanu Kansas?

— Tak. Miałam wykład na Uniwersytecie w Chicago i szereg dyskusji w Denver i Atlancie.

— To musi być dla pani niezwykle ekscytujące, pani Ashley — oschle rzekł Turkel. — Nie przypominam sobie, żeby ten Komitet został kiedykolwiek poproszony o zaakceptowanie na stanowisko ambasadora kandydata o mniejszych kwalifikacjach. Spodziewa się pani, że będzie reprezentować Stany Zjednoczone w niebezpiecznym kraju zza żelaznej kurtyny, a jednocześnie mówi pani, że cała jej wiedza o świecie pochodzi z życia w Junction City w Kansas i spędzenia kilku dni w Chicago, Denver i Atlancie. Zgadza się?

Mary, świadoma skupionych na niej kamer telewizyjnych, powstrzymała przyływ gniewu.

— Nie, proszę pana. Moja wiedza o świecie pochodzi ze studiowania. Mam tytuł doktora filozofii i nauk politycznych i przez pięć lat uczyłam tego przedmiotu na Uniwersytecie Stanowym w Kansas, kładąc szczególny nacisk na kraje zza żelaznej kurtyny. Znam obecne problemy narodu rumuńskiego oraz wiem, co ich rząd myśli na temat Stanów Zjednoczonych i dlaczego. — Głos jej brzmiał coraz silniej.

— Wiedzą o naszym kraju tylko to, co mówi ich propaganda. Chciałabym pojechać tam i spróbować przekonać ich, że Stany Zjednoczone nie są chciwym, pragnącym wojny państwem. Chciałabym im pokazać, jak wygląda typowa rodzina amerykańska. Ja...

Przerwała, obawiając się, że za daleko zaszła w gniewie. I wtedy, ku jej zdumieniu, członkowie Komitetu zaczęli klaskać. Wszyscy, z wyjątkiem Turkela.

Przesłuchanie trwało. Godzinę później Charlie Campbell spytał:

— Czy są jeszcze jakieś pytania?

— Sądzę, że wypowiedzi kandydatki były wystarczające — powiedział jeden z senatorów.

— Zgadzam się z tym. Dziękuję, pani Ashley. Przesłuchanie uważam za zakończone.

Pete Connors przez chwilę przyglądał się Mary uważnie, po czym spokojnie wyszedł. Mary otoczyli dziennikarze.

— Czy propozycja prezydenta była dla pani niespodzianką?



— Czy uważa pani, że komitet zaaprobuje pani nominację, pani Ashley?

— Czy naprawdę sądzi pani, że uczenie o kraju daje pani kwalifikacje do...?

— Proszę się obrócić w tę stronę, pani Ashley. Uśmiech, proszę. Jeszcze jeden.

— Pani Ashley...

Ben Cohn stał z dala od wszystkich, obserwując i słuchając. Ona jest dobra, pomyślał. Zna wszystkie właściwe odpowiedzi. Bardzo chciałbym poznać właściwe pytania.

Ledwo Mary, kompletnie wyczerpana psychicznie, zdążyła wrócić do hotelu, a już dzwonił Stanton Rogers.

— Witam, pani ambasador.

Poczuła taką ulgę, że zakręciło jej się w głowie.

— Czy to znaczy, że u d a ł o mi się? Och, Stan, bardzo ci dziękuję. Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo jestem podekscytowana.

— Ja również, Mary. — Jego głos przepełniony był dumą. — Ja również.

Kiedy Mary powiedziała o tym dzieciom, uściskały ją serdecznie.

— Wiedziałem, że ci się uda! — zawołał Tim.

Beth natomiast spytała cicho:

— Myślisz, że tata też wie?

— Jestem pewna, że tak, kochanie — uśmiechnęła się Mary. — Nie zdziwiłabym się, gdyby okazało się, że dał Komitetowi małego kuksańca...

Mary niezwłocznie zadzwoniła do Florence, a kiedy ta usłyszała nowinę, rozplakała się.

— To fantastyczne! Czekaj, aż powiem o tym wszystkim w mieście!

Mary roześmiała się.

— Będę trzymać w ambasadzie pokój dla ciebie i Douglasa.

— Kiedy wyjeżdżacie do Rumunii?

— No cóż, najpierw musi odbyć się głosowanie całego Senatu, ale Stan mówi, że to tylko formalność.

— A co potem?

— Spędzę kilka tygodni w Waszyngtonie na sesjach przygotowawczych, a potem dzieci i ja wyruszamy w podróż do Rumunii.

— Nie mogę się doczekać, żeby zadzwonić do „The Daily Union”! — wykrzyknęła Florence. — Miasto prawdopodobnie wybuduje ci pomnik. Muszę teraz lecieć. Jestem zbyt podniecona, żeby rozmawiać. Zadzwonię do ciebie jutro.

Ben Cohn usłyszał wynik przesłuchania po powrocie do biura. Ale wciąż go coś zastanawiało. I nie wiedział dlaczego.

14

Tak jak zapowiedział Stanton Rogers, głosowanie całego Senatu było formalnością. Nominacja Mary została zaakceptowana sporą większością głosów. Kiedy wiadomość o tym dotarła do prezydenta, powiedział do Rogersa:

— Nasz plan się rozpoczął. Nic nie może nas teraz zatrzymać.

Stanton pokiwał głową.

— Nic — potwierdził.

\* \* \*

Pete Connors przebywał w biurze, kiedy otrzymał wiadomość. Natychmiast zapisał informację i zaszyfrował ją. Jeden z jego ludzi był właśnie na służbie w pokoju, w którym CIA przyjmowała i wysyłała depeche.

— Chcę użyć kanału Rogera — powiedział Connors. — Zaczekaj na zewnątrz.

141

Kanał Rogera służy w CIA do nadawania nieoficjalnych depech i tylko osoby zajmujące najwyższe stanowiska są upoważnione do używania go. Wiadomości nadawane przez nadajnik laserowy na bardzo wysokiej częstotliwości docierają na miejsce w ciągu ułamka sekundy. Kiedy Connors został sam, szybko nadał depechę. Była przeznaczona dla Sig-munda.

W ciągu następnego tygodnia Mary odbyła spotkania z zastępcą sekretarza stanu, z szefem naczelnym CIA, z ministrem handlu, z dyrektorami Chase Manhattan Banku w Nowym Jorku oraz kilkoma ważnymi organizacjami żydowskimi. Wszyscy mieli jakieś uwagi, zalecenia i prośby.

Ned Tillingast, szef CIA, był pełen entuzjazmu.

— To wspaniale, że nasi ludzie znowu będą mogli tam pracować, pani ambasador. Rumunia jest dla nas wielką zagadką, odkąd staliśmy się tam nieproszonymi gośćmi. Wyznaczę jednego z moich ludzi do pracy jako attache w pani ambasadzie. — Popatrzył na nią znacząco. — Jestem pewien, że okaże mu pani pomoc i będzie z nim współpracować.

Mary zastanowiła się, co to właściwie mogło znaczyć. W końcu zdecydowała, że lepiej o to nie pytać.

Ceremonii zaprzysiężenia nowych ambasadorów przewodniczy zwykle sekretarz stanu. Do przysięgi staje razem od dwudziestu pięciu do trzydziestu kandydatów. Tego ranka, kiedy miała odbyć się ceremonia, do Mary zadzwonił Stanton Rogers.

— Mary, prezydent Ellison prosi, żebyś w południe stawiła się w Białym Domu. Zamierza zaprzysiąc cię osobiście. Weź ze sobą Tima i Beth.

» » «

Owalny Gabinet wypełniony był przedstawicielami prasy. Kiedy wszedł prezydent Ellison z Mary i dziećmi, skierowały się na nich kamery telewizyjne i zaczęły błyskać flesze aparatów fotograficznych. Poprzednie pół godziny Mary spę-

dziła w towarzystwie prezydenta. Rozmawiał z nią bardzo serdecznie i dodawał pewności siebie.

— Doskonale nadajesz się na to stanowisko — rzekł do niej — inaczej bym cię nie wybrał. Ty i ja sprawimy, że marzenie się ziści.

To wszystko wydaje się snem, myślała Mary, stając przed kamerami.

— Proszę podnieść prawą rękę.

Mary powtarzała za prezydentem słowa przysięgi:

— Ja, Mary Elizabeth Ashley, przysięgam uroczyście, że będę przestrzegać i bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wrogami z zewnątrz i wewnątrz; że dotrzymam jej wierności i posłuszeństwa; że podejmuję to zobowiązanie dobrowolnie i z pełną świadomością, bez żadnych ukrytych zastrzeżeń lub zamiaru wykorzystania dla własnych korzyści; że będę godnie i uczciwie wypełniać obowiązki stanowiska, które obejmuję, tak mi dopomóż Bóg.

Stało się: została ambasadorem w Socjalistycznej Republice Rumunii.

Kierat ruszył. Mary polecono zgłosić się do Wydziału do Spraw Europy i Jugosławii przy Departamencie Stanu, gdzie tymczasowo oddano jej do dyspozycji niewielkie kwadratowe biuro obok Wydziału do Spraw Współpracy z Rumunią.

James Stickley, dyrektor tego wydziału, był zawodowym dyplomata o dwudziestopięcioletnim stażu. Zbliżał się do sześćdziesiątki, był średniego wzrostu i miał lisią twarz o małych, wąskich ustach oraz bladobrązowe, zimne oczy.

Z pogardą patrzył na polityków z mianowania, wdzierających się do jego świata. Był uważany za pierwszego specjalistę do spraw Rumunii i nie posiadał się z radości, kiedy prezydent Ellison ogłosił swój zamiar wysłania ambasadora do tego kraju, gdyż był pewien, że stanowisko to przypadnie właśnie jemu. Wiadomość o nominacji Mary Ashley była dla niego druzgocącym ciosem. Już sam fakt, że pominięto go przy wyborze, był przykry; ale to, że zamiast niego wybrano polityka z mianowania — jakieś zero z Kansas — było irytujące.

— Czy możesz w to uwierzyć ? — spytał swego najbliższego przyjaciela, Bruce'a. — Połowa naszych ambasadorów to pieprzeni politycy z mianowania. W Anglii albo we Francji byłoby to nie do pomyślenia, stary. Oni biorą tylko zawodowców. Czy wojsko poprosiłoby amatora, żeby został generałem ? No cóż, za oceanem nasi gówniani ambasadorzy amatorzy są generałami.

— Jesteś pijany, Jimbo.

— Zamierzam uchlać się jeszcze bardziej.

Teraz przyglądał się Mary, siedzącej po przeciwnej stronie jego biurka.

Mary natomiast przypatrywała się Stickleyowi. Było w nim coś, co wzbudzało niepokój. Nie chciałabym mieć w nim wroga, pomyślała.

— Zdaje sobie pani sprawę, że obejmuje niezwykle trudne i odpowiedzialne stanowisko, pani Ashley?

— Tak, oczywiście, ja...

— Nasz ostatni ambasador w Rumunii zrobił jeden fałszywy krok i wszelkie stosunki zostały zerwane. Zajęło nam trzy lata, żeby znowu zechcieli z nami gadać. Prezydent będzie cholernie wściekły, jeśli zmarnujemy następną szansę.

Ma oczywiście na myśli, że ja zmarnuję tę szansę, pomyślała Mary.

— Będziemy musieli błyskawicznie zrobić z pani eksperta. Nie mamy zbyt wiele czasu. — Podał jej plik akt. — Proszę zacząć od przeczytania tych raportów.

— Przeznaczę na to całe przedpołudnie.

— Nie. Za trzydzieści minut, według planu, rozpocznie pani kurs języka rumuńskiego. Zwykle taki kurs trwa kilka miesięcy, ale w pani wypadku mam polecenie wycisnąć z pani ostatnie poty.

Każdy dzień wydawał się Mary trąbą powietrzną, która wciągała ją co rano i wyrzucała wieczorem, zupełnie wyczerpaną. Codziennie wraz ze Stickleyem przeglądali mnóstwo akt dotyczących spraw Rumunii.

— Ja będę czytać przysyłane przez panią depesze — poinformował ją Stickley. — Żółte kopie oznaczają podjęcie

potrzebnych działań, a białe — tylko informacje. Odbitki pani depesz będą przekazywane do Ministerstwa Obrony Narodowej, CIA, Służby Informacyjnej, Ministerstwa Finansów i do kilku innych departamentów. Jednym z pierwszych zagadnień, którymi będzie musiała się pani zająć, są Amerykanie trzymani w więzieniach rumuńskich. Chcemy, aby zostali uwolnieni.

— O co są oskarżeni ?

— Szpiegostwo, narkotyki, kradzież — cokolwiek przyjdzie Rumunom do głowy.

Mary zastanawiała się, jakim cudem można uzyskać dla kogoś odwołanie oskarżenia o szpiegostwo. Znajdę jakiś sposób, pomyślała w duchu.

— Dobrze — odrzekła energicznie.

— Proszę pamiętać o jednym: Rumunia jest jednym z bardziej niezależnych krajów zza żelaznej kurtyny. Musimy umacniać to stanowisko.

— Właśnie.

— Dam pani pewne dokumenty — powiedział Stickley pod koniec rozmowy — proszę pilnować ich jak oka w głowie. Te informacje są przeznaczone wyłącznie dla pani. Kiedy je pani przeczyta i zapamięta, proszę odnieść jutro rano i oddać mi je osobiście. Czy ma pani jakieś pytania?

— Nie.

Podał jej grubą szarą kopertę zaklejoną czerwoną taśmą.

— Proszę się tutaj podpisać.

Mary złożyła podpis.

W drodze powrotnej do hotelu Mary ścisnęła kurczowo kopertę leżącą na jej kolanach, czując się jak postać z filmu o Jamesie Bondzie.

Dzieci czekały na nią, ubrane do wyjścia.

O mój Boże, przypomniała sobie Mary. Przecież obiecałam im, że pójdziemy na obiad do chińskiej restauracji i do kina.

— Koledzy — powiedziała — nastąpiła zmiana planu. Będziemy musieli przelożyć naszą wycieczkę na inny dzień. Dzisiaj wieczorem zostajemy w hotelu i zjemy kolację w pokoju. Mam pilną robotę.

— Dobrze, mamo.

— W porządku.

Gdyby zdarzyło się to za życia Edwarda, byłby krzyk nie z tej ziemi, pomyślała Mary. Ale teraz bardzo spoważnieli. Wszyscy musieliśmy dorosnąć.

Przytuliła dzieci do siebie.

— Wynagrodzę to wam — obiecała.

Materiał, który dał jej James Stickley, był niesamowity. Nic dziwnego, że chciał to jak najszybciej dostać z powrotem. Były to szczegółowe raporty o wszystkich ważnych urzędnikach rumuńskich, od prezydenta po ministra handlu. Zawierały informacje o ich życiu seksualnym, sytuacji finansowej, przyjaźniach, cechach charakteru i poglądach. Niektóre fragmenty wprawiły Mary w osłupienie. Minister handlu, na przykład, sypiał ze swoją kochanką i szoferem, podczas gdy jego żona miała romans z pokojówką.

Mary spędziła pół nocy, zapamiętując nazwiska i drobne grzeszki osób, z którymi miała mieć do czynienia. Ciekawe, czy będą umiała zachować powagę, kiedy ich spotkam, pomyślała, kończąc pracę.

Rano zwróciła tajne dokumenty.

— W porządku — powiedział Stickley — teraz wie pani o przywódcach rumuńskich wszystko, co powinna pani wiedzieć.

— A nawet trochę więcej — mruknęła Mary.

— Musi pani też zawsze pamiętać o jednym: że w chwili obecnej Rumuni wiedzą wszystko o pani.

— To im nic nie da — odparła Mary.

— Nie? — Stickley odchylił się na krześle do tyłu. — Jest pani kobietą i jest pani sama. Może pani być pewna, że już stwierdzili, iż będzie pani łatwym celem. Będą chcieli wykorzystać pani samotność. Każdy pani ruch będzie obserwowany i notowany. W ambasadzie i w domu — wszędzie będzie podsłuch. W krajach komunistycznych zmuszeni jesteście zatrudniać miejscowych pracowników, tak więc cała służba

w pani rezydencji będzie składała się z osób pracujących dla rumuńskiej służby bezpieczeństwa.

Próbuje mnie przestraszyć, pomyślała Mary. Ale nic z tego.

Każda godzina w ciągu dnia, a także większość wieczorów były dokładnie wyliczone i zaplanowane. Oprócz lekcji rumuńskiego rozkład zajęć Mary obejmował kurs w Instytucie Spraw Międzynarodowych w Rosslyn, odprawy w Agencji Wywiadowczej Obrony Kraju, spotkania z sekretarzem ISA — Biura Spraw Bezpieczeństwa Międzynarodowego — oraz spotkania z komitetami senackimi. Wszyscy mieli jakieś żądania, rady, pytania.

Mary czuła się winna wobec Beth i Tima. Z pomocą Rogersa znalazła dla nich nauczyciela. Poza tym Beth i Tim poznali inne dzieci mieszkające w hotelu, mieli więc nowych współtowarzyszy zabaw, ale mimo to Mary nie cierpiała tak często zostawiać ich samych.

Dbała o to, aby codziennie jedli razem śniadanie przed jej wyjściem do Instytutu na lekcje rumuńskiego, które rozpoczynały się o ósmej. Język rumuński okazał się nieprawdopodobnie trudny. Mary wątpiła, czy sami Rumuni potrafią nim władać. Powtarzała głośno całe zwroty:

Dzień dobry Bunad/m/neafa

Dziękuję Mutyumesc

Proszę bardzo Cu plicere

Nie rozumiem NuinCeleg

Pan Domnule

Panna Dominisoara

Na dodatek każde słowo wymawiało się inaczej niż pisało.

Beth i Tim patrzyli z satysfakcją, jak ich matka męczy się nad odrabianiem pracy domowej.

— To jest nasza zemsta za to, że kazałaś nam się uczyć tabliczki mnożenia — powiedziała Beth, uśmiechając się z zadowoleniem.



— Pani ambasador, chciałbym przedstawić pani jej attache wojskowego, pułkownika Williama McKinneya — powitał Mary James Stickley.

Bill McKinney ubrany był po cywilnemu, ale jego wygląd i zachowanie sprawiały, że wydawało się, iż jest w mundurze. Był wysokim mężczyzną w średnim wieku, o twarzy ogorzałej od słońca i wiatru i pokrytej bliznami.

— Pani ambasador. — Jego głos był szorstki i chrapliwy, jakby miał uszkodzone gardło.

— Miło mi pana poznać — rzekła Mary.

Pułkownik McKinney był pierwszym z jej pracowników i spotkanie z nim wywołało w niej podniecenie. Sprawilo, że jej nowe stanowisko stało się czymś realnym.

— Cieszę się, że będę mógł pracować z panią w Rumunii — powiedział McKinney.

— Czy był pan już przedtem w Rumunii ?

Pułkownik i James Stickley wymienili spojrzenia.

— Tak, był tam już przedtem — odparł Stickley.

W każdy poniedziałek po południu w budynku Departamentu Stanu, w sali konferencyjnej na ósmym piętrze, odbywały się sesje dyplomatyczne dla nowych ambasadorów.

— W Służbie Zagranicznej istnieje ściśle określona hierarchia dowodzenia — mówił instruktor. — Na samym szczycie stoi ambasador. Pod nim (pod nią, myślała automatycznie Mary) są zastępcy i wydziały: polityczny, ekonomiczny, administracyjny i wydział do spraw publicznych. Poza tym macie państwo także attache do spraw rolnictwa, attache handlowego i wojskowego.

Ten ostatni to pułkownik McKinney, pomyślała Mary.

— Od momentu objęcia stanowiska ambasadora będzie was chronić immunitet dyplomatyczny. Oznacza to, że nie można będzie was aresztować za przekroczenie szybkości, prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, spalenie domu, czy nawet morderstwo. Nie musicie płacić rachunków. Sklepy nie mogą was zaskarżyć do sądu.

— Tylko nie mówcie o tym mojej żonie! — zawołał ktoś z sali.

— Pamiętajcie zawsze o tym, że ambasador jest osobistym przedstawicielem prezydenta, reprezentującym go przed rządem kraju, w którym jest akredytowany, i wymagane od niego będzie stosowne dla tego stanowiska zachowanie.

— Instruktor spojrział na zegarek. — Prosiłbym, aby przed naszym następnym spotkaniem przestudowali państwo rozdział trzeci z drugiego tomu *Podręcznika spraw zagranicznych*, w którym jest mowa o stosunkach towarzyskich. Dziękuję państwu.

Mary i Stanton Rogers jedli razem lunch w hotelu Watergate.

— Prezydent Ellison chciałby, żebyś wzięła udział w kilku spotkaniach publicznych — rzekł Rogers.

— O jakie spotkania dokładnie chodzi?

— Zorganizujemy kilka spotkań ze środkami masowego przekazu. Wywiady dla prasy, radia, telewizji...

— Ja nigdy... Cóż, jeśli to ważne, spróbuję.

— Wspaniale. Będziemy musieli sprawić ci nową garderobę. Na spotkaniach z dziennikarzami nie możesz pokazać się dwa razy w tej samej sukience.

— Stan, to kosztowałoby majątek! Poza tym nie mam czasu na zakupy. Jestem zajęta od rana do późnej nocy. Jeździ...

— Nie ma problemu. Helen Moody.

— Co?

— To osoba, która zajmuje się zawodowo robieniem takich zakupów. W Waszyngtonie jest najlepsza. Po prostu zostaw to wszystko jej.

Helen Moody była atrakcyjną, bezpośrednią Murzynką, która niegdyś była znaną i wziętą modelką, a obecnie prowadziła własną agencję usług, polegających na zaopatrywaniu klientów w garderobę bez ich bezpośredniego udziału. Zjawiła się w pokoju Mary wcześniej rano i spędziła godzinę, przeglądając jej rzeczy.

— To bardzo ładne, ale w Junction City — stwierdziła uczciwie. — A my mamy oszołomić Waszyngton. Mam rację?

— Ja nie mam tyle pieniędzy, żeby...

— Już ja wiem, gdzie szukać rzeczy po okazjnych cenach — uśmiechnęła się Helen. — I musimy działać szybko. Będzie pani potrzebna długa suknia wieczorowa, sukienka na przyjęcia wieczorne i koktajle, popołudniowa sukienka na obiady i podwieczorki, kostium na ulicę i do biura, czarna sukienka i odpowiednie nakrycie głowy na wypadek oficjalnej żałoby lub pogrzebu.

\* \* \*

Zakupy zajęły trzy dni. Kiedy wszystko już było kupione, Helen przyjrzała się Mary uważnie.

— Jest pani bardzo ładną kobietą, ale myślę, że możemy panią jeszcze trochę poprawić. W sprawie makijażu pójdzie pani do Susan z Rainbow, a potem wyślę panią do Billy'ego z Sunshine, żeby panią uczesał.

Kilka dni później, podczas wydawanego wieczorem w Corcoran Gallery obiadu, Mary wpadła na Stantona Rogersa. Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

— Wyglądasz zachwycająco.

Rozpoczął się szturm prasy, radia i telewizji. Wszystkim kierował Ian Villiers, szef wydziału do spraw prasowych przy Departamencie Stanu. Wydawało się, że ten prawie pięćdziesięcioletni, dynamiczny eks-dziennikarz zna wszystkich zatrudnionych w środkach masowego przekazu.

Mary znalazła się przed kamerami „Good Morning America”, „Meet the Press” i „Firing Linę”. Wywiady z nią przeprowadziły „The Washington Post”, „The New York Times” i pół tuzina innych wydawanych codziennie gazet. Rozmawiały z nią również „London Times”, „Der Spiegel”, „Oggi” i „Le Monde”. Magazyny „Times” i „People” zamieściły długie artykuły opowiadające o niej i dzieciach. Fotografie Mary Ashley były wszędzie, a kiedy w wiadomościach podawano informacje o wydarzeniach z odległych zakamarków świata, natychmiast pytano ją o komentarz. Z dnia na dzień Mary i dzieci stali się sławni.

— Mamo, to takie dziwne widzieć nasze zdjęcia na okładkach tych wszystkich magazynów — powiedział Tim.

— D z i w n e to odpowiednie słowo — zgodziła się Mary.

Nie wiadomo dlaczego niepokoił ją ten rozgłos. Powiedziała o tym Rogersowi.

— Traktuj to jako część swojej pracy. Prezydent chce stworzyć pewien obraz. Zanim pojedziesz do Europy, wszyscy tam będą już wiedzieli, kim jesteś.

Ben Cohn i Akiko leżeli w łóżku, nędzy. Akiko była uroczą Japonką, młodszą od reportera o dziesięć lat. Spotkali się przed kilku laty, kiedy Cohn pisał artykuł o modelkach, i od tamtej pory byli razem.

Ben Cohn miał właśnie problem.

— Co się stało, kochanie? — spytała miękko Akiko. — Chcesz, żebym popracowała jeszcze nad tobą?

— Nie, już mi stanął. — Myślami błędził daleko.

— Nie widzę — zakpiła Akiko.

— Bo jest w mojej głowie. Stanął przede mną pewien problem. W tym mieście dzieje się coś dziwnego.

— Co jeszcze nowego powiesz?

— To jest coś innego. Nie mogę tego rozgryźć.

— Chcesz o tym porozmawiać?

— Chodzi o Mary Ashiey. W ciągu ostatnich dwóch tygodni widziałem ją na okładkach sześciu magazynów, a przecież ona jeszcze nawet nie objęła nowego stanowiska! Akiko, ktoś robi pani Ashiey reklamę gwiazdy filmowej. Zdjęcia jej dzieciaków też są we wszystkich gazetach i magazynach. Dlaczego?

— To ja mam być kimś o przebiegłym orientalnym umyśle. Sądzę, że komplikujesz coś, co jest proste.

Ben zapalił papierosa i zaciągnął się ze złością.

— Może masz rację — odburknął gniewnie.

Akiko sięgnęła w dół i zaczęła lekko głaskać jego penis.

— A może odłożysz papierosa i spróbujesz mnie roz-palić...?

— Niedługo odbędzie się przyjęcie na cześć wiceprezydenta Bradforda — poinformował Mary Stanton Rogers — i starałem się, żebyś została zaproszona. To będzie w piątek wieczorem w Klubie Pan American.

Klub Pan American mieścił się w dużym, statecznym budynku z ogromnym dziedzińcem i często organizowano w nim spotkania dyplomatyczne. Przyjęcie dla wiceprezydenta było imprezą dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach; ze stołami zastawionymi zabytkową, błyszczącą srebrną zastawą i połyskującymi kryształowymi kieliszkami od Baccarata z Francji. Była też mała orkiestra. Lista gości składała się z waszyngtońskiej elity. Oprócz wiceprezydenta i jego żony przybyli senatorowie, ambasadorzy i różne sławy.

Mary przyglądała się temu wspaniałemu zgromadzeniu. Muszę wszystko zapamiętać i opowiedzieć Beth i Timowi, pomyślała.

Kiedy poproszono wszystkich do stołu, Mary znalazła się wśród niezwyklej mieszanki senatorów, urzędników Departamentu Stanu i dyplomatów. Wszyscy byli przemili, a obiad — znakomity.

O jedenastej spojrzała na zegarek i zwróciła się do senatora, siedzącego po prawej stronie:

— Nie wiedziałam, że jest już tak późno. Obiecałam dzieciom, że wrócę wcześniej. — Wstała i powiedziała do siedzących przy jej stole osób: — Było mi bardzo miło poznać państwa. Dobranoc.

Zapanowała nagle cisza i wszyscy w ogromnym holu bankietowym odwrócili się, by zobaczyć, jak Mary przechodzi przez parkiet do tańca i wychodzi.

— O mój Boże — wyszeptał Stanton Rogers — nikt jej nie powiedział!

Następnego ranka Mary i Stanton jedli razem śniadanie.

— Mary — odezwał się Rogers — to jest miasto, które bardzo poważnie traktuje pewne zasady. Niektóre z nich są głupie, ale musimy się do nich stosować.

— Och, co ja zrobiłam ?

Stanton westchnął.

— Złamałaś zasadę numer jeden: nikt, ale to absolutnie nikt, nigdy nie wychodzi z przyjęcia przed gościem honorowym. Tak się złożyło, że ostatniej nocy był nim wiceprezydent Stanów Zjednoczonych.

— O Boże.

— Połowa telefonów w Waszyngtonie po prostu się urywa.

— Przykro mi, Stan. Nie wiedziałam. Zresztą obiecałam dzieciom...

— W Waszyngtonie nie ma dzieci; są tylko młodzi wyborcy. To jest miasto władzy. Nigdy o tym nie zapominaj.

\* \* \*

Pieniądże stawały się problemem. Wydatki na życie były ogromne. Ceny w Waszyngtonie wydawały się Mary niewiarygodnie wysokie. Oddała w hotelu kilka rzeczy do prania i prasowania i była zaszokowana, kiedy otrzymała rachunek.

— Pięć dolarów i pięćdziesiąt centów za upranie bluzki — powiedziała z niedowierzaniem — i dolar dziewięćdziesiąt pięć za biustonosz.

Nigdy więcej, obiecała sobie. Od tej pory sama będę prac.

Namoczyła rajstopy w zimnej wodzie i włożyła je do lodówki. Były wtedy dużo trwalsze. Dziecięce skarpetki, chusteczki do nosa i bieliznę prała razem ze swoimi biustonoszami w umywalce w łazience. Chusteczki do nosa rozpościerała na lustrze, aby schły, a następnie starannie je składała, żeby nie trzeba było ich prasować. Swoje sukienki i spodnie Tima odświeżała, poddając je działaniu pary wodnej. Wieszala je w łazience, puszczała z prysznica gorącą wodę i zamykała łazienkę. Któregoś ranka Beth otworzyła drzwi do łazienki i natknęła się na ścianę z pary wodnej.

— Mamo, co ty wyprawiasz?

— Oszczędzam pieniądze — odparła dumnie Mary.

— Pralnia kosztuje fortunę.

— A co by było, gdyby wszedł teraz prezydent? Jak by to wyglądało? Pomyślałby, że jesteśmy dzikusami.

— Prezydent nie zamierza tu przyjść. I zamknij, proszę, drzwi do łazienki, bo marnujesz pieniądze.

Dzikusy, też coś! Gdyby prezydent przyszedł i zobaczył, co ona robi, byłby z niej dumny. Pokazałaby mu cennik pralni hotelowej i dowiedziałby się, ile Mary potrafi zaoszczędzić dzięki swej jankeskiej pomysłowości. Na pewno zrobiłoby to na nim ogromne wrażenie.

„Pani ambasador, gdyby więcej ludzi w rządzie posiadało pani wyobraźnię, sytuacja ekonomiczna naszego kraju byłaby dużo lepsza. Utraciliśmy niestety ducha pionierskiego, dzięki któremu ten kraj stał się naprawdę wielki. Ludzie nie są już tak twardzi. Za bardzo polegamy na oszczędzających nam czas urządzeniach elektrycznych, a za mało na sobie samych. Chciałbym, aby była pani chwalebny przykładem dla niektórych marnotrawców w Waszyngtonie, którzy sądzą, że ten kraj zbudowany jest z pieniędzy. Mogłaby pani dać im dobrą naukę. Prawdę mówiąc, wpadłem na doskonały pomysł. Pani Ashley, zamierzam uczynić panią ministrem skarbu”.

Przez szparę pod drzwiami łazienki wydobywała się para. Rozmarzona Mary otworzyła drzwi i chmura pary wypełniła pokój.

W tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych.

— Mamo, przyszedł do ciebie pan James Stickley.

## 15 \_\_\_\_\_

— To wszystko staje się coraz bardziej dziwne — stwierdził Ben Cohn.

Siedział w łóżku, nagi, obok swojej dziewczyny, Akiko Hadaki. Oglądali właśnie program *Meet the Press*, w którym występowała Mary Ashley.

Nowa ambasador Rumunii mówiła:

— Uważam, że Chiny są na dobrej drodze do stworzenia naprawdę humanitarnej, indywidualistycznej społeczności komunistycznej, którą osiągną dzięki przyłączeniu Hongkongu i Makau.

— A co, do cholery, ta pani wie o Chinach? — mruknął Cohn i zwrócił się do Akiko. — Patrzysz właśnie na gosposię z Kansas, która w ciągu jednej nocy stała się ekspertem w każdym temacie.

— Wydaje się bardzo inteligentna — odparła Akiko.

— Inteligencja nie ma tu nic do rzeczy. Kiedy ona udziela wywiadu, wszyscy dziennikarze wariują. To jakieś szaleństwo. Jakim cudem znalazła się w programie *Meet the Press*? Powiem ci. Ktoś zdecydował, że Mary Ashley musi się stać sławna. Kto? Dlaczego? Nawet Charles Lindbergh nigdy nie miał takiej reklamy.

— Kto to jest Charles Lindbergh?

— I to właśnie przepaść dzieląca różne pokolenia — westchnął Ben. — Absolutny brak porozumienia.

— Są inne sposoby porozumiewania się — rzekła miękko Akiko.

Delikatnie położyła go na plecach i przywarła do niego całym ciałem. Powoli zsuwała się, pieszcząc językiem jego skórę, gładząc jedwabistymi włosami piersi, brzuch, pachwiny, patrząc, jak jego penis staje się coraz większy i twardszy. Poglaskała go i powiedziała:

— Cześć, Artur.

— Artur chce wejść w ciebie.

— Jeszcze nie. Zaraz do niego wrócę.

Wstała i wyszła do kuchni. Cohn patrzył za nią, aż zniknęła w drzwiach. Spojrzał na telewizor. Ta kobieta jest dla mnie zagadką, pomyślał. Zdaje się, że nie chodzi tu tylko o nią, ale o coś znacznie więcej, i zamierzam dowiedzieć się, o co.

— Akiko! — krzyknął. — Co ty tam robisz? Artur zaczyna zasypiać.

— Powiedz mu, żeby zaczekał — odrzyknęła. — Zaraz przyjdę.



Kilka minut później weszła do pokoju, niosąc naczynie wypełnione lodami, bitą śmietaną i czereśniami.

— Na miłość boską — powiedział Cohn — nie mam ochoty na jedzenie. Mam ochotę na ciebie.

— Połóż się. — Wsunęła pod niego ręcznik, wzięła z tacy lody i zaczęła rozsmarowywać wokół jego jąder.

— Hej! — wrzasnął Cohn. — To jest zimne!

— Ciii...

Akiko położyła na lody bitą śmietaną i wzięła penis w usta, z.ż.napęczniał i stwardniał.

— O Boże — jęknął Ben. — Nie zatrzymuj się.

Akiko położyła czereśnię na końcu sztywnego teraz penisa.

— Uwielbiam lody z owocami — wyszeptała.

Zaczęła jeść swój przysmak, a Cohna ogarnęła niewypowiedziana rozkosz. Gdy sięgnęła zenitu, przewrócił Akiko na plecy i wszedł w nią.

W telewizorze Mary Ashley mówiła:

— Jednym z najlepszych sposobów zapobiegnięcia wojnie z krajami o ideologii przeciwstawnej ideologii amerykańskiej jest rozwinięcie stosunków handlowych z tymi krajami.

Nieco później tego samego wieczoru Ben Cohn zatelefonował do Iana Villiersa.

— Czołem, Ian.

— Benjie, mój chłopcze, czym mogę ci służyć?

— Chcę prosić cię o pewną przysługę.

— Powiedz tylko, o co chodzi, a już to masz.

— O ile wiem, ty jesteś szefem do spraw prasowych przy naszej nowej ambasador w Rumunii.

— Tak...? — ostrożnie odpowiedział Villiers.

— Kto organizuje jej taką reklamę, Ian? Interesuje mnie...

— Przykro mi, Ben, ale to jest sprawa Departamentu Stanu. Ja jestem tylko wynajętym pomocnikiem. Możesz spróbować skontaktować się z sekretarzem stanu.

Odkładając słuchawkę, Cohn powiedział:

— Dlaczego od razu mi nie powiedział, żebym poszedł do diabła? — zastanowił się. — Chyba wyjadę z miasta na kilka dni.

— Dokąd, kochanie?

— Do Junction City w Kansas.

Jednakże w Junction City Ben spędził tylko jeden dzień. Godzinę zajęła mu rozmowa z szeryfem Munsterem i jednym z jego zastępców. Następnie pojechał wynajętym samochodem do Fortu Riley, gdzie odwiedził biuro Wojskowego Urzędu Śledczego. Zdążył jeszcze złapać popołudniowy samolot do Manhattanu, a stamtąd bezpośredni lot do domu.

W chwili, gdy startował samolot Bena, z fortu zamówiona została prywatna rozmowa z numerem w Waszyngtonie.

Mary szła właśnie korytarzem Instytutu Spraw Międzynarodowych, zdążając do biura Stickleya, kiedy usłyszała za sobą niski męski głos mówiący:

— To jest coś, co nazywam doskonałą figurą.

Odwróciła się szybko. Wysoki, nieznajomy mężczyzna opierał się o ścianę, przyglądając się Mary z bezczelnym uśmiechem. Wyglądał dość nieokrzesanie. Ubrany był w dżinsy, podkoszulek, sportowe buty. Do tego wszystkiego był nie ogolony. Wokół ust miał zmarszczki, które powstały od śmiechu, a jego jasnoniebieskie oczy patrzyły na nią kpiąco. Z całej jego postaci biła arogancja nie do zniesienia. Mary odwróciła się na pięcie i odeszła gniewnym krokiem, cały czas czując na sobie wzrok nieznajomego.

Konferencja z Jamesem Stickleym trwała ponad godzinę. Kiedy Mary wróciła do swego biura, nieznajomy mężczyzna siedział w jej fotelu z nogami na stole, przeglądając jej papiery. Mary czuła, jak krew napływa jej do twarzy.

— Co, do diabła, pan tutaj robi?

Mężczyzna spojrział na nią leniwie i powoli wstał.

— Jestem Mikę Slade. Przyjaciele mówią do mnie Michael.

— Czym mogę panu służyć, panie Slade? — spytała Mary lodowatym głosem.

— W zasadzie niczym — odrzekł wesoło. — Jesteśmy sąsiadami. Pracuję w tym wydziale i pomyślałem, że wpadnę i przywitam się.

— Wspomniał pan, że pracuje w tym wydziale. Jeśli to prawda, to podejrzewam, że ma pan gdzieś tutaj swoje biuro. Tak więc w przyszłości nie będzie pan musiał siedzieć przy moim biurku i wtykać nosa w nie swoje sprawy.

— Boże, wyczuwam gniew w pani głosie. A słyszałem, że Kanzasycy, czy jak tam się nazywacie, są miłymi ludźmi.

Mary zacisnęła zęby.

— Panie Slade, daję panu dwie sekundy na opuszczenie mojego biura, zanim zawołam strażnika.

— Chyba się przesłyszałem — mruknął do siebie Slade.

— I jeśli naprawdę pracuje pan w tym departamencie, to radziłabym panu pójść do domu, ogolić się i włożyć odpowiednie ubranie.

— Miałem kiedyś żonę, która mówiła do mnie w ten sam sposób — westchnął Slade. — Już jej nie mam.

Mary czuła, że jej twarz staje się coraz bardziej czerwona.

— Precz.

Pomachał do niej.

— Pa, kochanie. Do zobaczenia.

O nie, pomyślała Mary. Nie zobaczysz mnie więcej.

Cały poranek był serią niemiłych zdarzeń. James Stickley otwarcie okazywał jej swą niechęć. Do południa przygnębienie Mary wzrosło do tego stopnia, że nie miała ochoty na jedzenie. Zamiast lunchu postanowiła urządzić sobie małą przejażdżkę po Waszyngtonie i w ten sposób pozbyć się złego samopoczucia.

Jej limuzyna stała zaparkowana naprzeciwko Instytutu.

— Dzień dobry, pani ambasador — przywitał ją szofer. — Dokąd chciałaby pani jechać?

— Byłe gdzie, Marvinie. Po prostu jedź.

## ■Mi

— Tak, proszę pani. — Samochód ruszył miękko. — Czy chciałaby pani zobaczyć Aleję Ambasad ?

— Może być — cokolwiek, byle tylko pozbyć się wspomnienia o dzisiejszym poranku.

Na rogu ulicy skręcili w lewo i pojechali w kierunku alei Massachusetts.

— Tutaj się zaczyna — powiedział Marvin, kiedy wjechali na szeroką ulicę.

Zwolnił nieco i zaczął wymieniać kolejno ambasady, wskazując przy tym poszczególne budynki.

Mary rozpoznała ambasadę Japonii po fladze z wschodzącym słońcem, wiszącej przed wejściem. Nad drzwiami ambasady indyjskiej był słoń.

Minęli piękny meczet islamski. Na placu przed nim klęczeli ludzie modląc się.

Dojechali do rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy i minęli biały budynek z kolumnami po obu stronach trzech stopni.

— To jest ambasada Rumunii — oznajmił Marvin. — Zaraz obok niej znajduje się...

— Proszę się zatrzymać!

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku. Mary spojrzała przez szybę na tablicę, umocowaną na zewnątrz budynku. Był na niej napis: AMBASADA SOCJALISTYCZNEJ REPUBLIKI RUMUNII.

Pod wpływem impulsu Mary powiedziała:

— Proszę tutaj zaczekać. Wejdę tam.

Serce zaczęło jej bić szybciej. To miał być pierwszy prawdziwy kontakt z krajem, o którym uczyła innych; z krajem, który miał się stać jej domem na kilka następnych lat.

Wzięła głęboki oddech i nacisnęła dzwonek. Cisza. Ruszyła klamką, drzwi były otwarte. Weszła do środka. W holu recepcyjnym było ciemno i panował przejmujący chłód. W niewielkiej niszy stała czerwona kanapa, a obok niej dwa krzesła, zwrócone w stronę małego telewizora. Usłyszała kroki i odwróciła się. Po schodach zbiegał wysoki, szczupły mężczyzna.

— Tak? Tak? — wykrzykiwał. — O co chodzi? O co chodzi?

Mary rozpromieniła się.

— Dzień dobry. Jestem Mary Ashley. Jestem nowym ambasadorem w Rum...

Mężczyzna złapał się za głowę.

— O mój Boże!

— Co się stało? — spytała Mary, zaskoczona.

— To się stało, że nie spodziewaliśmy się pani, pani ambasador.

— A tak, wiem o tym. Po prostu przejeżdżałam tędy i...

— Ambasador Corbescue będzie bardzo, bardzo zmartwiony.

— Zmartwiony? Dlaczego? Ja tylko chciałam przywitać się i...

— Oczywiście, oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Nazywam się Gabriel Stoica. Jestem pierwszym sekretarzem ambasadora. Pozwoli pani, że włączę światło i ogrzewanie. Nie spodziewaliśmy się gości, jak pani widzi. Naprawdę nie.

Był tak przestraszony, że Mary chciała wyjść jak najszybciej, ale było już za późno. Patrzyła, jak Gabriel Stoica biega wokół, zapalając żyrandole i lampy, aż cały hol rozbrzysnął jasnym światłem.

— Minie kilka chwil, zanim zrobi się tutaj ciepło — przeproszał. — Próbujemy oszczędzać na ogrzewaniu, jak tylko możemy. Waszyngton jest bardzo drogi.

Mary, gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię.

— Nie zdawałam sobie sprawy...

— Nie, nie! Nic się nie stało, nic. Ambasador jest na górze. Zaraz mu powiem, że pani tu jest.

— Proszę nie robić sobie kłopotu...

Stoica biegł już po schodach.

Wrócił po pięciu minutach.

— Proszę za mną. Ambasador jest zachwycony pani wizytą. Zachwycony.

— Czy jest pan pewien, że...

— Czekaj na panią.

Zaprowadził Mary na górę. Na szczycie schodów znajdował się pokój konferencyjny z okrągłym stołem, wokół

którego stało czternaście krzeseł. Przy ścianie ustawiono oszkloną gablotę z wyrobami artystycznymi i rzeźbami rumuńskimi, a na ścianie wisiała plastyczna mapa Rumunii. Był także kominek, nad którym umieszczono flagę rumuńską. Na powitanie Mary zdążył ambasador Radu Corbescue w koszuli z rozpiętymi mankietami, pośpiesznie wkładając marynarkę. Był wysokim, masywnym mężczyzną o ciemnej karnacji. Ktoś ze służby szybko zapalał światła i nastawiał ogrzewanie.

— Pani ambasador! — zawołał Corbescue. — Co za niespodziewany zaszczyt! Proszę nam wybaczyć to nieformalne przyjęcie. Wasz Departament Stanu nie poinformował nas o pani wizycie.

— To moja wina — powiedziała przepraszająco Mary. — Byłam w pobliżu i...

— To wielki zaszczyt poznać panią! Zaszczyt! Wiele razy widzieliśmy panią w telewizji i w gazetach, i magazynach. Bardzo byliśmy ciekawi, jaka jest nowa ambasador do naszego kraju. Napije się pani herbaty?

— Cóż, ja... jeśli nie sprawi to zbyt dużo kłopotu.

— Kłopotu? Ależ oczywiście, że nie! Tak mi przykro, że nie przygotowaliśmy odpowiedniego lunchu, żeby panią należycie ugościć. Proszę mi wybaczyć! Jestem taki zakłopotany.

To ja jestem zakłopotana, pomyślała Mary. Co mnie podkusiło, żeby tutaj wejść? Głupia, głupia i jeszcze raz głupia. Nikomu o tym nie powiem, nawet dzieciom. Pozostanie to moją tajemnicą aż po grób.

Kiedy przyniesiono herbatę, ambasador Corbescue rozlał ją ze zdenerwowania.

— Ale ze mnie niezdara! Proszę mi wybaczyć!

Mary marzyła, żeby przestał to powtarzać.

Ambasador usiłował prowadzić uprzejmą rozmowę, ale to tylko pogorszyło sytuację. Było jasne jak słońce, że czuł się potwornie skrępowany. Mary wstała, gdy tylko pojawiła się taka możliwość.

— Bardzo dziękuję, Wasza Ekscelencjo. Było mi bardzo miło pana poznać. Do widzenia.

I uciekła.

Kiedy wróciła do biura, natychmiast przywołał ją James Stickley.

— Pani Ashley — rozpoczął oziębłe — czy zechciałaby mi pani wyjaśnić, co właściwie pani wyczynia?

Zdaje się, że nie pozostanie to moją tajemnicą aż po grób, pomyślała Mary.

— Och, ma pan na myśli wizytę w ambasadzie rumuńskiej? Ja... pomyślałam, że wpadnę i przywitam się, i...

— To nie jest maleńkie, intymne spotkanko rodzinne — przerwał jej sucho Stickley. — W Waszyngtonie n i e w p a d a się do żadnej ambasady, ot, tak sobie. Jeśli jakiś ambasador odwiedza innego ambasadora, to tylko na oficjalne zaproszenie. Zrobiła pani Corbescue niezłą niespodziankę. Musiałem przekonać go, żeby nie składał oficjalnego protestu w Departamencie Stanu. W jego mniemaniu poszła tam pani specjalnie, żeby go zaskoczyć i szpiegować.

— Co takiego?! Ze wszystkich...

— Po prostu proszę pamiętać, że nie jest już pani osobą prywatną. Jest pani przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych. Następnym razem, jeśli wpadnie pani na pomysł zrobienia czegoś mniej osobistego niż umycie zębów, proszę najpierw przyjść z tym do mnie. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Mary przelknęła ślinę.

— Owszem, tak.

— To dobrze. — Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. — Jest u mnie pani Ashley. Czy chciałby pan teraz przyjść? Dobrze. — Odłożył słuchawkę.

Mary siedziała cichutko, czując się jak małe dziecko, które właśnie zostało skarcone. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł Mikę Slade.

Spojrzał na Mary i uśmiechnął się szeroko.

— Witam. Posłuchałem pani rady i się ogoliłem.

Stickley popatrzył na niego, a potem na Mary.

— Wy się znacie?

Mary rzuciła Slade'owi spojrzenie pełne wściekłości.

— W zasadzie nie. Natknęłam się na niego w moim biurze, kiedy szperał w papierach.

— Pani Ashley, Mikę Slade — przedstawił ich sobie James Stickley. — Pan Slade będzie pani głównym zastępcą i pełnomocnikiem.

Mary wytrzeszczyła na niego oczy.

— Kim?

— Pan Slade jest z Wydziału do Spraw Europy Wschodniej. Zwykle pracuje poza Waszyngtonem, ale teraz wyznaczono go na pani zastępcę.

Mary zerwała się z krzesła.

— Nie! — zaprotestowała. — To niemożliwe.

— Obiecuję, że będę się codziennie golić — odezwał się łagodnie Mikę.

— Myślałam, że ambasador ma prawo sam wybrać swojego zastępcę — zwróciła się Mary do Stickleya.

— To prawda, ale...

— W takim razie, ja nie wybieram pana Slade'a. Nie chcę go.

— W zwykłych okolicznościach miałyby pani do tego prawo, ale w tym wypadku obawiam się, że nie ma pani wyboru. Taki rozkaz przyszedł z Białego Domu.

Mary nie mogła uniknąć spotkań ze Slade'em. Zdawało się, że był wszędzie. Natykała się na niego w Pentagonie, w stołówce w Senacie, na korytarzu Departamentu Stanu. Zawsze ubrany był w dżinsy i podkoszulek albo dresy. Mary zastanawiała się głęboko, jakim cudem uchodziło mu to płazem w tak oficjalnym środowisku.

Pewnego dnia zobaczyła go, gdy jadł obiad z pułkownikiem McKinneyem. Byli zajęci poważną rozmową i zaciękało ją jakie stosunki łączą tych dwóch mężczyzn. Może byli starymi przyjaciółmi? A może organizowali spisek przeciwko niej? Zaczynam wpadać w obsesję, pomyślała, a jeszcze nawet nie jestem w Rumunii.

Charlie Campbell, przewodniczący Komitetu do Spraw Zagranicznych przy Senacie, wydał na cześć Mary przyjęcie



w Corcoran Gallery. Kiedy weszła do sali, oszołomił ją widok wytwornie ubranych kobiet. Nie pasując do nich, westchnęła w duchu. Wyglądają, jakby były stworzone do noszenia takich sukien.

Nie miała pojęcia, jak uroczo sama wyglądała.

Więcej niż tuzin fotografów było obecnych na przyjęciu i właśnie Mary była osobą, której zrobili najwięcej zdjęć podczas tego wieczoru. Tańczyła z kilkoma mężczyznami. Niektórzy z nich byli żonaci, niektórzy nie, ale prawie każdy z nich prosił ją o numer telefonu. Nie była tym ani obrażona, ani też zainteresowana.

— Przykro mi — odpowiedziała jednemu z nich — ale praca i rodzina zajmują mi zbyt dużo czasu, żebym mogła myśleć o zabawie.

Było dla niej nie do pomyślenia, że mogłaby zastąpić Edwarda kimś innym. Ani teraz, ani nigdy.

Mary siedziała przy stole w towarzystwie Charliego Campbella, jego żony i kilku osób z Departamentu Stanu. Powoli rozmowa zeszła na temat anegdot o ambasadorach.

— Kilka lat temu w Madrycie — opowiadał jeden z gości — setki zbuntowanych studentów zorganizowało demonstrację pod ambasadą brytyjską, domagając się zwrotu Gibraltaru. Niewiele już brakowało, aby wdarli się do budynku, kiedy zadzwonił jeden z ministrów generała Franco. „Jestem ogromnie zaniepokojony tym, co się dzieje pod ambasadą”, powiedział. „Czy mam przysłać więcej policji?” „Nie”, odparł ambasador. „Po prostu przyslijcie mniej studentów”.

— Czy to nie Hermes był uważany przez starożytnych Greków za patrona ambasadorów? — spytał ktoś.

— Owszem — padła odpowiedź. — Był również opiekunem włóczęgów, kłamców i złodziei.

Mary bawiła się wyśmienicie. Wszyscy byli weseli, dowcipni i interesujący. Mogłaby zostać tu całą noc.

— Czy nie musi pani jutro wstać wcześnie rano na jakieś spotkanie? — spytał siedzący obok niej mężczyzna.

— Nie — odparła Mary. — Jutro jest niedziela. Mogę się wyspać.

Trochę później jakaś kobieta ziewnęła.

— Przepraszam, miałam męczący dzień.

— Ja również — uśmiechnęła się Mary.

Naraz wydało jej się, że w sali zrobiło się nienaturalnie cicho. Spojrzała wokół i stwierdziła ze zdziwieniem, że wszyscy się w nią wpatrują. Co u licha?... Zerknęła na zegarek. Było wpół do trzeciej rano. Nagle przypomniała sobie z przerażeniem to, co powiedział jej Stanton Rogers: „Z przyjęcia zawsze pierwszy wychodzi gość honorowy”.

A tutaj ona była gościem honorowym! O mój Boże, przeraziła się. To przeze mnie wszyscy jeszcze tu siedzą.

Wstała z miejsca i powiedziała zdławionym głosem:

— Dobranoc państwu. To był bardzo miły wieczór.

Odwróciła się i pospiesznie skierowała do wyjścia, słysząc, jak reszta gości rzuciła się w jej ślady.

W poniedziałek rano wpadła na korytarzu na Mike'a Slade'a.

Uśmiechnął się i spytał wesoło:

— Słyszałem, że w sobotę pół Waszyngtonu było przez panią na nogach do późnej nocy?

Jego bezczelność ją rozwścieczyła.

Minęła go bez słowa i poszła prosto do biura Stickleya.

— Panie Sticklej, naprawdę nie sądzę, by z mojej współpracy z panem Slade'em w ambasadzie w Rumunii był jakikolwiek pożytek.

Spojrzał na nią znad papierów, które właśnie czytał.

— Doprawdy? O co chodzi?

— Chodzi o jego... zachowanie. Uważam, że pan Slade jest bezczelny i zachowuje się arogancko. Jeżeli mam być szczerą, nie lubię pana Slade'a...

— Och, wiem, że Mikę ma różne dziwne nawyki, ale...

— N a w y k i ? To jakiś prostak bez wychowania. Żądam oficjalnie, aby znalazł pan kogoś innego na jego miejsce.

— Skończyła pani?

— Tak.

— Pani Ashley, tak się złożyło, że Mikę Slade jest naszym najlepszym ekspertem, jeśli chodzi o sprawy dotyczące Europy

Wschodniej. Pani zadaniem jest nawiązać przyjaźń między naszym krajem i Rumunią. Moim zadaniem jest dopilnować, aby otrzymała pani wszelką możliwą pomoc w tym względzie. Brzmi ona: Mikę Slade. I nie chcę o tym więcej słyszeć. Czy jasno się wyraziłem ?

To nie ma sensu, pomyślała Mary. Zupełnie nie ma sensu.

Wróciła do biura zawiedziona i zła. Mogłabym porozmawiać o tym ze Stanem, przyszło jej na myśl. On zrozumiałby. Ale to byłby z mojej strony dowód słabości. Będę musiała sama poradzić sobie z panem Slade'em.

— Śnimy na jawie?

Spojrzała do góry, zaskoczona. Naprzeciwko niej, po drugiej stronie biurka, stał Mikę Slade, trzymając stertę ksiąg z archiwum.

— To powinno utrzymać panią z dala od kłopotów dziś wieczór — powiedział, kładąc książki na biurku.

— Następnym razem, gdy zechce pan wejść do mojego biura, proszę najpierw z a p u k a ć .

Patrzył na nią drwiąco.

— Dlaczego mam wrażenie, że nie szaleje pani za mną?

Mary poczuła narastający gniew.

— Powiem panu dlaczego, panie Slade. Dlatego, że jest pan aroganckim, obrzydliwym, zarozumiałym...

Podniósł ostrzegawczo palec wskazujący.

— Powtarza się pani.

— Jak pan śmie stroić sobie ze mnie żarty! — wrzasnęła rozwścieczona.

Jego głos przybrał niebezpieczny ton.

— Uważa pani, że nie mogę robić tego, co inni? Jak pani sądzi, co wszyscy w Waszyngtonie mówią na pani temat?

— Nie dbam o to, co o mnie mówią.

— A powinna pani. — Pochylił się nad biurkiem.

— Wszyscy zadają sobie pytanie, jakim prawem zasiada pani za biurkiem ambasadora? Spędziłem w Rumunii cztery lata, droga pani. To ładunek dynamitu, który może w każdej chwili wybuchnąć, a tymczasem rząd posyła tam ofermę z zapadłej wsi, żeby się nim trochę pobawiła.

Mary siedziała z zaciśniętymi zębami, słuchając.

— Jest pani amatorem, pani Ashley. Jeśli ktoś chciał się pani za coś zrewanżować, powinien był zrobić panią ambasadorem w Islandii.

Mary straciła panowanie nad sobą. Skoczyła na równe nogi i wymierzyła mu siarczysty policzek.

Mikę Slade westchnął tylko.

— Na wszystko ma pani gotową odpowiedź, prawda ?

## \_\_\_\_\_ 16

Na zaproszeniu było napisane: „Ambasador Socjalistycznej Republiki Rumunii prosi o przybycie na kolację, która odbędzie się w ambasadzie przy ulicy Dwudziestej Trzeciej nr 1607, w dzielnicy Północno-Zachodniej, o godzinie 19.30, obowiązkowy strój wieczorowy, RSVP 555-6593”.

Mary przypomniła sobie wizytę w ambasadzie i to, jaką wówczas zrobiła z siebie idiotkę. Ale to się nie powtórzy, postanowiła. Mam to za sobą. Teraz już dobrze gram swoją rolę na waszyngtońskiej scenie.

Włożyła na tę okazję jeden z nowych nabytków: czarną aksamitną suknię z głębokim dekoltem i długimi rękawami. Do tego miała czarne, jedwabne pantofelki na wysokim obcasie, a na szyi skromny naszyjnik z pereł.

— Wyglądasz lepiej niż Madonna — stwierdziła Beth.

Mary ją uścisnęła.

— Pochlebiasz mi. Zjedzcie obiad na dole w restauracji, a potem możecie przyjść tutaj i oglądać telewizję. Wróć wcześniej. Jutro jedziemy wszyscy zwiedzić dom prezydenta Waszyngtona w Mount Vernon.

— Baw się dobrze, mamó.

Zadzwonił telefon.

— Pani ambasador — odezwał się głos recepcjonisty — pan Stickley czeka na panią w holu.

Wolałabym pójść sama, pomyślała pochmurnie Mary. Nie potrzebuję ani jego, ani nikogo innego, żeby mnie pilnował.

Ambasada rumuńska wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy Mary odwiedziła ją po raz pierwszy. Panowała uroczysta atmosfera, której wówczas brakowało. Przy drzwiach powitał ich Gabriel Stoica, pierwszy sekretarz ambasadora.

— Dobry wieczór, panie Stickley. Miło mi pana widzieć.

Stickley skinął głową w stronę Mary.

— Pozwoli pan, że przedstawię mu nowego ambasadora w waszym kraju.

Stoica nawet nie mrugnął okiem.

— Bardzo mi miło panią poznać, pani ambasador. Proszę za mną.

Przechodząc korytarzem, Mary zauważyła, że wszystkie pomieszczenia były jasno oświetlone i porządnie ogrzane. Z góry dobiegały dźwięki małej orkiestry i wszędzie stały wazy z kwiatami.

Ambasador Corbescue stał w towarzystwie kilku osób i rozmawiał, kiedy ujrzał Stickleya wchodzącego z Mary.

— Och, dobry wieczór, panie Stickley.

— Dobry wieczór, panie ambasadorze. Niech mi będzie wolno przedstawić panu ambasadora Stanów Zjednoczonych w Rumunii.

Corbescue spojrzał na Mary i powiedział obojętnym tonem:

— Miło mi poznać panią.

Mary czekała na znak porozumienia w jego oczach. Ale się nie doczekała.

Na kolacji było sto osób. Wszyscy mężczyźni w smokingach, a kobiety w pięknych sukniach od Givenchy, Oskara de la Renta i Louisa Estevesa. Na górze oprócz wielkiego stołu, który Mary widziała poprzednio, stało kilka mniejszych. Lokaje w liberii roznosili tace z kieliszkami szampana.

— Czy ma pani ochotę na kieliszek szampana? — spytał Mary James Stickley.

— Nie, dziękuję — odparła. — Nie piję alkoholu.

— Naprawdę? To niedobrze.

Spojrzała na niego zdumiona.

— Dlaczego?

— Bo to należy niejako do pani obowiązków. Podczas każdego przyjęcia dyplomatycznego, w którym będzie pani brała udział, wznoszone będą toasty. Jeśli pani ich nie spełni, obrazi pani gospodarza. Musi pani od czasu do czasu przynajmniej umoczyć usta.

— Będę o tym pamiętać — zapewniła Mary.

Rozejrzała się po sali i zobaczyła Mike'a Slade'a. Z początku go nie poznała. Miał na sobie smoking i musiała przyznać, że prezentował się w nim wcale nieźle. Jego ramię obejmowało kibić zmysłowej blondynki ubranej w tak obcisłą sukienkę, iż miało się wrażenie, że lada moment z niej wyskoczy. Tandeta, pomyślała pogardliwie Mary. W sam raz w jego guście. Ciekawe, ile dziewczyn czeka na niego w Bukareszcie?

Pamiętała dobrze jego słowa: „Jeśli ktoś chciał się pani za coś zrewanżować, powinien być zrobić panią ambasadorem w Islandii”. Bydłę.

W tym momencie ujrzała, jak pułkownik McKinney, ubrany w mundur galowy, podchodzi do Slade'a. Mike przeprosił blondynkę i odszedł z pułkownikiem w ustronne miejsce. Będę musiała mieć ich na oku, pomyślała.

Przeszedł obok niej lokaj niosący szampana.

— Chyba jednak wypiję jeden kieliszek — zdecydowała Mary.

James Stickley patrzył, jak opróżnia kieliszek.

— No, najwyższy czas rozpocząć pracę.

— Jaką pracę?

— Na takich przyjęciach załatwia się mnóstwo spraw. Po to właśnie ambasady je organizują.

Całą następną godzinę Mary spędziła na poznawaniu różnych ambasadorów, senatorów, gubernatorów i kilku polityków, mających największą władzę w Waszyngtonie. Rumunia stała się modna i prawie każda ważna osobistość postarała

się o zaproszenie na kolację w ambasadzie. W końcu do Mary i Stickleya podszedł Mikę Slade, holując za sobą blondynkę.

— Dobry wieczór — przywitał się wesolo. — Chciałbym wam przedstawić Debbie Dennison. To jest James Stickley i Mary Ashley.

To był zamierzony policzek.

— To jest a m b a s a d o r Ashley — poprawiła go zimno Mary.

Mikę klepnął się dłonią w czoło.

— Przepraszam, a m b a s a d o r Ashley. Tak się składa, że ojciec panny Dennison również jest ambasadorem. Jest zawodowym dyplomata, oczywiście. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat pracował aż w sześciu krajach.

— To cudownie móc się w ten sposób wychowywać — dodała Debbie Dennison.

— Jak na swój wiek, Debbie jest bardzo dojrzałą osobą — powiedział Mikę.

— O tak — odparła Mary — w to nie wątpię.

Mary modliła się, żeby przy kolacji nie musiała siedzieć obok Slade'a i jej modły zostały wysłuchane. Mikę zasiadał przy innym stole, obok na wpół rozebranej blondynki. Sama znalazła się w towarzystwie tuzina innych osób. Niektóre twarze były jej znane z okładek czasopism i z telewizji. James Stickley siedział naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu. Jej sąsiad z lewej strony mówił dziwnym językiem, którego Mary nie umiała nawet rozpoznać. Natomiast po prawej stronie siedział wysoki, szczupły mężczyzna w średnim wieku, o jasnych włosach i przystojnej, wrażliwej twarzy.

— Jestem zachwycony, że mogę pani towarzyszyć przy stole. Wyznam, że jestem pani gorącym wielbicielem — powiedział do Mary. Mówił z lekkim skandynawskim akcentem.

— Dziękuję — odrzekła, zastanawiając się, z jakiego właściwie powodu jest jej wielbicielem. Jak dotąd, niczego jeszcze nie dokonała.

— Nazywam się Olaf Peterson. Jestem attache kulturalnym ze Szwecji.

— Miło mi pana poznać, panie Peterson.

— Czy była pani kiedykolwiek w Szwecji ?

— Nie. Prawdę mówiąc, nigdzie nie byłam.

Peterson uśmiechnął się.

— W takim razie wiele miejsc czeka jeszcze piękna niespodzianka.

— Być może pewnego dnia dzieci i ja odwiedzimy pański kraj.

— Ach, pani ma dzieci? Ile mają lat?

— Tim ma dziesięć, a Beth dwanaście. Pokażę panu zdjęcia.

Otworzyła torebkę i wyjęła fotografie dzieci. Siedzący po drugiej stronie stołu Sticklej z dezaprobatą kręcił głową.

Olaf Peterson przyjrzał się zdjęciom uważnie.

— Pani dzieci są piękne — rzekł z zachwytem. — Odziedziczyły to po matce.

— Oczy mają po ojcu.

Czasami żartując sprzeczali się z Edwardem, do kogo z nich dzieci były bardziej podobne.

„Beth będzie tak piękna jak ty”, mówił Edward. „Nato-  
miast nie bardzo wiem, do kogo podobny jest Tim. Jesteś  
pewna, że to mój syn?”

Te ich niby-sprzeczki kończyły się zwykle w łóżku, na kochaniu się.

Olaf Peterson mówił coś do niej.

— Przepraszam, co pan mówił?

— Powiedziałem, że czytałem o wypadku, w którym zginął pani mąż. Tak mi przykro. To musi być trudne dla kobiety, żyć samotnie, bez mężczyzny. — Jego głos przepełniony był współczuciem.

Mary uniosła kieliszek z winem i pociągnęła mały łycalek. Wino było zimne i orzeźwiające. Opróżniła kieliszek. Natychmiast został ponownie napełniony przez kelnera w białych rękawiczkach, który krążył wokół stołu, obsługując gości.

— Kiedy rozpoczyna pani pracę w Rumunii? — spytał Peterson.

— Powiedziano mi, że wyjadę za kilka tygodni. — Znowu wzięła do ręki kieliszek. — Do Bukaresztu. — Wypiła wino.



Było naprawdę wyśmienite. Wiedziała, że nie zaszkodzi jej, bo wino nie zawiera dużo alkoholu.

Kiedy podszedł kelner, aby napełnić kieliszek, kiwnęła wesoło głową. Rozejrzała się po sali, przyglądając się wytwornie ubranym gościom, rozmawiającym w różnych językach. W starym, kochanym Junction City nie ma takich bankietów, pomyślała. Nie, proszę pana. Kansas jest suche jak pieprz. A Waszyngton jest mokry jak... Jak co jest mokry Waszyngton? Zmarszczyła brwi, próbując zebrać myśli.

— Czy dobrze się pani czuje? — spytał Peterson.

Poklepała go po ramieniu.

— Świetnie. Czuję się po prostu świetnie. Chciałabym jeszcze napić się wina, Olafie.

— Oczywiście.

Skinął na kelnera i kieliszek Mary został napełniony.

— W domu nigdy nie piłam wina — zwierzyła się Mary i pociągnęła spory łyk. — W zasadzie nigdy niczego nie piłam. — Mówiła coraz mniej wyraźnie. — To oczywiście nie dotyczy wody.

Peterson obserwował ją z uśmiechem.

Wstał ambasador Corbescue, siedzący przy głównym stole.

— Panie i panowie, dostojni goście, pragnę wznieść toast.

Rozpoczął się rytuał. Wzniesiono toast na cześć Alexandrosa Ionescu, prezydenta Rumunii. Następnie wzniesiono toast na cześć prezydenta Stanów Zjednoczonych, na cześć wiceprezydenta, na cześć flagi rumuńskiej i na cześć flagi amerykańskiej. Mary wydawało się, że tych toastów było tysiące. Sumiennie spełniła każdy z nich. Jestem ambasadorem, przypominała sobie. To mój obowiązek.

Między jednym toastem a drugim ambasador rumuński rzekł:

— Jestem pewien, że wszyscy chcielibyśmy usłyszeć kilka słów od nowej, uroczej pani ambasador Stanów Zjednoczonych w Rumunii.

Mary uniosła kieliszek i zaczęła pić, kiedy nagle uprzytomniła sobie, że chodziło o nią. Posiedziała chwilę, wreszcie udało

jej się wstać. Stała, przytrzymując się stołu. Rozejrzała się po zgromadzonych gościach i pomachała do nich.

—, Cześć wszystkim. Dobrze się bawicie?

Nigdy nie czuła się tak szczęśliwa. Wszyscy w sali byli przemili i uśmiechali się do niej. Niektórzy nawet śmiali się głośno. Spojrzała na Jamesa Stickleya i uśmiechnęła się szeroko.

— To jest wspaniałe przyjęcie — powiedziała. — Jestem zachwycona, że mogliście wszyscy tutaj przyjść.

Usiadła ciężko i zwróciła się do Petersona:

— Dolali mi czegoś do wina.

Wzięła ją za rękę.

— Myślę, że powinnaś wyjść na świeże powietrze. Tu jest bardzo duszno.

— Tak... Duszno. Prawdę mówiąc, trochę kręci mi się w głowie.

— Pozwól, że pomogę ci wyjść.

Wstała z jego pomocą i ze zdumieniem stwierdziła, że ma trudności z chodzeniem. James Stickley zajęty był rozmową z sąsiadem przy stole i nie zauważył jej zniknięcia. Wychodząc Mary i Olaf minęli stół, przy którym siedział Mikę Slade, i Mary zauważyła, że jej zastępca patrzył na nią z dezaprobatą, marszcząc brwi.

Jest zazdrosny, że to nie jego poprosili o wygłoszenie mowy, pomyślała z zadowoleniem.

Zwróciła się do Petersona.

— Wiesz, o co mu chodzi, prawda? Chce być ambasadorem. Nie może znieść, że mnie dali to stanowisko.

— O kim mówisz? — spytał Olaf.

— Nieważne. On nie jest ważny.

Wyszli na zewnątrz. Było już późno i zrobiło się chłodno. Mary była wdzięczna Petersonowi, że podtrzymywał ją ramieniem. Wszystko wokół wydawało jej się rozmazane i niewyraźne.

— Gdzieś tu powinna być moja limuzyna — powiedziała.

— Lepiej ją odeślij — poradził Peterson. — Pojedziemy do mnie i napijemy się czegoś.

— Nie chcę już wina.

— Nie, nie, tylko odrobinę brandy, żebyś się lepiej poczuła.

Brandy. W książkach wszyscy wytworni ludzie pili brandy. Brandy z wodą sodową. To było coś w stylu Gary'ego Granta.

— Z wodą sodową?

— Oczywiście.

Pomógł jej wsiąść do taksówki i podał kierowcy adres. Kiedy taksówka zatrzymała się przed dużym blokiem mieszkalnym, Mary spojrzała na Petersona ze zdumieniem.

— Gdzie jesteśmy ?

— W domu — odpowiedział.

Przytrzymał ją, kiedy wysiadała z taksówki, bo w ogóle nie mogła ustać na nogach.

— Czy ja jestem pijana? — spytała go.

— Oczywiście, że nie — odparł uspokajająco.

— Dziwnie się czuję.

Peterson wprowadził ją do budynku i wezwał windę.

— Odrobina brandy postawi cię na nogi.

Weszli do windy i Olaf nacisnął przycisk.

— Wiesz, że jestem absentką? Chciałam powiedzieć — abstynentką?

— Nie, nie wiedziałem o tym.

— To prawda.

Peterson gładził jej nagie ramię.

Otworzyły się drzwi i Olaf pomógł jej wydostać się z windy.

— Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że podłoga u ciebie jest nierówna?

— Zajmę się tym — obiecał Peterson.

Przytrzymał ją jedną ręką, a drugą szukał klucza, po czym otworzył drzwi. Weszli do mieszkania, w którym panował przyjemny półmrok.

— Ciemno tutaj — powiedziała Mary.

Olaf objął ją.

— Lubię ciemność. A ty?

Czy lubiła ciemność? Nie była pewna.

— Jesteś bardzo piękną kobietą, wiesz o tym?

— Dziękuję. A ty jesteś pięknym mężczyzną.

Podprowadził ją do kanapy i posadził. Kręciło jej się w głowie. Olaf przycisnął usta do jej ust i poczuła jego rękę sunącą po udzie.

— Co ty robisz?

— Odpręż się, kochanie. Zobaczysz, że poczujesz się wspaniale.

I rzeczywiście czuła się cudownie. Jego ręce były bardzo delikatne, tak jak ręce Edwarda.

— Był świetnym lekarzem — powiedziała Mary.

— Jestem tego pewien. — Przycisnął ją do siebie.

— O, tak. Kiedy ktoś musiał mieć operację, zawsze prosił o Edwarda.

Leżała na plecach na kanapie, a delikatne ręce uniosły do góry sukienkę i lekko pieściły jej ciało. Ręce Edwarda. Mary zamknęła oczy i czuła na skórze jego usta; miękkie usta i delikatny język. Edward miał taki delikatny język. Czuła niezwykłą błogość. I pragnęła, aby to się nigdy nie skończyło.

— Tak mi dobrze, kochanie — odezwała się. — Weź mnie. Proszę, weź mnie.

— Dobrze. Już. — Głos był chrapliwy, niemiły. Nie taki jak głos Edwarda.

Mary otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą twarz obcego mężczyzny. W tej samej chwili poczuła, że zaczął w nią wchodzić, i krzyknęła:

— Nie! Zostaw mnie!

Odsunęła się od niego gwałtownie i spadła na podłogę. Z trudem podniosła się na nogi. Olaf Peterson gapił się na nią, zaskoczony.

— Ale...

— Nie!

Rozejrzała się po mieszkaniu błędnym wzrokiem.

— Przepraszam — powiedziała — pomyliłam się. Nie chcę, żebyś myślał, że ja...

Odwróciła się i pobiegła do drzwi.

— Poczekaj! Pozwól przynajmniej, że cię odwiozę do domu.

Ale jej już nie było.

»

Szła opustoszałymi ulicami, trzeźwiejąc na zimnym wietrze, czując głęboki, piekący wstyd. Nie miała nic na usprawiedliwienie swojego zachowania. Zhańbiła swoje stanowisko. I to w taki głupi sposób! Upiła się na oczach połowy korpusu dyplomatycznego Waszyngtonu, pojechała do mieszkania obcego mężczyzny i niemal pozwoliła, aby ją posiadł. Jutro rano na pewno będzie można o tym przeczytać we wszystkich brukowcach w Waszyngtonie.

Ben Cohn usłyszał całą historię od trzech osób, które brały udział w przyjęciu w ambasadzie rumuńskiej. Przejrzał wszystkie gazety wydawane w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Nigdzie nie było nawet wzmianki o tym zdarzeniu. Ktoś zatuszował całą sprawę. Musiał to być ktoś bardzo ważny.

Siedział w swoim maleńkim biurze, przypominającym raczej kabinę telefoniczną, i rozmyślał. W końcu wykręcił numer lana Villiersa.

— Halo, czy zastałem pana Villiersa?

— Tak. Kto mówi?

— Ben Cohn.

— Proszę chwilę zaczekać.

Nie minęła minuta, kiedy znowu się odezwała.

— Bardzo mi przykro, panie Cohn, ale zdaje się, że pan Villiers właśnie wyszedł.

— Kiedy mogę go złapać?

— Obawiam się, że dzisiejszy dzień ma cały zajęty.

— Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i wykręcił numer znajomej dziennikarki, zajmującej się nowinkami i skandalami. Wiedziała o wszystkim, co działo się w Waszyngtonie.

— Linda — zaczął — co nowego w wielkim świecie?

— *Plus ça change, plus c'est la meme chose.*

— Czy dzieje się coś ciekawego w tym połączonym bajorze?

— Raczej nie, Ben. Jest obrzydliwie spokojnie.

— Zdaje się, że wczoraj wieczorem była w ambasadzie rumuńskiej niezła impreza — powiedział niedbałym tonem.

— Naprawdę? — Wyczuł w jej głosie ostrożność.

— Aha. Słyszałaś coś może na temat naszej nowej ambasador w Rumunii?

— Nie. Muszę już lecieć, Ben. Mam rozmowę z daleka.

Wyłączyła się.

Cohn wykręcił numer znajomego z Departamentu Stanu.

Kiedy połączono go, powiedział:

— Cześć, Alfred.

— Benjio! Co na patelni?

— Długo się nie widzieliśmy. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść razem lunch.

— Jasne. Nad czym teraz pracujesz?

— Opowiem ci, jak się spotkamy.

— W porządku. Nie mam na dzisiaj zbyt dużo roboty.

Spotkajmy się może przy Watergate.

Cohn zawahał się.

— Wolałbym raczej „U Matki Reginy” w Silver Spring.

— To trochę na uboczu, nieprawdaż?

— Tak — odparł Ben.

Chwila pauzy.

— Rozumiem.

— O pierwszej?

— Dobrze.

Ben siedział już przy stoliku w rogu, kiedy przybył jego gość, Alfred Shuttleworth. Właściciel, Tony Sergio, wskazał mu miejsce.

— Czy macie panowie ochotę czegoś się napić?

Shuttleworth zamówił martini.

— Ja na razie dziękuję — powiedział Cohn.

Alfred Shuttleworth był bladym mężczyzną w średnim wieku. Pracował w Departamencie Stanu w Wydziale do Spraw Europejskich. Kilka lat wstecz spowodował wypadek samochodowy, prowadząc po pijanemu. Ben Cohn miał napisać o tej sprawie reportaż dla swojej gazety. Kariera Shuttlewortha wisiała na włosku. Cohn wyciszył całą sprawę i za to Alfred

okazywał mu wdzięczność, dostarczając od czasu do czasu poufnych informacji.

— Potrzebna mi jest twoja pomoc.

— Powiedz tylko, o co chodzi, a już to masz.

— Chciałbym, żebyś dostarczył mi wszystko, co macie na temat nowej ambasador w Rumunii.

Shuttleworth zmarszczył brwi.

— A o co chodzi ?

— Dzwoniły do mnie dzisiaj trzy osoby, żeby mi opowiedzieć o tym, jak nasza ambasador urzędną się na wczorajszym przyjęciu w ambasadzie rumuńskiej i jak zrobiła z siebie pośmiewisko na oczach całej waszyngtońskiej elity. Czy przeglądałeś gazety poranne albo wczesne wydanie popołudniowe?

— Owszem. Piszą o przyjęciu w ambasadzie, ale nie ma najmniejszej wzmianki o Mary Ashley.

— Właśnie. Dziwne zachowanie psa nocą. „Blask pieniędzy”.

— Słucham?

— Sherlock Holmes. Pies nie zaszczekał. Panowała cisza. Tak jak i teraz w gazetach. Jaki mógł być powód tego, że dziennikarze wszystkich gazet, nawet najgorszych brukowców, zrezygnowali z tak smacznego kąska? Ktoś zatuszował tę sprawę. Ktoś bardzo ważny. Gdyby taka historia przydarzyła się komukolwiek innemu na tak wysokim stanowisku, prasa miałaby raj na ziemi.

— Niekoniecznie, Ben.

— Al, nie wiadomo skąd pojawia się Kopciuszek, który za dotknięciem czarodziejskiej różdżki prezydenta przemienia się nagle w Grace Kelly, księżniczkę Dianę i Jacqueline Kennedy w jednej osobie. Przyznaję, że ta pani jest ładna, ale nie aż tak ładna. Jest inteligentna, ale nie aż tak inteligentna. Moim skromnym zdaniem nauczanie na wydziale nauk politycznych na Uniwersytecie Stanowym w Kansas to trochę za mało, aby zdobyć kwalifikacje niezbędne ambasadorowi w kraju, który jest jednym z najmniejbezpiecznych punktów zapalnych na całym świecie. Powiem ci, co jeszcze wydaje mi się dość podejrzane.

Byłem w Junction City i rozmawiałem z tamtejszym szeryfem.

Alfred Shuttleworth dopił resztki martini.

— Chyba zamówię jeszcze jedno. Sprawileś, że ogarnął mnie niepokój.

— Pozwól, że się przyłączę. — Cohn zamówił martini.

— Mów dalej — rzekł Shuttleworth.

— Pani Ashley odmówiła prezydentowi, ponieważ jej mąż nie mógł zostawić swoich pacjentów. Ale tak się dogodnie złożyło, że niedługo potem zginął w wypadku samochodowym. Vo//a.' Pani Ashley znalazła się w Waszyngtonie, czekając na wyjazd do Bukaresztu. Zupełnie tak, jakby ktoś zaplanował wszystko od samego początku.

— Ktoś? Kto?

— I to jest właśnie pytanie.

— Ben, czy ty coś sugerujesz?

— Niczego nie sugeruję. Powiem ci natomiast, co zasugerował szeryf Munster. Uważa za dość osobliwy zbieg okoliczności fakt, że w środku mroźnej nocy ni stąd, ni zowąd znalazło się w miejscu wypadku sześć osób, które dokładnie wszystko widziały. A chcesz usłyszeć coś jeszcze bardziej osobliwego? Wszyscy zniknęli. Bez wyjątku.

— Mów dalej.

— Pojechałem do Fortu Riley, żeby porozmawiać z kierowcą ciężarówki, która zabiła doktora Ashleya.

— I co ci powiedział?

— Niewiele. Nie żyje. Zmarł na zawał serca. Miał dwadzieścia siedem lat.

Shuttleworth bawił się nóżką kieliszka.

— Zdaje się, że to jeszcze nie wszystko.

— O, nie. Jest jeszcze coś. Poszedłem do biura Wojskowego Urzędu Śledczego w Forcie Riley, aby porozmawiać z pułkownikiem Jenkinsem, oficerem odpowiedzialnym za dochodzenie w sprawach wojskowych, jak również świadkiem wypadku. Nie znalazłem go tam. Dostał awans i przeniesienie. Jest teraz generałem-majorem gdzieś po drugiej stronie oceanu i nikt nie ma pojęcia gdzie.

Alfred Shuttleworth potrząsnął głową.



— Ben, wiem, że jesteś świetnym reporterem, ale do-  
prawdy wydaje mi się, że tym razem trochę przeholowałeś.  
Z kilku przypadkowych zdarzeń próbujesz zrobić scenariusz  
do filmu Hitchcocka. Zdarza się, że ludzie giną w wypadkach  
samochodowych, umierają na zawał serca albo dostają awans.  
Doszukujesz się dziury w całym.

— Al, czy słyszałeś kiedykolwiek o organizacji zwanej  
„Patrioci Wolności”?

— Nie. Czy to coś w rodzaju Cór Rewolucji Amerykań-  
skiej?

— To nie jest coś w rodzaju CRA — odparł spokojnie  
Ben. — Słyszałem o tym, ale jak do tej pory nie mam nic  
konkretnego.

— A co słyszałeś?

— Jest to podobno spisek wysoko postawionych, lewi-  
cowych i prawicowych fanatyków z różnych krajów Wschodu  
i Zachodu. Reprezentują diametralnie różne ideologie, ale  
jednoczy ich strach. Komuniści uważają, że plan prezydenta  
Ellisona to podstęp ze strony kapitalistów, mający na celu  
zniszczenie bloku wschodniego. Prawicowcy natomiast wierzą,  
że ten plan to zaproszenie komunistów, aby zniszczyli nas.  
Stworzyli więc to nieprawdopodobne przymierze.

— Jezu! Trudno w to wszystko uwierzyć.

— Jest jeszcze jedna rzecz. Oprócz wysoko postawio-  
nych osób są podobno w to zamieszane również różne odłamy  
międzynarodowych służb bezpieczeństwa. Czy mógłbyś to dla  
mnie sprawdzić?

— Nie wiem, spróbuję.

— Radziłbym ci zachować ostrożność. Jeśli ta organiza-  
cja naprawdę istnieje, nie będzie zachwycona faktem, że ktoś  
próbuje coś wywęszyć.

— Dam ci znać, jak się czegoś dowiem, Ben.

— Dzięki. Zamówmy coś do jedzenia.

Spaghetti było wyśmienite.

Shuttleworth odniósł się do teorii Cohna z dużym  
sceptycyzmem. Reporterzy zawsze polują na sensacje, myślał.  
Lubił Bena, ale nie miał pojęcia, jak zabrać się do tropienia

tajemniczej organizacji. Jeśli istniała, informacje o niej powinny być w komputerze rządowym. Shuttleworth nie miał osobiście dostępu do komputera. „Ale znam kogoś, kto ma” - przypomniał sobie. - „Zadzwoń do niego”.

Alfred pił już drugie martini, kiedy Pete Connors wszedł do baru.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedział do Shuttlewortha. — Jak zwykle wielki problem w fabryce ogórków.

Connors zamówił szkocką, a Shuttleworth jeszcze jedno martini.

Znali się dość dobrze, bo dziewczyna Connorsa i żona Alfreda pracowały razem i były przyjaciółkami. Bardzo się od siebie różnili. Jeden miał do czynienia z niebezpiecznymi aferami szpiegowskimi, a drugi był typowym urzędasem, zajmującym się wyłącznie papierkową robotą. To właśnie niepodobieństwo powodowało, że dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Od czasu do czasu wymieniali między sobą przydatne informacje. Kiedy się poznali, Connors stanowił wesołe i interesujące towarzystwo. Ale w miarę upływu czasu robił się coraz bardziej zgorzkniały, aż stał się kwaśnym reakcjonistą.

Shuttleworth pociągnął łyk martini.

— Pete, chcę prosić cię o pewną przysługę. Czy mógłbyś sprawdzić coś dla mnie w komputerze CIA? Nie jestem pewien, czy w ogóle coś macie na ten temat, ale obiecałem znajomemu, że spróbuję coś znaleźć.

Connors uśmiechnął się w duchu. Biedny kretyń, chce pewnie sprawdzić, czy ktoś pieprzy jego żonę.

— Jasne, masz przecież u mnie dług wdzięczności. Kto cię interesuje?

— Nie kto, tylko co. To najprawdopodobniej w ogóle nie istnieje. Chodzi o organizację o nazwie „Patrioci Wolności”. Słyszałeś coś o tym?

Connors powoli wysączył szkocką.

— Nie przypominam sobie, Al. Jak się nazywa ten twój znajomy?

— Ben Cohn. Jest reporterem w „Post”.

Następnego dnia rano Ben podjął decyzję. Rzekał do Akiko:

— Albo będę miał największą sensację dwudziestego wieku, albo nic. Najwyższy czas, abym dowiedział się, co jest grane.

— Dzięki Bogu! — zawołała radośnie Akiko. — Nareszcie Artur będzie szczęśliwy.

Cohn złapał Mary w biurze.

— Dzień dobry, pani ambasador. Mówi Ben Cohn. Pamięta mnie pani ?

— Tak, panie Cohn. Czy już pan napisał ten artykuł?

— W tej właśnie sprawie dzwonię do pani. Otóż pojechałem do Junction City i zdobyłem informacje, które chyba panią zainteresują.

— Jakie informacje?

— Wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Może moglibyśmy się gdzieś spotkać?

— Niestety, każdy dzień mam wypełniony od rana do nocy. Zaraz sprawdzę... Mam wolne półgodziny w piątek rano. Czy to panu odpowiada?

Trzy dni czekania.

— Sądzę, że mogę poczekać do piątku.

— Czy chce pan przyjść do mnie do biura?

— Jest taka mała kawiarnia na dole w tym budynku. Może tam się spotkajmy.

— Dobrze. A więc do zobaczenia w piątek.

Pożegnali się i odłożyli słuchawki. W chwilę później wyłączył się ktoś trzeci.

W żaden sposób nie można było bezpośrednio skontaktować się ze Zwierzchnikiem. Zorganizował i finansował organizację „Patrioci Wolności”, ale nigdy nie brał udziału w spotkaniach Komitetu i nikt nie wiedział, kim jest. Znali tylko numer telefonu, niemożliwy do sprawdzenia (Connors próbował), i nagrany głos, mówiący: „Masz sześćdziesiąt sekund na zostawienie wiadomości”. Numeru tego można było używać tylko w nagłych wypadkach. Connors zatrzymał się przy budce telefonicznej, aby zadzwonić, i nagrał wiadomość.

Została wysłuchana o osiemnastej.

W Buenos Aires była ósma wieczór.

Zwierzchnik wysłuchał nagrania dwukrotnie, po czym wykręcił numer telefonu. Czekał całe trzy minuty, zanim usłyszał głos Neusy Muñez.

— **SU**

— Jestem człowiekiem, który poprzednio kontaktował się przez ciebie z Angelem w pewnej sprawie. Mam dla niego nową propozycję. Czy możesz natychmiast się z nim skontaktować ?

— Nie wiem. — Była najprawdopodobniej pijana.

Starał się ukryć zniecierpliwienie.

— Kiedy się go spodziewasz?

— Nie wiem.

Przeklęta baba.

— Posłuchaj mnie — mówił powoli i wyraźnie, jakby rozmawiał z dzieckiem. — Powiedz Angelowi, że mam do niego sprawę nie cierpiącą zwłoki. Chcę, żeby...

— Zaczekaj chwilę. Muszę iść do toalety.

Usłyszał, jak kładzie słuchawkę. Siedział i czekał, mając nadzieję, że Neusa wróci.

Po trzech minutach znowu usłyszał jej głos.

— Jak się wypije dużo piwa, to się dużo sika — oznajmiła.

Zgrzytnął zębami.

— To bardzo ważne. — Obawiał się, że Neusa nie zapamięta nic z tego, co miał jej do powiedzenia. — Weź długopis i zapisz to, co powiem. Będę mówić powoli.

Tego wieczoru Mary brała udział w przyjęciu wydanym przez ambasadę kanadyjską. Kiedy wychodziła z biura, aby pojechać do domu i przebrać się, James Stickley powiedział uszczypliwie:

— Proponuję, aby tym razem spełniała pani toasty małymi łyżkami.

On i Mikę Slade tworzą doskonałą parę, pomyślała.

Teraz była na przyjęciu i żałowała, że nie jest w domu

z Beth i Timem. Nie знаła nikogo przy stole. Po prawej stronie

siedział grecki magnat okrętowy, a po lewej jakiś angielski dyplomata.

Nie znana paniusia z Filadelfii, kapiąca brylantami, spytała Mary:

— Dobrze się pani bawi w Waszyngtonie, pani ambasador?

— Tak, dziękuję.

— Musi się pani niezmiernie cieszyć, że udało jej się uciec z Kansas.

Mary spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

— Uciec z Kansas?

— Nigdy nie byłam w środkowych stanach — kontynuowała kobieta — ale wyobrażam sobie, jak tam musi być okropnie. Ci wszyscy farmerzy, a wokół nic, tylko ponure pola kukurydzy i pszenicy. To cud, że zdołała pani tam tak długo wytrzymać.

Mary poczuła przyływ gniewu, ale zapanowała nad głosem.

— Ta kukurydza i pszenica, o której pani mówi — odparła grzecznie — żywią świat.

— Nasze samochody jeżdżą na benzynie — powiedziała kobieta protekcyjnym tonem — a przecież nie chciałabym mieszkać na polu naftowym. Mówiąc kulturalnie, sędzę, że ktoś musi żyć na Wschodzie, prawda? A teraz, całkiem uczciwie: poza spędzaniem całych dni na polu przy zbieraniu zboża, w Kansas nie bardzo jest co robić, nieprawdaż?

Wszyscy przy stole przysłuchiwali się uważnie.

„Nie bardzo jest co robić, nieprawdaż?” Mary pomyślała o sierpniowych zabawach na sianie i kolorowych jarmarkach, o wspaniałych sztukach, wystawianych w teatrze uniwersytetu. O piknikach w Milford Park i zawodach baseballowych, o łowieniu ryb w kryształowo czystym jeziorze. O orkiestrze grającej na trawie i spotkaniach w Ratuszu, i o przyjęciach w różnych domach, i zabawach w stodole, i o podnieceniu podczas zbiorów... o kuligach w zimie i fajerwerkach rozjaśniających w dniu Czwartego Lipca niebo nad Kansas.

— Jeśli nigdy nie była pani w środkowych stanach, to w zasadzie nic pani o nich nie wie, prawda? A to jest właśnie

prawdziwe oblicze tego kraju. Ameryka to nie Waszyngton czy Los Angeles, czy Nowy Jork. To właśnie tysiące małych miasteczek, których nigdy pani nie zobaczy ani o nich nie usłyszy, sprawia, że ten kraj jest naprawdę wielki. To górnicy, farmerzy i prości robotnicy. A poza tym w Kansas również chodzi się do teatru i na koncerty. I jeszcze, do pani informacji: my nie tylko uprawiamy kukurydzę i pszenicę, my również wychowujemy nasze dzieci na uczciwych ludzi.

— Zdaje sobie pani, oczywiście, sprawę z tego, że obraziła siostrę bardzo wpływowego senatora — poinformował ją następnego ranka James Stickley.

— Niewystarczająco — odrzekła gniewnie Mary. — Niewystarczająco.

W czwartkowy poranek Angel był w złym humorze. Lot z Buenos Aires do Waszyngtonu został opóźniony z powodu telefonicznej informacji, że w samolocie podłożono bombę. Nigdzie już nie jest bezpiecznie, pomyślał zdenerwowany.

Pokój hotelowy w Waszyngtonie wydał mu się zbyt nowoczesny, zbyt — jak by to powiedzieć — plastyczny. To było właśnie to: w Buenos Aires wszystko było *autentico*.

Jak tylko zrobię, co do mnie należy, wracam do domu, pomyślał. Robota jest śmiesznie łatwa, a zapłata — doskonała. Muszę sprowadzić sobie kogoś na dzisiejszą noc. Ciekawe, dlaczego zabijanie tak mnie podnieca.

Angel udał się najpierw do sklepu elektrycznego, potem do sklepu z farbami, a następnie do dużego domu towarowego, gdzie zakupił tylko sześć żarówek. Reszta sprzętu czekała w pokoju hotelowym w dwóch zapakowanych pudłach z napisem: OSTROŻNIE — SZKŁO! W jednym z pudeł znajdowały się cztery starannie opakowane wojskowe granaty ręczne, a w drugim — różne przybory, należące do wyposażenia wojskowego.

Bardzo powoli, zachowując wielką ostrożność, Angel odciął wierzchołek pierwszego granatu, a następnie pomalował jego drugi koniec kolorem, którym pomalowane były żarówki.

Kolejną czynnością było usunięcie ze środka granatu materiału wybuchowego i zastąpienie go innym. Kiedy skorupa granatu była już prawie wypełniona, dosypał jeszcze kruszcowo-ołowianych kulek. Następnie rozbił żarówkę o stół, starając się nie uszkodzić przy tym drucika żarowego i gwintu. Niecałą minutę zajęło mu przylutowanie elektrycznego detonatora do drucika żarowego. Ostatnią czynnością było zanurzenie drucika w żelu, aby go unieruchomić, i włożenie go do pomalowanego granatu. Kiedy Angel skończył, granat wyglądał jak najzwyklejsza w świecie żarówka.

Zajął się pozostałymi żarówkami, a kiedy były już gotowe, nie pozostało mu nic więcej, jak tylko czekać na wiadomość.

O ósmej wieczorem telefon zadzwonił. Angel podniósł słuchawkę i słuchał, nie odzywając się. Po chwili jakiś głos powiedział:

— Wszedł.

Angel odłożył słuchawkę. Ostrożnie, bardzo ostrożnie włożył zrobione przez siebie żarówki do pudełka wypełnionego wełną drzewną, a pudełko wsadził do małej walizki, razem z pozostałymi zbędnymi resztkami.

Dojechanie taksówką na miejsce zajęło mu siedemnaście minut.

W holu na dole nie było portiera, ale nawet gdyby był, Angel wiedział, jak dać sobie z nim radę. Mieszkanie, którego szukał, znajdowało się na piątym piętrze, przy końcu korytarza. Zamek był dziecinnie prosty do otworzenia — stary typ schlage'a. Po kilku sekundach Angel wszedł do ciemnego mieszkania i stanął nieruchomo, nasłuchując. W mieszkaniu nie było nikogo.

Zamiana sześciu żarówek w salonie była kwestią paru minut. Zaraz potem Angel był w drodze na lotnisko Dulles, aby złapać o północy samolot do Buenos Aires.

Ben Cohn miał męczący dzień. Rano brał udział w konwencji prasowej z sekretarzem stanu, potem w uroczystym jńchu na cześć odchodzącego na emeryturę ministra spraw

wewnętrznych, a następnie odbył nieoficjalne spotkanie z najomym z Ministerstwa Obrony. Wrócił do domu, aby wziąć prysznic i przebrać się, po czym pojechał zjeść kolację w towarzystwie redaktora naczelnego „Post”. Kiedy wrócił do domu, była już prawie północ. Muszę przygotować notatkę na jutrzejsze spotkanie z ambasadorem Ashley, przypomniał sobie.

Akiko wyjechała z miasta i miała wrócić dopiero następnego dnia. Nawet dobrze, że tak się złożyło, pomyślał. Mam trochę czasu dla siebie. Ale trzeba przyznać, uśmiechnął się w duchu, że moja pani zna się dobrze na lodach z bitą śmietaną.

Wsadził klucz do zamka i otworzył drzwi. W mieszkaniu panowała głęboka ciemność. Sięgnął do kontaktu i przekręcił go. Nastąpił oślepiający błysk i pokój wybuchnął jak bomba atomowa, rozbryzgując po ścianach strzępy ciała Bena Cohna.

Następnego dnia żona Alfreda Shuttlewortha zgłosiła zaginięcie męża. Jego ciało nigdy nie zostało odnalezione.

— Właśnie otrzymaliśmy oficjalne potwierdzenie — rzekł Stanton Rogers. — Rząd rumuński wyraził zgodę na objęcie przez ciebie stanowiska ambasadora Stanów Zjednoczonych.

To był najbardziej wzruszający moment w życiu Mary. Dziadek byłby taki dumny, pomyślała.

— Mary, chciałem przekazać ci tę radosną nowinę osobiście. Prezydent pragnie się z tobą widzieć. Zawiozę cię do Białego Domu.

— Ja... ja nie wiem, jak mam ci dziękować za wszystko, co zrobiłeś, Stan.



— Niczego nie zrobiłem — zaprotestował Rogers. — To prezydent cię wybrał. I muszę przyznać — dodał z uśmiechem — że był to bardzo trafny wybór.

Mary pomyślała o Mike'u Siadzie.

— Są tacy, którzy mają inne zdanie na ten temat.

— A więc są w błędzie. Będąc tam, możesz zrobić dla naszego kraju więcej niż ktokolwiek inny.

— Dziękuję ci — odrzekła Mary poważnie. — Postaram się nie zawieść.

Kusiło ją, żeby wspomnieć o Mike'u Siadzie. Stanton miał ogromną władzę, może więc mógłby sprawić, żeby Slade został w Waszyngtonie. Nie, zdecydowała. Nie mogą obarczać go moimi kłopotami. Już i tak wiele dla mnie zrobił.

— Mam pewną propozycję. Zamiast lecieć prosto do Bukaresztu, może ty i dzieci chcielibyście zatrzymać się na kilka dni w Paryżu i Rzymie? Tarom Airlines ma bezpośrednie loty z Rzymu do Bukaresztu.

Popatrzyła na niego i powiedziała:

— Och, Stan, to byłoby cudowne! Ale czy będzie na to czas?

Puścił do niej oko.

— Mam przyjaciół na wysokich stanowiskach. Spróbuję ci to załatwić.

Pod wpływem radości uścisnęła go. Był takim wspaniałym przyjacielem. Marzenia, które często snuli razem z Edwardem, miały się wreszcie spełnić. Tylko że bez Edwarda. I to sprawiało, że jej radość zaprawiona była kroplą gorzkości.

Mary i Stanton Rogers zostali wprowadzeni do Zielonego Gabinetu, gdzie czekał na nich prezydent Ellison.

— Chciałbym przeprosić cię, Mary, za opóźnienie w działaniu. Stanton powiedział ci już zapewne, że rząd rumuński zaakceptował twoją kandydaturę. A oto list uwierzytelniający.

Podał pismo i Mary powoli przeczytała:

— Niniejszym mianuje się panią Mary Ashley Najwyższym Przedstawicielem Prezydenta Stanów Zjednoczonych w Rumunii, a co za tym idzie, każdy pracownik rządu Stanów Zjednoczonych w Rumunii podlega odtąd jej władzy.

— I jeszcze coś. — Prezydent wręczył jej paszport. Zamiast zwykłych niebieskich okładek miał czarne, a wydrukowany na nim złotymi literami napis głosił: PASZPORT DYPLOMATYCZNY.

Od kilku tygodni Mary czekała na ten moment, a teraz trudno jej było w to uwierzyć.

Paryż!

Rzym!

Bukareszt!

To wszystko wydawało się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. I nagle, bez żadnego powodu, Mary przypomniała sobie coś, co mówiła jej matka: „Jeśli coś wydaje się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, Mary, to najprawdopodobniej jest”.

\* \* \*

W popołudniowej prasie pojawiła się krótka wzmianka o tym, że Ben Cohn, reporter „Washington Post”, zginął podczas eksplozji, która nastąpiła w jego mieszkaniu. Przyczyną wybuchu był prawdopodobnie gaz, ulatniający się z nieszczelnego piecyka.

Mary nie czytała tej wzmianki. Kiedy Cohn nie przyszedł na spotkanie, uznała, że albo zapomniał, albo przestało go to interesować. Wróciła do biura i zabrała się do pracy.

Stosunki Mary z Mikiem Slade'em stały się nie do zniesienia. Jest najbardziej aroganckim człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam, myślała Mary. Będę musiała porozmawiać o tym ze Stanem.

Stanton Rogers towarzyszył Mary i dzieciom w drodze na lotnisko Dulles, na które zawiozła ich limuzyna Departamentu Stanu. Podczas jazdy Stan powiedział:

— Zawiadomiliśmy ambasadę w Paryżu i Rzymie o waszym przyjeździe. Mają dopilnować, aby niczego wam nie zabrakło.

— Dziękuję, Stan. Jesteś po prostu cudowny.  
Uśmiechnął się.

- Nawet nie wiesz, jaką sprawia mi to przyjemność.
- Czy będę mógł zobaczyć katakumby w Rzymie?
- spytał Tim.
- Tam jest dość strasznie — ostrzegł go Stanton.
- Właśnie dlatego chcę je zobaczyć.

Na lotnisku czekał na nich Ian Villiers z tuzinem fotografów i reporterów. Natychmiast otoczyli Mary, Beth i Tima, zadając jak zwykle te same pytania.

W końcu Stanton Rogers im przerwał.

— Dość już.

Dwóch mężczyzn z Departamentu Stanu i przedstawiciel linii lotniczych zaprowadzili ich do prywatnego pokoju gościnnego, gdzie dzieci zajęły się przeglądaniem magazynów.

— Stan — rzekła Mary — nie chcę być uciążliwa, ale James Stickley powiedział mi, że Mikę Slade ma być moim zastępcą. Czy nie można byłoby tego zmienić ?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Czy masz jakieś problemy ze Slade'em?

— Szczerze mówiąc, nie lubię go. Poza tym, nie umiem powiedzieć dlaczego, ale mu nie ufam. Czy nie można byłoby zamienić go na kogoś innego?

Rogers zamyślił się.

— Nie znam dobrze Mike'a Slade'a, ale wiem, że zna się świetnie na swojej robocie. Doskonale dawał sobie radę, pracując w wielu naszych placówkach na Środkowym Wschodzie i w Europie. Zobaczysz, że jego doświadczenie bardzo ci się przyda.

— To samo mówił Stickley — westchnęła Mary.

— Obawiam się, że miał rację, Mary. Slade potrafi poradzić sobie z każdym problemem.

Mylisz się, pomyślała. Slade sam jest problemem. Kropka.

— Jeśli będziesz miała z nim jakieś kłopoty, prosiłbym, żebyś mi o tym powiedziała. Gdyby w ogóle ktokolwiek sprawiał ci kłopoty, chciałbym o tym wiedzieć. Zawsze ci we wszystkim pomogę.

— Doceniam to.

— Jeszcze jedno. Jak wiesz, każda wiadomość od ciebie będzie przekazywana do różnych wydziałów w Waszyngtonie.

— Tak, wiem o tym.

— Jeśli zdarzy się, że będziesz chciała wysłać wiadomość przeznaczoną tylko dla mnie, umieść na niej kod: trzy x. Wówczas ja będę jedynym jej odbiorcą.

— Zapamiętam to.

Lotnisko Charles'a de Gaulle'a, z kamiennymi kolumnami i setkami jeżdżących w górę i w dół schodów ruchomych, wydało się Mary miejscem żywcem wyjętym z filmu science fiction. Panował tu ogromny tłok.

— Trzymajcie się blisko mnie — upomniała dzieci.

Kiedy zeszedli z ruchomego chodnika, rozejrzała się bezradnie. Zatrzymała jakiegoś przechodzącego Francuza i starając się przypomnieć sobie kilka słów z francuskiego, spytała niepewnie:

— *Pardon, monsieur, ou sont les bagages?*

— Przykro mi, proszę pani, ale nie mówię po angielsku — odparł wyniośle z wyraźnym francuskim akcentem i odszedł, zostawiając Mary z wytrzeszczonymi oczyma.

W tym samym momencie podbiegł do nich młody, dobrze ubrany Amerykanin.

— Pani ambasador, proszę mi wybaczyć! Miałem przywitać państwa przy samolocie, ale spóźniłem się. Zatrzymano ruch z powodu jakiegoś wypadku. Nazywam się Peter Callas i jestem pracownikiem ambasady amerykańskiej.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę — odparła Mary. — Chyba się zgubiłam.

Przedstawiła mu dzieci.

— Gdzie możemy odebrać nasze bagaże?

— Proszę się tym nie martwić. Wszystko będzie, jak należy — zapewnił ją Callas.

I rzeczywiście, piętnaście minut później, podczas gdy inni pasażerowie zaczęli się dopiero tłoczyć do odprawy paszportowo-celnej, Mary, Beth i Tim wychodzili już z lotniska.

Inspektor Henri Durand z głównego zarządu służby bezpieczeństwa wywiadu francuskiego obserwował, jak wsiedali do czekającej przed wyjściem limuzyny. Kiedy samochód ruszył, inspektor wszedł do jednej z budek telefonicznych. Zamknął starannie drzwi, wrzucił żeton i wykręcił numer.

Kiedy odpowiedział mu czyjś głos, rzekł:

— *S'il vous plait, dire a Thor que son paquet est arrive a Paris.*

Przed ambasadą kłębił się tłum dziennikarzy.

Peter Callas wyrzął z okna samochodu.

— O mój Boże! To wygląda jak jakiś bunt.

Wewnątrz czekał na nich Hugh Simon, ambasador Stanów Zjednoczonych we Francji. Był to człowiek w średnim wieku, o okrągłej twarzy, wścibskich oczach i jaskraworudych włosach. Pochodził z Teksasu.

— Wszyscy bardzo pragną panią poznać, pani ambasador. Dziennikarze od rana nie dają mi spokoju.

Konferencja prasowa trwała ponad godzinę, a kiedy się skończyła, Mary była wykończona. Zaprowadzono ją razem z dziećmi do gabinetu ambasadora Simona.

— No — powiedział — cieszę się, że to się wreszcie skończyło. Kiedy ja tutaj przyjechałem, zdaje się, że napisano o tym maleńką notatkę gdzieś na ostatniej stronie „Le Monde”.

— Uśmiechnął się i dodał: — Ale przecież ja nie jestem tak piękny jak pani. — Przypomniał sobie o czymś. — Dzwonił do mnie Stanton Rogers. Otrzymałem z Białego Domu poufne rozkazy, aby dopilnować, żeby pani, Beth i Jim ani przez moment nie nudzili się w Paryżu.

— Naprawdę poufne? — spytał zaciekawiony Tim.

Ambasador Simon z powagą pokiwał głową.

— Tak powiedział. On was bardzo lubi.

— My również bardzo go polubiliśmy — zapewniła Mary.

— Kazałem przygotować dla was apartament w Ritzu. To piękny hotel zaraz przy Place de la Concorde. Myślę, że będziecie tam wygodnie.

— Dziękujemy — powiedziała Mary i spytała nerwowo:

— Czy ten hotel jest drogi?

— Owszem, ale nie dla was. Stanton Rogers postarał się, aby Departament Stanu pokrył wszystkie wasze wydatki.

— On jest niesamowity — stwierdziła Mary.

— Jego zdaniem pani również.

Popołudniowa i wieczorna prasa rozpisywała się o przyjeździe pierwszego ambasadora, który został wybrany przez prezydenta Ellisona w ramach realizacji jego planu LUDZIE DLA LUDZI. Wydarzeniu temu poświęcono pełne sprawozdanie w wiadomościach telewizyjnych, a także w gazetach porannych następnego dnia.

Inspektor Durand popatrzył na stertę gazet i uśmiechnął się. Wszystko szło zgodnie z planem. Sprawa nabrała nawet większego rozgłosu, niż się spodziewał. Łatwo było zgadnąć, jakie plany mieli Ashieyowie na najbliższe trzy dni. Na pewno jak wszyscy Amerykanie będą zwiedzać cały Paryż, pomyślał.

Mary i Beth oraz Tim zjedli obiad w mieszczącej się w wieży Eiffla restauracji „Jules Verne”, a następnie weszli na szczyt Łuku Triumfalnego.

Następny dzień spędzili na oglądaniu skarbów Luwru. Lunch zjedli nie opodal Luwru, a obiad w Srebrnej Wieży.

Tim długo gapił się przez okno restauracji na katedrę Notre Dame, aż w końcu spytał:

— A gdzie trzymają garbusa?

Spędzili w Paryżu same radosne chwile. Mary wciąż myślała o tym, jak bardzo pragnęłyby, aby był tu z nimi Edward.

Trzeciego dnia po lunchu zostali odwiezieni na lotnisko. Inspektor Durand obserwował, jak odprawiali się na lot do Rzymu.

Ta kobieta jest dość atrakcyjna, pomyślał, a nawet bardzo ładna. Ma inteligentną twarz, doskonałą figurę, całkiem zgrabne nogi i pośladki. Ciekawe, jaka byłaby w łóżku.

Dzieci sprawiły mu niespodziankę, jak na Amerykanów były bardzo dobrze wychowane.

Kiedy samolot wystartował, inspektor podszedł do telefonu.

— *S'il vous plait, dire a Thor que son paquet est en route a Rome.*

Na lotnisku Leonarda da Vinci w Rzymie znowu obiegił ich tłum reporterów, żądnych sensacji. Kiedy Mary wraz z dziećmi wysiadła z samolotu, Tim zawołał:

— Spójrz, mamo, przyjechali za nami!

I rzeczywiście, Mary wydawało się, że jedyną różnicą był włoski akcent.

Pierwsze pytanie, które padło, brzmiało:

— Jak podobają się pani Włochy... ?

Ambasador Oscar Viner był również zaskoczony jak ambasador Simon we Francji.

— Nawet Frank Sinatra nie miał tak hucznego powitania. Czy jest coś, czego o-pani nie wiem, pani ambasador?

— Myślę, że potrafię to wyjaśnić — odrzekła Mary. — To wcale nie moja osoba jest obiektem zainteresowania prasy. Interesuje ich wyłącznie program prezydenta LUDZIE DLA LUDZI. Wkrótce będziemy mieli swojego przedstawiciela w każdym kraju zza żelaznej kurtyny. Będzie to ogromny krok naprzód, jeśli chodzi o sprawę pokoju na świecie. I sądzę, że to właśnie jest powodem tak wielkiego zainteresowania prasy.

\* \* \*

Po chwili ambasador Viner powiedział do niej:

— Wiele od pani zależy, prawda?

Również kapitanowi Caesarowi Barziniemu, szefowi włoskich służb tajnych, nietrudno było zgadnąć, jakie miejsca Mary i dzieci odwiedzą podczas swego krótkiego pobytu w Rzymie.

Do obserwacji Ashleyów wyznaczył dwóch zaufanych ludzi i ich sprawozdania z każdego dnia prawie dokładnie pokrywały się z jego przewidywaniami.

— Zjedli lody w „Doney”, przeszli wzdłuż Via Veneto i zwiedzili Koloseum.

— Poszli zobaczyć Fontannę di Trevi. Wrzucili do niej kilka monet.

— Byli w ruinach term Karakalli, a potem w katakumbach. Chłopiec źle się poczuł i został odwieziony do hotelu.

— Obserwowani odbyli przejażdżkę po Parku Borghese, a następnie przeszli się na Piazza Navona.

Bawcie się dobrze, pomyślał szydyczko kapitan Barzini.

Ambasador Viner towarzyszył Mary i dzieciom w drodze na lotnisko.

— Mam przesyłkę dyplomatyczną do ambasady w Rumunii. Czy zechciałaby pani wziąć ją ze sobą?

— Oczywiście — odrzekła Mary.

Kapitan Barzini był na lotnisku i patrzył, jak rodzina Ashleyów odprawia się na samolot Tarom Airlines, lecący do Bukaresztu. Pozostał tam aż do momentu, kiedy samolot wystartował, a następnie wykonał telefon.

— Ho *un messaggio per Balder. Il suo pacco e in via a Bucharest.*

Dopiero kiedy byli w powietrzu, Mary w pełni uświadomiła sobie doniosłość tego, co miało nastąpić. Wydało jej się to tak niewiarygodne, że aż musiała powiedzieć na głos:

— Jesteśmy w drodze do Rumunii, gdzie mam objąć stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych.

Beth przyglądała się jej dziwnie.

— Tak, mam, wiemy o tym. Dlatego tu jesteśmy.

Nie potrafiłaby wytłumaczyć im, co czuła.

W miarę jak samolot zbliżał się do Bukaresztu, jej podniecenie rosło.

Do diabła, będę najlepszym ambasadorem, jakiego kiedykolwiek widzieli, myślała. Doprowadzę do tego, że Stany Zjednoczone i Rumunia staną się bliskimi sprzymierzeńcami.

Kiedy zapalił się napis *NIE PALIĆ*, euforia Mary związana z wielką polityką nagle gdzieś uleciała.

Chyba jeszcze nie lądujemy, pomyślała z paniką. Przecież dopiero co wystartowaliśmy. Dlaczego ten lot jest taki krótki?



Czuła w uszach wzrastające ciśnienie. Samolot podchodził do lądowania i w kilka chwil później koła podwozia dotknęły ziemi. To wszystko dzieje się naprawdę, pomyślała z niedowierzaniem. Nie jestem żadnym ambasadorem, jestem oszustką, przez którą wybuchnie wojna. Boże, miej nas w swojej opiece. Moja torebka i ja nigdy nie powinnyśmy były opuścić Kansas.

Lotnisko Otopeni, znajdujące się czterdzieści kilometrów od centrum Bukaresztu, przyjmowało co roku ogromną liczbę podróżnych z pobliskich krajów zza żelaznej kurtyny oraz nielicznych turystów z Zachodu, odwiedzających Rumunię.

Wewnątrz budynku odpraw przechadzali się żołnierze w brązowych mundurach, uzbrojeni w karabiny i pistolety. Wiało nieprzyjaznym chłodem, choć nie miało to nic wspólnego z niską temperaturą, panującą na zewnątrz. Tim i Beth bezwiednie przysunęli się do matki. Oni również to odczuwają, pomyślała Mary.

Zbliżało się do nich dwóch mężczyzn. Jeden z nich był szczupłym, wysportowanym mężczyzną, wyglądającym na Amerykanina, a drugi — starszym człowiekiem, ubranym w nie dopasowany, niezbyt elegancki garnitur.

Najpierw przedstawił się Amerykanin.

— Witamy w Rumunii, pani ambasador. Nazywam się Jerry Davis i jestem konsulem do spraw publicznych. A to jest Tudor Costache, rumuński szef protokołu dyplomatycznego.

— To dla nas wielki zaszczyt, gościć panią wraz z dziećmi — dodał Costache. — Witamy w naszym kraju.

W pewnym sensie, pomyślała Mary, teraz będzie to i mój kraj.

— *Mulfumesc, domnule* — odpowiedziała po rumuńsku.

— Pani mówi po rumuńsku! — wykrzyknął zachwycony Costache. — *Cu placere!*

Był tym tak podekscytowany, że Mary miała wrażenie, iż za chwilę z radości wyskoczy ze skóry.

— Tylko parę słów — odrzekła niepewnie.

W tym momencie Tim powiedział:

— *Bunadimineafa*.

A Mary omal nie pękła z dumy.

Przedstawiła Ti ma i Beth.

— Limuzyna już czeka na panią, pani ambasador — oznajmił Jerry Davis. — Jest przy niej pułkownik McKinney.

Pułkownik McKinney. Pułkownik McKinney i Mikę Slade. Ciekawa była, czy Slade jest już w Rumunii, ale wołała o to nie pytać.

Wielu pasażerów czekało na odprawę w długiej kolejce, ale Mary z dziećmi opuściła lotnisko w ciągu kilku minut. Tutaj również zjawili się reporterzy, ale nie tłoczyli się i nie krzyczeli jeden przez drugiego, tak jak było w Paryżu i Rzymie. Każdy czekał na swoją kolej, a kiedy skończyli, podziękowali Mary i odeszli całą grupą.

Pułkownik McKinney, ubrany w wojskowy mundur, stał przy samochodzie. Wyciągnął do Mary rękę na powitanie.

— Dzień dobry, pani ambasador. Czy miała pani przyjemną podróż?

— Tak, dziękuję.

— Mikę Slade również chciał po panią przyjechać, ale zatrzymała go pewna ważna sprawa.

Ciekawe, czy ta sprawa była ruda, czy może blond, pomyślała Mary.

Podjechała długa, czarna limuzyna z dwiema małymi flagami amerykańskimi po bokach. Pogodnie wyglądający mężczyzna w uniformie szofera otworzył drzwiczki.

— To jest Florian.

Szofer uśmiechnął się, odsłaniając przy tym dwa rzędy pięknych, białych zębów.

— Witam, pani ambasador. Paniczu Tim, panienko Beth. Bardzo się cieszę, że będę dla państwa pracować.

— Dziękuję — odrzekła Mary.

— Florian będzie do pani dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Myślę, że najpierw powinniśmy pojechać do waszej rezydencji, żebyście mogli się rozpakować i odпочząć. Później może będziecie mieli ochotę na przejażdżkę

po mieście. Natomiast jutro rano Florian zawiezie panią do ambasady.

— W porządku — zgodziła się.

Zastanawiała się, gdzie może być Mikę Slade.

Droga z lotniska do miasta była fascynująca. Jechali dwupasmową szosą, zatłoczoną ciężarówkami i innymi pojazdami, a co kilkanaście kilometrów musieli zwalniać, gdyż ruch wstrzymywały wozy cygańskie, zaprzężone w konie, mozolnie posuwające się wzdłuż drogi. Po obu stronach szosy, obok starych chat krytych strzechą, stały ogromne nowoczesne fabryki. Mijali zagrodę za zagrodą i niewielkie pola, na których pracowały kobiety z zawiązanymi na głowach kolorowymi chustkami.

Przejechali obok lotniska krajowego Baneasa. Zaraz za lotniskiem, z dala od szosy, ujrzeli niski, niebiesko-granatowy, jednopiętrowy budynek o złowieszczym wyglądzie.

— Co to takiego? — spytała Mary.

Florian skrzywił się.

— Więzienie Ivana Steliana. Tutaj trzymają wszystkich, którzy nie zgadzają się z rządem rumuńskim.

Podczas jazdy pułkownik McKinney wskazał mały, czerwony przycisk przy drzwiach.

— To jest przycisk bezpieczeństwa — wyjaśnił. — Gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani pomocy, gdyby zaatakowali panią terroryści lub ktokolwiek inny, proszę tylko nacisnąć ten guzik. Uruchamia on natychmiast nadajnik radiowy, który przekazuje sygnał do ambasady i włącza czerwone światło na dachu samochodu. Możemy wtedy namierzyć miejsce, w którym pani się znajduje, w przeciągu paru minut.

— Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała go użyć — odpowiedziała żarliwie Mary.

— Ja również mam taką nadzieję, pani ambasador.

Centrum Bukaresztu było urzekająco piękne. Gdziekolwiek się spojrzęło, wszędzie były parki, pomniki i fontanny. Mary przypomniała sobie opowieści dziadka: „Bukareszt jest miniaturą Paryża, Mary. Jest tam nawet kopia wieży Eiffla”. I oto znalazła się tutaj, na ziemi ojczystej jej przodków.

Ulice zatłoczone były ludźmi, samochodami i autobusami. Limuzyna trąbiąc torowała sobie drogę wśród samochodów i przechodniów, aż w końcu skręciła w małą uliczkę, obsadzoną po obu stronach drzewami.

— Jesteśmy przed rezydencją — oznajmił pułkownik. — Ta ulica została obdarowana nazwiskiem jednego z radzieckich generałów. Czysta ironia, nieprawdaż?

Rezydencja mieściła się w dużym, starym, pięknym dwupiętrowym budynku, wokół którego rozpościerał się starannie utrzymany ogród.

Służba stała w szeregu przed wejściem, czekając na przybycie nowej ambasador. Kiedy Mary wysiadła z samochodu, Jerry Davis przedstawił ich po kolei.

— Pani ambasador, oto pani pracownicy. Mihai, szef służby domowej; Sabina, pani prywatna sekretarka; Rosica, gospodyni; Cosma, kucharz; Delia i Carmen, pokojówki.

Mary szła wzdłuż szeregu, przyjmując ukłony i dygnięcia. Och, mój Boże, co ja z nimi wszystkimi zrobię, myślała. W domu miałam tylko Lucindę, przychodzącą trzy razy w tygodniu, żeby ugotować i posprzątać.

— To dla nas wielki zaszczyt poznać panią, pani ambasador — powiedziała Sabina, jej osobista sekretarka.

Wszyscy wpatrywali się w Mary i czekali, żeby coś powiedziała. Wzięła głęboki oddech i rzekła:

— *Buni ziu. Mu/fumesc. Nu vorbesc...* — Wszystko, czego nauczyła się po rumuńsku, wyleciało jej z głowy. Patrzyła na nich bezradnie.

Mihai, szef służby, wystąpił krok naprzód i ukłonił się.

— Wszyscy mówimy po angielsku, proszę pani. Witamy panią i będziemy szczęśliwi, mogąc spełnić każde pani życzenie.

Mary odetchnęła z ulgą.

— Dziękuję.

Wewnątrz domu czekał na nich szampan w wiaderku z lodem oraz stół, zastawiony kuszącymi potrawami.

— To wszystko wygląda tak smacznie! — wykrzyknęła Mary. Wpatrywali się w nią wyczekująco. Zastanawiała się, czy powinna ich czymś poczęstować. Nie wiedziała właściwie,

jak zachowywać się wobec służby, a nie chciała zaczynać od błędów. Już słyszała komentarze: „Czy słyszeliście, co zrobiła nowa ambasador amerykańska? Zaprosiła służących do wspólnego jedzenia, co ich tak zszokowało, że wymówili pracę”.

„Czy słyszeliście o tym, jak zachowała się nowa ambasador amerykańska? Obżerała się na oczach głodnej służby i nie zaproponowała im nawet kęsa”.

— Ale właściwie — dodała — nie jestem jeszcze głodna. Może... zjem coś trochę później.

— Pozwoli pani, że ją oprowadzę po domu — zaproponował Jerry Davis.

Ruszyli za nim ochoczo.

Dom był naprawdę piękny, w starym stylu. Na parterze hol wejściowy, biblioteka pełna książek, salon muzyczny, salon dla gości, duży pokój jadalny oraz sąsiadujące z nim kuchnia i spiżarnia. Każde z tych pomieszczeń było wygodne i ładnie urządzone. Na zewnątrz, wzdłuż całego budynku, biegł taras, wychodzący na duży ogród.

Na tyłach domu znajdował się kryty basen, do którego przylegała sauna oraz przebieralnia.

— Mamy własny basen! — zawołał Tim. — Czy mogę w nim popływać?

— Później, kochanie. Najpierw chodźmy wszystko obejrzeć.

Największą atrakcją na parterze okazała się sala balowa, dobudowana od strony ogrodu. Była olbrzymia. Ze ścian zwisały wspaniałe, błyszczące kryształowe kinkiety.

— Tutaj odbywają się przyjęcia wydawane przez ambasadę — objaśnił Davis. — Proszę spojrzeć na to.

Nacisnął kontakt w ścianie. Z góry dobiegł zgrzytliwy hałas i sufit powoli rozdzielił się na dwie części, które zaczęły się rozsuwać, aż ukazało się niebo.

— Można to zrobić również za pomocą korby.

— Hej, to świetny pomysł! — wykrzyknął Tim.

— Nazywamy to „Kaprysem Ambasadora” — powiedział Jerry przeproszającym tonem. — Latem jest zbyt gorąco, aby tego używać, a zimą — zbyt zimno. Pozostaje tylko kwiecień i wrzesień.

— Ale to i tak świetny pomysł — upierał się Tim.

Zaczął się robić chłodno, więc Davis ponownie nacisnął kontakt i sufit się zamknął.

— Pokażę teraz pokoje na górze.

Weszli za nim po schodach i znaleźli się w dużym holu, z którego wchodziło się do dwóch sypialni, oddzielonych łazienką. Nieco dalej była wielka sypialnia, połączona z pokojem do wypoczynku, buduaem, dużą, w pełni wyposażoną łazienką, mniejszą sypialnią i łazienką oraz pomieszczeniem gospodarczym. Na dachu był taras z osobnymi schodami.

— Na drugim piętrze — rzekł Davis — znajdują się pokoje dla służby, pralnia i składzik. Natomiast na samym dole, w suterynie, jest piwnica z winem oraz jadalny i wypoczynkowy pokój dla służby.

— To jest... to jest ogromny dom — powiedziała Mary.

Dzieci biegały z pokoju do pokoju.

— Która sypialnia będzie moja? — spytała Beth.

— Ty i Tim możecie sami uzgodnić to między sobą.

— Możesz wziąć tę z falbankami — zaproponował Tim.

,— Dziewczyny lubią falbanki.

Sypialnia Mary była wspaniała. Stało w niej piękne podwójne łóżko z ciepłą kołdrą, dwie kanapy, ustawione przy kominku, fotel, toaletka z wielkim lustrem i szafka na przybory osobiste. Obok była doskonale urządzona łazienka z wszelkimi wygodami. Z okna roztaczał się niezwykle widok na ogród.

Delia i Carmen już zdążyły rozpakować walizki. Na łóżku leżała przesyłka dyplomatyczna, którą dostała od ambasadora Vinera. Muszę zabrać to jutro z sobą do ambasady, pomyślała Mary. Podniosła paczuszkę i przyjrzała się jej dokładnie. Czerwone pieczęcie zostały przez kogoś złamane, a następnie niezdarnie sklezione taśmą. Kiedy to się mogło stać, zastanowiła się. Na lotnisku? Tutaj? I kto to zrobił?

Do pokoju weszła Sabina.

— Czy wszystko jest w należytym porządku, pani ambasador?

— Tak. Wie pani, nigdy nie miałam osobistej sekretarki — przyznała się Mary — i nie bardzo wiem, co właściwie należy do pani obowiązków.

— Moim zadaniem jest robić wszystko, aby pani praca i życie przebiegały bez żadnych problemów. Mam przypominać pani o umówionych spotkaniach, obiadach i lunchach. Do mnie również należy sprawdzanie, czy służba -umierannie wypełnia swe obowiązki. Przy takiej liczbie pracowników zawsze zdarzają się jakieś problemy.

— Tak, oczywiście — odparła Mary znacząco.

— Czy jest coś, co mogłabym dla pani zrobić dziś po południu ?

Mogłabyś opowiedzieć mi o złamanej pieczęci, pomyślała Mary, a głośno powiedziała:

— Nie, dziękuję. Chyba trochę odpocznę.

Nagle poczuła się wyczerpana.

Tej nocy prawie nie spała. Leżała w wielkim łożu i czuła, jak ogarniają ją na przemian uczucie głębokiej samotności i podniecenia, związane z objęciem nowego stanowiska.

Muszę teraz radzić sobie sama, kochanie, rozmawiała w duchu z Edwardem. Nie mam nikogo, na kim mogłabym się oprzeć. Tak bym chciała, żebyś był tutaj ze mną, aby mówić mi, że nie muszę się niczego obawiać, że nie zawiodę. Nie mogę zawieść.

Kiedy w końcu zdołała zasnąć, przyśnił jej się Mikę Slade, który mówił: „Nienawidzę amatorów. Dlaczego nie wrócisz do domu?”

Ambasada Amerykańska w Bukareszcie znajduje się przy Șoseaua Kiseleff numer 21. Jest to biały jednopiętrowy budynek, częściowo w stylu gotyckim, przed którym znajduje się żelazna brama, strzeżona przez umundurowanego żołnierza w szarym płaszczu i czerwonej czapce. Jeszcze jeden strażnik siedzi w budce obok furtki. Przez tę bramę na teren ambasady wjeżdżają samochody. Do drzwi frontowych budynku prowadzą schody z różowego marmuru.

Hol wejściowy jest bardzo bogato ozdobiony. Podłoga, podobnie jak schody, zrobiona jest z marmuru. Obok biurka, przy którym siedzi strażnik, znajdują się dwa monitory, służące do obserwowania całego terenu ambasady. Nieco dalej od



wejścia, przed kominkiem, ustawiono parawan z namalowanym smokiem ziejącym dymem. Na ścianach korytarzy wiszą portrety prezydenta, a kręte schody prowadzą na pierwsze piętro, na którym znajduje się sala konferencyjna i biura.

Przy wejściu powitał Mary jeden ze strażników.

— Dzień dobry, pani ambasador — powiedział. — Jestem sierżant Hughes. Wszyscy nazywają mnie Gunny.

— Dzień dobry, Gunny.

— Czekają na panią w biurze. Zaprowadzę tam panią.

Poszła za nim schodami do sali przyjęć, gdzie za biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku. Na widok Mary wstała.

— Dzień dobry, pani ambasador. Jestem Dorothy Stone, pani sekretarka.

— Miło mi panią poznać.

— Zdaje się, że sporo osób czeka na panią w biurze.

Otworzyła drzwi i Mary weszła. Przy dużym stole konferencyjnym zgromadzonych było dziewięć osób, które na jej widok wstały. Wszyscy na nią patrzyli i Mary czuła bijącą z nich niemal dotykającą wrogość. Pierwszą osobą, którą ujrzała, był Mikę Slade. Natychmiast przypomniał jej się sen z ostatniej nocy.

— Widzę, że dotarła tu pani bez żadnych przeszkód — rzekł Slade. — Przedstawiam pani wszystkich szefów wydziałów. To jest Lucas Janklow, wydział administracyjny; Eddie Maltz, wydział polityczny; Patricia Hatfield, wydział ekonomiczny; David Wallace, szef administracji; Ted Thompson, rolnictwo. Poznała już pani Jerry'ego Davisa z wydziału do spraw publicznych; David Victor, wydział handlowy, oraz znany już pani pułkownik Bill McKinney.

— Proszę usiąść — powiedziała Mary.

Ruszyła, aby zająć miejsce w końcu stołu, a przy okazji przyjrzała się zebranym. Wrogość przychodzi w różnym wieku i pod różną postacią, pomyślała zgryźliwie.

Patricia Hatfield była gruba, ale miała dość ładną twarz. Lucas Janklow, najmłodszy członek zespołu, wyglądał jak student najlepszego amerykańskiego uniwersytetu. Pozostali mężczyźni byli różni: siwi, łysi, szczupli, grubi. Zajmie mi trochę czasu, aby ich wszystkich poznać, westchnęła w duchu.

— Wszyscy jesteśmy tu za pani zgodą — mówił Mikę Slade. — W każdym momencie może pani zastąpić każdego z nas kimś innym.

Wcale nieprawda, pomyślała gniewnie Mary. Próbowałam już ciebie kimś zastąpić.

Spotkanie, podczas którego odbyła się swobodna dyskusja na błahe tematy, trwało piętnaście minut.

Zakończył je Mikę Slade, mówiąc:

— Dorothy umówi każdego z was na indywidualne spotkanie z panią ambasador w ciągu dzisiejszego dnia. Dziękuję.

Mary czuła się urażona tym, że to nie ona, ale Slade wydawał wszystkie polecenia. Kiedy została z nim sama, spytała:

— Kto z nich jest agentem CIA, przydzielonym do pracy w ambasadzie?

Slade spojrzął na nią i powiedział:

— Proszę pójść za mną.

Wyszedł z biura, a Mary, choć zawahała się przez moment, posłusznie poszła za nim. Szli długim korytarzem, mijając liczne biura, aż doszli do dużych drzwi, przy których stał strażnik. Żołnierz odsunął się i Mikę otworzył drzwi, po czym odwrócił się i skinął na Mary.

Weszła za nim do środka i rozejrzała się. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, wyglądało dość niesamowicie: podłoga, ściany i sufit pokryte były grubą warstwą szkła i metalu.

Slade zamknął masywne drzwi.

— To jest tak zwany Cichy Pokój. Każda ambasada w krajach zza żelaznej kurtyny posiada taki pokój. To jedyne pomieszczenie w całym budynku, gdzie nie mogą założyć podsłuchu.

Ujrzał w jej oczach niedowierzenie.

— Pani ambasador, nie tylko w całej ambasadzie jest podsłuch. Może pani śmiało postawić ostatniego dolara, że jest również w pani rezydencji, a jeśli wybierze się pani gdzieś na obiad, przy pani stoliku też będzie założony podsłuch. Znajduje się pani na terytorium wroga.

Mary zagłębiła się w fotelu.

— Jak sobie dajecie z tym radę ? — spytała. — Przecież w takim razie w ogóle nie możecie normalnie rozmawiać.

— Co rano sprawdzamy wszystko elektronicznym wykrywaczem aparatów podsłuchowych. Znajdujemy ukryte mikrofony i je zabieramy. Potem oni zakładają nowe, a my znowu je znajdujemy.

— Dlaczego pozwalamy na to, żeby Rumuni pracowali w ambasadzie?

— To ich boisko i oni są tutaj drużyną gospodarzy; albo gramy według ich zasad, albo tracimy piłkę. Nie mogą założyć podsłuchu w tym pomieszczeniu, ponieważ drzwi do niego są strzeżone przez żołnierzy dwadzieścia cztery godziny na dobę. A teraz — jakie ma pani pytania?

— Chciałam tylko wiedzieć, kto pracuje dla CIA.

— Eddie Maltz, szef wydziału politycznego.

Próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądał Eddie Maltz. Siwy i masywny. Nie, to był facet od rolnictwa. Eddie Maltz... aha, to ten w średnim wieku, bardzo szczupły, o groźnej twarzy. A może tak jej się tylko wydawało teraz, kiedy dowiedziała się, że jest z CIA?

— Czy wśród pracowników jest on jedynym człowiekiem z CIA?

— Tak.

Miała wrażenie, że w jego głosie pojawiło się wahanie.

Slade spojrział na zegarek.

— Za trzydzieści minut ma pani przedstawić swoje listy uwierzytelniające. Florian już na panią czeka na zewnątrz. Proszę wziąć ze sobą list polecający, jego oryginał wręczy pani prezydentowi Ionescu, a kopię zatrzyma w swoim sejfie.

Mary zacisnęła ze złości zęby.

— Wiem o tym, panie Slade.

— Zażyczył sobie, żeby wzięła pani ze sobą dzieci. Wysłałem po nie samochód.

Bez porozumienia z nią.

— Dziękuję.

Siedziba rządu rumuńskiego mieści się w posępnie wyglądającym budynku z bloków piaskowca, stojącym w samym

centrum Bukaresztu. Dostępu do niego broni stalowe ogrodzenie, wokół którego przechadzają się uzbrojeni żołnierze. Wejście do budynku jest również dobrze strzeżone. Jeden z adiutantów wprowadził Mary i dzieci na górę.

Prezydent Alexandros Ionescu przywitał ich w długiej sali o prostokątnym kształcie, znajdującej się na pierwszym piętrze. Był człowiekiem o dumnym, groźnym wyglądzie. Miał ciemną cerę, drapieżne rysy i czarne, kręcone włosy, a jego nos był jednym z najbardziej władczych nosów, jakie Mary kiedykolwiek widziała. Błyszczące oczy zdawały się hipnotyzować.

Adiutant wprowadził ich do sali.

— Wasza Ekscelencjo, proszę pozwolić, że przedstawię panią ambasador ze Stanów Zjednoczonych.

Prezydent ujął rękę Mary i złożył na niej długi pocałunek.

— W rzeczywistości jest pani jeszcze piękniejsza niż na zdjęciach.

— Dziękuję, Wasza Ekscelencjo. To jest moja córka, Beth, i mój syn, Tim.

— Bardzo ładne dzieci — powiedział Ionescu i spojrzał na nią wyczekująco. — Czy ma pani coś dla mnie?

Mary omalże nie zapomniała. Otworzyła szybko torebkę i wyjęła z niej list polecający od prezydenta Ellisona.

Alexandros Ionescu ledwo na niego spojrzał.

— Dziękuję. Zatwierdzam go w imieniu rządu rumuńskiego. Teraz oficjalnie jest pani ambasadorem amerykańskim w moim kraju. — Uśmiechnął się do niej promiennie. — Dziś wieczorem wydaję przyjęcie na pani cześć. Będzie miała pani okazję poznać kilku z naszych ludzi, którzy będą z panią pracować.

— To bardzo uprzejmie z pana strony — odparła Mary.

Znowu wziął jej dłoń w swoje ręce i rzekł:

— Mamy tutaj takie powiedzenie: „Ambasador przybywa we łzach, bo wie, że przez długi czas będzie musiał żyć w obcym kraju, ale kiedy wyjeżdża, wyjeżdża również we łzach, ponieważ musi opuścić nowych przyjaciół w kraju, który pokochał”. Mam nadzieję, że pokocha pani nasz kraj, pani ambasador. — Ścisnął jej dłoń.

— Jestem pewna, że tak się stanie.

On uważa, że jestem tylko jeszcze jedną ładną buzią, pomyślała gniewnie Mary. Muszę coś z tym zrobić.

Mary odesłała dzieci do domu i resztę dnia spędziła w ambasadzie, w dużej sali konferencyjnej, na spotkaniu z kierownikami poszczególnych sekcji i z konsulami: politycznym, ekonomicznym, rolnictwa, administracyjnym oraz handlu. Pułkownik McKinney był obecny jako attache wojskowy.

Wszyscy siedzieli wokół długiego, prostokątnego stołu. Pod ścianami stało dwunastu młodszych pracowników z różnych departamentów.

Konsul do spraw handlu, mały, napuszony człowieczek, mówił, przytaczając wiele faktów i liczb. Mary spoglądała wokół i rozmyślała nad tym, że będzie musiała zapamiętać nazwiska wszystkich tych ludzi.

Następny przemówił Ted Thompson, konsul do spraw rolnictwa.

— Rumuński minister rolnictwa jest w dużo większych kłopotach, niż się do tego przyznaje. W tym roku będą mieli bardzo złe zbiory i nie możemy pozwolić im zginąć.

Patricia Hatfield, konsul do spraw ekonomicznych, zaprotestowała.

— Udzieliliśmy im już wystarczająco dużo wsparcia. Rumunia korzysta przecież z pomocy układu państw uprzywilejowanych. Należy do GSP. — Spojrzała ukradkiem na Mary.

Ona to robi umyślnie, stwierdziła w duchu Mary. Próbuje wprowadzić mnie w zakłopotanie.

Patricia zaczęła wyjaśniać protekcyjnym tonem:

— GSP jest to...

— ...jest to ogólny system preferencji — dokończyła za nią Mary. — Traktujemy Rumunię jako kraj mniej rozwinięty i w związku z tym korzysta z wszelkich ulg dotyczących importu i eksportu.

Wyraz twarzy Hatfield zmienił się nagle.

— Tak właśnie — odparła. — Już i tak rozdajemy zapasy i...

— My nie rozdajemy naszych zapasów — przerwał konsul do spraw handlu, David Victor — ale staramy się nie zamykać do nich dostępu, aby mogli je kupować. Potrzebują więcej kredytu na zakup od nas zboża. Jeśli my im nie sprzedamy, kupią je w Argentynie — zwrócił się do Mary. — Wygląda na to, że stracimy na soi. Brazylijczycy próbują nas ubiec. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby jak najszybciej porozmawiała pani z premierem i spróbowała dobić targu, zanim w ogóle będziemy wykluczeni z gry.

Mary rzuciła spojrzenie na Mike'a Slade'a, który siedział rozwalony na krześle przy drugim końcu stołu, rysując coś na kartce notatnika i pozornie nie zwracając uwagi na toczącą się dyskusję.

— Zobaczę, co się da zrobić — obiecała.

Zapisała sobie, żeby wysłać depezę do ministra handlu w Waszyngtonie z prośbą o pozwolenie zaofiarowania rządowi rumuńskiemu większego kredytu. Pieniądze pochodziłyby z banków amerykańskich, ale te udziela pożyczki tylko za zgodą rządu.

Jako następny głos zabrał Eddie Maltz, konsul polityczny, a zarazem agent CIA.

— Mam dość nagłący problem, pani ambasador. Dziewiętnastoletnia studentka amerykańska została aresztowana ostatniej nocy za posiadanie narkotyków. W tym kraju to bardzo poważne przestępstwo.

— Jakie narkotyki miała przy sobie?

— Marihuanę. Tylko parę uncji.

— Mógłby pan opisać tę dziewczynę?

— Bystra, studentka college'u, raczej ładna.

— Jak pan sądzi, co z nią zrobią?

— Zwykła kara wynosi pięć lat więzienia.

Mój Boże, przeraziła się Mary, jaka by się stała po wyjściu z więzienia?

— Co mogę zrobić w tej sprawie?

Mike Slade odpowiedział leniwie:

— Może pani spróbować swego uroku na szefie policji. Nazywa się Istrase i ma wielką władzę.

— Dziewczyna mówi — ciągnął Eddie Maltz — że

wszystko było z góry ukartowane i może rzeczywiście ma rację. Była na tyle niemądra, że zadała się z rumuńskim policjantem. Najpierw ją wy... wziął do łóżka, a potem na nią doniósł. Mary była zszokowana.

— Jak on mógł?

Mikę Slade odparł oschle:

— Pani ambasador, tutaj my jesteśmy wrogami — nie oni. Rumunia bawi się z nami w przyjaciół i wszyscy jesteśmy dobrymi kumplami, ślemy sobie przez ocean uśmiechy i uściski dłoni. My pozwalamy im handlować z nami po okazyjnych cenach, bo próbujemy ich odciągnąć od Rosji. Ale kiedy przychodzi co do czego, są nadal komunistami.

Mary zrobiła następną notatkę.

— Dobrze, zobaczę, co mogę zrobić. — Zwróciła się do konsula do spraw publicznych, Jerry'ego Davisa. — Jakie pan ma problemy?

— Mój wydział ma kłopoty z otrzymaniem zgody na przeprowadzenie napraw w apartamentach pracowników naszej ambasady. Ich mieszkania są w okropnym stanie.

— A nie mogą po prostu zakasać rękawów i sami naprawić co trzeba?

— Niestety nie. Rząd rumuński musi wydać zgodę na każdą naprawę. Niektórzy nasi ludzie są bez ogrzewania, a w kilku mieszkaniach nie działają toalety i nie ma bieżącej wody.

— Czy pan to gdziekolwiek zgłaszał?

— Tak, proszę pani. Każdego dnia przez ostatnie trzy miesiące.

— W takim razie dlaczego...?

— To się nazywa nękanie — wyjaśnił Mikę Slade. — Taka wojna nerwów, w którą lubią się z nami bawić.

Mary ponownie zrobiła notatkę.

— Pani ambasador, mam niezmiernie pilną sprawę — powiedział Jack Chancelor, kierownik biblioteki amerykańskiej. — Nie dalej jak wczoraj bardzo ważne księgi referencyjne zostały skradzione z...

Ambasador Ashley zaczęła boleć głowa.

Całe popołudnie przeszło jej na wysłuchiwanie skarg. Każdy wydawał się niezadowolony. A potem czekało ją mnóstwo czytania. Jej biurko zasypane było papierami, głównie wycinkami prasowymi z rumuńskich gazet i magazynów z poprzedniego dnia. Większość artykułów w popularnej gazecie „Scinteia Tineretului” zajmowała się tym, co robił prezydent Ionescu. Na każdej stronie zamieszczone były trzy lub cztery fotografie prezydenta. Cóż to za egocentryczny człowiek, nie mogła nadziwić się Mary.

Potem przejrzała streszczenia z innych gazet: „The Romania Libera”, z cotygodniowej „Flacara Rosie” i „Magafinul”. A był to dopiero początek. Leżała jeszcze sterta wiadomości radiowych, skrót wiadomości przysłanych ze Stanów Zjednoczonych, teksty ważnych oficjalnych przemówień amerykańskich, gruby raport na temat negocjacji o rozbrojeniu oraz bieżące wiadomości o gospodarce Stanów Zjednoczonych.

Materiał z jednego tylko dnia wystarczyłby, abym miała co czytać przez następnych kilka lat, pomyślała Mary. A przecież każdego dnia będę dostawać taką samą porcję.

Ale najbardziej martwiło ją nieprzyjazne wobec niej nastawienie pracowników. Musiała to jak najszybciej załatwić.

Posłała po Harriet Kruger, szefa protokołu.

— Jak długo pracuje pani w ambasadzie? — spytała Mary.

— Cztery lata przed zerwaniem stosunków z Rumunią, no i teraz trzy wspaniałe miesiące — odparła z lekką ironią w głosie.

— Czy nie podoba się pani tutaj?

— Ja tam wolę jedzenie u McDonalda i starych przyjaciół. Jak mówi piosenka: „Pokaż mi drogę do domu”.

— Czy możemy przez chwilę porozmawiać zupełnie szczerze?

— Nie, proszę pani.

Mary zupełnie o tym zapomniała.

— Może przejdziemy się do Cichego Pokoju? — zaproponowała.



Kiedy znalazły się w Cichym Pokoju za starannie zamkniętymi drzwiami, Mary powiedziała:

— Właśnie coś mi przyszło do głowy. Dzisiejsze spotkanie odbyło się w sali konferencyjnej. Czy tam nie ma podsłuchu?

— Prawdopodobnie jest — odparła wesoło Kruger — ale to nie ma znaczenia. Mikę Slade nie dopuściłby do rozmowy o czymś, czego Rumuni nie powinni wiedzieć.

Znowu Mikę Slade.

— Co pani sądzi o Siadzie?

— Jest najlepszy.

Mary zdecydowała się nie wypowiadać na ten temat.

— Przyczyną, dla której chciałam z panią porozmawiać, jest fakt, iż odniosłam wrażenie, że panuje tu dość napięta atmosfera. Wszyscy się skarżą, nikt nie jest zadowolony. Chciałabym, aby powiedziała mi pani, czy to ja jestem powodem tej sytuacji, czy tak jest zawsze?

Harriet Kruger przyglądała się jej przez moment.

— Czy chce pani, abym odpowiedziała szczerze?

— Bardzo proszę.

— I to, i to, proszę pani. Amerykanie żyją tutaj w ciągłym napięciu. Jeśli zdarzy im się złamać jakąś zasadę, mają duże kłopoty. Boimy się zaprzyjaźniać z Rumunami, bo prawdopodobnie prędzej czy później okazałoby się, że pracują dla służb bezpieczeństwa, więc trzymamy się razem. Nie jest nas wielu i szybko wszystko staje się monotonne i nudne. — Wzruszyła ramionami. — Płace są niskie, jedzenie okropne i pogoda pod psem. — Spojrzała na Mary. — Nie jest pani temu winna, pani ambasador. Pani ma dwa problemy: po pierwsze, jest pani politykiem z mianowania i rządzi ambasadą obsadzoną przez zawodowych dyplomatów. — Przerwała. — Czy nie wyrażam się zbyt dobitnie?

— Nie, proszę mówić dalej.

— Większość z nich była już przeciwko pani, zanim tu pani przyjechała. Zawodowi dyplomaci w ambasadzie starają się nie stwarzać problemów, podczas gdy politycy z mianowania lubią wywracać wszystko do góry nogami. Dla nich jest pani amatorem, który chce radzić zawodowcom, w jaki sposób

mają prowadzić swoje interesy. Drugim problemem jest fakt, że jest pani kobietą. Na fladze rumuńskiej powinien znajdować się duży symbol: męska szowinistyczna świnia. Amerykanie płci męskiej, pracujący w ambasadzie, nie lubią, kiedy rozkazuje im kobieta, a Rumuni są o wiele gorsi pod tym względem.

— Rozumiem.

Harriet Kruger uśmiechnęła się.

— Ale za to ma pani świetnego agenta od reklamy. Nigdy nie widziałam, żeby o kimś tyle mówiono i pisano. Jak pani to robi ?

Na to pytanie Mary nie umiała odpowiedzieć.

Harriet zerknęła na zegarek.

— Ojej! Spóźni się pani. Florian już czeka. Musi pani pojechać do domu, aby się przebrać.

— Po co mam się przebierać? — zaniepokoiła się Mary.

— Czy nie przeczytała pani rozkładu dnia, który zostawiłam na biurku?

— Obawiam się, że byłam zbyt zajęta. Nie chce mi chyba pani powiedzieć, że mam iść na jakieś przyjęcie!

— P r z y j ę c i a . Trzy dziś wieczorem. Przez cały tydzień będzie ich razem dwadzieścia jeden.

Mary patrzyła na nią z niedowierzaniem.

— To niemożliwe. Mam zbyt wiele do...

— Takie tutaj panują zwyczaje. W Bukareszcie jest siedemdziesiąt pięć ambasad i każdego wieczoru kilka z nich obchodzi jakąś uroczystość.

— Nie mogę odmówić?

— To byłoby tak, jakby odmówiły im Stany Zjednoczone. Czuliby się obrażeni.

Mary westchnęła ciężko.

— Zdaje się, że lepiej zrobię, jeśli pojedę się przebrać.

Tego popołudnia przyjęcie w rumuńskim Pałacu Stanowym odbywało się na cześć właśnie przybyłego dygnitarza ze Wschodnich Niemiec.

Zaraz po wejściu Mary podszedł do niej prezydent Ionescu. Pocałował jej dłoń na powitanie i rzekł:

— Czekałem, żeby panią znowu zobaczyć.

— Dziękuję, Wasza Ekscelencjo, ja również.

Miała wrażenie, że sporo już wypił. Przypomniała sobie, co wyczytała w jego aktach: „Żonaty, jeden syn, czternaście lat, prawowity następca, oraz trzy córki. Kobiciarz. Dużo pije. Sprytna, chłopska mentalność. Czarujący, kiedy mu to pasuje. Hojny dla przyjaciół. Niebezpieczny i bezwzględny dla wrogów”. Człowiek, którego należy się strzec, zdecydowała Mary.

Ionescu ujął ją pod rękę i poprowadził z dala od innych.

— Zobacz pani, że my, Rumuni, jesteśmy bardzo interesujący. — Ścisnął jej ramię. — Jesteśmy ludźmi, których wypełnia namiętność. — Spojrzał na nią, czekając na jakąś reakcję, a nie doczekawszy się jej, zaczął mówić dalej: — Od 106 roku jesteśmy potomkami starożytnych Daków i ich zwycięzców, Rzymian. Przez całe wieki Rumunia była podnóżkiem Europy; kraj o gumowych granicach. Hunowie, Goci, Awarowie, Słowianie i Mongołowie wycierali sobie o nas nogi, a jednak Rumunia przetrwała. A wie pani w jaki sposób? — Zbliżył się do niej tak, że czuła jego oddech przesiąknięty alkoholem. — Poprzez zapewnienie naszemu narodowi silnego, stałego przywództwa. Oni mi ufają, a ja rządzę nimi sprawiedliwie.

Mary pamiętała różne opowieści, które o nim słyszała. Aresztowania w środku nocy, wołające o pomstę rozprawy sądowe, okrucieństwo, tajemnicze znikanie ludzi.

Ionescu mówił dalej, a Mary patrzyła przez jego ramię na zatłoczoną salę. Obecnych było co najmniej dwustu gości i Mary wiedziała, że reprezentują oni wszystkie ambasady w Rumunii. Wkrótce miała ich poznać. Zdążyła zerknąć na listę spotkań przygotowaną przez Harriet Kruger i zauważyła z zainteresowaniem, że jednym z jej pierwszych obowiązków będzie złożenie oficjalnej wizyty w każdej z siedemdziesięciu pięciu ambasad. Oprócz tego w rozkładzie było mnóstwo spotkań towarzyskich i przyjęć, które miały się odbywać każdego wieczoru.

Jak znajdę czas, żeby jeszcze być ambasadorem, martwiła się Mary. I kiedy o tym myślała, zdała sobie sprawę, że to było także częścią jej pracy.

Do prezydenta Ionescu podszedł jakiś człowiek i szepnął mu coś do ucha. Twarz Ionescu przybrała zimny wyraz. Syknął

coś po rumuńsku i mężczyzna kiwnął głową, po czym pospiesznie odszedł. Dyktator zwrócił się ponownie do Mary, rozplywając się w uśmiechach.

— Muszę panią teraz opuścić. Będę czekał na nasze następne spotkanie. Wkrótce.

I odszedł.

## 19

Aby dać dobry początek wypełnionym po brzegi dniom, które ją czekały, Mary powiedziała Florianowi, żeby przyjechał po nią o wpół do siódmej rano. W drodze do ambasady czytała raporty i komunikaty, które zostały dostarczone do rezydencji w ciągu ostatniej nocy.

Szła korytarzem i mijając biuro Mike'a Slade'a, zatrzymała się zaskoczona. Slade siedział przy swoim biurku i pracował. Był nie ogolony i Mary pomyślała, że najwidoczniej nie nocował w swoim mieszkaniu.

— Wcześniej pan przyszedł — powiedziała.

Podniósł głowę.

— Dzień dobry. Chciałbym zamienić z panią kilka słów.

— Słucham. — Mary podeszła do biurka.

— Nie tutaj. W pani biurze.

Slade otworzył drzwi łączące ich biura i przepuścił Mary przodem, po czym wszedł za nią i podszedł do maszyny stojącej w rogu.

— To urządzenie służy do niszczenia niepotrzebnych papierów — poinformował ją.

— Wiem o tym.

— Naprawdę? Wczoraj wyszła stąd pani i zostawiła na biurku kartki z notatkami. Na pewno zostały już sfotografowane i przesłane do Moskwy.

— Och, mój Boże! Musiałam zapomnieć. Co to były za notatki?

— Spis kosmetyków, papieru toaletowego i innych rzeczy osobistych, które chciała pani zamówić. Ale nie o to chodzi. Sprzątaczką pracuje dla służb bezpieczeństwa. Rumuni potrafią być wdzięczni za dostarczenie im każdego strzępu informacji i świetnie sobie radzą w składaniu ich do kupy. Lekcja numer jeden: wieczorem wszystko musi być zamknięte w pani sejfie lub zniszczone.

— A lekcja numer dwa? — chłodno spytała Mary.

Slade uśmiechnął się.

— Ambasador zawsze zaczyna dzień, pijąc kawę ze swoim zastępcą. Jaką kawę pani pija?

Nie miała wcale ochoty na kawę z tym beczelnym arogantem.

— Ja... czarną.

— To dobrze. Tutaj musi pani dbać o linię, bo jedzenie jest bardzo tuczące. — Wstał i skierował się do drzwi, prowadzących do jego biura. — Zaparzę swoim sposobem. Na pewno będzie pani smakować.

Została sama, wściekła na niego. Muszę sobie jakoś z nim poradzić, zdecydowała. Chcę, żeby wyniósł się stąd, i to jak najszybciej.

Slade wrócił po chwili, niosąc dwa kubki z gorącą kawą. Postawił je na biurku.

— W jaki sposób mam starać się o umieszczenie Beth i Tima w tutejszej szkole amerykańskiej? — spytała Mary.

— Już to załatwiłem. Florian będzie ich co rano zawoził do szkoły, a po południu odbierał.

Mary była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

— Ja... dziękuję bardzo.

— Powinna pani w wolnej chwili zajrzeć do tej szkoły. Jest bardzo mała, około stu uczniów. W każdej klasie uczy się osiem, dziewięć osób. Uczniowie pochodzą z różnych stron świata: Kanadyjczycy, Izraelczycy, Nigeryjczycy, dosłownie z każdego kraju, jakiego pani zapragnie. Mają doskonałych nauczycieli.

— Wpadnę tam.

Mikę pociągnął łyk kawy.

— Słyszałem, że miała pani wczoraj wieczorem miłą pogawędkę z naszym nieustraszonym władcą.

— Z prezydentem Ionescu ? Owszem, wydawał się bardzo sympatyczny.

— O tak, jest przemiłym człowiekiem. Dopóki się na kogoś nie wścieknie: wtedy gotów jest kazać ściąć mu głowę.

— Czy na takie tematy nie powinniśmy rozmawiać w Cichym Pokoju ? — spytała nerwowo Mary.

— Niekoniecznie. Dziś rano oczyściłem biuro z podsłuchu. Tu jest bezpiecznie. Kiedy przyjdą portierzy i sprzątający, wtedy trzeba uważać. A przy okazji: proszę nie dać się zwieść uprzejmości Ionescu. To maska, pod którą kryje się sukinsyn najgorszego gatunku. Naród go nienawidzi, ale nic nie może zrobić. Wszędzie czają się szpicle tajnej policji. To jest jak KCB i policja połączone w jedno. Panuje tu taka praktyczna zasada, że z każdych trzech osób jedna pracuje dla służb bezpieczeństwa lub KGB. Rumuni mają zakaz nawiązywania jakichkolwiek kontaktów z cudzoziemcami. Jeśli jakiś obcokrajowiec pragnie zjeść obiad w mieszkaniu Rumuna, najpierw państwo musi się na to zgodzić.

Mary poczuła dreszcz przebiegający przez ciało.

— Każdy Rumun może zostać aresztowany za podpisanie petycji, krytykowanie rządu, malowanie napisów na ścianach...

Mary czytała wiele artykułów w różnych gazetach i magazynach, opowiadających o represjach stosowanych wobec ludności w krajach komunistycznych, ale teraz, kiedy znalazła się na ich terenie, ogarnęło ją uczucie nierealności.

— Przecież odbywają się tutaj rozprawy sądowe — powiedziała niepewnie.

— Och, od czasu do czasu organizują pokazowe procesy, w których mogą uczestniczyć zachodni reporterzy. Ale większość aresztowanych ma dziwną tendencję do ulegania tragicznym wypadkom, kiedy znajdują się pod opieką policji. Są w Rumunii gułagi, których nam nie wolno oglądać. Znajdują się na obszarze Delt i nad Dunajem, blisko Morza Czarnego. Rozmawiałem z ludźmi, którzy je widzieli. Panują w nich koszmarnie warunki.

— I nie ma dokąd uciec — powiedziała Mary, myśląc głośno. — Na wschodzie drogę zagradza Morze Czarne, na południu Bułgaria, a z innych stron przebiegają granice z Jugosławią, Węgrami i Czechosłowacją. Rumunia znajduje się w samym środku krajów zza żelaznej kurtyny.

— Czy słyszała pani o dekreście o maszynach do pisania ?

— Nie.

— To ostatni objaw szaleństwa Ionescu. Rozkazał, aby maszyny do pisania i powielacze znajdujące się na terenie całego kraju zostały zarejestrowane. Jak tylko lista była gotowa, kazał je wszystkie skonfiskować. Teraz ma kontrolę nad wszystkimi rozprawianymi wiadomościami. Jeszcze kawy?

— Nie, dziękuję.

— Ionescu zawsze trafia ludzi w najbardziej czułe miejsce. Boją się buntować, bo wiedzą, że będą rozstrzelani. Poziom życia w Rumunii należy do najniższych w Europie. Brakuje wszystkiego. Kiedy ludzie widzą kolejkę przed sklepem, stają w niej i kupują, co jest, bo wiedzą, że drugi raz mogą nic nie dostać.

— Wygląda mi na to — wolno powiedziała Mary — że to wszystko razem stwarza nam wspaniałą możliwość, aby pomagać tym ludziom.

Mike popatrzył na nią.

— Oczywiście — odparł sucho. — Wspaniałą.

\* \* \*

Po południu, podczas przeglądania depeesz, które nadeszły z Waszyngtonu, Mary rozmyślała o Mike'u Siadzie. Był dziwnym człowiekiem — arogancki i niegrzeczny, a przecież: „Już to załatwiłem. Florian będzie ich co rano zawoził do szkoły, a po południu odbierał”. I wydawał się naprawdę przejęty narodem rumuńskim i jego problemami. Może jest bardziej skomplikowanym człowiekiem, niż myślałam, stwierdziła. Ale pomimo wszystko mu nie ufam.

Zupełnie przypadkowo Mary dowiedziała się o spotkaniach, odbywających się za jej plecami. Opuściła ambasadę,

aby udać się na lunch z ministrem rolnictwa, ale kiedy przyjechała do ministerstwa, powiedziano jej, że wezwał go do siebie prezydent. Mary zdecydowała, że wróci do ambasady i tam zje lunch.

— Proszę powiadomić Lucasa Jankłowa, Davida Wallace'a i Eddiego Maltza, że chciałabym ich widzieć — poleciła sekretarce.

Dorothy Stone zawahała się.

— Są na zebraniu, proszę pani — odpowiedziała wymijająco.

— Na zebraniu z kim?

Dorothy wzięła głęboki oddech.

■— Z pozostałymi konsulami.

Przez moment panowała cisza.

— Czy chce pani powiedzieć, że odbywa się spotkanie pracowników beze mnie?

— Tak, pani ambasador.

To już przekraczało wszelkie granice.

— Rozumiem, że to się zdarza nie po raz pierwszy?

— Nie, proszę pani.

— Czy dzieje się tutaj jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć, a nie wiem?

Dorothy powtórnie wzięła głęboki oddech.

— Wszyscy wysyłają depesze bez pani upoważnienia.

Rozmyślałam o wielkiej rewolucji w Rumunii, a tymczasem tu, w ambasadzie, pod moim bokiem, szerzy się niezła rewolucja, pomyślała Mary.

— Pani Stone, proszę zwołać zebranie kierowników wszystkich wydziałów o godzinie piętnastej. Mają się stawić w s z y s c y .

— Tak, proszę pani.

Mary siedziała przy końcu stołu, patrząc, jak pracownicy wchodzą do sali konferencyjnej. Starsi rangą usiedli przy stole obrad, a młodszy zajęli krzesła pod ścianami.

— Dzień dobry — powitała ich szorstko Mary. — Nie zajmę państwu dużo czasu. Wiem, jak bardzo jesteście zajęci. Jak się dowiaduję, odbywają się spotkania kierownictwa bez



mojej wiedzy i zgody. Od tej chwili każdy, kto weźmie udział w takim spotkaniu, zostanie natychmiast zwolniony. — Kątem oka widziała notującą wszystko Dorothy. — Dowiedziałam się również, że niektórzy z was wysyłają depesze bez porozumienia ze mną. Zgodnie z protokołem Departamentu Stanu, ambasador ma prawo przyjąć lub zwolnić każdego pracownika ambasady, zależnie od swojego uznania. — Zwróciła się do Teda Thompsona, konsula do spraw rolnictwa. — Wczoraj wysłał pan bez mojego upoważnienia depeszę do Departamentu Stanu. Zrobiłam panu rezerwację na samolot odlatujący jutro w południe do Waszyngtonu. — Powiodła wzrokiem po zgromadzonych w sali. — Następnym razem, jeśli ktokolwiek wyśle depeszę bez mojej wiedzy lub zawiedzie mnie w jakikolwiek inny sposób, znajdzie się w pierwszym samolocie lecącym do Waszyngtonu. To wszystko, panie i panowie.

Na sali panowała głucha cisza. Powoli zgromadzeni zaczęli podnosić się ze swoich miejsc i wychodzić. Na twarzy Mike'a Slade'a, wychodzącego wraz z innymi, malował się wyraz zaciekawienia.

Kiedy Mary została sama z Dorothy Stone, spytała:

— Jak wypadło?

— Dosadnie, ale bez zbędnego patosu. To było najkrótsze i najbardziej skuteczne spotkanie pracownicze, jakie do tej pory widziałam.

— To dobrze. A teraz najwyższy czas oświecić biuro telegraficzne.

Wszystkie informacje, wysyłane z ambasad w Europie Wschodniej, są najpierw szyfrowane. Należy je zapisać na specjalnej maszynie do pisania, następnie odczytywane są przez urządzenia elektroniczne w pokoju telegraficznym i tam od razu zszyfrowane. Szyfry są zmieniane każdego dnia. W zależności od charakteru przekazywanej informacji, mają pięć różnych oznaczeń: ściśle tajne, tajne, poufne, do ograniczonego użytku oficjalnego oraz nietajne. Biuro telegraficzne, wyposażone w najnowszy sprzęt elektroniczny, nie posiada okien, ma mocne zamki i jest dobrze strzeżone.

Sandy Palance, pełniący właśnie dyżur, siedział w biurze za okratowaną szybą. Wstał, kiedy ujrzał wchodzącą Mary.

— Dzień dobry, pani ambasador. Czy mogę pani w czymś pomóc?

— Nie, to ja zamierzam pomóc panu.

Na twarzy Palance'a odmalowało się zdziwienie.

— Słucham?

— Wysłał pan depesze bez mojego podpisu, co znaczy, że robił to pan bezprawnie.

Próbował się bronić.

— No cóż, konsulowie powiedzieli mi, że...

— Jeśli od tego momentu ktoś będzie prosił pana o wysłanie depeszy, na której nie będzie mojego podpisu, proszę z tym natychmiast przyjść do'mnie. Zrozumiał pan? — W jej głosie brzmiała stalowa nuta.

O Jezuu, pomyślał Palance, zdaje się, że jeśli chodzi o tę damę, wszyscy się grubo pomylili.

— Tak, proszę pani, zrozumiałem.

— To dobrze.

Mary odwróciła się i wyszła. Wiedziała, że z tego pokoju przekazywane są „czarnym kanałem” informacje dla CIA, ale na to nie miała żadnego wpływu. Nadal ją ciekawiło, ilu pracowników ambasady jest z CIA i czy Mikę Slade powiedział jej o tym całą prawdę. Miała uczucie, że jednak nie.

Tego wieczoru Mary zrobiła notatki na temat wydarzeń dnia i oddzielnie zapisała problemy, którymi trzeba się było natychmiast zająć. Położyła je na małym stoliku przy łóżku. Rano poszła do łazienki, aby wziąć prysznic. Kiedy już była ubrana, sięgnęła po notatki — były w innej kolejności, niż je zostawiła. „Może być pani pewna, że zarówno w ambasadzie, jak i w rezydencji, wszędzie jest założony podsłuch”. Mary stała przez chwilę, myśląc o czymś.

Podczas śniadania, kiedy ona, Beth i Tim zostali w jadalni sami, Mary głośno powiedziała:

— Rumuni to wspaniali ludzie, ale mam wrażenie, że pod wieloma względami są jeszcze daleko w tyle za Stanami Zjednoczonymi. Czy wiecie, że w wielu mieszkaniach zajmowanych przez pracowników ambasady nie ma ani ogrzewania, ani bieżącej wody, a w dodatku są zepsute toalety?

— Beth i Tim dziwnie jej się przyglądali. — Chyba będziemy musieli nauczyć Rumunów, jak naprawia się takie usterki. Następnego ranka przyszedł do niej Jerry Davis.

— Nie wiem, jak pani tego dokonała, ale dziś rano przyszli do naszych mieszkań robotnicy i naprawiają wszystko, co nie działa.

Mary uśmiechnęła się tylko.

— Po prostu trzeba umieć z nimi grzecznie rozmawiać.

Na zakończenie spotkania dla pracowników Mikę Slade powiedział:

— Musi pani złożyć kurtuazyjne wizyty we wszystkich ambasadach, a że jest ich sporo, radziłbym pani zacząć już dziś.

Mary poczuła się dotknięta tonem jego głosu. Poza tym to nie była sprawa Slade'a. Szefem protokołu była Harriet Kruger, a tego dnia przebywała poza ambasadą.

— Ważne jest, aby wizyty w ambasadach składała pani, zachowując odpowiednią kolejność — ciągnął Mikę. — Najważniejsza jest...

— ...ambasada radziecka. Wiem o tym.

— Radziłbym pani...

— Panie Slade, jeśli będę potrzebować pańskiej rady na temat moich obowiązków tutaj, dam panu znać.

Slade westchnął głęboko.

— Dobrze. — Wstał. — Jak sobie pani życzy, pani ambasador.

Po złożeniu wizyty w ambasadzie radzieckiej Mary wróciła do swojej ambasady, gdzie resztę dnia spędziła na rozmowach z pracownikami, spotkaniu z senatorem z Nowego Jorku, który pragnął poznać poufne informacje o działaniach podziemia, i na spotkaniu z nowym konsulem rolnictwa.

Kiedy już miała wychodzić, zabrzączał sygnał telefonu wewnętrznego i Dorothy Stone poinformowała:

— Jest do pani pilny telefon, pani ambasador. James Stickley z Waszyngtonu.

Mary podniosła słuchawkę.

— Dzień dobry, panie Stickley.

— Czy zechciałaby mi pani wyjaśnić, co, na Boga, pani wyczynia? — Głos Stickleya aż gotował się ze złości.

— Ja... nie wiem, o co panu chodzi.

— To jasne, że pani nie wie. Sekretarz stanu otrzymał dziś oficjalny protest od ambasady Gabonu, dotyczący pani zachowania.

— Zaraz, zaraz! — odrzekła Mary. — To jakaś pomyłka, ja nawet jeszcze nie rozmawiałam z ambasadorem Gabonu.

— Właśnie — warknął Stickley. — Ale rozmawiała pani z ambasadorem Związku Radzieckiego.

— Owszem, tak. Złożyłam mu dziś rano grzecznościową wizytę.

— Czy nie wie pani o tym, że pierwszeństwo wśród ambasad ustala się według kolejności, w której złożyły one swoje listy uwierzytelniające?

— Tak, ale...

— Do pani informacji: w Rumunii Gabon jest pierwszy, ambasada estońska ostatnia, a pomiędzy nimi siedemdziesiąt parę innych. Czy ma pani jakieś pytania?

— Nie, proszę pana. Przykro mi, jeśli...

— Proszę postarać się, aby to się więcej nie zdarzyło.

Kiedy Mikę Slade usłyszał tę nowinę, przyszedł do biura Mary.

— Próbowałem to pani powiedzieć.

— Panie Slade...

— Takie rzeczy są traktowane bardzo poważnie w świecie dyplomatycznym. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w 1661 roku wysłannicy ambasadora hiszpańskiego w Londynie zaatakowali powóz ambasadora francuskiego, zabili pocztyliona, mocno poturbowali woźnicę i podcięli ścięgna kolan dwóch koni tylko po to, aby w ten sposób sprawić, że powóz ambasadora hiszpańskiego przybędzie na miejsce pierwszy. Proponowałbym, żeby posłała pani list z przeprosinami.

Mary wiedziała już, co będzie miała dzisiaj na obiad. Upokorzenie.

Mary przeszkadzały ciągle komentarze na temat ogromnego rozgłosu, jaki zdobyła ona i dzieci. „Był nawet artykuł w „Prawdzie” ze zdjęciem całej waszej trójki”.

O północy zadzwoniła do Stantona Rogersa, właśnie wchodził do biura. Natychmiast podszedł do telefonu.

— Jak się miewa mój ulubiony ambasador?

— Bardzo dobrze. A co u ciebie, Stan?

— Oprócz tego, że mam czterdzieści godzin pracy na dobę, raczej nie mogę narzekać. Właściwie to cały czas dobrze się tym bawię. Jak sobie dajesz radę? Masz jakieś problemy, w których mógłbym ci pomóc?

— Tak naprawdę, to nie jest żaden problem. Po prostu ciekawi mnie jedna rzecz. — Zawahała się, próbując znaleźć odpowiednie słowa. — Widziałeś zapewne zdjęcie moje i dzieci w „Prawdzie” z zeszłego tygodnia?

— Tak, to niesamowite! — wykrzyknął Rogers. — W końcu udało nam się do nich dotrzeć.

— Czy inni ambasadorzy również otrzymują taką reklamę jak ja, Stan?

— Szczerze mówiąc, nie. Ale szef zdecydował, żeby w twoim wypadku pójść na całość, Mary. Jesteś naszym pokazowym numerem jeden. Prezydent Ellison miał to właśnie na myśli, mówiąc, że szuka kogoś, kto byłby zaprzeczeniem „niedobrego Amerykanina”. Mamy ciebie i zamierzamy pokazać wszędzie. Chcemy, żeby cały świat zobaczył to, co mamy najlepszego.

— Pochlebiasz mi.

— Rób dalej dobrą robotę.

Pożartowali jeszcze kilka minut i pożegnali się.

A więc to prezydent stoi za tym wszystkim, pomyślała z ulgą Mary. Nic dziwnego, dla niego to nie problem zorganizować taką reklamę.

\* \* \*

W środku więzienie Ivana Steliana było jeszcze bardziej ponure niż na zewnątrz. Korytarze, pomalowane matową, szarą farbą, były wąskie i nieprzyjemne. Na dole i na piętrze ciągnęła się dżungla zatłoczonych, okratowanych cel, pil-

nowanych przez umundurowanych strażników z karabinami. Smród dobywający się z cel był nie do zniesienia.

Strażnik zaprowadził Mary do pomieszczenia dla od-wiedzających, znajdującego się na tyłach więzienia.

— Ona już tam jest. Ma pani dziesięć minut.

Mary weszła do pokoju i drzwi zamknęły się za nią.

Hannah Murphy siedziała przy małym stole. Miała na sobie ubiór więzienny i kajdanki na rękach. Eddie Maltz opisał ją jako ładną, dziewiętnastoletnią studentkę. Teraz wyglądała na co najmniej dziesięć lat więcej. Jej twarz była blada i wychudzona, oczy czerwone i opuchnięte, a włosy dawno nie czesane.

— Cześć — odezwała się Mary. — Jestem ambasadorem amerykańskim.

Hannah spojrzała na przybyłą i zaczął nią wstrząsać nie kontrolowany szloch.

Mary objęła ją i powiedziała uspokajająco:

— Wszystko będzie dobrze.

— Nn... nie, nie będzie — jęknęła dziewczyna.

— W przyszłym tygodniu mnie skażą. Umrę, jeśli będę musiała zostać tutaj pięć lat. Umrę!

Mary przytuliła ją do siebie i czekała, aż dziewczyna trochę się uspokoi.

— Dobrze, powiedz mi, co się stało.

Hannah wzięła głęboki oddech i po chwili zaczęła mówić.

— Spotkałam tego mężczyznę, to był Rumun, a ja czułam się taka samotna. Był dla mnie bardzo miły i... i zaczęliśmy się kochać. Koleżanka dała mi parę skrętów z marihuaną i wypaliliśmy jednego razem z tym Rumunem. Znowu kochaliśmy się, a potem zasnęłam. Kiedy obudziłam się rano, jego już nie było, ale była za to policja. Byłam naga, a oni... oni stali wokół mnie i patrzyli, jak się ubieram, i przywieźli mnie do tego piekła. — Popatrzyła na Mary bezradnie. — Powiedzieli mi, że dostanę pięć lat.

— Nie dostaniesz, jeśli tylko będę mogła temu zapobiec.

Mary przypomniała sobie, co powiedział jej Lucas Jank-low, kiedy wychodziła z ambasady, aby udać się do więzienia: „Nic nie może pani dla niej zrobić, pani ambasador. Już

próbowaliśmy. Obcokrajowców skazuje się tutaj na pięć lat. Gdyby była Rumunką, prawdopodobnie przypłaciłaby to życiem".

Teraz Mary spojrzała na dziewczynę i powiedziała:

— Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby ci pomóc.

Przeczytała dokładnie oficjalny raport policyjny ze sprawy Hannah Murphy, podpisany przez kapitana Aurela Istrase, szefa policji. Raport był krótki i niczego nie wyjaśniał, ale nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna była winna. Muszę znaleźć jakiś inny sposób, pomyślała Mary. Aurel Istrase. To nazwisko nie było jej obce. Wróciła myślami do poufnych informacji, które pokazał jej w Waszyngtonie James Stickley. Było tam coś i o kapitanie Istrase. Coś na temat... Przypomniała sobie. Następnego ranka Mary umówiła się na spotkanie z kapitanem.

— Traci pani czas — powiedział jej bez ogródek Mikę Slade. — Istrase to skała, nic nie jest w stanie go ruszyć.

Aurel Istrase był niski, śniady, z twarzą pokrytą bliznami, lśniącą łysiną, poczeriałymi zębami i krzywym nosem. Kapitan przyszedł na spotkanie do ambasady. Bardzo był ciekaw nowej ambasador.

— Chciała się pani ze mną widzieć, pani ambasador?

— Tak, dziękuję, że zechciał pan przyjść. Pragnę pomóc z panem o sprawie Hannah Murphy.

— Ach, tak. Handel narkotykami. W Rumunii prawo jest surowe dla ludzi, którzy handlują narkotykami. Idą do więzienia.

— Znakomicie — odparła Mary. — Bardzo miło mi to słyszeć. Chciałabym, żebyśmy w sprawach dotyczących narkotyków mieli równie surowe prawo w Stanach Zjednoczonych.

Istrase patrzył na nią zdumiony.

— A więc pani zgadza się ze mną?

— Oczywiście. Każdy, kto handluje narkotykami, zasługuje na więzienie. Jednakże Hannah Murphy nie sprzedawała narkotyków. Ona po prostu dała trochę swojemu kochankowi.

— To jest to samo. Jeśli...

— Niezupelnie, panie kapitanie. Jej kochankiem był

sierżant służący w pańskiej policji. On również palił marihuanę. Czy został za to ukarany ?

— Dlaczego miałby być ukarany? Przecież on tylko zbierał materiał dowodowy przestępstwa.

— Pański sierżant ma żonę i troje dzieci ?

Kapitan Istrase zmarszczył brwi.

— Tak, owszem. Ta mała Amerykanka podstępem zaciągnęła go do łóżka.

— Panie kapitanie, Hannah Murphy jest dziewiętnastoletnią studentką. Pański sierżant ma czterdzieści pięć lat. I kto tu kogo zaciągnął do łóżka?

— Wiek nie ma tu nic do rzeczy — odparł z uporem kapitan.

— Czy żona tego sierżanta wie o jego przelotnym romansie?

Istrase wytrzeszczył na nią oczy.

— A po co miałyby wiedzieć?

— Bo wygląda mi na to, że Hannah została najzwyczajniej w świecie wciągnięta w pułapkę. Myślę, że powinniśmy podać tę sprawę do publicznej wiadomości. Z pewnością bardzo zainteresuje prasę na całym świecie.

— Nie widzę powodu, aby to robić — odpowiedział Istrase.

Mary postanowiła zadać ostateczny cios.

— Bo tak się złożyło, że ten sierżant jest pańskim zięciem?

— Z całą pewnością nie — odparł ze złością kapitan.

— Chcę tylko, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

— Ja również — zapewniła go Mary.

Z akt, które dostała do przeczytania, dowiedziała się, że zięć kapitana specjalizuje się w nawiązywaniu znajomości z młodymi turystami, zarówno płci żeńskiej, jak i męskiej. Sypia z nimi, wskazuje miejsca, w których mogą wymieniać pieniądze po czarnorynkowym kursie albo kupić narkotyki, a następnie wydaje ich w ręce policji.

— Nie widzę potrzeby, aby pańska córka dowiedziała się o złym prowadzeniu się jej męża — powiedziała Mary pojednawczym tonem. — Myślę, że będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli bez zbędnego rozgłosu uwolni



pan Hannah Murphy z więzienia, a ja odeślę ją do Stanów Zjednoczonych. Co pan na to, kapitanie?

Istrase siedział wściekły, rozważając propozycję.

— Jest pani bardzo interesującą kobietą — powiedział w końcu.

— Dziękuję. Pan również jest bardzo interesującym człowiekiem. Oczekuję, że panna Murphy zjawi się w moim biurze dziś po południu. Dopilnuję, żeby znalazła się w pierwszym samolocie odlatującym z Bukaresztu.

Wzruszył ramionami.

— Użyję swoich niewielkich wpływów.

— Jestem tego pewna, kapitanie Istrase. Dziękuję panu.

Następnego ranka wdzięczna Hannah Murphy była w drodze do domu.

— Jak pani to zrobiła? — spytał z niedowierzaniem Mike Slade.

— Posłuchałam pańskiej rady: oczarowałam go.

## 20 \_\_\_\_\_

W dniu, w którym dzieci miały zacząć szkołę, Mary otrzymała o piątej rano telefon, wzywający ją do ambasady, gdyż w nocy przyszedł szyfrogram, wymagający natychmiastowej odpowiedzi. Był to początek długiego, męczącego dnia i kiedy Mary wróciła do rezydencji, było już po siódmej wieczór. Dzieci czekały na nią z niecierpliwością.

— I co? — spytała Mary. — Jak tam szkoła?

— Bardzo mi się podoba — odpowiedziała Beth. — Czy wiesz, że chodzą do niej dzieciaki z dwudziestu dwóch różnych krajów? A jeden wystrzałowy Włoch gapił się na mnie przez wszystkie lekcje. To świetna szkoła.

— Mają niesamowite laboratorium doświadczalne — dodał Tim. — Jutro będziemy kroić rumuńskie żaby.

— To takie dziwne — stwierdziła Beth. — Oni wszyscy mówią po angielsku ze śmiesznym akcentem.

— Pamiętajcie — rzekła do nich Mary — że jeśli ktoś mówi z obcym akcentem, to znaczy, że zna o jeden język więcej niż wy. No, w każdym razie cieszę się, że nie mieliście żadnych problemów.

— Nie, Mikę się nami zaopiekował — odparła Beth.

— Kto?

— Pan Slade. Powiedział, żebyśmy mówili do niego Mikę.

— Co Mikę Slade ma wspólnego z waszym pójściem do szkoły ?

— Nic ci nie mówił? Zawiózł mnie i Tima do szkoły i przedstawił nas nauczycielom. On tam wszystkich zna.

— Zna też dużo dzieci ze szkoły — powiedział Tim. — I zapoznał nas z nimi. Wszyscy go bardzo lubią. To morowy facet.

Trochę zbyt morowy, pomyślała Mary.

Następnego dnia rano, kiedy Mikę wszedł do biura, Mary powiedziała do niego:

— Słyszałam, że zabrał pan Beth i Tima do szkoły.

Kiwnął głową.

— Trudno jest dzieciom poradzić sobie w obcym kraju. To bardzo sympatyczne dzieciaki.

Czy on ma dzieci? Mary nagle zdała sobie sprawę, jak niewiele wie o życiu prywatnym Mike'a Slade'a. Tak jest chyba lepiej, zdecydowała. On chce zobaczyć, jak przegrywam. Mary zaś zamierzała wygrać.

W sobotnie popołudnie Mary zabrała dzieci do prywatnego Klubu Dyplomatycznego, gdzie członkowie dyplomatycznej społeczności gromadzili się, aby wymieniać nowiny i plotki.

Kiedy weszli, Mary rozejrzała się i po drugiej stronie patio ujrzała Mike'a Slade'a, siedzącego w towarzystwie kobiety. Mary doznała chwilowego szoku, kiedy rozpoznała w niej Dorothy Stone. To było tak, jakby jej sekretarka współpracowała z wrogiem. Ciekawe, jak bliskie stosunki łączą tych

dwoje. Muszę być ostrożniejsza i nie ufać ani jej, ani nikomu, pomyślała.

Przy jednym ze stolików siedziała samotnie Harriet Kruger. Mary do niej podeszła.

— Czy mogę przysiąc się do pani ?

— Będę zachwycona. — Harriet wyjęła paczkę amerykańskich papierosów. — Papierosa?

— Dziękuję, nie palę.

— W tym kraju nie da się żyć bez papierosa — powiedziała Harriet.

— Nie rozumiem.

— Papierosy wprawiają w ruch całą tutejszą gospodarkę. I to dosłownie. Jeśli chce pani zobaczyć się z lekarzem, musi pani dać papierosy pielęgniarce. Jeśli chce pani dostać mięso od rzeźnika albo żeby mechanik naprawił samochód, a elektryk lampę, musi im pani dać łapówkę w postaci papierosów. Znałam dość dobrze pewną Włoszkę, która zmuszona była poddać się małej operacji. Musiała przekupić przygotowującą ją pielęgniarkę, aby do operacji użyto nowego skalpela, a potem również inne pielęgniarki, żeby po oczyszczeniu ran zakładały jej nowe bandaże, zamiast już użytych.

— Ale dlaczego...?

— W tym kraju — powiedziała Harriet — brakuje nie tylko bandaży, ale w ogóle wszystkich środków medycznych. Tak samo jest w innych krajach bloku wschodniego. W zeszłym miesiącu w Niemczech Wschodnich panowała epidemia choroby kielbasianej. Całą surowicę przeciwbotulinową musieli sprowadzić z Zachodu.

— I nie ma żadnego sposobu, żeby ludzie mogli się skarżyć — zauważyła Mary.

— Och, oni mają swoje sposoby. Czyżby nie słyszała pani o Buli?

— Nie.

— To taka fikcyjna postać, poprzez którą Rumuni dają upust swoim żalom. Opowiada się na przykład historię o tym, jak pewnego dnia ludzie stali po mięso w kolejce, która prawie się nie posuwała. Po pięciu godzinach Bula wściekł się i mówi: „Idę do pałacu zabić Ionescu!” Po dwóch godzinach wraca

do kolejki i znajomy go pyta: „No i co, zabiłeś go?” A Bula odpowiada: „Nie, tam też była długa kolejka”.

Mary roześmiała się.

— Czy wie pani, co jest najbardziej popularne na czarnym rynku? Kasety video z naszymi programami telewizyjnymi.

— Lubią oglądać nasze filmy?

— Nie, bardziej interesują ich reklamy. Wszystko to, co dla nas jest jak najbardziej oczywiste — pralki, odkurzacze, samochody — dla nich jest nie do zdobycia. Więc przynajmniej chcą popatrzeć. Kiedy zaczyna się film, idą na siusiu.

Mary uniosła wzrok akurat w momencie, kiedy Mikę Slade i Dorothy Stone wychodzili z klubu. Ciekawa była, dokąd mogli razem iść.

Kiedy późnym wieczorem, po długim i męczącym dniu pracy wróciła do domu, marzyła już tylko o kąpieli, przebraniu się i odpoczynku. W ambasadzie każda minuta była przepelniona pracą i Mary nie miała nawet jednej wolnej chwili dla siebie. Ale wkrótce przekonała się, że w rezydencji wcale nie było lepiej. Gdziekolwiek się ruszyła, wszędzie natykała się na służących i miała nieprzyjemne uczucie, że jest nieustannie śledzona.

Którejś nocy, około godziny drugiej, zeszła na dół do kuchni. Ledwie otworzyła lodówkę, kiedy usłyszała jakiś hałas. Odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach stoi Mihai w szlafroku, Rosica, Delia i Carmen.

— Co mogę pani podać? — spytał Mihai.

— Nic — odrzekła Mary. — Chciałam tylko coś przegryźć.

Wszedł kucharz Cosma i rzekł obrażonym tonem:

— Wystarczyłoby, aby pani tylko powiedziała, że jest głodna, a natychmiast przygotowałbym coś do jedzenia.

Patrzyli na nią z wyrzutem.

— Chyba jednak nie jestem głodna. Dziękuję wam — powiedziała i uciekła do swojego pokoju.

Następnego dnia opowiedziała o tym zdarzeniu dzieciom.

- Wiecie, czułam się jak druga żona z „Rebeki”.
- Co to jest „Rebeka”? — spytała Beth.
- To piękna książka, którą przeczytasz pewnego dnia.

Kiedy Mary weszła do biura, ujrzała czekającego na nią Mike'a Slade'a.

— Mamy tu chorego dzieciaka, na którego powinna pani rzucić okiem — powiedział.

Zaprowadził ją do małego pokoju w końcu korytarza, gdzie na kanapie, jęcząc z bólu, leżał młody, blady jak ściana żołnierz.

— Co mu się stało? — spytała Mary.

— Moim zdaniem to wyrostek.

— W takim razie lepiej natychmiast zawieźmy go do szpitala.

Mikę odwrócił się i spojrzał na nią.

— Nie tutaj.

— Co pan przez to rozumie?

— Musimy przewieźć go samolotem albo do Rzymu, albo do Zurychu.

— To śmieszne — rzuciła ostro Mary. Zniżyła głos, żeby chłopak nie mógł jej słyszeć. — Czy pan nie widzi, jak on cierpi?

— Śmieszne czy nie, nikt z amerykańskiej ambasady nigdy nie idzie do szpitala w kraju zza żelaznej kurtyny.

— Ale dlaczego?

— Bo wtedy nie możemy się bronić i jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę rumuńskiego rządu i policji. Mogą nas uśpić albo podać skopolaminę i wycisnąć każdą informację. To jest zasada ustalona przez Departament Stanu. Musimy go przewieźć.

— Dlaczego ambasada nie ma własnego lekarza?

— Bo jesteśmy ambasadą kategorii C i nie mamy pieniędzy na własnego lekarza. Amerykański lekarz odwiedza nas raz na trzy miesiące, a zazwyczaj na małe dolegliwości lekarstw dostarcza nam farmaceuta. — Mikę podszedł do biurka i wziął do ręki jakiś papier. — Proszę to tylko podpisać i chłopak już jest w drodze. Załatwię dla niego specjalny samolot.

— Dobrze. — Mary podpisała pismo, podeszła do

żołnierza i wzięła jego dłoń w swoje ręce. — Wszystko będzie dobrze — powiedziała miękko. — Zobaczysz.

W dwie godziny później chory żołnierz był już w samolocie lecącym do Zurychu.

Następnego ranka, kiedy Mary spytała o niego Slade'a, ten wzruszył ramionami.

— Zoperowali go — powiedział obojętnie. — Będzie zdrowy.

Co za zimny typ, pomyślała Mary. Ciekawe, czy cokolwiek jest w stanie go wzruszyć.

Bez względu na to, jak wcześnie Mary zjawiała się w ambasadzie, Mikę Slade zawsze był już przed nią. Na przyjęciach wydawanych przez ambasady widziała go tylko parę razy i miała wrażenie, że sam organizuje sobie co noc własne przyjęcia.

Stale ją czymś zaskakiwał. Pewnego popołudnia zgodziła się, żeby Florianabrał Beth i Tima na lodowisko do Floreasca Park. Wyszła z ambasady nieco wcześniej, żeby do nich dołączyć, i kiedy przybyła na miejsce, ujrzała z nimi Slade'a. Wszyscy troje jeździli razem, świetnie się bawiąc. Mikę cierpliwie uczył ich ósemek. Muszę przestrzec dzieci przed nim, pomyślała Mary. Tylko nie bardzo wiedziała, przed czym właściwie chciała je przestrzec.

Następnego dnia rano, ledwie Mary zdążyła wejść do biura, natychmiast zjawił się u niej Miko Slade.

— Za dwie godziny będzie tu deleton. Pomyślałem...

— Deleton?

— To skrót, który w żargonie dyplomatycznym oznacza delegację Kongresu. Przyjeżdża czterech senatorów z żonami i całą switą. Będą chcieli spotkać się z panią. Zorganizuję dla

nich spotkanie z Ionescu, a Harriet dopilnuje, żeby ktoś zajął się nimi podczas zwiedzania i zakupów.

— Dziękuję panu.

— Napije się pani kawy parzonej moim domowym sposobem ?

— Owszem.

Patrzyła, jak Mikę wychodzi przez drzwi, łączące ich biura. Dziwny człowiek, nieokrzesany i niegrzeczny, a jednocześnie taki dobry dla Beth i Tima.

Kiedy Slade wrócił z dwoma kubkami kawy, Mary spytała:

— Czy ma pan dzieci ?

To pytanie wyraźnie go zaskoczyło.

— Mam dwóch chłopców.

— Gdzie...?

— Są pod opieką mojej byłej żony. — Nagle zmienił temat. — Pójdę zająć się organizowaniem spotkania z Ionescu.

Kawa była doskonała. Jakiś czas później Mary miała sobie przypomnieć, że właśnie od tego dnia poranne picie kawy z Mike'em Slade'em stało się codziennym rytuałem.

Angel zabrał ją wieczorem z La Boca, niedaleko wybrzeża, gdzie stała w towarzystwie innych *putas*. Ubrana była w obcisłą bluzkę i dżinsy rozcięte na udach, tak iż można było dojrzeć wdzięki dziewczyny. Nie wyglądała na więcej niż piętnaście lat. Nie była ładna, ale nie obchodziło to Angela.

— *Vamos, queñda*. Zabawimy się razem.

Dziewczyna mieszkała niedaleko, w tanim mieszkaniu na piętrze. Był to mały, obskurny pokój, w którym znajdowało się łóżko, dwa krzesła, lampa i umywalka.

— Rozbierz się, *estrellita*. Chcę zobaczyć cię naga.

Dziewczyna zawahała się. Było w Angelu coś, co ją niepokoiło. Ale miała bardzo kiepski dzień, a musiała przecież zapłacić Pepe codzienny haracz, w przeciwnym razie by ją pobił. Powoli zaczęła się rozbierać.

Angel stał, przyglądając się jej. Najpierw zdjęła bluzkę, a następnie spodnie. Nie miała nic pod spodem. Jej ciało było chude i blade.

— Nie zdejmuj butów. Podejdz tutaj i uklęknij.

Dziewczyna wykonała polecenie.

Kiedy Angel zaczął mówić, słuchała, po czym spojrzała w górę z przerażeniem.

— Nigdy nie robiłam...

Angel kopnął ją w głowę. Upadła na podłogę jęcząc. Złapał ją za włosy i rzucił na łóżko. Kiedy dziewczyna zaczęła krzyczeć, uderzył ją mocno w twarz. Jęknęła głośno.

— Dobrze — powiedział. — Chcę słyszeć, jak jęczysz.

Wielka pięść trzasnęła ją w nos, łamiąc go. Pół godziny później, kiedy Angel skończył, dziewczyna leżała na łóżku, nieprzytomna.

Angel uśmiechnął się do zmaltretowanej postaci i rzucił jej kilka pesos.

— *Gracias* — powiedział z uśmiechem.

Każdą wolną chwilę Mary spędzała z Beth i Timem. Dużo razem zwiedzali. W Bukareszcie było mnóstwo muzeów i starych kościołów, ale największą atrakcją dla dzieci była wyprawa do zamku Drakuli w Brasov, położonym w samym środku Siedmiogrodu, sto sześćdziesiąt kilometrów od Bukaresztu.

— Właścicielem zamku był prawdziwy książę — opowiadał im po drodze Florian. — Książę Vlad Tepes. Był wielkim bohaterem, który zatrzymał najazd Turków.

— A ja myślałem, że on tylko lubił zabijać ludzi i wysysać z nich krew — powiedział Tim.

Florian pokiwał głową.

— Tak. Niestety po wojnie władza uderzyła mu do głowy. Stał się straszliwym tyranem i swoich wrogów kazał nabijać na pale. Z czasem powstała legenda, że był wampirem. Pewien Irlandczyk o nazwisku Bram Stoker na podstawie tej legendy napisał książkę. Nie jest zbyt mądra, ale zdziałała cuda, jeśli chodzi o turystykę.

Ogromny, zbudowany z kamienia zamek Drakuli znajdował się wysoko w górach. Kiedy pokonali strome kamienne schody, prowadzące do niego, byli kompletnie wyczerpani. Weszli do sali o niskim stropie, w której znajdowała się broń i starodawne wyroby rzemieślnicze.



— To właśnie tutaj hrabia Drakula mordował swoje ofiary i wypijał ich krew — powiedział przewodnik grobowym głosem.

Sala była wilgotna i budziła grozę. Twarz Tima musnęła pajęczyna.

— Wcale się nie boję — powiedział do matki — ale czy możemy stąd już wyjść?

Co sześć tygodni na małym lotnisku na peryferiach Bukaresztu lądował samolot amerykańskich sił powietrznych. Na jego pokładzie znajdowała się żywność i różne przedmioty codziennego użytku, których nie można było dostać w Bukareszcie. Pracownicy ambasady amerykańskiej musieli je zamawiać przez bazę wojskową we Frankfurcie.

Pewnego ranka, pijąc jak zwykle kawę z Mary, Mikę powiedział:

— Dzisiaj przylatuje nasz samolot z zaopatrzeniem. Może pojechałaby pani ze mną na lotnisko?

W pierwszej chwili Mary chciała mu odmówić. Czekają ją mnóstwo pracy i nie miała ochoty tracić czasu na przejażdżki. Ale z drugiej strony Mikę nie należało do ludzi lubiących marnować czas. W końcu zwyciężyła w niej ciekawość.

— Dobrze, pojedę.

W drodze na lotnisko omawiali różne sprawy dotyczące pracy, które wymagały szybkiego załatwienia. Rozmowa była dość chłodna, utrzymana w oficjalnym tonie.

Kiedy przyjechali na lotnisko, uzbrojony żołnierz otworzył bramę, aby przepuścić limuzynę. Dziesięć minut później wylądował samolot C-130.

Tuż za ogrodzeniem lotniska zgromadziły się setki Rumunów. Przyglądali się pożądlivym wzrokiem, jak załoga wyladowuje towary z samolotu.

— Co ten tłum tutaj robi?

— Marzy. Patrzą na niektóre rzeczy, których sami nigdy nie będą mogli mieć. Wiedzą, że dostajemy steki i mydło, i perfumy. Są tu zawsze, kiedy ląduje nasz samolot. Mają chyba jakiś podziemny telegraf.

Mary spojrzała uważnie na chciwe twarze za ogrodzeniem.

— To niewiarygodne.

— Ten samolot to dla nich symbol. Jest nie tylko środkiem komunikacji, ale reprezentuje także wolny kraj, który dba o swoich obywateli.

Mary odwróciła się do niego.

— Dlaczego pan mnie tu przywiózł?

— Bo nie chcę, żeby dała się pani zwieść pięknym słówkom Ionescu. To jest prawdziwa Rumunia.

Każdego ranka, kiedy Mary przyjeżdżała do pracy, przed wejściem stała długa kolejka ludzi, czekających, aby dostać się do sekcji konsularnej ambasady. Mary była pewna, że są to ludzie z niewielkimi problemami, którzy mają nadzieję, iż konsul pomoże w ich rozwiązaniu. Aż pewnego dnia podeszła do okna, aby przyrzeć się im dokładniej, i spostrzegła w ich twarzach coś, co zmusiło ją do natychmiastowej rozmowy ze Slade'em.

— Kim są ci ludzie, czekający w kolejce na zewnątrz?

Mikę podszedł z nią do okna.

— To głównie rumuńscy Żydzi. Czekają, żeby wypełnić podania o wizę.

— Ale przecież w Bukareszcie jest ambasada izraelska. Dlaczego tam nie pójda?

— Z dwóch powodów — wyjaśnił Mikę. — Po pierwsze, sądzą, że rząd Stanów Zjednoczonych ma większe szanse pomóc im w wyjeździe do Izraela niż rząd izraelski. A po drugie, myślą, że istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że o ich zamiarach dowiedzą się ludzie ze służb bezpieczeństwa, jeśli przyjdą do nas. Oczywiście są w błędzie. — Wskazał za okno. — Dokładnie naprzeciwko ambasady znajduje się dom, gdzie kilka mieszkań jest zajętych przez agentów, którzy za pomocą obiektywów teleskopowych fotografują każdego, kto wchodzi i wychodzi z ambasady.

— To okropne!

— Takie są właśnie ich reguły gry. Jeśli członkowie rodziny żydowskiej zaczynają starać się o wizy emigracyjne, wówczas tracą zielone karty pracy i są wyrzucani z mieszkania. Sąsiedzi mają nakaz nieudzielania im żadnej pomocy. Potem

czekają trzy lub cztery lata, zanim rząd da im odpowiedź, czy w ogóle dostaną papiery wyjazdowe, i przeważnie ta odpowiedź brzmi: nie.

— Czy nie możemy zrobić czegoś w tej sprawie?

— Cały czas próbujemy. Ale Ionescu lubi bawić się z Żydami w kotka i myszkę. Bardzo niewielu z nich ma szansę opuszczenia tego kraju kiedykolwiek.

Mary spojrzała na twarze, na których malowała się beznaziejna rozpacz.

— Musi być jakiś sposób, żeby im pomóc — powiedziała.

— Tylko niech pani serce nie pęknie z żalu — odrzekł Slade.

Sprawa różnicy czasu była bardzo męcząca. Kiedy w Waszyngtonie panował dzień, w Bukareszcie był środek nocy i Mary bezustannie budzono o trzeciej lub czwartej rano, aby odpowiedziała na telefon albo telegram, który właśnie nadszedł. Zawsze kiedy przychodziła jakaś depesza, żołnierz pełniący nocną służbę w ambasadzie zawiadamiał oficera dziennego, a ten wysyłał asystenta do rezydencji, aby obudził Mary. Po każdym takim zdarzeniu była zbyt rozbudzona, żeby znów zasnąć.

Każdej nocy rozmawiała z Edwardem. To takie niezwykle, kochany, mówiła do niego. Myślę, że naprawdę uda mi się wiele tutaj zmienić. W każdym razie, będę próbować. Nie zniósłabym porażki — wszyscy przecież na mnie liczą. Chciałabym, abyś był tu ze mną, żeby mi powiedzieć: „Na pewno uda ci się, staruszek”. Tak bardzo mi ciebie brak. Czy ty mnie słyszysz, Edwardzie? Czy jesteś gdzieś tutaj, a ja nie mogę cię zobaczyć? Czasami myśl o tym doprowadza mnie do szaleństwa...

Pili razem poranną kawę.

— Mamy pewien problem — zaczął Mikę Slade.

— O co chodzi?

— Delegacja przedstawicieli kościoła rumuńskiego chce spotkać się z panią. Kościół w Utah zaprosił ich, aby przybyli

z wizytą, ale rząd rumuński nie chce im wydać wiz wyjazdowych.

— Dlaczego?

— Bardzo niewielu Rumunom pozwala się na wyjazd z kraju. Jest taki kawał o dniu, w którym Ionescu objął władzę. Poszedł do wschodniego skrzydła pałacu i zobaczył wschodzące słońce. „Dzień dobry, towarzyszu słońce” — powiedział Ionescu. „Dzień dobry” — odrzekło słońce. — „Wszyscy są tacy szczęśliwi, że to właśnie pan jest nowym prezydentem Rumunii”. Tego samego dnia wieczorem Ionescu poszedł do zachodniego skrzydła pałacu, żeby obejrzeć zachód słońca. „Dobry wieczór, towarzyszu słońce” — powiedział. Słońce mu nie odpowiedziało. „Jak to się stało, że rano byłeś dla mnie taki miły, a teraz nie chcesz ze mną w ogóle rozmawiać?” — spytał Ionescu. „Bo teraz jestem na zachodzie — odparło słońce. — Możesz iść do diabła”, Ionescu obawia się, że kiedy tylko oficjalowie znajdą się poza granicami kraju, to powiedzą całemu rządowi, żeby poszedł do diabła.

— Porozmawiam z ministrem spraw zagranicznych i zobaczę, co się da zrobić.

Mike wstał.

— Czy lubi pani taniec ludowy? — spytał.

— A dlaczego?

— Dziś wieczorem odbędzie się inauguracyjny występ rumuńskiego zespołu tanecznego. Podobno są całkiem niezli. Czy miałaby pani ochotę pójść?

Mary była zaskoczona. Zaproszenie przez Mike'a było ostatnią rzeczą, której mogłaby się spodziewać.

I ku swemu zdumieniu Mary się zgodziła.

— Dobrze. — Mike wręczył jej małą kopertę. — Tu są trzy bilety. Może pani zabrać ze sobą Beth i Tima. Dzięki uprzejmości rządu rumuńskiego dostajemy bilety na każde prawie wydarzenie tego rodzaju.

Mary siedziała zaczerwieniona, czując się jak ostatnia idiotka.

— Dziękuję — odrzekła sztywno.

— Dopilnuję, żeby Florian przyjechał po panią o ósmej.

Beth i Tim nie mieli ochoty iść do teatru. Beth czekała na kolegę z klasy, którego zaprosiła na obiad.

— To ten Włoch, o którym ci mówiłam — powiedziała.  
— Nie masz nic przeciwko temu?

— Prawdę mówiąc, nigdy nie szalałem za tańcem ludowym — dodał Tim.

Mary się roześmiała.

— No dobrze. Tym razem was zwalniam.

Ciekawa była, czy dzieci czuły się tutaj równie samotnie jak ona. Zastanowiła się, kogo mogłaby zaprosić, aby poszedł z nią do teatru. Przebiegła w myśli kilka nazwisk: pułkownik McKinney, Jerry Davis, Harriet Kruger? Nie było nikogo, na czyje towarzystwo miałyby ochotę. Pójdę sama, zdecydowała.

Florian czekał już na nią na zewnątrz.

— Dobry wieczór, pani ambasador. — Ukłonił się i otworzył drzwiczki samochodu.

— Widzę, że jesteś dzisiaj w bardzo dobrym humorze, Florianie.

Uśmiechnął się szeroko.

— Ja zawsze jestem w bardzo dobrym humorze, proszę pani. — Zamknął drzwiczki i siadł za kierownicą. — My, Rumuni, mamy takie powiedzenie: „Całuj rękę, której nie możesz ugryźć”.

Mary postanowiła zaryzykować pytanie.

— Czy jesteś szczęśliwy, żyjąc tutaj, Florianie?

Przez chwilę przyglądał się jej w lusterku.

— Czy mam pani podać oficjalną odpowiedź, zgodną z tym, co mówi rząd, pani ambasador, czy wolałaby pani prawdę?

— Wolałabym prawdę.

— Mógłbym zostać rozstrzelany za to, co powiem, ale nikt nie jest tutaj szczęśliwy, prócz cudzoziemców. Możecie przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy tylko chcecie. My jesteśmy więźniami. Tutaj wszystkiego brakuje. — Przejeżdżali właśnie obok długiej kolejki przed sklepem mięsnym. — Widzi pani tych ludzi? Będą czekać w kolejce przez trzy lub cztery godziny, żeby dostać kawałek baraniny, a i tak połowa z nich odejdzie

z niczym. Tak samo jest ze wszystkim. A czy wie pani, ile domów ma naprawdę Ionescu? Dwanaście! Często woziłem do nich rumuńskich urzędników państwowych. Każdy z tych domów to istny pałac. A tymczasem trzy lub cztery rodziny są zmuszone mieszkać razem w małym mieszkaniu bez ogrzewania. — Przerwał nagle, jakby obawiał się, że za dużo powiedział. — Mam nadzieję, że nikomu pani nie wspomni o tej rozmowie.

— Oczywiście, że nie.

— Dziękuję pani. Nie chciałbym, żeby moja żona została wdową. Jest jeszcze młoda. I jest Żydówką. W tym kraju panuje antysemityzm.

O tym Mary zdążyła się już dowiedzieć.

— Jest taki kawał o tym, jak do jednego sklepu mieli przywieźć świeże jajka. O piątej rano ustawiła się długa kolejka, a było bardzo zimno. O ósmej jajek jeszcze nie było, za to kolejka się wydłużyła. Kierownik sklepu powiedział: „Nie wystarczy dla wszystkich. Żydzi mogą sobie pójść”. O drugiej po południu jajek wciąż nie było. Kierownik znowu wyszedł i powiedział: „Niech bezpartyjni odejdą”. Nadeszła północ, a kolejka dalej czekała na zimnie. Kierownik zamknął sklep i powiedział: „Nic się nie zmieniło. Żydom zawsze trafia się to, co najlepsze”.

Mary nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. „Postaram się zrobić coś w tej sprawie”, przyrzekła sobie.

Teatr ludowy znajdował się na Rasodia Romana, ruchliwej ulicy, wzdłuż której, po obu stronach, ciągnął się długi rząd budek i straganów z kwiatami, kapciami ze sztucznego tworzywa, bluzkami i długopisami. Teatr był nieduży, bogato ozdobiony — pozostałość lepszych czasów. Przedstawienie było nudne, kostiumy nieładne, a tancerze niezdarni. Występ ciągnął się bez końca i kiedy wreszcie opadła kurtyna, Mary z ulgą wyszła na świeże, nocne powietrze. Florian stał przy limuzynie przed teatrem.

— Obawiam się, że będziemy musieli poczekać, pani ambasador. Złapałem gumę, a złodziej ukradł koło zapasowe. Posłałem już po nowe. Powinni dostarczyć je tutaj w ciągu godziny. Czy zechce pani zaczekać w samochodzie?

Mary spojrzała w górę na księżyc w pełni. Wieczór był rześki i pogodny. Mary uprzytomniła sobie, że odkąd przyjechała do Bukaresztu, nie była w ogóle na spacerze. Szybko podjęła decyzję.

— Myślę, że wrócę do rezydencji piechotą.

Florian pokiwał głową.

— Wieczór jest taki piękny, że warto się przespacerować.

Mary odwróciła się i poszła ulicą w stronę głównego placu. Bukareszt był fascynującym, egzotycznym miastem. Na rogach ulic umieszczone były tajemnicze napisy: TUTUN... PIINE... CHIMIST...

Przeszła się Calea Mosilor i skręciła w Strada Maria Rosetti, po której jeździły czerwone i brązowe trolejbusy, przepelnione ludźmi. Mimo późnej godziny większość sklepów była otwarta i w każdym z nich stały kolejki. Cukierenki sprzedawały *gogoa*, przepyszne rumuńskie pączki. Chodniki zatłoczone były robiącymi późne zakupy ludźmi, niosącymi *pungi*, sznurkowe siatki. Mary wydawało się, że mimo tłoku panuje dziwna, złowroga cisza. Miała wrażenie, że ludzie jej się przyglądają, a kobiety wręcz pożerają wzrokiem ubranie, które miała na sobie. Przyspieszyła kroku.

Kiedy doszła do rogu Calea Victoriei, przystanęła, niepewna, w którym kierunku powinna pójść. Spytała przechodnia.

— Przepraszam... czy mógłby mi pan powiedzieć, jak dostać się...?

Rzucił jej szybkie, przerażone spojrzenie i pospiesznie odszedł.

Oni nie mogą rozmawiać z obcokrajowcami, przypomniała sobie Mary.

Jakże miała dostać się do domu? Próbowała uzmysłwić sobie, którędy jechała z Florianem. Wydawało jej się, że rezydencja powinna być gdzieś na wschodzie. Zaczęła iść w tym kierunku. Wkrótce znalazła się na małej, bocznej uliczce, prawie zupełnie nie oświetlonej. W oddali widziała szeroką, dobrze oświetloną aleję. Na pewno złapię tam taksówkę, pomyślała z ulgą.

Usłyszała za sobą czyjeś ciężkie kroki i odruchowo się

odwróciła. Potężny mężczyzna w płaszczu zbliżał się do niej szybkim krokiem. Mary przyspieszyła kroku.

— Przepraszam — zawołał mężczyzna z ciężkim, rumuńskim akcentem. — Czy pani zablądziła?

Poczuła nagłą ulgę. Prawdopodobnie był to jakiś policjant, który szedł za nią, aby upewnić się, że jest bezpieczna.

— Tak — odparła z wdzięcznością. — Chcę wrócić do...

Nagle rozległ się za nimi warkot silnika samochodu, który dojechał do nich na pełnym gazie i zatrzymał się z piskiem hamulców. Przechodzień w płaszczu pochwycił Mary. Poczuła blisko jego gorący, cuchnący oddech i grube palce, miażdżące jej nadgarstek. Mężczyzna zaczął popychać ją w stronę otwartych drzwiczek samochodu. Mary walczyła, aby się uwolnić...

— Wsiadaj do samochodu — warknął.

— Nie! — krzyknęła. — Ratunku! Na pomoc!

Po drugiej stronie ulicy odezwał się czyjś donośny głos i jakaś postać zaczęła biec w ich kierunku. Porywacz zatrzymał się, zdezorientowany.

— Puść ją! — zawołał nieznajomy.

Złapał człowieka w płaszczu i odciągnął od Mary. Uwolniła się. Mężczyzna za kierownicą zaczął gramolić się z samochodu, żeby pomóc swemu kamratowi.

W oddali słychać było zbliżający się sygnał syreny policyjnej. Mężczyzna w płaszczu krzyknął coś do kierowcy i obaj wskoczyli do samochodu i szybko odjechali.

Niebiesko-biały samochód z napisem *Militia* z boku i błyskającym niebieskim światłem na dachu zatrzymał się przy Mary. Wskoczyło z niego dwóch ludzi w mundurach.

Jeden z nich zapytał po rumuńsku:

— Nic się pani nie stało? — A potem łamaną angielszczyzną dodał: — Co się stało?

Mary starała się zapanować nad sobą.

— Dwóch mężczyzn... pr... próbowało zmusić mnie, żebym wsiadła do ich samochodu. Gdyby... gdyby nie ten dżentelmen... — Odwróciła się.

Nieznajomy zniknął.



-----

Przez całą noc śniło jej się, że walczy z napastnikami, próbuje uciekać. Parę razy budziła się z przerażeniem, zasypiała i znowu się budziła. We śnie wciąż pojawiała się ta sama sytuacja: czyjeś kroki za jej plecami, zatrzymujący się samochód i człowiek próbujący wciągnąć ją do samochodu. Czy napastnicy wiedzieli, kim ona była? Czy też chcieli po prostu obrabować turystkę, wyglądającą na Amerykankę?

Kiedy zjawiała się w biurze, czekał na nią Mikę Slade. Przyniósł dwa kubki kawy i usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie biurka.

— Jak było w teatrze? — spytał.

— Bardzo przyjemnie. — Nie miała ochoty powiedzieć mu o tym, co przydarzyło się jej w drodze do domu.

— Czy nic się pani nie stało?

Spojrzała na niego, zaskoczona.

— Co takiego?

— Kiedy próbowano panią porwać — wyjaśnił cierpliwie. — Czy nie została pani ranna?

— Ja., jak się pan o tym dowiedział?

— Pani ambasador — odparł z ironią — Rumunia to jeden wielki sekret poliszynela. Nie można się nawet wykapać, żeby wszyscy od razu o tym nie wiedzieli. To nie było zbyt mądre z pani strony — iść samej na spacer.

— Teraz już o tym wiem — odrzekła zimno Mary. — To się więcej nie powtórzy.

— To dobrze — powiedział wesoło. — Czy ci ludzie coś pani zabrali?

— Nie

Zmarszczył brwi.

— Coś mi się tu nie podoba. Jeśli chcieli zabrać pani płaszcz lub torebkę, mogli zrobić to na ulicy. Ale jeśli usiłovali zmusić panią, żeby wsiadła do ich samochodu, wygląda to na próbę porwania.

— Kto mógłby chcieć mnie porwać?

— To na pewno nie byli ludzie Ionescu. On raczej

próbuję żyć z nami w zgodzie. Musiał to być jeden z odłamów ruchu oporu.

— Albo zwykli przestępcy, którzy chcieli porwać mnie dla okupu.

— W tym kraju nie zdarzają się porwania dla okupu. Gdyby kogoś na tym złapali, nie byłby nawet sądzony, tylko od razu postawiony przed plutonem egzekucyjnym. — Pociągnął łyk kawy. — Czy mogę dać pani dobrą radę ?

— Słucham.

— Niech pani wraca do domu.

— Co?

Mikę postawił kubek na stole.

— Musi pani tylko wysłać swoją rezygnację, spakować dzieciaki i może pani jechać do Kansas, gdzie wszyscy będziecie bezpieczni.

Mary poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

— Panie Slade, popełniłam błąd. Nie był to mój pierwszy błąd i prawdopodobnie nie ostatni. Ale zostałam wyznaczona na to stanowisko przez prezydenta Stanów Zjednoczonych i dopóki on mnie z niego nie zwolni, nie życzę sobie, żeby pan albo ktokolwiek inny mówił mi, że mam wracać do domu. Starала się zapanować nad swoim głosem. — Od wszystkich osób, zatrudnionych w tej ambasadzie, oczekuję działania ze mną, a nie przeciwko mnie. Jeśli to dla pana zbyt trudne, to dlaczego pan nie wróci do domu. — Cała trzęsła się z oburzenia.

Slade wstał.

— Dopilnuję, żeby wszystkie poranne raporty znalazły się na pani biurku, pani ambasador.

Przez całe przedpołudnie w ambasadzie nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o próbie porwania. Skąd wszyscy o tym wiedzą? zastanawiała się Mary. I jak dowiedział się o tym Mikę Slade? Żałowała, że nie wie, kim był jej wybawca. Chciała podziękować mu za ocalenie. Przez jedno krótkie mgnienie oka widziała jego twarz — twarz przystojnego mężczyzny około czterdziestki, z włosami przedwcześnie przyprószone siwizną. Miał obcy akcent, chyba francuski. Jeżeli był turystą, to do tej pory najprawdopodobniej opuścił już Rumunię.

Mary dręczyła pewna myśl, od której nie mogła się uwolnić. Jediną znaną jej osobą, która chciała się jej pozbyć, był Mikę Slade. A może to właśnie on upozorował ten napad, żeby przestraszyć ją i nakłonić do wyjazdu? Od niego dostała bilety do teatru. Dobrze wiedział, gdzie Mary będzie tego wieczoru. Wciąż nie dawało jej to spokoju.

Długo zastanawiała się, czy powiedzieć dzieciom o próbie porwania jej, ale w końcu zdecydowała, że nie. Nie chciała ich niepotrzebnie straszyć. Postanowiła za to, że postara się nigdy nie zostawiać ich samych.

Wieczorem w ambasadzie francuskiej miało odbyć się przyjęcie na cześć przybyłej do Rumunii sławnej francuskiej pianistki. Mary czuła się zmęczona i roztrzęsiona i dałaby wiele, żeby móc zostać w domu, ale wiedziała, że musi pójść, bo należy to do jej obowiązków.

Wykąpała się i wybrała odpowiednią na tę okazję suknię. Kiedy sięgnęła po pantofle, zauważyła, że jeden z nich ma złamany obcas. Wezwała Carmen.

— Tak, pani ambasador?

— Carmen, czy mogłabyś zanieść ten pantofel do szewca, żeby go zreperował?

— Oczywiście, proszę pani. Czy coś jeszcze?

— Nie, to wszystko. Dziękuję.

Kiedy Mary przyjechała do ambasady francuskiej, już się tam kłębił tłum gości. Przy wejściu przywitał ją osobisty sekretarz ambasadora Francji, którego Mary poznała podczas poprzedniej wizyty w ambasadzie. Ucałował jej dłoń.

— Dobry wieczór, pani ambasador. To bardzo uprzejmie z pani strony, że zechciała pani przyjść.

— To bardzo uprzejmie, że państwo mnie zaprosili — odpowiedziała.

Oboje uśmiechnęli się z tych pustych frazesów.

— Proszę pozwolić, że zaprowadzę panią do ambasadora.

Przeszli razem przez zatłoczoną salę balową. Mary zobaczyła wśród gości wiele znajomych twarzy, które widywała od tygodni na wszystkich przyjęciach. Przywitała się z ambasadorem francuskim, wymieniając przy tym zwykle uprzejmości.

— Jestem pewien, że będzie pani zachwycona koncertem pani Dauphin. To doskonała pianistka.

— Nie mogę się doczekać, żeby ją usłyszeć — skłamała Mary.

Przeszedł obok niej lokaj, niosący tacę z kieliszkami szampana. Do tej pory Mary zdążyła się przyzwyczaić do i sączenia alkoholu na przyjęciach w ambasadach. Kiedy odwróciła się, aby przywitać ambasadora Australii, spostrzegła nieznanego, który uratował ją z rąk porywaczy. Stał z boku i rozmawiał z ambasadorem Włoch i jego sekretarzem.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała i ruszyła w stronę Francuza.

— Oczywiście, że tęsknię za Paryżem — mówił właśnie — ale mam nadzieję, że w przyszłym roku... — Przerwał, widząc zbliżającą się Mary. — Och, dama w tarapatkach.

— Państwo się znają? — spytał włoski ambasador.

— Nie byliśmy sobie oficjalnie przedstawieni — odparła Mary.

— Pani ambasador, przedstawiam pani doktora Louisa Desforgesesa.

Wyraz twarzy Francuza nagle się zmienił.

— Pani a m b a s a d o r? Najmocniej przepraszam! Nie miałem najmniejszego pojęcia! — Jego głos wyrażał ogromne zakłopotanie. — Oczywiście, powinienem panią rozpoznać.

— Zrobił pan dużo więcej — uśmiechnęła się Mary.

— Uratował mnie pan.

Ambasador Włoch spojrział na doktora i powiedział:

— Ach, więc to była właśnie pani. — Zwrócił się do Mary. — Słyszałem o pani przykrym doświadczeniu.

— Na pewno byłoby przykre, gdyby nie zjawił się pan Desforges. Dziękuję panu.

Louis Desforges uśmiechnął się.

— Jestem szczęśliwy, że znalazłem się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze.

Ambasador Włoch i jego sekretarz zobaczyli wchodzącą właśnie grupę Brytyjczyków.

— Jeśli państwo wybaczą — powiedział ambasador — jest tu ktoś, z kim musimy się przywitać.

Obaj odeszli. Mary została sama z doktorem.

— Dlaczego pan odszedł, kiedy przyjechała policja?

Przyglądał się jej przez chwilę.

— Lepiej jest nie mieć nic do czynienia z rumuńską policją. Mają dziwny zwyczaj aresztowania świadków, a następnie wyciągania od nich informacji. Jestem lekarzem przydzielonym do pracy w ambasadzie francuskiej w tym kraju, ale nie obejmuje mnie immunitet dyplomatyczny. Sporo jednak wiem o tym, co dzieje się w naszej ambasadzie, a te informacje byłyby niezwykle cenne dla Rumunów. — Uśmiechnął się do niej. — Proszę mi więc wybaczyć, że zostawiłem panią samą na polu bitwy.

Była w nim niezwykle ujmująca prostota. W pewien nieokreślony sposób przypominał Edwarda. Może dlatego, że również był lekarzem. Ale nie, to było coś więcej. Miał w sobie tę samą szczerłość, co Edward, niemalże ten sam uśmiech.

— Jeśli pani wybaczy — powiedział Desforges — muszę odejść, żeby stać się zwierzęciem towarzyskim.

— Nie lubi pan przyjąć?

Skrzywił się.

— Niezbyt mnie interesują.

— Czy pańska żona je lubi?

Chciał coś powiedzieć, ale zawahał się.

— Tak... lubiła, nawet bardzo.

— Czy jest gdzieś tutaj?

— Moja żona i dwójka naszych dzieci nie żyją.

Mary pobałdała.

— Och, mój Boże. Tak mi przykro. Jak...?

Jego twarz stężała.

— Winię za to siebie. Mieszkaliśmy w Algierii. Pracowałem w podziemiu, walcząc z terrorystami — mówił coraz

wolniej, zacinając się. — Dowiedzieli się, kim jestem, i wysadzili w powietrze nasz dom. Byłem daleko, kiedy to się stało.

— Tak mi przykro — powiedziała znowu Mary. Beznadziejne, niepotrzebne słowa.

— Dziękuję. Mówi się, że czas leczy rany. Cóż, ja już w to nie wierzę. — Jego głos przepętniony był goryczą.

Mary pomyślała o Edwardzie i o tym, jak bardzo wciąż za nim tęskni. A ten człowiek cierpiał już od tylu lat.

Popatrzył na nią i powiedział:

— Zechce mi pani wybaczyć, pani ambasador. — Odwrócił się i odszedł przywitać grupę nowo przybyłych gości.

Przed zaśnięciem Mary rozmawiała w myśli z Edwardem. On trochę przypomina mi ciebie, Edwardzie, mówiła. Spodobałby ci się, jest bardzo odważny. Ogromnie cierpi i myślę, że to właśnie stwarza między nami pewną więź. Ja również cierpię, kochany. Chyba nigdy nie przestanę tęsknić za tobą. Czuję się tu taka samotna, nie ma nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Tak bardzo chciałabym odnieść sukces. Mikę Slade próbuje zmusić mnie do powrotu do domu, ale ja stąd nie wyjadę. Och, tak bardzo mi ciebie brakuje. Dobranoc, kochany.

Następnego ranka Mary zadzwoniła do Stanton Rogersa. Cudownie było znowu usłyszeć jego głos. To zupełnie tak, jakbym na chwilę znalazła się w domu, pomyślała.

— Dostaję na twój temat same pochwały — powiedział Stanton Rogers. — Bardzo dużo mówiło się tutaj o sprawie Hannah Murphy. To była dobra robota.

— Dziękuję, Stan.

— Mary, opowiedz mi o tej próbie porwania.

— Rozmawiałam już z premierem i szefem służb bezpieczeństwa, ale oni nie mają najmniejszego pojęcia, kto mógł to zrobić.

— Czy Mikę Slade nie ostrzegł cię, żebyś sama nigdzie nie wychodziła?

Mikę Slade.

— Owszem, Stan, mówił mi o tym.

Czy powinna mu powiedzieć, że Mikę Slade kazał jej wracać do domu? Nie, zdecydowała. Sama poradzę sobie z panem Slade'em.

— Pamiętaj, że zawsze jestem tutaj, żeby ci pomóc, o każdej porze dnia i nocy.

— Wiem o tym — odparła z wdzięcznością Mary. — Nie potrafię powiedzieć ci, ile to dla mnie znaczy.

Ta rozmowa bardzo podniosła ją na duchu.

— Jest pewien problem. Mamy w ambasadzie jakiś przeciek.

Mary i Mikę Slade pili kawę przed porannym spotkaniem z pracownikami.

— Jak poważny?

— Bardzo. Nasz konsul do spraw handlu, David Victor, był na spotkaniu z rumuńskim ministrem handlu.

— Wiem o tym. Rozmawialiśmy na ten temat w zeszłym tygodniu.

— Tak jest — odparł Mikę. — Ale kiedy David udał się na następne spotkanie, Rumuni uprzedzali każdą nową propozycję, którą chcieliśmy im złożyć. Doskonale orientowali się, jak daleko jesteśmy gotowi pójść.

— Może po prostu się domyślili?

— Tak, to możliwe. Ale omawialiśmy również całkiem nowe oferty. Tego nie mogli się domyślić, a jednak o tym wiedzieli.

Mary pomyślała chwilę.

— Czy sądzi pan, że to ktoś z pracowników?

— I to nie byle kto. Ostatnia narada odbyła się w Cichym Pokoju. I tam właśnie nasi eksperci zlokalizowali podsłuch.

Spojrzała na niego zaskoczona. Było tylko osiem osób, które mogły brać udział w tajnych naradach w Cichym Pokoju, a wszystkie zajmowały w ambasadzie kierownicze stanowiska.

— Ktokolwiek by to był, ma przy sobie jakiś sprzęt elektroniczny, prawdopodobnie magnetofon. Proponuję, aby dzisiejsze spotkanie odbyło się w Cichym Pokoju i żeby obecne

były te same osoby, co poprzednio. Za pomocą aparatu wykrywającego podsłuch dowiemy się, kto jest winien.

Wokół stołu w Cichym Pokoju siedziało osiem osób: Eddie Maltz, konsul do spraw politycznych i agent CIA; Patricia Hatfield, konsul do spraw ekonomicznych; Jerry Davis, konsul do spraw publicznych; David Victor, konsul do spraw handlu; Lucas Janklow, konsul do spraw administracyjnych; i pułkownik William McKinney. Mary zajmowała miejsce przy jednym końcu stołu, a po drugiej stronie, naprzeciwko niej, siedział Mikę Slade.

Mary zwróciła się do Davida Victora:

— Jak przebiegają pana spotkania z rumuńskim ministrem handlu?

Konsul pokręcił głową.

— Szczerze mówiąc, nie tak dobrze, jak się spodziewałem. Mam wrażenie, że oni wiedzą, co zamierzam powiedzieć, jeszcze zanim to powiem. Wysunąłem nowe oferty, a oni mieli już przygotowane kontrargumenty. Mogłoby się zdawać, że czytają w moich myślach.

— Może tak jest — odezwał się Mikę Slade.

— Co pan przez to rozumie?

— Czytają w myślach jednej z obecnych tu osób.

— Podniósł słuchawkę czerwonego telefonu, stojącego przed nim na stole. — Proszę go przysłać.

W chwilę później otworzyły się masywne drzwi i do Cichego Pokoju wszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu, niosąc czarne pudełko z podziałką.

— Zaraz, zaraz — powiedział Eddie Maltz. — Nikt nie ma prawa wchodzić do...

— Wszystko w porządku — uspokoiła go Mary. — Mamy pewien problem, a ten człowiek pomoże nam go rozwiązać.

— Skinęła na przybysza. — Proszę zaczynać.

— Tak jest. Prosiłbym tylko, żeby nikt nie ruszał się ze swojego miejsca.

Podszedł do Mike'a Slade'a i zbliżył do niego aparat. Wskazówka na podziałce pozostała na zerze. Mężczyzna przeszedł kilka kroków i przysunął aparat do Patricii Hatfield. Wska-



zówka ani drgnęła. Następny był Eddie Maltz, potem Jerry Davis i Lucas Janklow. Wskazówka nie ruszyła się przy żadnym z nich. Mężczyzna podszedł jeszcze do Davida Victora i w końcu do pułkownika McKinneya, ale wskazówka wciąż stała na zerze. Została jeszcze tylko Mary. Kiedy mężczyzna zbliżył się do niej, wskazówka na podziałce zaczęła szybko się kołysać.

— Co u diabła... ? — powiedział Slade. Wstał i podszedł do Mary. — Czy jest pan pewien ? — spytał nerwowo cywila.

Wskazówka jakby oszalała.

— Niech pan zapyta aparatu — odrzekł mężczyzna.

Mary wstała zmieszana.

— Czy miałyby pani coś przeciwko temu, żeby przerwać tę naradę? — zapytał Slade.

Mary zwróciła się do pozostałych osób:

— To na razie wszystko. Dziękuję.

— Pan niech zostanie — powiedział Mikę do technika. Kiedy inni opuścili pomieszczenie, Mikę spytał: — Czy może pan wskazać, gdzie dokładnie zainstalowany jest podsłuch?

— Pewnie, że mogę.

Trzymając aparat kilkanaście centymetrów od ciała Mary, zaczął go powoli przesuwając w dół. Kiedy zbliżył aparat do jej stóp, wskazówka rozkołysała się jeszcze bardziej.

Cywil wyprostował się.

— Jest w pani butach.

Mary patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Pan się myli. Kupiłam te pantofle w Waszyngtonie.

— Czy mogłaby je pani zdjąć? — powiedział Mikę.

— Ja...

To wszystko było po prostu śmieszne. Aparat musiał zwariować albo zostało to przez kogoś ukartowane. Może Mikę Slade usiłował się jej w ten sposób pozbyć. Mógłby teraz wysłać do Waszyngtonu wiadomość, że Mary została przyłapaną na szpiegowaniu i przekazywaniu informacji wrogowi. O nie, nie puści mu tego płazem.

Zdjęła pantofle, podniosła je i wręczyła Slade'owi.

— Proszę bardzo — powiedziała gniewnie.

Przyjrzał się im dokładnie z obu stron.

— Czy ten obcas jest nowy?

— Nie, to jest... — I wtedy przypomniała sobie, co zdarzyło się kilka dni temu: „Carmen, czy mogłabyś zanieść ten pantofel do szewca, żeby go zreperował?”

Mikę obłamał obcas. Wewnątrz ukryty był miniaturowy magnetofon.

— Znaleźliśmy naszego szpiega — powiedział sucho Slade, patrząc na Mary. — Gdzie naprawiany był ten obcas?

— Ja... nie wiem. Poprosiłam jedną z pokojówek, aby się tym zajęła.

— Wspaniale — odparł sarkastycznie Slade. — Bylibyśmy wdzięczni, pani ambasador, gdyby w przyszłości zechciała pani powierzać tego typu sprawy swojej sekretarce.

\* \* \*

Do Mary przyszedł telegram:

„Komitet do Spraw Zagranicznych przy Senacie wyraził zgodę na pożyczkę dla Rumunii, o którą prosiłaś. Oficjalne zawiadomienie przyślemy jutro. Gratuluję. Stanton Rogers”.

Mikę przeczytał telegram i rzekł:

— To wspaniale. Negulesco będzie skakał z radości.

Mary wiedziała, że Negulesco, rumuński minister finansów, miał mocno zachwianą pozycję, a ta sprawa uczyniłaby z niego bohatera w oczach Ionescu.

— Zamierzają ogłosić to dopiero jutro — powiedziała w zamyśleniu Mary. Siedziała chwilę, głęboko nad czymś rozmyślając. — Proszę umówić mnie na spotkanie z Negulesco jeszcze dziś przed południem.

— Czy mam pójść z panią na to spotkanie?

— Nie, sama to załatwię.

Dwie godziny później Mary siedziała w gabinecie rumuńskiego ministra finansów. Negulesco powitał ją rozpromieniony.

— A więc przynosi nam pani dobre wieści, czy tak?

— Obawiam się, że nie — odpowiedziała Mary z ubolewaniem. Patrzyła, jak uśmiech znika z jego twarzy.

— Jak to ? Myślałem, że mamy już tę pożyczkę... Jak wy to mówicie?... „w kieszeni”.

Mary westchnęła.

— Ja również tak sądziłam, panie ministrze.

— A więc co się stało ? Czy pojawiły się jakieś trudności ?

— Jego twarz nagle poszarzała.

Mary wzruszyła ramionami.

— Nie wiem.

— Przyrzekłem naszemu prezydentowi... — Przerwał, i gdyż uświadomił sobie w pełni prawdziwe znaczenie tego, co usłyszał. Spojrzał na Mary i powiedział chrapliwym głosem: 1

— Prezydentowi Ionescu na pewno to się nie spodoba. Czy naprawdę nic nie może pani zrobić w tej sprawie?

— Jestem tak samo zawiedziona jak pan, panie ministrze — odparła szczerze Mary. — Wszystko było na najlepszej drodze, kiedy jeden z senatorów dowiedział się, że grupie duchownych kościoła rumuńskiego, którzy zostali zaproszeni do Utah, odmówiono wiz. Ten senator jest mormonem i bardzo się tym zdenerwował.

— Grupa duchownych ? — powtórzył Negulesco piskliwym głosem. — Czy chce pani powiedzieć, że odmówiono nam pożyczki z powodu...?

— Tak mi się wydaje.

— Ależ pani ambasador, Rumunia całkowicie popiera kościoły. Mają tu ogromną swobodę! — rozszczebiotał się radośnie. — My kochamy wszystkie kościoły.

Przesiadł się na fotel obok Mary.

— Pani ambasador, czy gdybym postarał się, żeby ta grupa mogła wyjechać do waszego kraju, sądzi pani, że Komitet Finansów przy Senacie zatwierdzi tę pożyczkę?

Mary spojrzała mu prosto w oczy i rzekła:

— Panie ministrze Negulesco, mogę to panu zagwarantować. Ale jeszcze dzisiaj muszę dostać pańską odpowiedź.

Mary siedziała za biurkiem, czekając na telefon. Negulesco zadzwonił o drugiej trzydzieści.

— Pani ambasador, mam wspaniałą wiadomość! Grupa duchownych może wyjechać w każdej chwili. Czy pani również ma dla mnie dobre wieści?

Mary odczekała godzinę, po czym do niego zadzwoniła.

— Właśnie otrzymałam depeszę z Departamentu Stanu. Pożyczka dla Rumunii została zatwierdzona.

Mary nie mogła przestać myśleć o doktorze Louisie Desforges. Uratował jej życie, po czym zniknął. Cieszyła się, że udało jej się go odnaleźć. Pod wpływem odruchu wdzięczności poszła do American Doliar Shop, kupiła dla niego piękny srebrny puchar i posłała go do ambasady francuskiej. To i tak było nic w porównaniu z tym, co on dla niej zrobił.

Tego popołudnia Dorothy Stone powiadomiła Mary:

— Dzwonił pani doktor Desforges. Czy chce pani z nim rozmawiać?

Mary uśmiechnęła się.

— Tak. — Podniosła słuchawkę. — Dzień dobry.

— Dzień dobry, pani ambasador. — Jego francuski akcent nadawał temu zwrotowi nowe, czarujące brzmienie.

— Dzwonię, żeby podziękować za wspaniały prezent, który od pani otrzymałem. Zapewniam panią, że było to zupełnie niepotrzebne. Jestem ogromnie szczęśliwy, że mogłem pani służyć pomocą.

— To nie była tylko zwykła pomoc — odparła Mary.

— Nie wiem, czy istnieje odpowiedni sposób, abym mogła wyrazić panu moją wdzięczność.

Chwila pauzy.

— Czy pani... — przerwał.

— Tak? — spytała Mary wyczekująco.

— Nic takiego — odrzekł jakby zmieszany.

— Ależ proszę powiedzieć.

— Dobrze więc. — Zaśmiał się, aby pokryć zdenerwowanie. — Zastanawiałem się, czy może zgodziłaby się pani zjeść ze mną kolację któregoś wieczoru... ale wiem, jak bardzo musi być pani zajęta i...

— Byłabym zachwycona — odrzekła szybko Mary.

— Naprawdę? — W jego głosie zadrzęła nutka radości.

— Naprawdę.

— Czy zna pani restaurację „Taru”?

Mary była w niej już dwa razy.

— Nie.

— Och, to świetnie. W takim razie z ogromną przyjemnością pokażę ją pani. Sobotni wieczór ma pani już prawdopodobnie zajęty... ?

— O osiemnastej muszę pójść na popołudniowe przyjęcie, ale później będę wolna.

— Cudownie. Z tego, co wiem, ma pani dwoje dzieci. Może chciałaby pani przyjść razem z nimi?

— Dziękuję panu, ale w sobotę wieczorem dzieci będą niestety zajęte.

Sama nie wiedziała, dlaczego właściwie skłamała.

Sobotnie przyjęcie odbyło się w ambasadzie szwajcarskiej. Należała ona najwidoczniej do ambasad kategorii „A”, gdyż na przyjęciu obecny był nawet prezydent Alexandros Ionescu.

Kiedy ujrzął Mary, natychmiast do niej podszedł.

— Dobry wieczór, pani ambasador. — Ujął jej dłoń i przytrzymał dłużej, niż było to konieczne. — Chcę pani powiedzieć, iż ogromną radość sprawiła mi wiadomość, że wasz kraj zgodził się na udzielenie nam pożyczki, o którą prosiliśmy.

— A my cieszymy się bardzo, że zezwolił pan na wyjazd grupy duchownych do Stanów Zjednoczonych, Wasza Ekscelencjo.

Machnął niedbale ręką.

— Rumuni nie są więźniami. Każdy może wyjechać

i wrócić, kiedy tylko zechce. Mój kraj jest symbolem prawdziwej równości społecznej i demokratycznej wolności.

Mary pomyślała o ludziach czekających w długich kolejkach, aby kupić choć trochę żywności, o tłumie, który widziała na lotnisku, i o uchodźcach bezskutecznie starających się o wyjazd.

— Władza w Rumunii należy do narodu.

„Są w Rumunii gułagi, których nam nie wolno oglądać”.

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie, są setki, a może nawet tysiące Żydów, starających się o wyjazd z Rumunii. Niestety, pański rząd nie chce wydać im wiz.

Nachmurzył się.

— Odszczepieńcy. Wichrzyciele. Oddajemy światu przysługę, trzymając ich tutaj, gdzie możemy mieć na nich oko.

— Panie prezydencie...

— W żadnym kraju zza żelaznej kurtyny policja nie jest tak łagodna dla Żydów jak w naszym. W 1967 roku, podczas wojny arabsko-żydowskiej, Związek Radziecki i wszystkie kraje bloku wschodniego, oprócz Rumunii, zerwały kontakty dyplomatyczne z Izraelem.

— Wiem o tym, panie prezydencie, ale faktem pozostaje, że mimo to są...

— Czy próbowała już pani kawioru? To świeża bieluga.

Doktor Desforges zaproponował, że przyjedzie, aby zabrać Mary z przyjęcia, ale ona poleciła już Florianowi, żeby zawiózł ją do restauracji „Taru”. Zadzwoiła do Desforgesa i uprzedziła go, że spóźni się kilka minut. Musiała pojechać do ambasady, aby sporządzić raport o rozmowie z prezydentem Ionescu.

Na dyżurze w ambasadzie był Gunny. Otworzył drzwi i zasalutował. Mary poszła na górę do swojego biura, zapaliła światło i zdrętwiała z przerażenia. Na ścianie widniał, namalowany przez kogoś czerwoną farbą, duży napis: WRACAJ DO DOMU, ZANIM UMRZESZ. Mary zbladła, odwróciła się i zbiegła na dół do holu wejściowego.

Gunny stał w postawie na baczność.

— Tak, pani ambasador?

— Gunny, k... kto wchodził do mojego biura ? — spytała zdenerwowanym głosem Mary.

— Nikogo nie widziałem. Co się stało?

— Proszę mi pokazać swoją listę — starała się zapanować nad drżeniem w głosie.

— Tak, proszę pani.

Gunny wyjął z szuflady listę osób, które tego dnia były w ambasadzie, i podał ją Mary. Przy każdym nazwisku zapisana była dokładna godzina przybycia danej osoby. Mary przebiegła wzrokiem po nazwiskach tych, którzy przyszli do ambasady po siedemnastej trzydziści, a więc po jej wyjściu z biura. Było ich dwanaście.

Spojrzała na strażnika i spytała:

— Osoby na tej liście — czy ktoś z nich wchodził na górę zupełnie sam?

— Nie, pani ambasador. Nikomu nie wolno wchodzić na pierwsze piętro bez mojej eskorty. Czy stało się coś złego?

Stało się coś bardzo złego.

— Proszę polecić komuś, żeby zamalował ten okropny napis w moim biurze.

Odwróciła się i czym prędzej wyszła, obawiając się, że ją zemdli. Depesza mogła zaczekać do rana.

Doktor Desforges czekał już na nią w restauracji. Kiedy weszła, wstał.

— Przepraszam za spóźnienie. — Mary starała się, aby jej głos brzmiał normalnie.

Desforges odsunął krzesło od stolika.

— Nic się nie stało. Otrzymałem pani wiadomość. Tak się cieszę, że przyjęła pani moje zaproszenie.

Teraz Mary żałowała, że zgodziła się na tę kolację. Była zdenerwowana i przerażona tym, co się stało. Zaciśnęła mocno dłonie, żeby się nie trzęsły.

Desforges przyglądał się jej uważnie.

— Czy dobrze się pani czuje, pani ambasador?

— Tak — odparła — czuję się świetnie. — „Wracaj do domu, zanim umrzesz”. — Mam chyba ochotę na czystą



szkocką. — Nie znosiła whisky, ale miała nadzieję, że to pomoże jej się uspokoić.

Doktor zamówił alkohol, po czym rzekł:

— Zapewne niełatwo być ambasadorem, zwłaszcza kobiecie w tym kraju. Rumuni są zaciętymi szowinistami.

Mary zmusiła się do uśmiechu.

— Proszę mi opowiedzieć o sobie. — Chciała jak najszybciej zapomnieć o groźbie.

— Obawiam się, że nie bardzo jest o czym opowiadać.

— Wspomniał pan poprzednio, że walczył w podziemiu w Algierii. To brzmi niezwykle interesująco.

Wzruszył ramionami.

— Żyjemy w okropnych czasach. Wydaje mi się, że każdy człowiek musi podjąć jakieś ryzyko, żeby ostatecznie nie utracić wszystkiego. Powszechny terroryzm jest dosłownie przerażający. Musimy położyć temu kres — mówił z zapalem.

On jest taki jak Edward, pomyślała Mary. Edward zawsze zapalczywie bronił tego, w co wierzył. Desforges to człowiek, którego niełatwo byłoby złamać. W obronie tego, co słuszne, gotów zaryzykować nawet własne życie.

Desforges mówił właśnie:

— ...gdybym wiedział, że ceną tego, co robię, będzie życie mojej żony i dzieci... — Przerwał. Jego dłonie zaciśnięte były na krawędzi stołu. — Proszę mi wybaczyć. Nie zaprosiłem pani tutaj, żeby opowiadać o moich problemach. Polecam pani baraninę, jest znakomita.

— Dobrze — zgodziła się Mary.

Desforges zamówił obiad i butelkę wina, po czym zaczęli rozmawiać. Powoli Mary odprężyła się i zapomniała o groźbie, namalowanej na ścianie biura. Zdumiewająco łatwo przychodziła jej rozmowa z tym przystojnym Francuzem. Było to tak, jakby rozmawiała z Edwardem. Okazało się bowiem, że ona i Louis o wielu sprawach myślą tak samo, mają jednakowe przekonania. Louis Desforges urodził się w małym miasteczku we Francji, a Mary w małej mieścinie w Kansas. Dzielili ich osiem tysięcy kilometrów, a mimo to mieli ze sobą wiele wspólnego. Ojciec Louisa był farmerem, który oszczędzał, jak mógł, żeby posłać syna do szkoły medycznej w Paryżu.



— Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem, pani ambasador.

— „Pani ambasador” brzmi tak oficjalnie.

— Pani Ashley?

— Mary.

— Dziękuję, Mary.

Uśmiechnęła się.

— Proszę bardzo, Louisie.

Ciekawa była, jak wygląda jego życie osobiste. Był bardzo przystojnym i inteligentnym mężczyzną. Z pewnością mógł mieć każdą kobietę, której chciał. Zaciekało ją, czy jest z kimś na stałe.

— Czy myślałeś o tym, żeby ponownie się ożenić? — Nie mogła uwierzyć, że zadała mu to pytanie.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie. Gdybyś знаła moją żonę, zrozumiałabyś dlaczego. Nikt nie mógłby mi jej zastąpić.

Czuję to samo, jeśli chodzi o Edwarda, pomyślała Mary. Nikt nie mógłby go zastąpić. Był wyjątkowym człowiekiem. Ale przecież każdy potrzebuje kogoś drugiego. I wcale nie chodziło o zastąpienie kimś ukochanej osoby, ale o kogoś bliskiego, z kim można by było dzielić radości i troski.

— ...kiedy więc zaproponowano mi tę pracę — mówił Louis — pomyślałem, że to może być całkiem interesujące odwiedzić Rumunię. — Zniżył głos. — Muszę powiedzieć, że w tym kraju panuje ogromne zło.

— Naprawdę?

— Nie chodzi mi o ludzi. Są wspaniali. Uważam, że to ich rząd jest przyczyną dziejącego się zła. Nikt tutaj nie jest naprawdę wolny. Rumuni są właściwie niewolnikami. Jeśli ktoś chce jako tako jeść i żyć, musi pracować dla służb bezpieczeństwa. Cudzoziemcy zaś są bezustannie śledzeni. — Rozejrzał się wokół, aby upewnić się, czy nikt go nie słyszy. — Będę naprawdę szczęśliwy, kiedy skończy się okres mojej pracy tutaj i będę mógł wrócić do Francji.

— Są tacy, którzy uważają, że ja powinnam wrócić do domu — bez zastanowienia powiedziała Mary.

— Słucham?

I nagle opowiedziała mu, co zdarzyło się w biurze, powiedziała o napisie nabazgranym na ścianie.

— Ależ to potworne! — wykrzyknął Louis. — Nie wiesz, kto mógł to zrobić?

— Nie.

— Wybacz, że zmienię temat — powiedział — ale muszę coś wyznać. Odkąd dowiedziałem się, kim jesteś, rozmawiałem na twój temat z wieloma osobami. Wszyscy, którzy cię znają, są pod ogromnym wrażeniem.

Słuchała go z wielkim zainteresowaniem.

— Wygląda na to, że potrafisz przedstawić Amerykę jako kraj pięknych, inteligentnych i serdecznych ludzi. Jeśli wierzysz w to, co robisz, musisz o to walczyć. Musisz tu zostać. Nie pozwól się nikomu zastraszyć.

Dokładnie to samo powiedziała by Edward.

Mary leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, i rozmyślała o tym, co powiedział jej Louis. On byłby gotów oddać życie za to, w co wierzy. A ja? Nie chcę umierać, myślała. I nikomu nie uda się mnie zabić. Ani zastraszyć.

Leżała w ciemności. I bała się.

Następnego ranka Mikę Slade przyniósł dwa kubki kawy.

Wskazał głową na świeżo zamalowane miejsce na ścianie.

— Słyszałem, że ktoś malował napisy w pani biurze.

— Czy dowiedzieli się już, kto to zrobił?

Slade napił się kawy.

— Nie. Sprawdziłem osobiście listę wchodzących. Każdy musiał się wytłumaczyć, po co przyszedł.

— To znaczy, że zrobił to ktoś z pracowników ambasady.

— Albo tak, albo komuś udało się przemknąć obok strażników.

— Pan w to wierzy?

Mikę postawił kubek na stole.

— Nie.

— Ja też nie.

— Co dokładnie było napisane?

— „Wracaj do domu, zanim umrzesz”.

Nic nie odpowiedział.

— Kto mógłby chcieć mnie zabić?

— Nie wiem.

— Panie Slade, byłabym wdzięczna, gdyby szczerze mi pan odpowiedział: czy sądzi pan, że naprawdę grozi mi niebezpieczeństwo ?

Spojrzał na nią w zadumie.

— Pani ambasador, zamordowano Abrahama Lincolna, Johna Kennedy'ego, Roberta Kennedy'ego, Martina Luthera Kinga i Marina Grozę. Nikt nie jest nieśmiertelny. Odpowiedź na pani pytanie brzmi: tak.

„Jeśli wierzysz w to, co robisz, musisz o to walczyć. Nie pozwól się nikomu zastraszyć”.

## 24

Następnego ranka o ósmej czterdzieści pięć, podczas prowadzonej przez Mary konferencji, do biura wpadła nagle Dorothy Stone.

— Dzieci zostały porwane!

Mary skoczyła na równe nogi.

— O mój Boże!

— Przed chwilą odezwał się sygnał alarmowy nadajnika zamontowanego w samochodzie. Próbuje ustalić, gdzie się znajdują. Nie uda im się daleko uciec.

Mary pobiegła korytarzem do pomieszczenia z urządzeniami telekomunikacyjnymi. Wokół nadajnika stało sześciu ludzi, a pułkownik McKinney mówił do mikrofonu:

— Roger, wszystko zrozumiałem. Zawiadomię panią ambasador.

— Co się dzieje? — spytała Mary chrapliwym głosem, z trudem wydobywając słowa. — Gdzie są moje dzieci?

— Nic im nie jest, proszę pani — odpowiedział uspokajająco pułkownik. — Jedno z nich przypadkowo dotknęło

przycisku bezpieczeństwa w samochodzie, co spowodowało, że światło na dachu samochodu zaczęło błyskać i odezwał się krótkofalowy sygnał S.O.S. Ale nim zdążyli przejechać dwie ulice, cztery wozy policyjne z włączonymi syrenami okrążyły ich i zatrzymały limuzynę.

Mary z ulgą oparła się o ścianę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak wielkim stresem było dla niej to zdarzenie. Nietrudno zrozumieć, pomyślała, dlaczego obcokrajowcy przebywający dłużej w tym kraju, zaczynają w końcu szukać zapomnienia w narkotykach, alkoholu... lub przelotnych romansach.

Tego wieczoru Mary została z dziećmi. Chciała być blisko nich. Czy grozi im jakieś niebezpieczeństwo, myślała, patrząc na nich. Czy nam wszystkim grozi niebezpieczeństwo? Kto chciałby nas skrzywdzić? Na te pytania nie знаła odpowiedzi.

W trzy dni później Desforges znowu zaprosił Mary na kolację. Tym razem nie był już taki skrępowany i choć wyczuwała wciąż tkwiący gdzieś w głębi jego serca smutek, potrafił być uprzejmy i zabawny. Mary zastanawiała się, czy czuje on do niej taką samą skłonność, jaką ona czuła do niego. W głębi duszy musiała się przyznać, że srebrny kielich, który mu posłała, był właściwie zaproszeniem.

„Pani ambasador — to brzmi tak oficjalnie. Mów mi Mary”. Mój Boże, czy ona mu się przypadkiem nie narzuca? Ale przecież tak wiele mu zawdzięcza, może nawet życie. Próbuję znaleźć usprawiedliwienie, pomyślała. Wcale nie dlatego chciałam go jeszcze raz zobaczyć.

Zjedli wczesną kolację w restauracji na dachu hotelu „Intercontinental”, a kiedy Louis odwiózł ją do rezydencji, Mary spytała:

— Może wejdiesz na chwilę?

— Z przyjemnością — odrzekł. — Dziękuję.

Dzieci odrabiały lekcje w salonie na dole. Mary przedstawiła im Louisa.

Desforges pochylił się nad Beth i spytał:

— Czy mogę? — Objął ją, uściśnął i wyprostował się.

— Jedna z moich córeczek była trzy lata młodsza od ciebie,

a druga mniej więcej w twoim wieku. Chciałbym wierzyć, że byłyby tak śliczne, jak ty, Beth.

Beth uśmiechnęła się.

— Dziękuję. Gdzie są... ?

Mary przerwała jej pośpiesznie.

— Może napijemy się wszyscy gorącej czekolady ?

Siedzieli w wielkiej kuchni, popijając czekoladę i rozmawiając.

Dzieci były zachwycone Louistem. Mary natomiast spostrzegła w jego oczach tęsknotę, jakiej nigdy przedtem nie widziała u nikogo. Zupełnie o niej zapomniał, tak pochłonięty był obecnością dzieci. Mówił im o swoich córkach, opowiadał mnóstwo różnych anegdot i kawałów, a dzieci aż pokładały się ze śmiechu.

Kiedy Mary spojrzała na zegarek, była już prawie północ.

— Och, nie! Dzieci, już dawno powinnyście być w łóżkach. Zmykajcie.

Tim podszedł do Louisa.

— Czy przyjdzie pan jeszcze do nas?

— Mam nadzieję, że tak, Tim. To zależy od twojej mamy.

Tim odwrócił się do matki.

— To jak będzie, mamo?

Mary spojrzała na Louisa i powiedziała:

— Tak.

Odprowadziła go do drzwi. Louis ujął jej rękę w swoje dłonie.

— Nie potrafię powiedzieć, ile znaczył dla mnie ten wieczór, Mary. Tego nie da się wyrazić słowami.

— Cieszę się. — Patrzyła mu prosto w oczy i uczuła, jak Louis przybliżył się do niej. Uniosła twarz.

— Dobranoc, Mary.

I już go nie było.

Następnego dnia, kiedy Mary weszła do biura, zauważyła, że jedna ze ścian znowu była świeżo pomalowana, ale w innym

miejscu. Zaraz za nią wszedł, niosąc dwa kubki z kawą, Mikę Slade.

— Dzień dobry — powiedział, stawiając je na stole.

— Czy ktoś znowu mazał po ścianie?

— Owszem.

— Co było napisane tym razem ?

— To nie ma znaczenia.

— To nie ma znaczenia! — powtórzyła, gotując się ze złości. — Dla mnie ma to ogromne znaczenie. Czy w tej ambasadzie ktoś w ogóle czegoś pilnuje? Nie pozwolę, żeby każdy, kto chce, wkładał się do mojego biura i groził mi śmiercią. Co było napisane?

— Czy mam powtórzyć dosłownie?

— Tak.

— Napisane było: „Wyjedź natychmiast albo umrzesz”.

Mary zagłębiła się w fotelu, doprowadzona do wściekłości.

— Czy mógłby mi pan wyjaśnić, jak to się dzieje, że ktoś może wejść do ambasady nie zauważony i pisać takie rzeczy na ścianach mojego biura?

— Sam chciałbym wiedzieć — odparł Mikę. — Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby dopaść tego drania.

— No cóż, widocznie „wszystko, co w waszej mocy” nie wystarcza — odrzekła zjadliwie. — Chcę, żeby wyznaczono uzbrojonego strażnika, który przez całą noc będzie pełnił straż przed drzwiami mojego biura. Zrozumiał pan?

— Tak, pani ambasador. Przekażę pani polecenie pułkownikowi McKinneyowi.

— A zresztą nie, sama z nim porozmawiam.

Mary patrzyła, jak Mikę wychodzi, i nagle się zastanowiła,

czy Slade naprawdę nie wie, kto się za tym kryje.

I pomyślała, czy mógł to być Mikę Slade.

— Proszę mi wierzyć, pani ambasador — powiedział skruszony pułkownik McKinney — że jestem tym tak samo zmartwiony jak pani. Podwoję straż w korytarzu i dopilnuję, żeby drzwi pani biura były strzeżone dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Lecz Mary wcale to nie uspokoiło. Ktoś z ambasady był odpowiedzialny za to, co się dzieje.

Pułkownik McKinney pracuje w ambasadzie.

Mary zaprosiła Louisa na niewielkie przyjęcie w rezydencji. Na obiedzie było dwanaście osób. Kiedy przyjęcie skończyło się i goście poszli do domu, Louis spytał Mary:

— Czy mógłbym pójść na górę i zobaczyć dzieci?

— Obawiam się, że już śpią, Louisie.

— Nie zbudzę ich — obiecał. — Chciałbym tylko na nie popatrzeć.

Mary poszła z nim na piętro. Louis stanął w drzwiach pokoju Tima i przyglądał się śpiącemu chłopcu.

Po dłuższej chwili Mary szepnęła:

— Pokój Beth jest tam.

Poprowadziła go korytarzem do drugiej sypialni i otworzyła drzwi. Beth leżała zwinęta w kłębek wokół poduszki i okręcona kołdrą. Louis podszedł cicho do łóżka i poprawił pościel. Wyprostował się i długo stał z zamkniętymi oczyma. Wreszcie odwrócił się i wyszedł z pokoju.

— Są śliczne — powiedział matowym głosem.

Stali naprzeciwko siebie, czując to samo. W jego oczach Mary zobaczyła ogromną potrzebę miłości.

To się musi stać, pomyślała. Żadne z nas nie może tego powstrzymać.

Nagle znalazła się w ramionach Louisa, a ich usta połączyły się w długim pocałunku.

Po chwili Desforges się cofnął.

— Nie powinienem był tu przychodzić. Wiesz, co ja robię, prawda? Próbuję wskrzesić przeszłość. — Zamilkł na chwilę. — A może to jest moja przyszłość. Kto wie?

— J a wiem — odrzekła miękko Mary.

David Victor, konsul do spraw handlu, wpadł jak burza do biura Mary.

— Obawiam się, że przynoszę bardzo złe wieści. Właśnie otrzymałem poufną wiadomość, że prezydent Ionescu zamierza zatwierdzić umowę o zakupieniu półtora miliona ton

kukurydzy od Argentyny i pół miliona ton soi od Brazylijczyków. Bardzo liczyliśmy na te transakcje.

— Jak daleko zaszły rozmowy na ten temat ?

— Już prawie zakończyli negocjacje. Sprzątnęli nam to dosłownie sprzed nosa. Miałem właśnie zamiar wysłać do Waszyngtonu depeszę... oczywiście, za pani zgodą — dodał pośpiesznie.

— Proszę się z tym wstrzymać — powiedziała Mary. — Chcę to dokładnie przemyśleć.

— Nie uda się pani zmienić decyzji prezydenta Ionescu. Proszę mi wierzyć, że próbowałem już wszystkiego.

— W takim razie nic nie stracimy, jeśli spróbuję. — Nacisnęła przycisk interkomu. — Dorothy, proszę jak najszybciej umówić mnie na spotkanie z prezydentem Ionescu.

Alexandros Ionescu zaprosił Mary do pałacu na lunch. Kiedy przybyła, powitał ją Nicu, czternastoletni syn prezydenta.

— Dzień dobry, pani ambasador — powiedział do niej. — Jestem Nicu. Witamy w pałacu.

— Dziękuję.

Nicu był przystojnym chłopcem, dość wysokim jak na swój wiek, o pięknych czarnych oczach i nieskazitelnej cerze. Zachowywał się jak dorosły mężczyzna.

— Słyszałem o pani wiele dobrego — powiedział.

— Miło mi to słyszeć, Nicu.

— Zawiadomię ojca o pani przybyciu.

Mary i Ionescu siedzieli sami po dwóch stronach długiego stołu w wielkiej jadalni. Mary ciekawa była, gdzie podziewa się jego żona. Pojawiała się rzadko nawet na oficjalnych uroczystościach.

Prezydent pił wino podczas lunchu i był teraz w wyśmienitym humorze. Zapalił snogova, rumuńskiego papierosa o okropnym zapachu.

— Słyszałem, że pani i dzieci wiele zwiedzacie.

— Tak, *Wasza Ekscelencjo. Rumunia to piękny kraj i jest tu tyle ciekawych rzeczy do obejrzenia.*

Posłał jej coś, co w jego mniemaniu było kuszącym uśmiechem.



— Pewnego dnia musi pani pozwolić, żebym ja pokazał pani swój kraj. — Rozciągnął usta w karykaturalnym uśmiechu pożądania. — Jestem doskonałym przewodnikiem, mógłbym pokazać pani mnóstwo interesujących rzeczy.

— W to nie wątpię — odrzekła Mary. — Panie prezydencie, chciałam się z panem spotkać dzisiaj, aby porozmawiać o pewnej ważnej sprawie.

Ionescu o mało co nie wybuchnął śmiechem. Dobrze wiedział, po co tu przyszła. Amerykanie chcieli sprzedać mu kukurydzę i soję, ale się spóźnili. Amerykańska ambasador tym razem będzie musiała odejść z pustymi rękoma. Szkoda — taka atrakcyjna kobieta.

— Tak? — spytał niewinnie.

— Chciałabym porozmawiać z panem o bliźniaczych miastach.

Ionescu zamrugnął oczyma.

— O bliźniaczych miastach. Wie pan, takich jak San Francisco i Osaka, Los Angeles i Bombaj, Waszyngton i Bangkok...

— N... nie bardzo rozumiem. Cóż to ma wspólnego z...?

— Panie prezydencie, przyszła mi do głowy pewna myśl: że mógłby pan stać się sławny na całym świecie, gdyby połączył pan więzią braterską Bukareszt z którymś z amerykańskich miast. Proszę tylko pomyśleć, jak wielki entuzjazm wzbudziłoby to na całym świecie. Zdobyłoby to taki sam rozgłos, jak program prezydenta Ellisona LUDZIE DLA LUDZI. Byłby to ogromny krok naprzód w sprawie ogólnoświatowego pokoju. Proszę również pomyśleć, jak bardzo zbliżyłoby to nasze kraje! Nie dziwiłabym się, gdyby dostał pan Pokojową Nagrodę Nobla.

Ionescu słuchał, próbując zebrać myśli. W końcu powiedział ostrożnie:

— Bliźniacze miasto w Stanach Zjednoczonych? To bardzo interesujący pomysł. Co by się z tym wiązało?

— Przede wszystkim zdobyłby pan wszędzie ogromną popularność. Stałby się pan bohaterem. Byłby to pański pomysł. Pojechałby pan z wizytą do tego miasta, a delegacja z Kansas City przyjechałaby z wizytą do pana.

— Kansas City?

— To tylko taka moja propozycja, oczywiście. Nie sądzę, że chciałby pan duże miasto jak Nowy Jork czy Chicago — to zbyt komercyjne. W sprawie Los Angeles są już prowadzone rozmowy. A Kansas City to środkowe stany. Żyją tam zwykli rolnicy, tacy sami jak tutejsi. Ludzie ceniący sobie prawdziwe wartości, podobnie jak pański naród. To byłby czyn godny prawdziwego męża stanu, panie prezydencie. Pańskie imię byłoby na ustach wszystkich. Nikt w Europie nawet nie myślał o czymś podobnym.

Ionescu siedział przez chwilę, milcząc.

— Cóż... Musiałbym się nad tym dobrze zastanowić.

— Ależ oczywiście.

— Kansas City, Kansas i Bukareszt, Rumunia. — Pokiwał głową. — Nasze miasto jest oczywiście dużo większe.

— Jak najbardziej. Bukareszt byłby dużym bratem.

— Muszę przyznać, że to bardzo intrygujący pomysł.

W rzeczywistości, im dłużej Ionescu myślał o tym, tym bardziej mu się to podobało. Wszyscy będą o mnie mówić, pomyślał. A poza tym pomoże mi to trzymać się z dala od uścisku sowieckiego niedźwiedzia.

— Czy istnieje taka możliwość, że strona amerykańska mogłaby nam odmówić? — spytał.

— Absolutnie nie. Mogę to zagwarantować.

Zastanawiał się przez chwilę.

— Kiedy można by to wprowadzić w życie?

— Jak tylko pan będzie gotów to ogłosić. Ja zajmę się stroną amerykańską. Jest pan już wielkim mężem stanu, panie prezydencie, ale to uczyni pana jeszcze większym.

Ionescu jakby sobie o czymś przypomniał.

— Moglibyśmy zorganizować wymianę handlową z naszym bliźniaczym miastem. Rumunia ma wiele rzeczy do sprzedania. Proszę mi powiedzieć, co uprawia się w Kansas?

— Między innymi — odparła niewinnie Mary — kukurydzę i soję.

— Naprawdę udało się pani przeprowadzić tę transakcję? Rzeczywiście dał się nabrać? — pytał z niedowierzaniem David Victor.

— Cały czas wiedział, o co mi chodzi — zapewniła go Mary. — Ionescu jest zbyt bystry, żeby go oszukać. Po prostu spodobał mu się sposób, w jaki się do tego zabrałam. Może pan iść i zakończyć sprawę, Ionescu już ćwiczy swój występ w telewizji.

Kiedy Stanton Rogers usłyszał nowiny, zadzwonił do Mary.

— Jesteś cudotwórczynią — śmiał się. — A już myśleliśmy, że będziemy musieli zrezygnować z tej transakcji. Jak, do licha, tego dokonałeś?

— Egocentryzm — odpowiedziała. — Jego, oczywiście.

— Prezydent prosił, żebym powiedział ci, jak wspaniałą robotę tam wykonujesz, Mary.

— Podziękuj mu ode mnie, Stan.

— Zrobię to. A przy okazji, prezydent i ja udajemy się do Chin na kilka tygodni. Jeśli będziesz mnie potrzebować, możesz skontaktować się ze mną poprzez moje biuro.

— Życzę udanej podróży.

Tygodnie mijały szybko. Roztańczone marcowe wiatry ustąpiły miejsca wiosnie, a potem przyszło lato i ciepłą odzież zimową zamieniono na zwiewne, letnie ubrania. Wszędzie kwitły drzewa i kwiaty i zieleńiły się parki. Był już koniec czerwca.

W Buenos Aires panowała zima. Kiedy Neusa Muñe"z wróciła do swego mieszkania, była już głęboka noc. Dzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

— *Si?*

— Panna Muñez? — Dzwonił obcy ze Stanów Zjednoczonych.

— Taaak.

— Czy mógłbym rozmawiać z Angelem?

— Angela tutaj nie ma, *señor*. Czego pan chce?

Zwierzchnik poczuł rosnącą irytację. Jaki mężczyzna mógł zadawać się z taką kobietą? Z tego, co mówił mu Harry Lantz, zanim go zamordowano, była nie tylko tępą, ale i potwornie brzydka.

— Chciałbym, żebyś przekazała Angelowi wiadomość ode mnie.

— Zaraz.

Odłożyła słuchawkę, ale czekał.

Po chwili znów usłyszał jej głos.

— Dobra.

— Powiedz Angelowi, że mam dla niego zadanie do wykonania, w Bukareszcie.

— Budapeszt?

Jeżu! To przekraczało wszelką cierpliwość.

— Bukareszt, w Rumunii. Powiedz mu, że to robota za pięć milionów dolarów. Musi być w Bukareszcie pod koniec tego miesiąca, czyli za trzy tygodnie. Zrozumiałas wszystko?

— Zaczekaj chwilę. Piszę.

Czekał cierpliwie.

— Dobra. Ilu ludzi ma zabić Angel za pięć milionów dolarów?

— Wielu...

Mary wciąż nie dawała spokoju długa kolejka, ustawiająca się codziennie przed ambasadą. Postanowiła ponownie porozmawiać o tym z Mike'em Slade'em.

— Musi być jakiś sposób, aby pomóc tym ludziom wyjechać z tego kraju.

— Próbowaliśmy już wszystkiego — zapewnił ją Mikę. — Początkowo stosowaliśmy nacisk, później chcieliśmy skusić ich pieniędzmi. Ale odpowiedź jest wciąż ta sama: nie. Ionescu nie chce o tym nawet słyszeć. Ci biedacy są po prostu uziemieni. On z całą pewnością nie pozwoli im wyjechać. Żelazna kurtyna otacza ten kraj nie tylko na zewnątrz, otacza również każdego wewnątrz kraju.

— Muszę jeszcze porozmawiać o tym z Ionescu.

— Powodzenia.

Mary poprosiła, aby Dorothy Stone umówiła ją na spotkanie z dyktatorem.

Po kilku minutach sekretarka wróciła do biura Mary.

— Przykro mi, pani ambasador, ale powiedziano mi, że nie może pani spotkać się z Ionescu.

Mary spojrzała na nią zdumiona.

— Co to znaczy?

— Nie jestem pewna. W pałacu dzieje się coś dziwnego, Ionescu z nikim nie chce się widzieć, a co więcej, nikogo nie wpuszczają do pałacu.

Mary zastanowiła się, co też mogło to wszystko znaczyć. Czyżby Ionescu przygotowywał jakieś nowe, ważne oświadczenie? Czy wymyślił coś, co mogłoby stanowić jakieś zagrożenie? Z pewnością chodziło o coś niezwykle ważnego i Mary zdecydowała, że musi dowiedzieć się, co to było.

— Dorothy — powiedziała do sekretarki — na pewno ma pani kontakty w pałacu prezydenckim, nieprawdaż?

Dorothy uśmiechnęła się.

— Chodzi pani o małe ploteczki między starymi znajomymi? No pewnie. Gadamy ze sobą o różnych sprawach.

— Chciałabym, żeby dowiedziała się pani, co się tam dzieje...

Po godzinie Dorothy była z powrotem.

— Dowiedziałam się wszystkiego, co chciała pani wiedzieć — powiedziała. — Trzymają to w wielkiej tajemnicy.

— Co trzymają w wielkiej tajemnicy?

— Syn Ionescu jest umierający.

Mary osłupiała.

— Nicu? Co się stało?

— Zatrął się jadem kielbasianym.

— Czy to znaczy, że w Bukareszcie panuje epidemia? — spytała Mary z niepokojem.

— Nie, proszę pani. Pamięta pani zapewne, że całkiem niedawno epidemia choroby kielbasianej pojawiła się we Wschodnich Niemczech. Otóż w tym czasie Nicu był w Niemczech z wizytą i ktoś dał mu w prezencie kilka konserw. Pech chciał, że właśnie wczoraj zjadł jedną z nich.

— Ale przecież jest lekarstwo! — wykrzyknęła Mary.

— Niestety, w Europie go zabrakło. Wszystko zostało zużyte podczas epidemii, która panowała w zeszłym miesiącu.

— Och, mój Boże.

Kiedy Dorothy wyszła, Mary usiadła i zaczęła rozmyślać. Mogło być już za późno, ale jednak... Pamiętała, jak pełnym radości i życia chłopcem był Nicu. Miał czternaście lat — był tylko o dwa lata starszy od Beth.

Nacisnęła przycisk interkomu i powiedziała:

— Dorothy, proszę połączyć mnie z Centrum Chorób Zakaźnych w Atlancie w stanie Georgia.

Pięć minut później rozmawiała z dyrektorem Centrum.

— Owszem, pani ambasador, mamy antytoksynę na zatrucie jadem kielbasianym, ale o ile wiem, nie było żadnego zgłoszenia o wypadku zatrucia w Stanach Zjednoczonych.

— Ja nie jestem w Stanach Zjednoczonych — odpowiedziała Mary. — Dzwonię z Bukaresztu. Potrzebuję tej surowicy natychmiast.

W słuchawce zapanowała cisza.

— Z radością posłałbym ją pani — odrzekł dyrektor — ale jad kielbasiany działa bardzo szybko. Obawiam się, że zanim surowica dotrze na miejsce...

— Ja się tym zajmę — odparła Mary. — Pan niech tylko przygotowuje lekarstwo. Dziękuję.

Po dziesięciu minutach Mary dostała połączenie z Waszyngtonem. Jej rozmówcą był Ralph Zukor, generał sił powietrznych.

— Dzień dobry, pani ambasador. To naprawdę miła niespodzianka. Moja żona i ja jesteśmy pani wielbicielami. Jak...?

— Panie generale, potrzebna mi pańska pomoc.

— Ależ oczywiście, cokolwiek pani zechce.

— Potrzebuję pańskiego najszybszego odrzutowca.

— Słucham?

— Potrzebny mi jest samolot, żeby natychmiast dostarczyć do Bukaresztu lekarstwo.

— Rozumiem.

— Czy może mi pan pomóc?

— Cóż, tak. Powiem, co musi pani zrobić. Musi pani uzyskać zgodę ministra obrony. Będzie pani musiała wypełnić

kilka wymaganych formularzy. Jedną kopię proszę przysłać do mnie, a drugą do Ministerstwa Obrony. My z kolei wyślemy je... Mary słuchała, gotując się ze złości.

— Generale, pozwoli pan, że to ja powiem panu, co p a n musi zrobić. Musi pan przestać gadać i natychmiast wydać rozkaz startu samolotu. Jeśli...

— W żadnym razie nie...

— Tu chodzi o życie chłopca. Tak się składa, że ten chłopiec jest synem prezydenta Rumunii.

— Przykro mi, ale nie jestem upoważniony...

— Panie generale, jeśli ten chłopiec umrze, ponieważ nie zostaną dopełnione jakieś formalności, obiecuję panu, że zwołam największą konferencję prasową, jaką pan widział. I wtedy będzie musiał pan wyjaśnić, z jakiego powodu umarł syn Ionescu.

— Nie jestem upoważniony do podejmowania decyzji o takiej operacji bez zgody z Białym Domem. Jeżeli...

Mary przerwała mu bezceremonialnie.

— W takim razie proszę ją zdobyć. Surowica będzie czekała na lotnisku w Atlancie. I, generale, liczy się każda minuta.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła się modlić w duchu.

— O co chodziło, proszę pana? — spytał adiutant generała Zukora.

— Pani ambasador zażądała, żebym wysłał SR-71 w celu przewiezienia jakiejś surowicy do Rumunii — odpowiedział generał.

Adiutant uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Z pewnością nie ma najmniejszego pojęcia, co jest z tym związane, generale.

— Najwidoczniej tak. Ale lepiej zabezpieczyć się. Połącz mnie ze Stantonem Rogersem.

Kilka minut później generał rozmawiał z doradcą prezydenta do spraw zagranicznych.

— Chciałem pana tylko zawiadomić, że otrzymałem takie polecenie i, oczywiście, odmówiłem. Jeśli...

— Generale, ile czasu zajmie panu wydanie polecenia o starcie SR-71 ?

— Dziesięć minut, ale...

— A więc proszę to wykonać.

Zaatakowany już został system nerwowy Nicu Ionescu. Chłopiec, podłączony do respiratora, leżał na łóżku bez przytomności, spocony i błądy. Czuwało przy nim trzech lekarzy.

Prezydent Ionescu wkroczył do sypialni syna.

— Co się dzieje?

— Wasza Ekscelencjo, komunikowaliśmy się z naszymi kolegami w całej Europie, zarówno Wschodniej, jak i Zachodniej. Nigdzie nie mają antytoksyny.

— A w Stanach Zjednoczonych ?

Lekarz wzruszył ramionami.

— Zanim zdołalibyśmy załatwić, żeby ktoś przywiózł surowicę do Rumunii... — przerwał na moment — obawiam się, że byłoby już za późno.

Ionescu podszedł do łóżka i wziął rękę Nicu w swoje dłonie. Ręka chłopca była zimna i wilgotna.

— Nie umrzesz — zaszlochał Ionescu. — Nie umrzesz.

Kiedy podwozie samolotu dotknęło nawierzchni pasa startowego na lotnisku w Atlancie, czekał tam już samochód wojskowych sił powietrznych z surowicą antybotulizmową, zapakowaną w specjalny pojemnik z lodem. W trzy minuty później samolot znów był w powietrzu, kierując się na północny wschód.

SR-71 — najszybszy odrzutowiec ponaddzwiękowy sił powietrznych — osiąga prędkość trzykrotnie większą niż prędkość dźwięku. Po drodze wylądował tylko raz na jednej z platform na Atlantyku, aby uzupełnić zapasy paliwa. Lot do Bukaresztu, podczas którego samolot przebył trasę ośmiu tysięcy kilometrów, trwał niewiele ponad dwie i pół godziny.

Na lotnisku czekał już pułkownik McKinney, który natychmiast wyruszył z wojskową eskortą do pałacu prezydenckiego.



Mary została w biurze przez całą noc, otrzymując co jakiś czas bieżące informacje o rozwoju wypadków. Ostatnia wiadomość przyszła o szóstej rano.

Zadzwoił pułkownik McKinney.

— Podali chłopcu antytoksynę. Lekarze mówią, że będzie żył.

— Och, dzięki Bogu!

Dwa dni później do biura Mary przyniesiono piękny naszyjnik z diamentów i szmaragdów, do którego dołączona była kartka:

*Na zawsze pozostanę pani dłużnikiem.*

*Alexandros Ionescu*

— O Boże! — wykrzyknęła Dorothy na widok naszyjnika. — To musiało kosztować z pół miiiona dolarów!

— Co najmniej — zgodziła się Mary. — Proszę to odesłać.

Następnego ranka prezydent Ionescu polecił wezwać Mary.

— Prezydent czeka na panią w swoim gabinecie — oznajmił jego adiutant.

— Czy mogłabym najpierw zobaczyć Nicu?

— Tak, oczywiście. — Zaprowadził ją na górę.

Nicu leżał w łóżku, czytając książkę. Kiedy Mary weszła, podniósł wzrok.

— Dzień dobry, pani ambasador.

— Dzień dobry, Nicu.

— Ojciec powiedział mi, co pani dla mnie zrobiła. Chciałbym pani podziękować.

— Nie mogłam pozwolić ci umrzeć — odpowiedziała Mary. — Musisz przecież jeszcze poznać moją Beth.

Nicu roześmiał się.

— Proszę ją tutaj kiedyś przyprowadzić i porozmawiamy na ten temat.

Prezydent Ionescu czekał na Mary przy schodach na dole.

— Odesłała pani prezent ode mnie — powiedział bez żadnego wstępu.

- Tak, Wasza Ekszelencjo.  
Wskazał jej fotel.
- Proszę usiąść. — Przyglądał się jej przez chwilę.
- Czego więc pani chce?
- Nie zwykłam kupczyć życiem dzieci — odparła Mary.
- Uratowała pani życie mojemu synowi. Muszę się pani jakoś odwdzięczyć.
- Nie jest mi pan nic winien, Wasza Ekszelencjo, Ionescu uderzył pięścią w biurko.
- Nie będę pani dłużnikiem! Proszę mi powiedzieć swoją cenę.
- Wasza Ekszelencjo, na to nie ma żadnej ceny — powiedziała Mary. — Sama mam dwoje dzieci i wiem, co musi pan odczuwać.
- Zamknął na chwilę oczy.
- Naprawdę pani wie? Nicu jest moim jedynym synem. Gdyby coś mu się stało... — przerwał, nie mogąc dalej mówić.
- Poszłam na górę go zobaczyć. Wygląda już całkiem dobrze. — Mary wstała. — Jeśli to wszystko, Wasza Ekszelencjo, to pójdę już, bo mam spotkanie w ambasadzie. — Skierowała się w stronę drzwi.
- Proszę zaczekać!
- Mary odwróciła się.
- Nie przyjmie pani prezentu?
- Nie. Wyjaśniłam już...
- Ionescu podniósł rękę.
- Już dobrze, dobrze. — Zastanowił się przez chwilę.
- Gdyby miała pani pomyśleć sobie jakieś życzenie, to o czym by pani pomyślała?
- Nie ma nic...
- Musi pani! Ja nalegam! Jedno życzenie. Cokolwiek pani zechce.
- Mary stała zamyślona, studiując uważnie jego twarz. W końcu powiedziała:
- Chciałabym, żeby zniesione zostały restrykcje dotyczące Żydów, którzy chcą wyjechać z Rumunii.
- Ionescu słuchał jej słów, bębniąc palcami po blacie biurka.
- Rozumiem.

Siedział nieruchomo przez dłuższy czas. Wreszcie spojrzął na Mary.

— Będzie tak, jak pani chce. Oczywiście nie wszyscy będą mogli wyjechać, ale... ułatwię im to.

\* \* \*

Kiedy w dwa dni później podano tę nowinę do publicznej wiadomości, do Mary zadzwonił sam prezydent Ellison.

— Na Boga — powiedział — myślałem, że posyłam tam dyplomatę, a okazuje się, że mam czarodzieja.

— Po prostu miałam szczęście, panie prezydencie.

— Chciałbym, żeby wszyscy moi dyplomaci mieli takie szczęście. Pragnę złożyć ci gratulacje, Mary, za wszystko, czego tam dokonałaś.

— Dziękuję, panie prezydencie.

Odłożyła słuchawkę, czując radosne podniecenie.

— Lipiec już za pasem — powiedziała do Mary Harriet Kruger. — W przeszłości ambasador zawsze wydawał przyjęcie z okazji święta Czwartego Lipca dla Amerykanów mieszkających w Bukareszcie. Jeśli wołałaby pani nie...

— Owszem, sądzę, że to wspomniały pomysł.

— A więc dobrze. Zajmę się przygotowaniem. Potrzebne będą flagi, balony, orkiestra — jak zwykle.

— Brzmi obiecująco. Dziękuję, Harriet.

Przyjęcie będzie z pewnością kosztować masę pieniędzy, ale warto będzie je wydać. Prawda jest taka, pomyślała Mary, że tęskni za domem.

Florence i Douglas Schifferowie zrobili Mary miłą niespodziankę.

— Jesteśmy w Rzymie — krzychała do telefonu Florence.

— Czy możemy przyjechać i cię odwiedzić?

Mary ledwo mogła opanować wzruszenie.

— Kiedy tu będziecie?

— Co byś powiedziała o jutrze?

Następnego dnia, kiedy Schifferowie wylądowali na lotnisku Otopeni, Mary czekała, żeby zabrać ich swoją limuzyną. Przywitali się z ogromnym wzruszeniem, wymieniając uściski i pocałunki.

— Wyglądasz fantastycznie! — orzekła Florence. — Bycie ambasadorem nie zmieniło cię ani odrobinę.

Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak bardzo się zmieniłam, pomyślała Mary.

W drodze do rezydencji Mary pokazywała im różne widoki, te same, które ona oglądała po raz pierwszy zaledwie cztery miesiące temu. Czy naprawdę minęły tylko cztery miesiące? Wydawało jej się, że spędziła tu już całą wieczność.

— To właśnie tu mieszkasz? — spytała Florence, kiedy wjechali w bramę, przy której stał strażnik. — Jestem pod wrażeniem.

Mary oprowadziła Schifferów po całym domu.

— Mój Boże! — wykrzyknęła na koniec Florence. — Basen, teatr, tysiąc pokoi i własny park!

Siedzieli w wielkiej jadalni, jedząc lunch i plotkując na temat znajomych z Junction City.

— Czy tęsknisz czasami za naszym miasteczkiem? — dopytywał się Douglas.

— Tak.

I w momencie, kiedy to mówiła, Mary zdała sobie sprawę, jak daleko odeszła od tego wszystkiego, co było jej domem. Junction City było symbolem spokoju i bezpieczeństwa, prostego i błęgiego życia. Tutaj zaś panował strach, terror i okropne groźby, malowane czerwoną farbą na ścianach jej biura. Czerwony, kolor przemocy.

— O czym myślisz? — spytała Florence.

— Co? Och, nie, nic. Śniłam na jawie. A cóż wy, mili państwo, porabiacie w Europie?

— Musiałem przyjechać do Rzymu na zjazd lekarzy — odpowiedział Douglas.

— No, dalej, powiedz całą prawdę — ponagliła go żona.

— Cóż, prawda wygląda tak, że w zasadzie nie wiedziałem, czy jechać, ale ponieważ martwiliśmy się o ciebie i chcieliśmy zobaczyć, jak sobie dajesz radę, więc postanowiliśmy cię odwiedzić. I oto jesteśmy.

— Tak się cieszę.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że będę przyjaciółką prawdziwej gwiazdy — westchnęła Florence.

Mary roześmiała się.

— Florence, to, że jestem ambasadorem, wcale nie czyni ze mnie gwiazdy.

— Och, nie o tym mówię.

— A o czym mówisz?

— Naprawdę nie wiesz?

— O czym?

— Mary, w zeszłym tygodniu w „Timie” był wielki artykuł na twój temat z dużym zdjęciem twoim i dzieci. Piszą o tobie wszystkie gazety i magazyny w kraju. Kiedy Stanton Rogers ma konferencję na temat spraw zagranicznych, zawsze używa ciebie jako chwalebego przykładu. Prezydent ciągle mówi o tobie. Wierz mi, twoje imię jest na ustach wszystkich.

— Zdaje się, że jestem trochę do tyłu z wiadomościami

— powiedziała Mary. Przypomniała sobie, co usłyszała od Stanton Rogersa: „Prezydent wydał polecenie tej reklamy”.

— Na jak długo możecie zostać? — spytała.

— Chciałabym zostać na zawsze, ale zaplanowaliśmy, że spędzimy tu trzy dni, a potem musimy wracać.

— Jak dajesz sobie radę, Mary? — zapytał Douglas.

— Chodzi mi o... no wiesz... Edwarda?

— Trochę lepiej — odparła powoli Mary. — Rozmawiam z nim co noc. Czy to brzmi jak szaleństwo?

— Niezupełnie.

— To wciąż jeszcze piekło. Ale próbuję. Próbuję.

— Czy... hm... poznałaś kogoś? — spytała niepewnie Florence.

Mary uśmiechnęła się.

— Prawdę mówiąc, chyba tak. Spotkacie go na obiedzie dzisiaj wieczorem.

Schifferowie natychmiast polubili doktora Louisa Desfor-  
gesa. Słyszeli nieraz, że Francuzi są nieprzystępnymi snobami,  
ale Louis okazał się miły, serdeczny i zabawny. Zaraz też wdał  
się w długą dyskusję z Douglasem na temat medycyny. Był  
to jeden z najprzyjemniejszych wieczorów, jakie spędziła od  
przyjazdu do Bukaresztu. Na krótko znowu poczuła się  
spokojna i bezpieczna.

\* \* \*

O jedenastej wieczorem Schifferowie udali się na spo-  
czynek do przygotowanego dla nich pokoju gościnnego. Mary  
została na dole, żeby pożegnać się z Louisem.

— Bardzo podobają mi się twoi przyjaciele — powiedział  
Desforges. — Mam nadzieję, że jeszcze ich zobaczę.

— Oni również bardzo cię polubili. Niestety, za kilka dni  
wyjeżdżają do Kansas — odparła Mary.

Przypatrzył się jej uważnie.

— Mary... ty nie myślisz o wyjeździe?

— Nie — odrzekła. — Ja zostaję.

Louis uśmiechnął się.

— To dobrze. — Zawahał się przez chwilę, a potem  
cicho spytał: — Wyjeżdżam w góry na sobotę i niedzielę.  
Bardzo bym chciał, żebyś pojechała ze mną.

— Dobrze.

To było takie proste.

Tej nocy leżała w ciemności, rozmawiając z Edwardem.  
Kochanie, mówiła, zawsze, zawsze będę cię kochać, ale nie  
wolno mi już ciebie potrzebować. Czas, abym zaczęła nowe  
życie. Zawsze będziesz częścią tego życia, ale teraz będzie  
również ktoś inny. Louis nie jest tobą, ale jest Louisem. Jest  
silny, jest dobry i odważny. To prawie tak, jakbym miała ciebie.  
Proszę, zrozum to, Edwardzie. Proszę...

Usiadła na łóżku i zapaliła lampkę. Długo wpatrywała się  
w obrączkę ślubną, po czym powoli zdjęła ją z palca.

To małe kółeczko symbolizowało koniec i jednocześnie  
początek.

Mary wzięła Schifferów na błyskawiczne zwiedzanie Bukaresztu i postarała się, aby ani przez moment się nie nudzili. Trzy dni minęły o wiele za szybko i kiedy Schifferowie wyjechali, Mary poczuła dotkliwą samotność, uczucie całkowitej izolacji od swych korzeni. Znowu została sama na obcym i niebezpiecznym lądzie.

Mary jak zwykle piła poranną kawę z Mikiem Slade'em, rozmawiając z nim o planie na dzień bieżący.

Kiedy skończyli, Mikę powiedział:

— Słyszałem pewne plotki.

Mary również je słyszała.

— O Ionescu i jego nowej kochance? Zdaje się, że...

— O pani.

Mary zesztywniała.

— Doprawdy? Jakiego rodzaju plotki?

— Wygląda na to, że często widuje się pani z doktorem Louisem Desforgesem.

Mary uczuła napływającą falę gniewu.

— To nie powinno nikogo obchodzić.

— Ośmielę się sprzeciwić, pani ambasador. To obchodzi wszystkich w ambasadzie. Mamy ostre przepisy dotyczące zadawania się z obcokrajowcami, a doktor jest obcokrajowcem. Tak się również składa, że jest agentem wroga.

Mary była tak oszołomiona, że ledwie mogła mówić.

— To nonsens! — wybełkotała. — Co pan może wiedzieć o doktorze Desforges?

— Proszę przypomnieć sobie, w jaki sposób go pani poznała — odpowiedział Mikę. — Uwięziona księżniczka i rycerz w błyszczącej zbroi. To najstarszy podstęp świata. Sam go nieraz używałem.

— Nic mnie nie obchodzi, co pan robił, a czego nie — odcięła się Mary. — On jest wart tuzina takich jak pan. Walczył przeciwko terrorystom w Algierii, a oni zamordowali jego żonę i dzieci.

Mikę uśmiechnął się łagodnie.

— To interesujące. Przeglądałem jego akta. Pan doktor nigdy nie miał żony ani dzieci.

Po drodze w Karpaty zatrzymali się na lunch w Timisoara, w zajęzdzie o nazwie „Myśliwski Raj”. Zajazd urządony był w stylu średniowiecznej winiarni i panowała tu wspańska atmosfera.

— Specjalnością tego miejsca jest dobra zabawa — powiedział Louis. — Polecam dziczyznę.

— Dobrze.

Nigdy przedtem nie jadła dziczyzny. Była wyśmienita. Louis zamówił butelkę zghihary, miejscowego białego wina.

Była w Louisie trudna do określenia siła wewnętrzna, która sprawiała, że Mary czuła się spokojna i bezpieczna.

Przyjechał po nią w miejsce, w którym się umówili, daleko od ambasady.

— Lepiej, żeby nikt nie wiedział, dokąd jedziesz — powiedział Desforges — w przeciwnym razie wszyscy będą o tobie plotkować.

Za późno, pomyślała kwaśno Mary.

Louis pożyczył samochód od znajomego z ambasady francuskiej. Samochód miał białoczarne, owalne tablice rejestracyjne, przeznaczone dla korpusu dyplomatycznego.

Mary wiedziała, że tablice rejestracyjne są ważną informacją dla policji. Obcokrajowcy dostawali numery rejestracyjne, rozpoczynające się od numeru dwanaście. Samochody rządowe natomiast zaopatrzone były w tablice koloru żółtego.

Zaraz po lunchu wyruszyli w dalszą drogę. Jadąc mijali wiele prymitywnych, zbitych z drewnianych pali furmanek, powożonych przez miejscowych chłopów, oraz wozy cygańskie.

Louis był doskonałym kierowcą. Mary przyglądała mu się podczas jazdy, myśląc o tym, co powiedział jej Mikę Slade: „Przeglądałem jego akta. Pan doktor nigdy nie miał żony ani dzieci. On jest agentem wroga”.

Nie wierzyła mu ani trochę. Instynktownie wyczuwała, że Mikę Slade kłamał. To nie Louis wkradał się do jej biura, żeby wypisywać na ścianach te okropne słowa. Ktoś inny



usiłował ją przestraszyć. Mary ufała Louisowi. Żaden człowiek nie potrafiłby udać tego, co widziała w jego twarzy, kiedy bawił się z dziećmi, nawet najlepszy aktor.

Zauważyła, że zrobiło się chłodniej, a przy drodze zamiast dębów i innych drzew nizinnych pojawiły się jesiony, świerki i jodły.

— Znajdują się tu wspaniałe tereny łowieckie — powiedział do niej Louis. — Można polować na dziki, jelenie, wilki i czarne kozice.

— Nigdy nie byłam na polowaniu.

— Może pewnego dnia pojedziesz ze mną.

W oddali widać było góry, które wyglądały dokładnie jak Alpy Szwajcarskie, które Mary oglądała kiedyś na zdjęciu. Ich szczyty tonęły w chmurach i mgle. Droga, którą jechali, prowadziła przez lasy i zielone doliny, gdzie tu i ówdzie widać było pasące się krowy. Nad nimi wisały ciężkie chmury stalowego koloru i Mary miała wrażenie, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby ich dotknąć, a przylepiłyby się do palców jak zimny metal.

Było już późne popołudnie, kiedy dojechali do Sioplea, uroczej górskiej miejscowości wypoczynkowej. Hotel, w którym się zatrzymali, zbudowany był na podobieństwo drewnianego domku górskiego. Mary została w samochodzie, podczas gdy Louis poszedł zarejestrować ich oboje w recepcji hotelowej.

Stary portier zaprowadził ich do apartamentu, składającego się z dość dużego, prosto umeblowanego pokoju, sypialni, łazienki i tarasu, z którego rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na góry.

— Po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie jestem malarzem — westchnął Louis.

— To naprawdę wspaniały widok.

Zbliżył się do Mary.

— Nie to miałem na myśli. Chciałbym móc namalować ciebie.

Mary stwierdziła, że czuje się jak siedemnastolatka na pierwszej w życiu randce. Była zdenerwowana.

Louis objął ją i mocno przygarnął do siebie. Mary wtuliła głowę w jego piersi, a potem usta Louisa odnalazły jej usta, jego ręce pieściły jej ciało. Powoli przesunął jej rękę w dół, tak iż odnalazła jego twardniejącą męskość i zapomniała o wszystkim, prócz tego, co się z nią dzieje.

Była w niej szaleńcza potrzeba, daleko głębsza niż fizjologiczne zaspokojenie. Potrzeba kogoś, kto byłby blisko niej, kto zapewniłby jej spokój, bezpieczeństwo, kogoś, dzięki komu skończyłaby się jej samotność. Chciała, żeby Louis był w niej, a ona w nim; żeby złączyli się w jedno.

Leżeli na dużym, podwójnym łożu. Mary czuła jego język, przesuwający się po jej nagim ciele aż do miękkiej głębi rozkoszy, a potem Louis był w niej, a ona krzyczała głośno w dzikim, namiętym uniesieniu, zanim rozprysnęła się na tysiąc świetlistych kawałeczków. I jeszcze raz, i jeszcze, aż rozkosz stała się niemal zbyt wielka, aby ją znieść.

Louis był wspaniałym kochankiem, namiętym i wymagającym, czułym i delikatnym. Kochali się bardzo długo, aż poczuli się zmęczeni, lecz szczęśliwi. Mary ułożyła się w ramionach Louisa i zaczęli rozmawiać.

— To takie niezwykle — powiedział Louis — znowu poczułem się w pełni człowiekiem. Odkąd René i dzieci zostały zamordowane, byłem jak zagubiony duch, błądzący bez celu po świecie.

Ja również, pomyślała Mary.

— Tęskniłem za nią w każdy możliwy sposób, nawet nie zdając sobie do końca sprawy, jak bardzo. Czułem się bez niej taki bezradny. Nawet jeśli chodziło o proste, codzienne czynności. Nie umiałem gotować ani prać, ani pościelić porządnie łóżka. My, mężczyźni, zbyt wiele rzeczy uważamy za oczywiste.

— Louis, ja też czułam się bezradna. Edward był moim parasolem i kiedy spadł deszcz, a jego nie było, żeby mnie chronić, omal nie utonąłam.

W końcu zasnęli.

Po przebudzeniu znowu się kochali, tym razem z wielkim spokojem i czułością, delikatnie i powoli rozbudzając płomień rozkoszy.

To, co Mary przeżywała, było prawie doskonałe. Prawie, ponieważ było jedno pytanie, którego nie odważyłaby się zadać, a które brzmiało: „Czy miałeś żonę i dzieci, Louis ?”

Wiedziała, że gdyby o to spytała, wszystko między nimi byłoby skończone, Louis nigdy by jej nie wybaczył, że mogła wątpić w jego uczciwość. Do diabła z Mikiem Slade'em, pomyślała. Do diabła z nim.

Louis jej się przyglądał.

— O czym myślisz?

— O niczym, kochanie.

Co robiłeś w tej ciemnej uliczce, kiedy tamci ludzie próbowali mnie porwać?

Tego wieczoru zjedli obiad na tarasie, a Louis zamówił curumatę — likier truskawkowy, robiony w górach.

W sobotę pojechali kolejką linową na szczyt góry. Po powrocie pływali w krytym basenie, kochali się w prywatnej saunie i grali w brydża z podstarzałym małżeństwem niemiec-  
kim, spędzającym właśnie miesiąc miodowy.

Wieczorem pojechali do Eintrul, wiejskiego zajazdu w górach, gdzie zjedli obiad w dużym pomieszczeniu z kominkiem, w którym huczał ogień. Z sufitu zwisały drewniane żyrandole, a na ścianie nad kominkiem wisały trofea myśliwskie. Pomieszczenie oświetlały płomyki świec, a przez okna widać było góry pokryte śniegiem. Doskonałe miejsce i doskonałe towarzystwo.

Wreszcie, o wiele za szybko, nadszedł czas powrotu.

Czas wracać do realnego świata, pomyślała Mary. A jaki jest ten realny świat? Miejsce, w którym jej grożono, próbowano ją porwać i malowano okropne napisy na ścianach biura.

\* \* \*

Jazda z powrotem była przyjemna i spokojna. Napięcie, spowodowane wzajemnym pożądaniem, które odczuwali oboje w drodze w góry, ustąpiło miejsca świadomości łączącej ich więzi. Louis był naprawdę wspaniałym towarzyszem.

Zbliżając się do przedmieść Bukaresztu, mijali rozciągające się wokół pola słoneczników, których główki zwrócone były ku słońcu.

Są podobne do mnie, ucieszyła się Mary. W końcu i dla mnie zaświeciło słońce.

Beth i Tim z niecierpliwością wyglądali powrotu matki.

— Czy zamierzasz wyjść za Louisa ? — spytała Beth.

Mary była tak zaskoczona tym pytaniem, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Było to coś, o czym sama nawet nie śmiała pomyśleć.

— No, wyjdiesz za niego ?

— Nie wiem — odrzekła ostrożnie. — A gdybym to zrobiła, czy mielibyście coś przeciwko temu ?

— On nie jest tatusiem — odparła powoli Beth — ale Tim i ja przeprowadziliśmy małe głosowanie: lubimy go.

— Ja również — powiedziała uszczęśliwiona Mary.

W biurze czekało na nią dwanaście róż, do których dołączona była kartka z napisem: „Dziękuję Ci za Ciebie”.

Przeczytała kartkę i zamyśliła się. Czy Louis wysyłał kwiaty Renee? Czy Renee i dwie córki Louisa w ogóle kiedyś istniały? Nienawidziła siebie za te myśli. Dlaczego Mikę Slade miałby wymyślić takie potworne kłamstwo? Nie było żadnego sposobu, żeby to sprawdzić. Z zamyślenia wyrwało ją wejście Eddiego Maltza, konsula do spraw politycznych i agenta CIA w jednej osobie.

— Świetnie pani wygląda, pani ambasador. Zapewne przyjemnie spędziła pani sobotę i niedzielę.

— Owszem, dziękuję.

Przez jakiś czas rozmawiali o pewnym rumuńskim pułkowniku, który zwrócił się do Maltza z prośbą o pomoc w ucieczce za granicę.

— Byłby dla nas bardzo cennym nabytkiem. Mógłby przekazać nam wiele ciekawych informacji. Dzisiaj wieczorem wyślę w tej sprawie tajną depezę, ale chciałem, żeby była pani przygotowana na ewentualne nieprzyjemności ze strony Ionescu.

— Dziękuję panu.

Maltz wstał, żeby wyjść, kiedy pod wpływem nagłego impulsu Mary powiedziała:

— Proszę zaczekać. Czy... czy mogłabym pana prosić o pewną przysługę?

— Oczywiście.

Nieoczekiwanie dla samej siebie, Mary uczuła ogromne skrępowanie.

— To... bardzo osobista i poufna sprawa.

— Brzmi jak nasze motto — uśmiechnął się Maltz.

— Chciałabym uzyskać pewne informacje o doktorze Louisie Desforgesie. Czy pan go zna?

— Owszem, proszę pani. Jest pracownikiem ambasady francuskiej. Co chciałaby pani o nim wiedzieć?

Było to trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Miała wrażenie, że dopuszcza się zdrady.

— Chciałabym... chciałabym się dowiedzieć, czy doktor Desforges był kiedykolwiek żonaty i miał dwoje dzieci. Czy mógłby pan to sprawdzić?

— W ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli to pani odpowiada — odparł Maltz.

— Tak, dziękuję.

Wybacz, Louis.

Wkrótce po wyjściu Maltza do biura Mary wszedł Mikę Slade.

— Witam panią.

;- Dzień dobry.

Postawił na biurku kubek z kawą. W jego zachowaniu Mary dostrzegła ledwo uchwytną zmianę. Nie wiedziała, co to było, ale miała wrażenie, że Slade wie wszystko o jej wyjeździe poza miasto. Może wysłał za nią szpiegów, aby donosili mu o każdym jej kroku?

Pociągnęła łyk kawy — była jak zwykle doskonała. Przynajmniej jedną rzecz Mikę Slade potrafił robić dobrze, pomyślała.

— Mamy do omówienia kilka spraw — powiedział Slade.

Całe przedpołudnie spędzili na omawianiu problemów dotyczących Rumunów, którzy chcieli emigrować do Ameryki, kryzysu finansowego w Rumunii, Rumunki, która zaszła w ciążę z amerykańskim żołnierzem, i wielu innych spraw.

Pod koniec spotkania Mary była zmęczona bardziej niż zwykle.

— Dzisiaj wieczorem jest premiera przedstawienia baletowego — powiedział Slade. — Tańczyć będzie Corina Socoli.

Mary znane było to nazwisko — Corina Socoli była jedną z najlepszych primabalerin na świecie.

— Jeżeli miałyby pani ochotę pójść, to mam kilka biletów.

— Nie, dziękuję.

Pomyślała o tym, jak poprzednio dostała bilety od Mike'a i co się wówczas zdarzyło. Poza tym miała już inne plany na wieczór: była zaproszona na przyjęcie w ambasadzie chińskiej, a potem miała spotkać się z Louisem w rezydencji. Nie mogli pokazywać się razem zbyt często. Mary zdawała sobie sprawę, że spotykając się z pracownikiem innej ambasady, łamie podstawowe zasady. Ale przecież to było coś więcej niż przelotny romans.

Przygotowując się na przyjęcie, Mary wyjęła z szafy wieczorową suknię i zobaczyła, że pokojówka ją uprała, zamiast oddać do pralni chemicznej. Suknia była zniszczona. Zwolnię ją, pomyślała wściekła. Tylko że nie mogę — te ich cholerne przepisy.

Nagle poczuła ogromne zmęczenie i padła na łóżko. Jaka szkoda, że muszę iść na to przyjęcie, pomyślała. Byłoby cudownie, gdybym mogła po prostu zostać tutaj i zasnąć. Ale musi pani iść, pani ambasador. Pani kraj liczy na panią.

Leżała na łóżku, puszczając wodze fantazji. Mogłaby zostać w domu i nie pójść na przyjęcie. Ambasador Chin witałby innych gości, niecierpliwie czekając na jej przybycie. W końcu oznajmiają, że obiad podano. Ambasador Stanów Zjednoczonych nie przybył, co jest jawną obrazą. Chiny straciły twarz. Ambasador chiński wysłałby tajną depezę,

a premier Chin po jej odczytaniu wpadłby we wściekłość i zadzwonił do prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby zaprotestować.

„Ani pan, ani nikt inny nie może zmusić mojego ambasadora, żeby chodził na wasze przyjęcia”, krzyknąłby w odpowiedzi prezydent Ellison. Na to premier Chin wrzasnąłby: „Nie pozwolę się tak traktować. My również mamy teraz bomby nuklearne, panie prezydencie”. Obaj przywódcy równocześnie nacisnęliby przyciski uruchamiające bomby nuklearne i oba kraje zniknęłyby z powierzchni ziemi.

Mary usiadła na łóżku. Lepiej będzie, jeśli jednak pójdę na to cholerne przyjęcie, pomyślała znużona.

Podczas przyjęcia znajome twarze osób należących do korpusu dyplomatycznego rozpyływały się przed jej oczyma w jedną wielką plamę. Z trudnością, jakby przez mgłę, rozpoznawała osoby siedzące przy stole. Nie mogła doczekać się powrotu do domu.

Kiedy Florian odwoził ją do rezydencji, Mary uśmiechnęła się sennie: ciekawe, czy prezydent Ellison zdawał sobie sprawę, że tego wieczora zapobiegła wojnie nuklearnej?

Następnego ranka, kiedy Mary przybyła do biura, czuła się jeszcze gorzej. Bolała ją głowa i miała mdłości. Humor poprawiła jej nieco wizyta Eddiego Maltza.

— Mam informacje, o które pani prosiła — oznajmił jej agent CIA. — Doktor Louis Desforges był żonaty przez czternaście lat. Żona nazywała się Renee. Mieli dwie córki: dziesięcio- i dwunastoletnią, Philip i Genevieve. Zostały zamordowane w Algierii przez terrorystów, prawdopodobnie był to akt zemsty na doktorze, który walczył w podziemiu. Czy interesuje panią coś jeszcze?

— Nie — odrzekła z uśmiechem Mary. — To wystarczy. Dziękuję panu.

Przy porannej kawie Mary i Mikę Slade rozmawiali o zbliżającej się wizycie grupy amerykańskich studentów.

— Na pewno chcieliby się spotkać z prezydentem Ionescu.

— Zobaczą, co da się zrobić — odparła niewyraźnie Mary. Jej głos rwał się, a słowa zlewały w bełkot.

— Czy pani źle się czuje?

— Jestem tylko trochę zmęczona.

— W takim razie powinna pani napić się jeszcze kawy. To panią z pewnością ożywi.

\* \* \*

Po południu Mary czuła się jeszcze gorzej. Zadzwoiła do Louisa i odwołała obiad, na który byli umówieni wieczorem. Czuła się zbyt słabo, żeby się z kimkolwiek spotkać. Żałowała, że nie może zobaczyć się z amerykańskim lekarzem, gdyż nie było go w Bukareszcie. Może Louis wiedziałby, co jej jest. Jeśli mi samo nie przejdzie, zdecydowała, zadzwonię do niego.

Dorothy Stone dała tylenol, który wzięła od dyżurnej pielęgniarki, ale i to nie pomogło.

Sekretarka była zaniepokojona stanem Mary.

— Wygląda pani naprawdę źle, pani ambasador. Powinna pani być w łóżku.

— Nic mi nie będzie — wymamrotała Mary.

Dzień ciągnął się bez końca. Mary odbyła spotkanie ze studentami, z urzędnikami rumuńskimi, z amerykańskim banquierem, z przedstawicielem USIS — Służby Informacyjnej Stanów Zjednoczonych, a wieczorem z trudem przesiedziała nie kończące się przyjęcie w ambasadzie duńskiej. Kiedy wreszcie dotarła do domu, padła na łóżko jak nieżywa.

Nie mogła zasnąć. Było jej gorąco, jakby miała wysoką temperaturę, i dręczyły ją koszmarne przywidzenia. Wydawało jej się, że biegnie przez labirynt korytarzy, a za każdym razem, kiedy skręca w następny korytarz, wpadała na człowieka malującego krwią okropne napisy na ścianach. Widziała tylko tył głowy tego człowieka. Nagle pojawił się Louis, a kilku mężczyzn próbowało wepchnąć go do samochodu. Ulicą biegł Mikę Slade, krzycząc: „Zabijcie go. On nie ma rodziny”.

Mary ocknęła się zlaną zimnym potem. W pokoju było gorąco nie do zniesienia. Odrzuciła kołdrę i nagle zrobiło jej



się bardzo zimno. Zaczęła szczękać zębami. O Boże, pomyś- I  
lała, co się ze mną dzieje?

Nie spała przez resztę nocy, bojąc się zasnąć. Obawiała  
się tego, co może jej się przyśnić.

Rankiem Mary musiała zebrać wszystkie siły, żeby wstać  
z łóżka i udać się do ambasady. Czekał na nią Mikę Slade.  
Przyjrzał się jej krytycznie i rzekł:

— Nie wygląda pani najlepiej. Może powinna pani  
polecieć do Frankfurtu i zobaczyć się z naszym lekarzem ?

— Nic mi nie jest. — Miała suche i popękane usta. Czowała  
się zupełnie wyczerpana.

Mikę podał jej kubek z kawą.

— Mam dla pani nowe rozliczenia do sprawdzenia.  
Rumuni będą potrzebować więcej ziarna, niż się spodziewaliś-  
my. A oto w jaki sposób możemy sobie z tym poradzić...

Mary próbowała się skupić, ale głos Mike'a to nikał  
gdzieś w oddali, to znowu się pojawiał.

Udało jej się jakoś przetrwać ten dzień. Louis dzwonił do  
niej dwa razy, ale Mary kazała sekretarce mówić, że jest na  
spotkaniu. Próbowała\* oszczędzać resztki sił, żeby móc kon-  
tynuować pracę.

Kiedy wieczorem Mary położyła się do łóżka, czuła, że  
jej temperatura wzrosła. Bolał ją każdy najmniejszy mięsień.  
Jestem naprawdę chora, pomyślała. Czuję się, jakbym umie-  
rała. Z ogromnym wysiłkiem podniosła rękę i pociągnęła za  
sznur dzwonka. Natychmiast weszła Carmen.

Spojrzała zaniepokojona na Mary.

— Pani ambasador! Co...?

— Powiedz Sabine, żeby zadzwoniła do ambasady  
francuskiej — wycharczała Mary. — Potrzebuję doktora  
Desforges'a...

Mary otworzyła oczy i je przymrużyła. Widziała roz-  
mazany, podwójny obraz stojącego obok Louisa. Podeszedł do  
niej, pochylił się i przyjrzał uważnie jej rozpalonej twarzy.

— Boże, co ci się stało? — Położył dłoń na jej czole, było gorące. — Czy mierzyłaś temperaturę?

— Nie chcę wiedzieć. — Mówienie sprawiało jej ból. Louis usiadł na brzegu łóżka.

— Kochanie, jak długo to już trwa?

— Kilka dni. To pewnie tylko jakiś wirus.

Louis sprawdził jej puls, był słaby i nieregularny. Kiedy pochylił się nad nią, poczuł jej oddech.

— Czy jadłaś dzisiaj coś z czosnkiem ?

Powoli pokręciła głową.

— Nie jadłam niczego od dwóch dni — wyszeptwała. Nachylił się i unióś jej powieki.

— Czy odczuwałaś pragnienie?

Skinęła potakująco głową.

— Czy bolało cię wszystko, miałaś kurcze mięśni, wymioty, nudności?

Wszystko się zgadza, pomyślała Mary ze znużeniem, a głośno spytała:

— Co mi jest, Louis?

— Czy możesz odpowiedzieć na kilka pytań?

Z trudnością przełknęła ślinę.

— Spróbuję.

Wziął jej rękę w swoje dłonie.

— Kiedy zaczęłaś się źle czuć?

— Dzień po naszym powrocie z gór. — Nie miała siły mówić głośno.

— Czy poczułaś się źle po zjedzeniu lub wypiciu czegoś?

Pokręciła przecząco głową.

— Po prostu z każdym dniem czułaś się gorzej?

Skinęła głową.

— Czy śniadania jadasz w rezydencji, razem z dziećmi?

— Zwykle tak.

— Ale dzieci czują się dobrze?

Znowu skinęła głową.

— A co z lunchem? Czy codziennie jadasz lunch w tym samym miejscu?

— Nie. Czasami jem w ambasadzie, czasami podczas spotkań w restauracjach — wyszeptwała z trudnością.

— Czy jest takie miejsce, w którym regularnie jadasz obiady, albo czy jest coś, co jadasz regularnie?

Mary czuła się zbyt zmęczona, żeby dalej rozmawiać.

Chciałaby, żeby Louis już sobie poszedł. Zamknęła oczy.

Louis potrząsnął nią delikatnie.

— Mary, nie zasypiaj. Posłuchaj mnie. — Jego głos brzmiał nagląco. — Czy jest jakaś osoba, z którą regularnie jadasz?

Mary spojrzała na niego półprzytomnym wzrokiem.

— Nie.

Dlaczego Louis zadaje jej te wszystkie pytania?

— To wirus — wymamrotała — prawda?

Louis wziął głęboki oddech.

— Nie. Ktoś próbuje cię otruć.

Mary poczuła głęboki dreszcz przenikający jej ciało.

Otworzyła szeroko oczy.

— Co? To niemożliwe.

— Powiedziałbym, że to arszenik — rzekł, marszcząc brwi — tylko że w Rumunii nie można kupić arszeniku.

Mary poczuła nagle przerażenie.

— Kto... kto próbowałby mnie otruć?

Louis ujął mocniej jej dłoń.

— Kochanie, musisz się zastanowić. Czy jesteś pewna, że nie ma jakiegoś miejsca lub osoby, z którą jadasz lub pijesz coś każdego dnia?

— Oczywiście, że nie — zaprzeczyła słabo Mary. — Już ci mówiłam. Ja...

Kawa. Mikę Slade. Jego specjalny sposób parzenia.

— O mój Boże!

— O co chodzi?

Mary przełknęła ślinę i z trudnością wyszeptwała:

— Mikę Slade codziennie przynosi mi kawę. Zawsze rano czeka na mnie w biurze.

Louis patrzył na nią zaskoczony.

— Nie. To nie może być Mikę Slade. Z jakiego powodu chciałby cię zabić?

— On... on chce się mnie pozbyć.

— Porozmawiamy o tym później — zdecydował Louis.

— Najpierw musimy się zająć tobą. Powinienem zabrać cię

do szpitala, ale twoja ambasada na to nie pozwoli. Pójdę po lekarstwo dla ciebie. Za kilka minut będę z powrotem.

Mary została sama, usiłując zrozumieć, o czym mówił Louis. Arsenik. Ktoś truje mnie arsenikiem. Musisz jeszcze napić się kawy. To ci dobrze zrobi. Sam ją parzę.

Zapadła w omdlenie, z którego obudził ją głos Louisa.

— Mary!

Zmusiła się do otwarcia oczu. Louis stał obok łóżka, wyjmując strzykawkę z małej torebki.

— Cześć, Louis. Cieszę się, że przyszedłeś — wymamrotała.

Louis znalazł żyłę w jej przedramieniu i wbił w nią igłę strzykawki.

— Robię ci zastrzyk z BAL. To jest antidotum przeciw działaniu arszeniku. Będę podawał ci to na zmianę z penicyliną. Następnym zastrzyk zrobię ci rano. Mary?

Spała.

Następnego ranka Mary dostała drugi zastrzyk, a wieczorem jeszcze jeden. Ich działanie było natychmiastowe, nieomal graniczyło z cudem. Objawy zatrucia ustępowały jeden po drugim. Na trzeci dzień zarówno temperatura, jak i samopoczucie Mary były prawie normalne.

Louis siedział w sypialni i wkładał strzykawkę do papierowej torby, żeby nie znalazła jej wścibska służba. Mary była wyczerpana i słaba jak po długiej chorobie, ale nie odczuwała już bólu ani żadnych innych objawów zatrucia.

— Już po raz drugi uratowałeś mi życie.

Louis spoważniał.

— Sądzę, że powinniśmy dowiedzieć się, kto na nie nastaje.

— W jaki sposób?

— Sprawdziłem już w kilku ambasadach, w żadnej z nich nie mają arszeniku. Nie udało mi się sprawdzić w ambasadzie amerykańskiej. Chciałbym cię o coś prosić. Czy sądzisz, że będziesz czuła się na tyle dobrze, żeby pójść jutro do pracy?

— Chyba tak.

— Chcę, żebyś poszła do apteki w waszej ambasadzie. Powiedz im, że potrzebny ci jest środek chemiczny na szkodniki w ogrodzie i poproś o antrol. Jego podstawowym składnikiem jest arszenik.

Mary patrzyła na niego, zdumiona.

— Po co mam to robić?

— Podejrzewam, że arszenik został przywieziony do Bukaresztu. Jedynym miejscem, w którym może się znajdować, jest apteka w ambasadzie. Każdy, kto bierze środek trujący, musi złożyć swój podpis. Kiedy będziesz się podpisywać, sprawdź, czyje nazwiska są na liście...

W drzwiach ambasady powitał ją Gunny i pomógł jej wejść. Mary przeszła długim korytarzem, na którego końcu znajdowała się apteka. Za okratowanym okienkiem pracowała dyżurna pielęgniarka. Zobaczyła Mary i natychmiast podeszła do okienka.

— Dzień dobry, pani ambasador. Czy lepiej się już pan czuje?

— Owszem, dziękuję.

— Czym mogę pani służyć?

Mary wzięła głęboki oddech.

— Mój... mój ogrodnik mówił mi, że ma kłopoty ze szkodnikami w ogrodzie. Przyszedłam więc spytać, czy macie coś, co mogłoby temu zaradzić... na przykład antrol.

— Ach, tak... owszem. Rzeczywiście, mamy trochę antrolu — odpowiedziała pielęgniarka. Sięgnęła na górną półkę i zdjęła puszkę z nalepką, na której widniał znak ostrzegający, że jest to trucizna. — To dziwne, że o tej porze roku pojawiły się szkodniki. — Położyła przed Mary formularz. — Musi się pani podpisać. Antrol zawiera arszenik.

Mary patrzyła na formularz — było na nim tylko jedno nazwisko.

Mikę Slade.

Mary próbowała zadzwonić do Louisa, żeby powiedzieć mu, czego się dowiedziała, ale linia była zajęta. Desforges rozmawiał z Mikiem Slade'em. W pierwszym odruchu Desforges chciał zameldować o próbie morderstwa, ale nie mógł uwierzyć, że Slade jest winien. Właśnie dlatego zdecydował się zadzwonić do niego osobiście.

— Właśnie byłem u twojej ambasador — powiedział.  
— Będzie żyła.

— Cóż, to wspaniała wiadomość, doktorze. A dlaczego miałyby nie żyć?

— Ktoś próbował ją otruć — odparł ostrożnie Louis.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się Mikę.

— Zastanawiam się, czy ty przypadkiem nie wiesz, o czym ja mówię.

— Zaraz, zaraz! Czy chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem ja miałem z tym coś wspólnego? Mylisz się. Sądzę, że powinniśmy spotkać się gdzieś na osobności i pogadać. Czy masz czas dziś wieczorem?

— O której godzinie?

— Jestem zajęty aż do dziewiątej. Może więc spotkajmy się kilka minut po dziewiątej przy Lasku Baneasa. Będę czekać na ciebie przy fontannie i wszystko ci wyjaśnię.

Desforges zawahał się przez moment.

— Dobrze. W takim razie do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. To niemożliwe, żeby Slade był winien, pomyślał.

Kiedy Mary ponownie zadzwoniła do Louisa, okazało się, że już wyszedł. Nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie można go znaleźć.

Mary z dziećmi jadła obiad w rezydencji.

— Wyglądasz już dużo lepiej, mamo — powiedziała Beth. — Zaczynaliśmy się martwić o ciebie.

— Czuję się zupełnie dobrze — zapewniła ją Mary. I tak było. Dzięki Bogu i Louisowi.

Nie mogła przestać myśleć o Mike'u Siadzie. Wciąż przypominała sobie jego słowa: „Przyniosłem pani kawę. Sam ją parzę”. Powoli ją zabijał. Wzdrygnęła się.

— Zimno ci? — spytał Tim.

— Nie, kochanie.

Nie wolno jej wciągać w ten koszmar dzieci. Może powinnam odesłać je na jakiś czas do domu, pomyślała. Mogłoby zamieszkać u Florence i Douga. I nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby z nimi pojechać. Ale to by było zwykłe tchórzostwo, zwycięstwo Mike'a Slade'a i tego, dla kogo pracował. Była tylko jedna osoba, która mogła jej pomóc. Stanton Rogers. On wiedziałby, jak sobie poradzić ze Slade'em.

Ale nie mogę go oskarżyć, nie mając żadnych dowodów, pomyślała. Co mogłabym mu powiedzieć? Że Mikę Slade codziennie parzy dla mnie kawę?

Tim mówił właśnie:

— ...więc powiedzieliśmy, że spytamy, czy możemy z nimi pojechać.

— Przepraszam, kochanie. Co mówiłeś?

— Mówiłem, że Nikolai spytał nas, czy moglibyśmy pojechać z nim i jego rodziną na kemping w przyszłą sobotę.

— Nie! — odrzekła ostrzej, niż należało. — Chcę, żebyście oboje trzymali się blisko domu.

— A co ze szkołą? — spytała Beth.

Mary zawahała się. Nie mogła przecież zamknąć ich na stałe w domu, a nie chciała ich przestraszyć.

— Normalnie. Jeśli tylko Florian będzie was odwoził i przywoził. Nikt inny.

Beth przyglądała się jej uważnie.

— Mamo, czy coś jest nie w porządku?

— Oczywiście, że nie — odparła szybko Mary. — Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Mam wrażenie, że coś wisi w powietrzu.

— Daj mamie spokój — powiedział Tim. — Miała przecież rumuńską grypę.

To dobre porównanie, pomyślała Mary, zatrucie arszenikiem i rumuńska grypa.

— Czy pójdziemy dziś wieczorem do kina? — spytał Tim.

— Czy m o ż e m y pójść dziś wieczorem do kina

— poprawiła go Mary.

— Czy to znaczy, że tak?

Mary nie planowała wyprawy do kina, ale ponieważ ostatnio niewiele czasu spędzali razem, zdecydowała, że powinna z nimi pójść.

— Owszem, tak.

— Dziękujemy, pani ambasador — wykrzyknął Tim.

— Ja wybieram film.

— A właśnie, że nie. Ty wybierałeś poprzednim razem.

Czy możemy pójść jeszcze raz na *Amerykańskie graffiti*?

Amerykańskie graffiti. I nagle Mary uprzytomniła sobie, jaki dowód mogłaby pokazać Stantonowi Rogersowi.

O północy Mary poprosiła Carmen, żeby zadzwoniła po taksówkę.

— Nie chce pani, żeby Florian z panią pojechał? — zdziwiła się Carmen. — On jest...

— Nie.

Wolała to zachować w tajemnicy.

Kilka minut później podjechała taksówka i Mary wsiadła.

— Do ambasady amerykańskiej proszę.

— O tej porze ambasada jest zamknięta — odparł taksówkarz. — Nikogo tam... — Odwrócił się i poznał ją.

— Pani ambasador! To ogromny zaszczyt. — Ruszył. — Widziałem panią na zdjęciach w naszych gazetach i czasopismach. Jest pani prawie tak samo znana, jak nasz przywódca.

Mary wiedziała od pracowników ambasady, że wiele się o niej pisze w rumuńskich gazetach.

Kierowca rozgadał się na dobre.

— Lubię Amerykanów. To bardzo dobrzy ludzie. Mam nadzieję, że program waszego prezydenta LUDZIE DLA LUDZI powiedzie się. My, Rumuni, wszyscy za tym jesteśmy. Już czas, aby na świecie zapanował pokój.

Mary nie była w nastroju do rozmowy.



Kiedy przyjechali pod ambasadę, wskazała kierowcy miejsce oznaczone napisem: *PARCARE CU LUCURI REZERVATE*.

— Proszę się tu zatrzymać i wrócić po mnie za godzinę. Odwiezie mnie pan do rezydencji.

— Oczywiście, pani ambasador.

Do taksówki zbliżał się strażnik.

— Tutaj nie wolno parkować. To jest za... — Poznał Mary i zasalutował. — Przepraszam. Dobry wieczór, pani ambasador.

— Dobry wieczór — odpowiedziała mu Mary.

Strażnik podszedł z nią do wejścia i otworzył drzwi.

— Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie. Idę na chwilę do mojego biura.

— Tak, proszę pani.

Patrzył za nią, jak szła korytarzem.

Mary zapaliła światło w biurze i spojrzała na ściany, na których zamalowano groźące jej napisy. Podeszła do drzwi łączących jej biuro z biurem Mike'a Slade'a i weszła. Pokój pogrążony był w ciemności. Zapaliła światło i rozejrzała się.

Na biurku nie było żadnych papierów. Zaczęła przeszukiwać szuflady. Były puste. Leżały w nich tylko różne broszury, biuletyny i rozkłady zajęć. Nic, co mogłoby zainteresować wścibską sprzątaczkę. Mary jeszcze raz dokładnie rozejrzała się po pomieszczeniu. To musiało być gdzieś tutaj. Nie mógł tego trzymać w żadnym innym miejscu, a raczej było mało prawdopodobne, że nosił to ze sobą.

Otworzyła szuflady i powoli, dokładnie zaczęła ponownie sprawdzać ich zawartość. Kiedy doszła do dolnej szuflady, poczuła jakąś twardą rzecz pod stosem papierów. Wyjęła to i trzymając w dłoni, patrzyła długo szeroko otwartymi oczyma.

Była to puszka czerwonej farby z rozpylaczem.

Kilka minut po dziewiątej doktor Desforges czekał przy Lasku Baneasa, niedaleko fontanny. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, nie składając meldunku o Mike'u Siadzie. Nie, pomyślał w końcu. Najpierw muszę wysłuchać, co ma do powiedzenia. Gdybym niesłusznie go oskarżył, mogłoby go to zniszczyć.

Mikę Slade wyłonił się nagle z ciemności.

— Dziękuję, że przyszedłeś. Możemy wszystko szybko wyjaśnić. Powiedziałeś przez telefon, że ktoś próbował otruć Mary Ashley.

— Wiem o tym na pewno. Ktoś podawał jej arszenik.

— I uważasz, że to ja jestem winien ?

— Mogłeś dosypywać arszeniku do kawy, za każdym razem po trochu.

— Czy zameldowałeś komuś o tym ?

— Jeszcze nie. Chciałem najpierw porozmawiać z tobą.

— To dobrze — odparł Mikę.

Wyjął rękę z kieszeni. Trzymał w niej pistolet Magnum kaliber 357.

Louis wytrzeszczył na niego oczy.

— Co... co ty robisz? Posłuchaj mnie! Nie możesz...

Mikę pociągnął za spust i patrzył, jak pocisk rozszarpuje klatkę piersiową Francuza.

## \_\_\_\_\_ 27

Mary znajdowała się w Cichym Pokoju w ambasadzie i używając specjalnej linii, dzwoniła do Stantona Rogersa. W Bukareszcie była godzina pierwsza w nocy, a w Waszyngtonie szósta wieczór.

— Sekretariat pana Rogersa, słucham.

— Mówi ambasador Ashley. Wiem, że pan Rogers jest w Chinach razem z prezydentem, ale to bardzo ważne. Muszę z nim jak najszybciej porozmawiać. W jaki sposób mogłabym się z nim skontaktować?

— Przykro mi, pani ambasador. Jego plan podróży nie był ściśle określony. Nie mam, niestety, numeru telefonu, pod którym można by było go zastać.

Mary poczuła, że serce w niej zamiera.

— Kiedy spodziewacie się wiadomości od niego?

— Trudno powiedzieć. Program podróży pana Rogersa i prezydenta jest bardzo napięty. Może ktoś w Departamencie Stanu będzie mógł pani pomóc.

— Nie — odparła głucho Mary. — Nikt inny nie może mi pomóc. Dziękuję.

Siedziała sama, patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem, otoczona najlepszym na świecie sprzętem elektronicznym, który w tej chwili był dla niej zupełnie bezużyteczny. Mikę Slade chce ją zamordować. Musiała komuś o tym powiedzieć. Tylko komu? Komu mogła zaufać? Jedynym człowiekiem, który wiedział, co Slade próbował zrobić, był Louis Desforges.

Mary jeszcze raz wykręciła numer do jego mieszkania, ale nadal nikt nie odpowiadał. Przypomniała sobie, co mówił jej Stanton Rogers: „Jeśli zdarzy się, że będziesz chciała wysłać wiadomość przeznaczoną tylko dla mnie, umieść na niej kod: trzy x”.

Pospieszenie wróciła do swojego biura i napisała pilną wiadomość dla Rogersa. Na początku notatki umieściła trzy x. Otworzyła zamkniętą szufladę biurka, wyjęła z niej księgę tajnych kodów i powoli zakodowała napisaną wiadomość. Jeżeli coś jej się teraz stanie, to Stanton Rogers będzie przynajmniej wiedział, kto to zrobił.

Mary poszła korytarzem do pokoju telegraficznego.

Dyżur pełnił właśnie Eddie Maltz, agent CIA.

— Dobry wieczór, pani ambasador. Już późno, a pani jeszcze pracuje.

— Owszem — odparła Mary. — Mam pewną wiadomość do wysłania. Chcę, żeby została nadana natychmiast.

— Zajmę się tym osobiście.

— Dziękuję.

Wręczyła mu zakodowaną notatkę i pospiesznie ruszyła do wyjścia. Chciała jak najszybciej znaleźć się blisko dzieci.

W pokoju telegraficznym Eddie Maltz rozszyfrował wiadomość, którą dała mu Mary. Kiedy skończył, przeczytał ją dwa razy i zmarszczył brwi. Podeszedł do szatkownicy do papieru, włożył kartkę z notatką i patrzył, jak zamienia się w konfetti.

Następnie zamówił rozmowę telefoniczną z Floydem Bakerem, sekretarzem stanu w Waszyngtonie. Pseudonim: Thor.

Minęły dwa długie miesiące, zanim Lev Pasternak wpadł na trop wiodący do Buenos Aires. SIS i służby bezpieczeństwa z kilku innych krajów pomogły ustalić, że mordercą był Angel. Mossad podał mu nazwisko Neusy Muñez, kochanki Angela. Wszyscy chcieli dopaść Angela. Dla Lva schwytanie Angela stało się obsesją. Z powodu jego zaniedbania Marin Groza zginął i Pasternak nie mógł sobie tego wybaczyć. Jednakże mógł go pomścić. I zamierzał tego dokonać.

Nie skontaktował się bezpośrednio z Neusą Muñez. Odnalazł budynek, w którym mieszkała, i zaczął go obserwować, czekając na pojawienie się Angela. Po pięciu dniach bezskutecznego czekania zdecydował, że musi zacząć działać. Poczekał, aż kobieta wyjdzie z mieszkania, i po upływie piętnastu minut udał się na górę, otworzył wytrychem zamek u drzwi i wszedł do mieszkania. Przeszukał je szybko i dokładnie. Nie znalazł żadnych fotografii, notatek ani adresów, które pomogłyby mu odnaleźć Angela. W szafie zauważył kilka garniturów. Przystudiował dokładnie metki pochodzące ze sklepu Herrera, zdjął z wieszaka jedną z marynarek i wsunął pod ramię. W minutę później wyszedł z mieszkania tak samo cicho, jak wszedł.

\* \* \*

Następnego ranka Lev Pasternak zjawił się w sklepie Herrera. Miał zmierzwione włosy, wymięte ubranie i czuć było od niego whisky.

Podszedł do niego kierownik sklepu i spytał nieprzychylnym tonem:

— Czym mogę służyć, *señor!*

Pasternak wyszczerzył zęby w głupkowskim uśmiechu.

— Cóż — zaczął. — Mówiąc szczerze, wczoraj w nocy schlałem się jak świnia i wdałem się w grę w karty z jakimiś frajerami z Ameryki Południowej. Wszyscy chyba trochę za

dużo wypiliśmy, bracie. W każdym razie jeden z tych facetów, nie pamiętam jego nazwiska, zostawił w moim pokoju marynarkę. — Trzęsącymi się rękoma Lev uniósł nieco marynarkę. — Znalazłem na niej waszą metkę i pomyślałem, że może będziecie mogli mi powiedzieć, gdzie mogę mu to oddać. Kierownik obejrzał marynarkę.

— Tak, to było szyte u nas. Musiałbym jednak przejrzeć spis naszych klientów. Jak mogę się z panem skontaktować?

— Nijak — wymamrotał Pasternak. — Idę dalej grać w pokera. Macie wizytówki? Zadzwoń do pana później.

— Owszem. — Kierownik podał mu wizytówkę.

— Ale nie ukradniecie tej marynarki, co? — spytał nietrzeźwo Lev.

— Z całą pewnością nie — odparł z oburzeniem kierownik.

Pasternak klepnął go po ramieniu i powiedział:

— Dobra. Zadzwoń do was po południu.

Po kilku godzinach Lev zadzwonił do sklepu ze swego pokoju hotelowego.

— Dżentelmen, dla którego szliśmy tę marynarkę, nazywa się *señor* H. R. de Mendoza — poinformował go kierownik. — Posiada apartament w hotelu „Aurora”, apartament numer czterysta siedemnaście.

Pasternak sprawdził, czy drzwi do jego pokoju są zamknięte na klucz. Wyjął z szafy walizkę, zaniósł na łóżko i otworzył. Na samym dnie leżał pistolet typu SIG Sauer kaliber .45, zaopatrzone w tłumik — prezent od przyjaciela z argentyńskiej służby bezpieczeństwa. Lev upewnił się, że pistolet jest naładowany, a tłumik należycie przymocowany. Następnie włożył walizkę z powrotem do szafy i położył się spać.

O godzinie czwartej rano Lev szedł cicho korytarzem na czwartym piętrze w hotelu „Aurora”. Kiedy doszedł do drzwi z numerem 4, rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Sięgnął do zamka i bezszelestnie wsunął do niego wytrych. Kiedy usłyszał cichutki szcęk otwierającej się zasuwki, wyjął pistolet.

Nagle poczuł lekki przeciąg. Ktoś otworzył drzwi po drugiej stronie korytarza i zanim Pasternak zdążył się odwrócić, poczuł twardy i zimny przedmiot dotykający jego karku.

— Nie lubię być śledzony — powiedział Angel.

Lev zdążył jeszcze usłyszeć szczęk naciskanego spustu, zanim pocisk rozszarpał jego mózg.

Angel nie był pewien, czy Pasternak działał sam, czy z kimś współpracował, ale zawsze lepiej było zachować wszelkie środki ostrożności. Otrzymał już telefonicznie nowe zlecenie i czas było zacząć działać. Najpierw musiał zrobić zakupy. Przy Pueyrredón był bardzo dobry sklep z bielizną damską, drogi, ale Neusa zasługiwała na najlepsze. Wewnątrz sklepu było chłodno i spokojnie.

— Czy macie ładne szlafroczyki, coś z falbankami? — spytał Angel.

Sprzedawczyni ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

— I jeszcze parę majtek z rozcięciem w kroku.

Kwadrans później Angel wszedł do sklepu Frenkela. Na półkach leżały skórzane portfele, rękawiczki i teczki.

— Poproszę teczkę. Czarną.

El Aljibe w hotelu „Sheraton” była jedną z najlepszych restauracji w Buenos Aires. Angel zajął miejsce przy stoliku w kącie i położył teczkę na stole. Podszedł do niego kelner.

— Dzień dobry.

— Na początek poproszę *pargo*, a potem *parrillado* z *poroto* i *verduras*. Deser zamówię później.

— Oczywiście.

— Gdzie są toalety?

— W korytarzu, za tamtymi drzwiami po lewej stronie.

Angel wstał od stołu i ruszył we wskazanym kierunku, zostawiając teczkę na stole. Za drzwiami był wąski korytarz z dwojgiem niedużych drzwi, jedno z napisem *Caballeros*, a drugie z napisem *Damas*. Na końcu korytarza znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do hałaśliwej, zadymionej kuchni. Angel pchnął jedno skrzydło drzwi i wszedł do środka. W kuchni panował szalony ruch. Kucharze i pomoc-

nicy krztałali się, próbując nadażyć z wykonaniem pilnych zamówień pory lunchu. Kelnerzy wchodzili i wychodzili z pełnymi tacami. Kucharze wrzeszczeli na kelnerów, a kelnerzy wrzeszczeli na swoich pomocników.

Angel przepchnął się przez zatłoczone pomieszczenie i wyszedł przez tylne drzwi, wiodące w boczną uliczkę. Odczekać pięć minut, aby upewnić się, że nikt go nie śledzi.

Na rogu stała taksówka. Angel podał kierowcy adres przy Humberto, wysiadł przecnicę dalej i zatrzymał inną taksówkę.

— *Adónde, por favor?*

— Aeropuerto.

Na lotnisku czekał na niego bilet do Londynu. Druga klasa. Pierwsza mogłaby wzbudzać podejrzenia.

Dwie godziny później Angel patrzył, jak Buenos Aires znika pod chmurami jakby za sprawą sztuczki czarnoksięskiej, po czym skoncentrował się na zadaniu, które miał do wykonania. Myślał o podanych instrukcjach.

„Upewnij się, że dzieci zginą razem z nią. Ich śmierć musi być efektowna”.

Angel nie lubił, kiedy mu mówiono, jak ma wypełnić swoje zadanie. Tylko amatorzy byli na tyle głupi, żeby dawać rady zawodowcom. Uśmiechnął się. Umrą wszyscy, a ich śmierć będzie efektowniejsza niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Angel zasnął i spał głębokim, spokojnym snem.

Lotnisko Heathrow w Londynie, jak zwykle latem, zatłoczone było turystami, a jazda taksówką do dzielnicy Mayfair zajęła ponad godzinę. W holu wejściowym hotelu „Churchill” pełno było przyjeżdżających i wyjeżdżających gości.

Bagażem Angela, składającym się z trzech paczek, zajął się natychmiast goniec hotelowy.

— Proszę zanieść wszystko do mojego pokoju. Mam kilka spraw do załatwienia.

Napiwek nie był wysoki — zbyt wysoki mógł spowodować, że bagażowy zapamiętałby gościa. Angel podszedł do

wind, poczekał, aż będzie zupełnie sam, i wsiadł do jednej z nich.

Kiedy winda ruszyła, nacisnął guzik piątego, siódmego, dziewiątego i dziesiątego piętra, ale wysiadł na piątym. Każdy, kto mógłby obserwować go z holu, straciłby orientację.

Klatka schodowa wyjścia awaryjnego prowadziła w boczną uliczkę i w pięć minut po zameldowaniu się w hotelu „Churchill” Angel jechał taksówką z powrotem na lotnisko Heathrow.

W paszporcie widniało nazwisko H. R. Mendozy. Bilet był na samolot linii Tarom Airlines, lecący do Bukaresztu. Angel wysłał z lotniska telegram:

PRZYLOT W ŚRODĘ  
H. R. DE MENDOZA

Następnego dnia rano Dorothy Stone oznajmiła:

— Biuro Stantona Rogersa jest na linii.

— Już odbieram — powiedziała ożywiona Mary. Szybko podniosła słuchawkę. — Stan?

Usłyszała głos sekretarki Stantona i omal nie rozplakała się z zawodu.

— Pan Rogers prosił, żebym zadzwoniła do pani, pani ambasador. Jest z prezydentem i nie może skorzystać z telefonu, ale prosił, żebym dopilnowała, aby otrzymała pani wszystko, czego potrzebuje. Jeśli powie mi pani, o co chodzi...?

— Nie — odrzekła Mary, próbując ukryć rozczarowanie. — Ja... muszę rozmawiać z nim osobiście.

— Obawiam się, że będzie to możliwe dopiero jutro. Pan Rogers powiedział, że zadzwoni do pani, jak tylko będzie mógł.

— Dziękuję. Będę czekać na jego telefon. — Odłożyła słuchawkę. Nie miała innego wyboru, jak czekać.

Mary próbowała dodzwonić się do Louisa. Nikt nie odpowiadał. Zadzwoniła do ambasady francuskiej. Nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie można go znaleźć.

— Jak tylko się z wami skontaktuje, proszę powiedzieć mu, żeby do mnie zadzwonił.



— Dzwoni do pani jakaś kobieta — powiedziała Dorothy I Stone — ale nie chce podać nazwiska.

— Odbiorę. — Mary podniosła słuchawkę. — Halo, przy telefonie ambasador Ashley.

— Mówi Corina Socoli — odpowiedział miły damski głos z wyraźnym rumuńskim akcentem.

Wszyscy znali to nazwisko. Należało do pięknej, młodej dziewczyny, najlepszej primabaleriny Rumunii.

— Potrzebuję pani pomocy — powiedziała dziewczyna. — Zdecydowałam się uciec z tego kraju.

Nie mogę się dzisiaj tym zająć, pomyślała Mary. Nie teraz.

— Ja... nie wiem, czy mogę ci pomóc — odparła.

Jej umysł pracował szybko. Starła się przypomnieć sobie, co mówiono jej o wychodźcach.

„Wielu z nich to sowieckie wtyczki. Przyjmujemy ich, a oni karmią nas fałszywymi lub zupełnie nieistotnymi informacjami. Niektórzy zostają szpiegami. Najsmaczniejszy kąsek stanowią wysoko postawieni oficerowie wywiadu lub naukowcy. Z tych mamy prawdziwy pożytek. Ale w każdym innym wypadku nie zapewniamy azylu politycznego, chyba że jest ku temu naprawdę ważny powód”.

— Proszę, nie jestem bezpieczna tu, gdzie jestem — rozszlochała się Corina Socoli. — Musi pani kogoś po mnie przysłać.

„Komuniści potrafią zastawiać sprytnie pułapki. Ktoś udający uciekiniera prosi o pomoc. Przywozisz ich do ambasady, a wtedy zaczynają krzyczeć, że ich porwano. To daje im możliwość zdobycia nowych informacji, które mogą być użyte przeciwko Stanom Zjednoczonym”.

— Gdzie jesteś? — spytała Mary.

Krótką chwilą przerwy, a potem:

— Chyba muszę pani zaufać. Jestem w Roscow Inn w Mołdawii. Czy przyjedzie pani po mnie?

— Ja nie mogę — odrzekła Mary. — Ale wyślę kogoś. Nie dzwoń więcej pod ten numer. Po prostu czekaj tam, gdzie jesteś. Ja...

Drzwi otworzyły się i wszedł Mikę Slade. Mary patrzyła na niego z przerażeniem. Slade zbliżał się do niej.

— Halo? Halo?

— Z kim pani rozmawia? — spytał Mikę.

— Z... z doktorem Desforgesem. — Było to pierwsze nazwisko, które przyszło jej do głowy. Struchlała ze strachu, odłożyła słuchawkę.

Nie bądź śmieszna, powiedziała do siebie w duchu. Jesteś w ambasadzie. Tutaj nie ośmieli się nic ci zrobić.

— Z doktorem Desforgesem — powtórzył powoli Slade.

— Tak. On... on właśnie jedzie zobaczyć się ze mną.

Jakże pragnęła, żeby to była prawda!

Slade patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Lampa na biurku Mary była zapalona i jej światło powodowało, że na ścianę padał cień Slade'a i czynił go groteskowo wielkim i groźnym.

— Czy na pewno czuje się pani dobrze na tyle, żeby wrócić do pracy?

Co za tupet, żeby pytać ją o to z zimną krwią.

— Owszem, nic mi nie jest.

Rozpaczliwie pragnęła, żeby wyszedł. Wtedy mogłaby uciec. Nie mogę pokazać mu, że się boję, pomyślała.

Podszedł bliżej.

— Wygląda pani na zdenerwowaną. Może powinna pani wziąć dzieci i pojechać z nimi nad jeziora na kilka dni.

Gdzie będę łatwiejszym celem, dodała w myśli Mary.

Sam jego widok napełniał ją takim przerażeniem, że zaczynało jej brakować tchu. Rozległ się sygnał interkomu. To było dla niej wybawieniem.

— Zechce pan wybaczyć...

— Pewnie. — Mikę stał, przyglądając się jej przez chwilę, po czym odwrócił się i wyszedł, zabierając ze sobą swój cień.

Prawie szlochając z ulgi, Mary podniosła słuchawkę.

— Halo?

Był to Jerry Davis, konsul do spraw publicznych.

— Pani ambasador, nie chciałbym przeszkadzać, ale obawiam się, że mam dla pani bardzo złe wieści. Właśnie otrzymaliśmy raport z policji, mówiący, że doktor Louis Desforges został zamordowany.

Pokój zaczął wirować.

— Czy... czy jest pan pewien?

— Tak, proszę pani. Przy ciele znaleziono jego portfel. Powróciło do niej wspomnienie tamtego dnia i głos w telefonie, który mówił: „Tu szeryf Munster. Pani mąż zginął w wypadku samochodowym”. I nagle z podwójną siłą wróciły do niej rozdzierający ból i rozpacz, wypełniając serce i rozrywając je na strzępy.

— Jak... jak to się stało? — spytała zdławionym głosem.

— Został zastrzelony.

— Czy wiedzą... czy wiedzą, kto to zrobił?

— Nie, proszę pani. Służba bezpieczeństwa prowadzi śledztwo w ambasadzie francuskiej.

Upuściła słuchawkę. Jej umysł i ciało były odrętwiałe. Odchyliła się na krześle i zaczęła patrzeć w sufit. Była na nim rysa. Muszę kazać to naprawić, pomyślała. Nie możemy mieć rys w ambasadzie. Jest jeszcze jedna. Wszędzie rysy. Rysy na naszym życiu. Kiedy robi się rysa, dzieje się coś złego. Edward nie żyje. Louis nie żyje. Nie mogła znieść tej myśli. Wpatrywała się w sufit, szukając więcej rys. Nie mogę jeszcze raz przejść przez to wszystko, pomyślała. Kto chciałby zabić Louisa?

Odpowiedź przyszła natychmiast po pytaniu. Mikę Slade. Louis odkrył, że Slade karmi Mary arsenikiem. Slade myślał prawdopodobnie, że jeśli pozbędzie się Louisa, nikt niczego nie będzie mógł udowodnić.

W tym momencie uprzytomniła sobie coś, co ponownie nappełniło ją przerażeniem. „Z kim pani rozmawia? Z doktorem Desforgesem”. A przecież Mikę musiał wiedzieć, że Desforges nie żyje.

Spędziła w biurze cały dzień, zastanawiając się, co dalej robić. Nie pozwolę się zastraszyć, myślała. Nie uda mu się mnie zabić. Muszę go powstrzymać. Ogarnęło ją uczucie niepoohamowanego gniewu, jakiego nie zaznała nigdy przedtem. Zamierzała bronić siebie i dzieci. I zamierzała zniszczyć Mike'a Slade'a.

\* \* \*

Mary ponownie zamówiła pilną rozmowę ze Stantonem Rogersem.

— Przekazałam mu wiadomość od pani, pani ambasador. Oddzwoni, jak tylko będzie to możliwe.

Nie mogła pogodzić się ze śmiercią Louisa. Był taki łagodny, taki serdeczny, a teraz leżał gdzieś w kostnicy, martwy. Gdyby nie to, że zostałam w Rumunii, zamiast wracać do Kansas, myślała otępiąła z bólu, Louis żyłby do dziś.

— Pani ambasador...

Mary ocknęła się z zamyślenia. Dorothy Stone stała przed nią, trzymając w ręku kopertę.

— Strażnik przy bramie prosił, żeby to pani oddać. Powiedział, że przyniósł to jakiś chłopiec.

Na kopercie widniał napis: SPRAWA OSOBISTA, DOSTARCZYĆ AMBASADOROWI DO RAK WŁASNYCH.

Mary szybko rozerwała kopertę. Wiadomość napisana była bardzo starannym charakterem pisma. Zawierała tylko jedno zdanie:

*Droga pani ambasador,*

*Życzę przyjemnej zabawy w ostatnim dniu na ziemi.*

Podpisane było „Angel”.

Jeszcze jeden pomysł Mike'a, żeby mnie zastraszyć, pomyślała Mary. Nic z tego. Będę się trzymać od niego z daleka.

Pułkownik McKinney przeczytał uważnie notatkę, po czym potrząsnął głową.

— Wielu szaleńców chodzi po świecie. — Spojrzał na Mary. — Dzisiaj po południu ma pani zjawić się na uroczystym rozpoczęciu budowy nowego skrzydła biblioteki. Odwołam to i...

— Nie.

— Pani ambasador, to zbyt niebezpieczne, żeby pani...

— Wszystko będzie w porządku.

Teraz już wiedziała, z czyjej strony grozi jej niebezpieczeństwo, i zamierzała go uniknąć.

— Gdzie jest Mikę Slade? — spytała.

— Na spotkaniu w ambasadzie australijskiej.

— Proszę mu przekazać, że chcę się z nim natychmiast widzieć.

— Czy chciała pani ze mną rozmawiać ? — spytał Slade obojętnym tonem.

— Owszem. Chcę, żeby załatwił pan pewną sprawę.

— Jestem na pani rozkazy.

Jego sarkazm był gorszy od policzka.

— Otrzymałam telefon od kogoś, kto chce uciec z Rumunii.

— Kto to jest?

Nie miała najmniejszego zamiaru mu powiedzieć. Z pewnością wydałby dziewczynę.

— To nieistotne. Chcę, żeby pan przywiózł tutaj tę osobę.

Mikę zmarszczył brwi.

— Czy to jest ktoś, kogo Rumuni chcieliby zatrzymać?

— Tak.

— No cóż, to mogłoby prowadzić do wielu...

Przerwała mu.

— Chcę, żeby pojechał pan do Roscow Inn w Mołdawii i zabrał ją stamtąd.

Mikę zamierzał się sprzeciwić, ale ujrawszy wyraz jej twarzy, powiedział:

— Jeżeli pani tego chce, wysłę...

— Nie — odparła Mary zimnym tonem. — Chcę, żeby pan pojechał. Pojedzie z panem dwóch ludzi.

W obecności Gunny'ego i jeszcze jednego żołnierza Mikę nie będzie mógł próbować żadnych sztuczek. Przykazała Gunny'emu, żeby nie spuszczał oka ze Slade'a.

Mikę przyglądał się Mary zdumiony.

— Mam bardzo dużo pracy. Być może jutro...

— Chcę, żeby pojechał pan natychmiast. Gunny czeka w pańskim biurze. Ma pan przywieźć uchodźcę do mnie. — Jej ton nie dopuszczał sprzeciwu.

Mikę powoli skinął głową.

— Dobrze.

Mary patrzyła, jak Slade wychodzi, i poczuła tak ogromną ulgę, że zakręciło jej się w głowie. Pozbywszy się Mike'a, nareszcie była bezpieczna.

Wykręciła numer telefonu do pułkownika McKinneya.

— Zamierzam wziąć udział w dzisiejszej uroczystości — poinformowała go.

— Bardzo odradzałbym, pani ambasador. Dlaczego chce pani narażać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, kiedy... ?

— Nie mam wyboru. Reprezentuję nasz kraj. Jak by to wyglądało, gdybym za każdym razem, kiedy ktoś mi grozi, chowała się? Jeśli zrobię to raz, nie będę się już mogła nigdy pokazać. Mogłabym równie dobrze wrócić do domu. A ja, panie pułkowniku, nie zamierzam wracać do domu.

## 28

Uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowe skrzydło biblioteki amerykańskiej miała odbyć się o godzinie czwartej po południu przy placu Alexandru Sahia, gdzie obok głównego budynku biblioteki rozpościerał się spory kawał wolnej przestrzeni. Już przed trzecią na placu zgromadził się wielki tłum. Pułkownik McKinney odbył przedtem spotkanie z kapitanem Aurelem Istrase, szefem służby bezpieczeństwa.

— Zrobimy wszystko, żeby wasza ambasador otrzymała wszelką możliwą ochronę — zapewnił go Istrase.

Można było polegać na jego słowie. Rozkazał usunąć z placu wszystkie pojazdy, aby uniknąć niebezpieczeństwa w postaci bomby w samochodzie. Wszędzie wokół placu rozstawione były oddziały policji, a z dachu budynku biblioteki plac obserwował strzelec wyborowy.

Na kilka minut przed czwartą wszyscy byli na swoich stanowiskach, w pełnym pogotowiu. Specjaliści od elektroniki dokładnie przeczesali całą okolicę i nie znaleźli żadnych materiałów wybuchowych. Kiedy wszystko zostało sprawdzone i przygotowane, kapitan Istrase powiedział do pułkownika McKinneya:

— Jesteśmy gotowi.

— W porządku. — Pułkownik zwrócił się do adiutanta.  
— Proszę przekazać ambasador Ashley, że może przybywać.

\* \* \*

Do limuzyny eskortowało Mary czterech żołnierzy, którzy osłaniali ją z obu stron, kiedy wsiadała do samochodu.

— Dzień dobry, pani ambasador — powitał ją z uśmiechem Florian. — To będzie duża, piękna, nowa biblioteka, prawda?

— Tak.

Kiedy jechali, Florian się rozgadał, ale Mary go nie słuchała. Myślała o roześmianych oczach Louisa i o tym, jak czułym był kochankiem. Wbiła paznokcie w przeguby rąk, próbując bólem fizycznym zastąpić rozdzierający ból w duszy. Nie wolno mi płakać, powiedziała sobie. Cokolwiek robię, nie wolno mi płakać. Nie ma już na świecie miłości, pomyślała znużona, tylko nienawiść. Co się z tym światem dzieje?

Kiedy limuzyna dojechała na wyznaczone miejsce, dwaj żołnierze podeszli do samochodu, rozejrzeli się uważnie i otworzyli drzwiczki.

— Dzień dobry, pani ambasador.

Kiedy Mary szła w kierunku miejsca, w którym miała się odbyć uroczystość, przed nią i za nią maszerowało dwóch uzbrojonych policjantów ze służby bezpieczeństwa, osłaniających ją swymi ciałami. Z dachu snajper bacznie obserwował, co się dzieje na dole.

Zgromadzeni ludzie zaczęli klaskać, kiedy Mary stanęła w środku niewielkiego koła, skąd miała przemawiać. W tłumie wokół niej stali Rumuni, Amerykanie i attache z innych ambasad w Bukareszcie. Mary spostrzegła kilka znajomych twarzy, ale większość tłumu stanowili obcy ludzie.

Mary rozejrzała się po tłumie. Jakże ja mogę wygłosić mowę, pomyślała. Pułkownik McKinney miał rację, nie powinnam była tu w ogóle przychodzić. Jestem przygnębiona i boję się.

Pułkownik McKinney mówił do zgromadzonych:

— Panie i panowie, mam zaszczyt przedstawić państwu ambasadora Stanów Zjednoczonych.

Wokół rozległy się oklaski.

Mary wzięła głęboki oddech i rozpoczęła:

— Dziękuję wam...

Wir wydarzeń ostatniego tygodnia wciągnął ją tak bardzo, że nie przygotowała przemówienia. Jednakże gdzieś w głębi niej znajdowało się źródło, z którego słowa same płynęły do ust.

— To, co dziś tutaj robimy, może wydawać się niewielką rzeczą, ale to naprawdę ważne, ponieważ to jeszcze jeden most łączący nasz kraj ze wszystkimi krajami Europy Wschodniej. W nowym gmachu, którego budowę dzisiaj rozpoczynamy, zgromadzone zostaną wiadomości dotyczące Stanów Zjednoczonych Ameryki. Tutaj będziecie mogli poznać historię naszego kraju, zarówno jej blaski, jak i cienie. Będziecie mogli zobaczyć, jak wyglądają nasze miasta, fabryki i farmy...

Pułkownik McKinney i jego ludzie powoli przechadzali się wśród tłumu. Informacja mówiła: „Życzę przyjemnej zabawy w ostatnim dniu na ziemi”. O której, według mordercy, kończył się dzień? O szóstej po południu? O dziewiątej? O północy?

— ...ale również będziecie się mogli dowiedzieć czegoś znacznie ważniejszego niż to, jak w y g l ą d a j ą Stany Zjednoczone Ameryki. Kiedy ten nowy budynek będzie gotów, będziecie mogli dowiedzieć się, czym jest Ameryka. Pragniemy ukazać wam naszego ducha narodowego.

Z drugiej strony placu pojawił się nagle pędzący samochód, który z trzaskiem rozwalił szlaban policyjny i zatrzymał się z piskiem hamulców. Zanim zaskoczony policjant zdążył podbiec, kierowca wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać. Kiedy biegł, wyjął z kieszeni jakieś urządzenie i nacisnął jeden z przycisków. Samochód wybuchnął, obrzucając tłum gradem metalowych kawałków. Żaden z nich nie dosięgnął miejsca, w którym stała Mary, ale widzowie zaczęli tłoczyć się w panice, próbując uciec, skryć się przed niebezpieczeństwem. Snajper na dachu wycelował karabin i posłał kulę prosto w serce uciekającego mężczyzny, zanim ten zdążył zniknąć z pola widzenia. Dla pewności strzelił jeszcze dwa razy.

Godzinę zajęło rumuńskiej policji oczyszczenie placu



Alexandru Sahia z gapiów i usunięcie ciała niedoszłego zamachowca. Oddział straży pożarnej ugasił resztki płonącego samochodu. Roztrzęsioną Mary odwieziono do ambasady.

— Czy na pewno nie wolałaby pani pojechać do rezydencji i odpocząć? — spytał pułkownik McKinney.

— Przed chwilą przeżyła pani straszną rzecz i...

— Nie — odparła Mary z uporem. — Do ambasady.

To było jedyne miejsce, w którym mogła bez obawy porozmawiać ze Stantonem Rogersem. Muszę się z nim jak najszybciej skontaktować, pomyślała, bo inaczej oszaleję.

Napięcie wywołane wszystkim, co się wydarzyło, było nie do zniesienia. Udało jej się pozbyć Mike'a Slade'a, a mimo to usiłowano dokonać zamachu na jej życie. A więc Slade nie działał sam.

Rozpaczliwie pragnęła, aby Stanton Rogers zadzwonił.

O godzinie szóstej po południu Mikę Slade wkroczył do gabinetu Mary. Był wściekły.

— Zaprowadziłem Corinę Socoli do pokoju na górze — powiedział sucho. — Żałuję jak diabli, że nie powiedziała mi pani, kogo miałem przywieźć. Popelniła pani ogromny błąd. Musimy ją zwrócić. Ona jest skarbem narodowym. W żadnym wypadku rząd rumuński nie pozwoli jej na opuszczenie kraju. Jeśli...

Do biura wpadł pułkownik McKinney. Stał nagle, kiedy zobaczył Mike'a.

— Ustaliliśmy tożsamość zabitego. To Angel. Jego prawdziwe nazwisko brzmi H. R. de Mendoza.

Mikę patrzył na niego zdumiony.

— O czym ty mówisz?

— Zapomniałem — odrzekł pułkownik. — Nie było cię tutaj, kiedy to się stało. Czy pani ambasador nie powiedziała ci, że ktoś próbował ją dzisiaj zabić?

Slade odwrócił się i spojrzał na Mary.

— Nie.

— Otrzymała wiadomość z groźbą od Angela. Próbował zabić ją podczas dzisiejszej uroczystości. Jeden ze snajperów Istrase zastrzelił go.

Mikę patrzył na Mary milcząc.

— Zdaje się, że Angel był u wszystkich na czarnej liście — dodał McKinney.

— Gdzie jest jego ciało ? — spytał Slade.

— W kostnicy w głównym komisariacie policji.

Ciało leżało na kamiennym stole, nagie. Był to mężczyzna o przeciętnym wyglądzie, średniego wzrostu, o pospolitych rysach twarzy, z marynarskim tatuażem na ramieniu. Miał mały, wąski nos i nieduże usta, bardzo małe stopy i mocno przerzedzone włosy. Ubranie i przedmioty do niego należące ułożone były na stole obok.

— Czy mógłbym zerknąć?

Sierżant wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo. On na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. — Parsknął śmiechem.

Mikę podniósł kurtkę i sprawdził naszywkę. Pochodziła ze sklepu w Buenos Aires. Skórzane buty również miały argentyński napis. Obok ubrania leżały pieniądze: trochę rumuńskich lewów, kilka franków francuskich, kilka funtów angielskich i co najmniej dziesięć tysięcy dolarów w argentyńskich peso — część w nowych banknotach dziesięciopesowych, a reszta w zdewaluowanych banknotach milionpesowych.

Mikę ponownie zwrócił się do sierżanta.

— Co o nim wiecie?

— Przyleciał z Londynu liniami Tarom Airlines dwa dni temu. Zameldował się w hotelu „Intercontinental” pod nazwiskiem de Mendoza. W jego paszporcie jest domowy adres w Buenos Aires. Oczywiście fałszywy. — Policjant podszedł, żeby z bliska spojrzeć na ciało. — Nie wygląda na międzynarodowego mordercę, prawda? ■

— Nie — zgodził się Mikę. — Nie wygląda.

Kilka ulic dalej Angel miał rezydencję Mary, idąc na tyle szybko, żeby nie wzbudzić zainteresowania czterech uzbrojonych żołnierzy pilnujących głównej bramy, ale wystarczająco wolno, aby dokładnie obejrzeć każdy szczegół wejścia do budynku. Fotografie, które mu przysłano, były doskonałe,

ale Angel zawsze wolał osobiście sprawdzić wszystkie szczegóły. Blisko drzwi frontowych stał jeszcze jeden strażnik, ubrany po cywilnemu, trzymający na smyczy dwa ogromne dobermany.

Angel uśmiechnął się na myśl o wyreżyserowanym przez siebie przedstawieniu, które odbyło się na placu Alexandru Sahia. Dziecinnie łatwe było wynajęcie narkomana za cenę jednej porcji kokainy. To zmyliło czujność wszystkich. Niezłe musieli się spocić. Ale najważniejsze miało się dopiero wydarzyć. Za pięć milionów dolarów dam im przedstawienie, którego nigdy nie zapomną, pomyślał. Jak nazywają to w telewizji? Widowiska. Będą mieli widowisko na żywo i w kolorze.

Przypomniał sobie słowa, które usłyszał przez telefon: „W rezydencji odbędzie się uroczystość z okazji święta Czwartego Lipca. Będą balony, orkiestra, goście”. Angel uśmiechnął się. Widowisko za pięć milionów dolarów.

Do biura Mary wbiegła Dorothy Stone.

— Pani ambasador, wzywają panią natychmiast do Cichego Pokoju. Pan Stanton Rogers dzwoni z Waszyngtonu.

— Mary, nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz. Powoli. Odetchnij głęboko i zacznij jeszcze raz.

O Boże, pomyślała Mary, paplam jak rozhisteryzowana idiotka. Kłębiło się w niej tak wiele różnych uczuć, że ledwo mogła wydobyć z siebie głos. Czuła jednocześnie przerażenie, ulgę, gniew i bezładnie wyrzucała z siebie słowa zduszonym głosem.

Wzięła głęboki oddech, wciąż jeszcze drżąc z emocji.

— Przepraszam cię, Stan... czy nie dostałeś wiadomości ode mnie?

— Nie. Dopiero co wróciłem. Nie ma tu żadnej wiadomości od ciebie. Co się dzieje złego?

Mary próbowała zapanować nad ogarniającą ją histerią. Od czego powinnam zacząć, myślała rozpaczliwie. Ponownie wzięła głęboki oddech.

— Mikę Slade próbuje mnie zamordować.

Rogers milczał przez chwilę zaskoczony.

— Mary, doprawdy, chyba nie wierzysz...

— To prawda. Wiem o tym. Poznałam lekarza z ambasady francuskiej, Louisa Desforgesa. Zachorowałam i on odkrył, że byłam truta arsenikiem. Robił to Mikę Slade.

Tym razem głos Stanton'a zabrzmiał ostrzej.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Louis, doktor Desforges, domyślił się wszystkiego. Mikę Slade codziennie przynosił mi kawę z arsenikiem. Mam dowód, że był w posiadaniu arseniku. Ostatniej nocy Louis został zamordowany, a dzisiaj po południu ktoś współpracujący ze Slade'em usiłował dokonać zamachu na moje życie.

W słuchawce zapadła długa cisza.

Kiedy Rogers odezwał się ponownie, w jego głosie brzmiała nagląca nuta.

— Chcę cię spytać o coś bardzo ważnego, Mary. Pomyśl dobrze. Czy mógłby to być ktoś inny niż Mikę Slade?

— Nie. On próbował pozbyć się mnie od samego początku.

— W porządku — odparł krótko Rogers. — Powiadomię prezydenta. Poradzimy sobie z Mike'em Slade'em. A tymczasem postaram się o specjalną ochronę dla ciebie tam na miejscu.

— Stan... w niedzielę wieczorem wydaję w rezydencji przyjęcie z okazji święta Czwartego Lipca. Goście zostali już zaproszeni. Czy sądzisz, że powinnam to odwołać?

Chwila zastanowienia.

— Właściwie takie przyjęcie to całkiem niezły pomysł. Będziesz miała wielu ludzi wokół siebie. Mary... nie chcę cię jeszcze bardziej straszyć, ale proponowałbym, żebyś nie spuszczała oka z dzieci. Ani na moment. Slade może próbować je wykorzystać, aby dotrzeć do ciebie.

Mary poczuła dreszcz przeszywający jej ciało.

— Co się za tym kryje? Dlaczego on to robi?

— Też chciałbym wiedzieć. To wszystko nie trzyma się kupy. Ale, do diabła, zamierzam się dowiedzieć. Tymczasem trzymaj się od niego z daleka.

— Nie martw się — odrzekła ponuro Mary. — Na pewno będę trzymać się od niego z daleka.

— Będę z tobą w kontakcie.

Kiedy Mary odłożyła słuchawkę, poczuła się tak, jakby zdjęto

z jej ramion ogromny ciężar. Wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie w duchu. Dzieciom i mnie nie stanie się nic złego.

Eddie Maltz podniósł słuchawkę telefonu już po pierwszym sygnale. Rozmowa trwała dziesięć minut.

— Przypilnuję, żeby wszystko zostało dostarczone — obiecał Maltz.

Angel odłożył słuchawkę.

Ciekawe, do czego, u diabła, potrzebne mu te wszystkie rzeczy, pomyślał Maltz. Spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze czterdzieści osiem godzin.

Kiedy Rogers skończył rozmowę z Mary, natychmiast zamówił pilną rozmowę z pułkownikiem McKinneyem.

— Bill, mówi Stanton Rogers.

— Słucham pana. Czym mogę służyć?

— Chcę, żebyś zatrzymał Mike'a Slade'a. Trzymaj go pod ścisłą strażą, dopóki się z tobą nie skontaktuję.

Kiedy pułkownik odezwał się, w jego głosie brzmiała nuta niedowierzania.

— Mikę Slade?

— Chcę, żeby został zatrzymany i odizolowany. Jest prawdopodobnie uzbrojony i niebezpieczny. Nie pozwól mu z nikim rozmawiać.

— Tak jest.

— Jak tylko go będziesz miał, zadzwoń do mnie do Białego Domu.

— Tak jest.

Telefon Rogersa zadzwonił dwie godziny później. Stanton szybko chwycił słuchawkę.

— Halo?

— Mówi pułkownik McKinney, panie Rogers.

— Macie Slade'a?

— Nie, proszę pana. Jest pewien problem.

— Jaki problem ?

— Mikę Slade zniknął.

— Tak.

— Decyzja jest jednomyślna — oznajmił przewodniczący. — Jesteśmy winni szczególne podziękowania osobie, która tak bardzo przyczyniła się do realizacji naszego przedsięwzięcia.

Zwrócił się w stronę Amerykanina.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedział Mikę Slade.

\* \* \*

Dekoracje na święto Czwartego Lipca przyleciały do Bukaresztu na pokładzie samolotu C-120 Herkules w sobotę późnym popołudniem i zostały przewiezione prosto do magazynu rządowego Stanów Zjednoczonych. W skład ładunku wchodziło: tysiąc czerwonych, białych i niebieskich balonów, zapakowanych w płaskie pudła, trzy żelazne pojemniki z helem do napełniania balonów, dwieście pięćdziesiąt paczek konfetii, strzelające kapiszony, tuzin transparentów i pięć tuzinów miniaturowych flag amerykańskich. Wszystko zostało ustawione w magazynie o godzinie ósmej wieczorem. Dwie godziny później podjechał dżip z dwoma pojemnikami z tlenem, na których widniały znaki armii Stanów Zjednoczonych. Kierowca wniósł je do magazynu.

O pierwszej w nocy, kiedy magazyn opustoszał, zjawił się Angel. Drzwi magazynu były nie zamknięte. Angel podszedł do pojemników, przyjrzał im się uważnie i zabrał się do pracy. Najpierw opróżnił trzy pojemniki z helem, tak że w każdym z nich została tylko jedna trzecia zawartości. Po zrobieniu tego reszta była prosta.

Rankiem w dniu Czwartego Lipca w rezydencji panował wielki chaos i zamieszanie. Szorowano podłogi, polerowano świeczniki i żyrandole, czyszczono dywany. Z każdego pomieszczenia dochodziły przeróżne charakterystyczne dźwięki. W sali balowej, gdzie budowano podium dla orkiestry, słychać było stukot młotków, na korytarzach rozlegał się szum odkurzaczy, a z kuchni dobiegały odgłosy gotowania.

O godzinie czwartej po południu pod tylne wejście rezydencji podjechała ciężarówka armii Stanów Zjednoczonych. Pełniący służbę strażnik zatrzymał samochód.

— Co tam masz? — spytał kierowcy.

— Świedelka na przyjęcie.

— Otwórz tył.

Strażnik rozejrzał się po wnętrzu ciężarówki.

— Co jest w tych pudłach ?

— Trochę helu, balonów, flag i różne inne śmieci.

— Otwórz je.

Piętnaście minut później ciężarówka wjechała na podwórze. Kapral i dwóch żołnierzy zaczęli rozładowywać ładunek i wnosić go do dużego składu przy sali balowej.

Kiedy rozpakowywali pudła, jeden z żołnierzy zawołał:

— Patrzcie, ile balonów! Kto, u diabła, zdoła je wszystkie nadmuchać?

W tym momencie do magazynu wszedł Eddie Maltz w towarzystwie obcego człowieka w wojskowym mundurze roboczym.

— Nie przejmuj się — odpowiedział Maltz. — Żyjemy w wieku rozwiniętej technologii. — Wskazał głową obcego. — To jest właśnie ktoś, kto zajmie się balonami. Rozkaz pułkownika McKinneya.

Jeden z żołnierzy uśmiechnął się do nieznanego.

— Dobrze, że to ty, a nie ja.

Obaj żołnierze wyszli.

— Masz godzinę — powiedział Maltz do obcego. — Lepiej weź się do roboty. Trzeba nadmuchać dużo balonów.

Skinął głową kapralowi i wyszedł.

Kapral podeszedł do jednego z pojemników.

— Co jest w tych maleństwach?

— Hel — odpowiedział sucho obcy.

Kapral stał i przyglądał się, jak obcy wziął jeden z balonów, przytknął na moment jego koniuszek do wylotu pojemnika i, kiedy balon się napęlił, odczepił go. Balon poszybował do sufitu. Cała operacja nie trwała dłużej niż sekundę.

— Hej, to świetne — uśmiechnął się kapral.

W swoim biurze w ambasadzie Mary Ashley kończyła pisanie ważnych wiadomości, które musiały być natychmiast wysłane. Rozpaczliwie pragnęła, żeby przyjęcie mogło być odwołane. Spodziewano się ponad dwustu gości. Miała nadzieję, że Mikę Slade zostanie schwytany, zanim przyjęcie się rozpocznie.

Tim i Beth przebywali w rezydencji pod stałym nadzorem. Jak Slade mógł chcieć ich skrzywdzić? Mary wspomniała, z jak wielką radością z nimi się bawił. To szalenie, pomyślała.

Wstała, żeby zniszczyć niepotrzebne papiery, i nagle zastygła z przerażenia. Przez drzwi łączące jej biuro z biurem obok wszedł Mikę Slade. Mary otworzyła usta, żeby krzyknąć.

— Nie!

Nie wiedziała, co robić. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby jej pomóc. Slade mógł ją zabić, zanim zdążyłaby wezwać pomoc. Mógł też uciec tą samą drogą, którą dostał się do ambasady. Jakim sposobem udało mu się ominąć strażę? Nie mogę mu pokazać, jak bardzo się boję, pomyślała.

—*t* Ludzie pułkownika McKinneya cię szukają. Możesz mnie zabić — powiedziała Mary wyzywająco — ale nigdy nie uda ci się uciec.

— Nasłuchiwała się pani zbyt wielu bajek. Tym, który próbuje panią zabić, jest Angel.

— Jesteś kłamcą. Angel nie żyje. Widziałam, jak go zastrzelono.

— Angel jest zawodowcem z Argentyny. Ostatnią rzeczą, jaką by zrobił, byłoby przechadzanie się w ubraniu z argentyńskimi naszywkami i argentyńskimi peso w kieszeni. Ten oberwaniec, zabity przez policję, był amatorem, który został wynajęty.

Niech mówi jak najdłużej, pomyślała Mary.

— Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Ty y zabiłeś Louisa Desforgesę. Ty próbowałeś mnie otruć. Czy temu też zaprzeczasz?

Przez długą chwilę Mikę przypatrywał się jej uważnie.

— Nie. Temu nie zaprzeczam, ale lepiej będzie, jeśli o wszystkim opowie pani mój przyjaciel.



Zwrócił się w stronę drzwi swojego gabinetu i zawołał:

— Wejdz, Bill.

Do pokoju wszedł pułkownik McKinney.

— Sądzę, że najwyższy czas, abyśmy porozmawiali, pani ambasador...

W składzie przy sali balowej obcy w mundurze wojskowym napełniał balony pod czujnym okiem kaprała.

Ho, ho, pomyślał w duchu kaprał, to dopiero nieprzyjemny typ.

Nie bardzo rozumiał, dlaczego do napełnienia białych balonów obcy używał jednego pojemnika, do czerwonych drugiego, a do niebieskich trzeciego. Dlaczego nie używa jednego pojemnika, aż będzie pusty, zastanawiał się. Kusilo go, żeby o to zapytać, ale nie chciał zaczynać rozmowy. Nie z kimś takim jak ten typ.

Przez otwarte drzwi do sali balowej widział, jak wynoszą z kuchni tace z przystawkami i stawiają na stołach wzdłuż ścian. To będzie wspaniałe przyjęcie, pomyślał.

Mary siedziała w swoim biurze, a naprzeciwko niej siedzieli Mikę Slade i pułkownik McKinney.

— Zacznijmy od początku — powiedział McKinney. — W dniu inauguracji, kiedy prezydent ogłosił, iż pragnie nawiązać stosunki ze wszystkimi krajami zza żelaznej kurtyny, wybuchła bomba. Jest w naszym rządzie grupa ludzi, którzy są przekonani, że jeśli zaczniemy zadawać się z Rumunią, Rosją, Bułgarią, Albanią, Czechosłowacją i tak dalej, komuniści nas zniszczą. Po drugiej stronie żelaznej kurtyny natomiast są komuniści, którzy uważają, że plan naszego prezydenta to podstęp, koń trojański, aby wpuścić do ich krajów naszych kapitalistycznych szpiegów. Grupa wysoko postawionych osób z obu stron utworzyła tajne sprzymierzenie o nazwie „Patrioci Wolności”. Zdecydowali oni, że jedynym sposobem, aby zniszczyć plan prezydenta, jest pozwolić mu zacząć jego realizację, a następnie dokonać sabotażu w tak potworny sposób, żeby już nigdy taka próba się nie powtórzyła. I wtedy pojawiła się pani.

— Ale... dlaczego ja? Dlaczego wybrali właśnie mnie? j

— Bo bardzo ważne było opakowanie — wyjaśnił SAike.†

— Wy byliście idealni. Wspaniała kobieta ze środkowych I stanów Ameryki z dwojgiem wspaniałych dzieci. Brakowało I jeszcze tylko wspaniałego psa i wspaniałego kota. Właśnie I tego potrzebowali: wymarzona ambasador — Pani Ameryka | z dwójką czyściutkich dzieciaków. Musieli koniecznie paniąB mieć. Kiedy na drodze stanął pani mąż, zamordowali go I i upozorowali wypadek, aby nie nabrała pani podejrzeń i nie I odmówiła nominacji.

— O mój Boże! —To, co mówił Mikę, było przerażające.

— Następnym ich krokiem było zrobienie pani odpowiedniej reklamy. Dzięki różnym znajomościom wykorzystali środki masowego przekazu na całym świecie i postarali się, aby stała się pani ulubienicą wszystkich. Każdy trzymał za panią kciuki. Była pani cudowną istotą, która poprowadzić miała cały świat drogą pokoju.

— A... a teraz?

Głos Mike'a złagodniał.

— Planują zamordować panią i dzieci na oczach wszystkich, i to w jak najbardziej drastyczny sposób, aby zniechęcić cały świat i położyć kres jakimkolwiek dalszym próbom odprężenia politycznego.

Mary siedziała milcząc, oszołomiona.

— Powiedziane bez ogródek — stwierdził spokojnie pułkownik McKinney — ale dokładnie. Mikę współpracuje z CIA. Po tym, jak pani mąż i Marin Groza zostali zamordowani, Mikę zaczął pracować nad sprawą „Patriotów Wolności”. Myśleli, że jest po ich stronie i zaprosili go, aby się do nich przyłączył. Omówiliśmy nasz plan z prezydentem Ellisonem i on wyraził zgodę. Prezydent był na bieżąco informowany o rozwoju sytuacji. Najbardziej martwił się o to, żeby pani i dzieciom nic się nie stało, ale nie mógł niczego powiedzieć ani pani, ani nikomu innemu, gdyż Ned Tillingast, szef CIA, ostrzegł go, że są przecieki na wysokim szczeblu.

Mary zaczęło kręcić się w głowie.

— Ale... przecież pan próbował mnie zabić — powiedziała do Slade'a.

Mikę westchnął.

— Proszę pani, próbowałem ocalić pani życie. Wcale mi pani tego nie ułatwiała. Użyłem każdego znanego mi sposobu, żeby w końcu zabrała pani dzieci i wróciła do domu, gdzie byłibyście bezpieczni.

— Ale... pan mnie otruł.

— Tylko trochę. Chciałem, aby zachorowała pani na tyle, żeby musieć opuścić Rumunię. Nasi lekarze czekali na panią. Nie mogłem powiedzieć prawdy, bo to zawaliliby całą akcję i stracilibyśmy szansę ich schwytania. Dotąd nie wiemy jeszcze, kto tym wszystkim kieruje. Nigdy nie bierze udziału w spotkaniach. Znany jest tylko jako Zwierzchnik.

— A Louis?

— Doktor był jednym z nich. Miał pomóc Angelowi. Znał się doskonale na materiałach wybuchowych. Wyznaczyli go, żeby przebywał blisko pani. Zorganizowali porwanie na niby i została pani uratowana przez Pana Czarodzieja. — Zauważył zmieniony wyraz jej twarzy. — Była pani samotna i słaba, a oni to wykorzystali. Nie była pani pierwszą osobą, która uległa czarowi dobrego doktora.

Mary coś sobie przypomniała. Uśmiechnięty szofer. „Nikt tutaj nie jest szczęśliwy prócz cudzoziemców. Nie chciałbym, żeby moja żona została wdową”.

— Florian był w to zamieszany — powiedziała powoli. — Użył przebitej opony jako pretekstu, aby pozbyć się mnie z samochodu.

— Zajmiemy się nim.

Jedna rzecz nie dawała Mary spokoju.

— Mikę... dlaczego pan zabił Louisa?

— Nie miałem wyboru. Głównym celem ich planu było zabić panią i dzieci w jak najbardziej efektywny sposób na oczach wszystkich. Louis wiedział, że jestem członkiem Zarządu. Kiedy odkrył, że to ja próbuję panią otruć, nabrał wobec mnie podejrzeń. Przecież miała pani umrzeć w inny sposób. Musiałem go zabić, zanim mnie wydał.

Mary siedziała, słuchając, jak wszystkie kawałki tej dziwnej układanki tworzą jedną całość. Człowiek, któremu nie

ufała, otruł ją, żeby ocalić jej życie, a człowiek, o którym myślała, że go kocha, uratował ją, aby mogła umrzeć w bardziej dramatyczny sposób. Wykorzystano ją i jej dzieci. Byłam kozłem ofiarnym, pomyślała Mary. Cała ta życzliwość, którą mi okazywano, była fałszywa. Jedynym, naprawdę szczerym wobec mnie człowiekiem był Stanton Rogers. A może i on...?

— Stanton... — zaczęła — czy on...?

— Przez cały czas czuwał nad wszystkim — zapewnił ją McKinney. — Kiedy dowiedział się, że to Mikę próbuje panią zabić, natychmiast polecił mi go aresztować.

Mary skierowała wzrok na Mike'a. Został tu przysłany, żeby ją ochraniać, a ona przez cały czas uważała go za wroga. Miała w głowie kompletny zamęt.

— Louis nie miał nigdy żony ani dzieci, prawda?

— Nie.

Coś jej się przypomniało.

— Ale... poprosiłam Eddiego Maltza, żeby to sprawdził, i on powiedział mi, że Louis był żonaty i miał dwie córki.

Mikę i pułkownik McKinney wymienili spojrzenia.

— Zajmiemy się nim — powiedział McKinney. — Wysłałem go do Frankfurtu. Powiem im, żeby go przytknęli.

— Kim jest Angel? — spytała Mary.

— To zawodowy morderca z Ameryki Południowej — odpowiedział Slade. — Jest prawdopodobnie najlepszy na świecie. Zarząd zgodził się zapłacić mu pięć milionów dolarów za zabicie pani.

Mary słuchała jego słów z niedowierzaniem.

— Wiemy, że jest w Bukareszcie — mówił dalej Mikę.

— W normalnych okolicznościach wszystko mielibyśmy obstarowane: lotniska, drogi, stacje kolejowe, ale nie mamy, niestety, ani jednego rysopisu Angela. Używa kilkunastu różnych paszportów. Nikt nigdy z nim bezpośrednio nie rozmawiał. Załatwiali wszystko za pośrednictwem jego kochanki, Neusy Muñez. Poszczególne grupy wchodzące w skład Zarządu są tak od siebie odseparowane, że nie byłam w stanie dowiedzieć się, kto został wyznaczony, żeby pomagać Angelowi tutaj, ani na czym polega jego plan.

— Co może powstrzymać go od zabicia mnie?

— My — odparł pułkownik McKinney. — Przy pomocy rządu rumuńskiego przedsięwzięliśmy specjalne środki ostrożności w związku z dzisiejszym przyjęciem. Jesteśmy przygotowani na wszelkie ewentualności.

— 1 co dalej? — zapytała Mary.

— To zależy tylko od pani — powiedział ostrożnie Mike.

— Angel otrzymał polecenie, aby wypełnić kontrakt podczas dzisiejszego przyjęcia. Jesteśmy przekonani, że możemy go złapać, ale jeżeli pani i dzieci nie będziecie na przyjęciu...

— Zamilkł.

— To wtedy nie będzie niczego próbował.

— Nie dzisiaj. Prędkiej czy później znowu spróbuje.

— Pan mnie prosi, żebym wystawiła się na cel.

— Może się pani na to nie zgodzić, pani ambasador

— odezwał się pułkownik McKinney.

Mogłabym z tym teraz skończyć, pomyślała Mary. Mogłabym wrócić z dziećmi do Kansas i zapomnieć o tym koszmarze. Mogłabym rozpocząć nowe życie, wrócić do nauczania, żyć jak normalny człowiek. Nikomu nie zależy na zabijaniu nauczycieli. Angel zapomniałby o mnie.

Spojrzała na Mike'a i McKinneya i rzekła:

— Nie będę wystawiać na niebezpieczeństwo moich dzieci.

— Mogę kazać — powiedział McKinney — żeby po cichu zabrano Beth i Tima z rezydencji i przywieziono tutaj pod eskortą.

Mary długo patrzyła na Mike'a. Wreszcie spytała:

— Jak ubiera się kozioł ofiarny?

## \_\_\_\_\_ 30

W ambasadzie, w biurze pułkownika McKinneya, dwudziestu czterech żołnierzy otrzymywało rozkazy.

— Chcę, żeby rezydencja była strzeżona jak Fort Knox

— mówił pułkownik stanowczo. — Rumuni są chętni do

współpracy, Ionescu kazał swoim żołnierzom otoczyć całą okolicę. Nikt nie prześliźnie się przez wyznaczoną linię bez przepustki. My będziemy mieli własne posterunki przy każdym wejściu do rezydencji. Każdy wchodzący lub wychodzący będzie musiał przejść przez wykrywacz metalu. Zarówno budynek, jak i plac wokół niego, będą dokładnie otoczone. Na dachu czuwać będą snajperzy. Czy są jakieś pytania?

— Nie, panie pułkowniku.

— Odmaszerować.

Panowała pełna nerwowego podniecenia atmosfera oczekiwania. Światła ogromnych reflektorów, ustawionych wokół rezydencji, rozjaśniały niebo. Oddziały żandarmerii amerykańskiej i rumuńskiej policji pilnowały porządku wśród tłoczących się ludzi. Pracownicy służby bezpieczeństwa po cywilnemu wmieszali się w tłum, czujni na każdy podejrzaný znak. Niektórzy z nich przechadzali się wokół, prowadząc na smyczy psy policyjne, specjalnie wyszkolone do odnajdowania materiałów wybuchowych.

Zainteresowanie prasy było ogromne. Wszędzie kręcili się fotoreporterzy i dziennikarze z kilkunastu krajów. Każdego z nich dokładnie sprawdzono i przeszukiwano jego sprzęt, zanim pozwolono mu wejść do rezydencji.

— Dziś wieczorem nawet karaluch nie prześliźnie się tutaj nie zauważony — stwierdził z dumą oficer odpowiadający za bezpieczeństwo.

W składzie kapral powoli zaczynał nudzić się pilnowaniem osoby w mundurze, napętniającej balony. Wyjął papierosa i zaczął go przypalać.

— Zgaś to! — wrzasnął Angel.

Żołnierz spojrział na niego, zaskoczony.

— O co chodzi? Przecież napętniasz balony helem, prawda? Hel się nie pali.

— Zgaś to! Pułkownik McKinney zabronił tutaj palić.

— Cholera — mruknął kapral, niezadowolony. Rzucił papierosa i przydeptał go podeszwą buta.

Angel sprawdził, czy nie została jakaś iskra, i znowu zabrał się do napętniania balonów.

Kapral miał rację, mówiąc, że hel jest niepalny, tylko że żaden z cylindrów nie był napełniony helem. W pierwszym znajdował się propan, w drugim biały fosfor, a w trzecim mieszanina acetylenowo-tlenowa. Poprzedniej nocy Angel zostawił w każdym pojemniku tylko tyle helu, żeby balony mogły wznieść się w górę.

Białe balony napełniał Angel propanem, czerwone mieszaniną acetylenowo-tlenową, a niebieskie białym fosforem. W momencie wybuchu balonów fosfor miał spełniać rolę zapalnika powodującego reakcję wybuchową gazów, łącząc się z tlenem, co wysłałoby całe powietrze z płuc wszystkich osób, znajdujących się w promieniu pięćdziesięciu metrów. Fosfor natychmiast zamieni się w płynną rozżarzoną substancję, która spadnie na wszystkich przebywających w pomieszczeniu. Powstała przy tym energia cieplna spali płuca i gardło, a siła wybuchu zmiecie z powierzchni ziemi cały budynek. To będzie piękne widowisko, pomyślał Angel.

Wyprostował się i spojrzał na kolorowe balony, unoszące się pod sufitem składu.

— Robota skończona.

— Dobra — odparł kapral. — Teraz musimy tylko wpuścić te maleństwa do sali balowej i pozwolić gościom dobrze się bawić. — Przywołał gestem czterech strażników. — Pomóżcie mi wypuścić stąd te balony.

Jeden ze strażników otworzył drzwi do sali balowej. Całe pomieszczenie udekorowane było amerykańskimi flagami i małymi czerwonymi, białymi i niebieskimi chorągiewkami. Po drugiej stronie sali stało podwyższenie dla orkiestry. Pełno już było gości, częstujących się przystawkami ze stołów, ustawionych po obu stronach sali.

— Piękna sala balowa — powiedział Angel. Za godzinę będzie wypełniona spalonymi ciałami, dodał w myśli. — Czy mogę zrobić zdjęcie?

Kapral wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? Idziemy, chłopaki.

Żołnierze weszli do składu i zaczęli wypychać nadmuchane balony do sali, patrząc, jak wlatują pod sufit.

— Ostrożnie — ostrzegł Angel. — Ostrożnie.

— Nie martw się — zawołał jeden z żołnierzy. — Nie I uszkodzimy twoich drogocennych balonów.

Angel stał w drzwiach, patrząc na wznoszącą się trójbarwną tęczę i uśmiechał się. Tysiąc małych, śmiercionośnych cacek usadowiło się pod sufitem. Angel wyjął z kieszeni aparat fotograficzny i wszedł do sali.

— Hej! Nie wolno ci tutaj wchodzić — powiedział kapral.

— Chcę tylko zrobić zdjęcie dla mojej córki.

Nieźla musi być ta córka, pomyślał ironicznie kapral.

— No dobrze. Ale się pośpiesz.

Angel szybko spojrzał na główne wejście do sali. Właśnie wchodziła ambasador Mary Ashley z dziećmi. Angel uśmiechnął się. Wszystko szło zgodnie z planem.

Kiedy kapral odwrócił się tyłem, Angel szybko ukrył aparat pod stołem nakrytym długim obrusem. Automatyczny mechanizm odmierzający czas nastawiony był na jedną godzinę. Wszystko było gotowe.

Zbliżał się jeden z żołnierzy.

— To ja już pójde — powiedział Angel.

— Odprowadzę cię do wyjścia.

— Dziękuję.

Pięć minut później Angel był już na zewnątrz, oddalając się bez pośpiechu ulicą Alexandru Sahia.

Mimo że noc była gorąca i parna, w całej okolicy panowało ogromne zamieszanie. Policja siłą powstrzymywała setki zaciekawionych Rumunów, których wciąż przybywało. Wszystkie światła w rezydencji były zapalone i cały budynek błyszczał jasno na tle czarnego nieba.

Zanim przyjęcie się rozpoczęło, Mary zawołała dzieci na górę.

— Musimy odbyć zebranie rodzinne — oznajmiła. Czuli, że powinna powiedzieć im całą prawdę.

Dzieci siedziały z szeroko otwartymi oczyma, słuchając, jak matka opowiada im o wszystkim, co się wydarzyło, i o tym, co być może miało się jeszcze wydarzyć.

— Muszę być pewna, że nie grozi wam żadne niebez-



pieczeństwo — kończyła Mary. — Zostaniecie stąd zabrani i zawiezieni w miejsce, w którym będziecie bezpieczni.

— A ty? — spytała Beth. — Ktoś usiłuje cię zabić. Czy nie możesz pojechać z nami?

— Nie, kochanie. Chcemy przecież złapać tego niebezpiecznego człowieka.

Tim dzielnie próbował powstrzymać się od płaczu.

— Skąd wiesz, czy go złapią?

Mary pomyślała przez chwilę i odrzekła:

— Bo tak powiedział Mikę Slade. W porządku?

Beth i Tim spojrzeli na siebie. Oboje byli bladzi, przerażeni. Serce Mary ścisnął żal. Są za młodzi, żeby musieć przez to wszystko przechodzić, pomyślała. Każdy jest na to za młody.

Ubierała się powoli, zastanawiając się, czy ubiera się na śmierć. Wybrała długą suknię wieczorową z czerwonego szyfonu i czerwone sandały na wysokim obcasie. Przejrzała się w lustrze. Jej twarz była blada.

Piętnaście minut później Mary, Beth i Tim weszli do sali balowej. Przeszli przez nią, witając się z gośćmi, starając się ukryć zdenerwowanie. Kiedy doszli do końca sali, Mary zwróciła się do dzieci:

— Macie lekcje do odrobienia — powiedziała głośno.

— Wracajcie do swoich pokoi.

Patrzyła ze ściśniętym gardłem, jak wychodzą z sali. Mam nadzieję, że Mikę Slade wie, co robi, pomyślała.

Rozległ się głośny huk i Mary drgnęła. Z bijącym sercem rozejrzała się, żeby zobaczyć, co się stało. Jeden z kelnerów upuścił tacę i zbierał rozbite talerze. Mary próbowała opanować łomot serca. W jaki sposób Angel zamierzał ją zabić? Ogarnęła wzrokiem odświętnie udekorowaną salę, ale nie znalazła odpowiedzi.

Kiedy dzieci opuściły salę, pułkownik McKinney natychmiast zaprowadził je do tylnego wyjścia.

— Zabierzcie je do biura pani ambasador — powiedział do dwóch uzbrojonych, czekających przy drzwiach żołnierzy.

— I nie spuszczaście ich z oczu.

Beth zawahała się.

— Czy mamie naprawdę nic się nie stanie?

— Wszystko będzie w porządku — zapewnił ją McKinney. I modlił się, żeby miał rację.

Mikę Slade poczekał, aż Beth i Tim odjadą, po czym poszedł szukać Mary.

— Dzieci są już w drodze. Muszę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy. Zaraz wrócę.

— Niech pan mnie nie zostawia. — Słowa same wyrwały jej się z jej ust. — Chcę pójść z panem.

— Dlaczego?

Mary spojrzała na niego i powiedziała szczerze:

— Z panem czuję się bezpieczniej.

Mikę uśmiechnął się.

— A to ci dopiero odmiana. Chodźmy więc.

Mary poszła za nim, trzymając się blisko z tyłu. Orkiestra zaczęła grać i goście tańczyli. Grano melodie znanych piosenek amerykańskich, pochodzących głównie z popularnych musicali z Broadwayu, takich jak *Oklahoma*, *Południowy Pacyfik*, *Annie cię dopadnie* i *My Fair Lady*. Goście bawili się znakomicie. Ci, którzy nie tańczyli, częstowali się roznoszonym na srebrnych tacach szampanem i przystawkami ze stołów.

Sala prezentowała się wspaniale. Mary uniosła głowę, w górze, pod różowym sufitem unosiło się tysiąc czerwonych, białych i niebieskich balonów. To była piękna uroczystość. Gdyby tylko śmierć nie brała w niej udziału, pomyślała Mary. Miała tak napięte nerwy, że chciało jej się krzyczeć. Goście przechodząc trącali ją i przy każdym dotknięciu Mary napinała wszystkie mięśnie, czekając na ukłucie śmiercionośnej igły.<sup>5</sup> A może Angel planował zastrzelić ją na oczach wszystkich gości? Albo pchnąć nożem? Niepewność tego, co miało się wydarzyć, była nie do zniesienia. Z trudem mogła oddychać. Pośród śmiejących się, rozbawionych gości czuła się zupełnie naga i bezbronna. Angel mógł być wszędzie. Mógł obserwować ją nawet w tej chwili.

— Czy myśli pan, że Angel jest teraz w sali? — spytała Slade'a.

— Nie wiem — odpada Mikę. I to było najbardziej przerażające. Zauważył wyraz jej twarzy. — Proszę posłuchać, jeśli chce pani wyjść...

— Nie. Powiedział pan, że ja jestem przynętą. Bez przynęty on nie zaatakuję.

Slade pokiwał głową i ścisnął jej ramię.

— W porządku.

Podszedł do nich pułkownik McKinney.

— Dokładnie wszystko przeszukaliśmy i niczego nie znaleźliśmy. To mi się nie podoba.

— Rozejrzyjmy się jeszcze raz. — Mikę skinął na czterech stojących w pobliżu uzbrojonych żołnierzy, którzy natchmiast do nich podeszli. — Zaraz wrócimy.

Mary nerwowo przełknęła ślinę.

— Proszę.

Slade i pułkownik McKinney w towarzystwie dwóch strażników z tresowanymi psami przeszukali każdy pokój na piętrze.

— Nic — stwierdził Mikę.

Rozmawiali z żołnierzem, pilnującym tylnego wyjścia.

— Czy nie kręcił się tutaj ktoś obcy?

— Nie, proszę pana. Spokojnie jak zawsze w niedzielę wieczorem.

Niezupełnie, pomyślał gorzko Mikę.

Ruszyli w kierunku pokoju gościnnego, znajdującego się w końcu korytarza. Przy drzwiach stał strażnik. Zasalutował pułkownikowi i odsunął się, aby mogli wejść. Corina Socoli leżała na łóżku, czytając rumuńską książkę. Młoda, piękna i utalentowana — rumuński skarb narodowy. Czy mogła być podstawiona? Czy miała pomagać Angelowi?

Corina spojrzała na nich znad książki.

— Jaka szkoda, że nie mogę pójść na przyjęcie. Na pewno wszyscy wspaniale się bawią. Ale cóż, zostanę tutaj i skończę tę książkę.

— Proszę sobie nie przeszkadzać — powiedział Mikę i zamknął drzwi. — Spróbujmy jeszcze raz na dole.

Wrócili do kuchni.

— A trucizna ? — spytał pułkownik. — Jak sądzisz, czy mógłby użyć trucizny?

Mikę pokręcił głową.

— Za mało efektowne. Angel szykuje coś naprawdę wyjątkowego.

— Mikę, niemożliwe, żeby komukolwiek udało się schować w tym budynku materiały wybuchowe. Szukali na eksperci, szukały psy. To miejsce jest czyste. Nie może zaatakować nas przez dach, bo mamy obronę przeciwlotniczą. Jest to niemożliwe.

— Jest jeden sposób.

McKinney spojrział na Mike'a.

— Jaki?

— Nie wiem. Ale Angel wie.

Przeszukali jeszcze raz bibliotekę i pomieszczenia gospodarcze. Nie znaleźli niczego. Minęli skład, z którego kapral i jego ludzie wypychali ostatnie balony, patrząc, jak ulatują pod sufit.

— Ładne, nie? — spytał kapral.

— Taaak.

Ruszyli dalej. Nagle Mikę się zatrzymał.

— Kapralu, skąd przywieźli te balony?

— Z amerykańskiej bazy lotniczej we Frankfurcie, proszę pana.

Mikę wskazał na pojemniki z helem.

— A to?

— Też stamtąd. Zostały przysłane do naszego magazynu zgodnie z pańskimi rozkazami.

Mikę odwrócił się do McKinneya.

— Sprawdźmy jeszcze raz na górze.

Już mieli odejść, kiedy kapral przypomniał sobie o czymś.

— Aha, panie pułkowniku, osoba, którą pan przysłał, zapomniała zostawić rachunek. Czy to ma być załatwione w urzędzie wojskowym czy cywilnym?

McKinney zmarszczył brwi.

— Jaka osoba?

— Ta, którą wyznaczył pan do napełniania balonów.

Pułkownik pokręcił przecząco głową.

— Ja nie... kto powiedział, że ja wyznaczyłem tę osobę?

— Eddie Maltz. Mówił, że pan...

— E d d i e M a l t z ? — spytał McKinney. — Przecież wysłałem go do Frankfurtu.

Mikę zwrócił się do kaprała i spytał nagłym tonem:

— Jak wyglądał ten mężczyzna?

— To nie był mężczyzna, proszę pana. To była kobieta. Prawdę mówiąc, wydała mi się jakaś dziwna. Gruba i brzydka, i mówiła ze śmiesznym akcentem. Całą twarz miała w bliznach po ospie i jakby nalaną.

Slade spojrzął na McKinneya.

— To brzmi jak opis Neusy Muñez, który podał Harry Lantz — powiedział podniecony.

W tym samym momencie obaj zrozumieli wszystko.

— O mój Boże! — powiedział powoli Mikę. — Neusa Muñez to Angel! — Wskazał na pojemniki. — Czy ona tym napełniała balony?

— Tak, proszę pana. To było dosyć dziwne. Zapaliłem papierosa, a ona wrzasnęła na mnie i kazała zgasić. Powiedziałem, że hel się nie pali, a ona odparła...

Mikę spojrzął w górę.

— Balony! Materiał wybuchowy jest w balonach!

Obaj mężczyźni popatrzeli na sufit, pod którym unosiły się śliczne czerwone, białe i niebieskie balony.

— Ona musi mieć jakieś zdalnie sterowane urządzenie, żeby spowodować ich wybuch. — Odwrócił się do kaprała. — Jak dawno ona wyszła?

— Chyba godzinę temu.

Na podziałce ukrytego pod stołem czasomierza zostało sześć minut.

Slade rozglądał się gorączkowo po całej sali.

— Mogła to umieścić wszędzie. Możemy nie znaleźć tego na czas.

Mary szła w ich kierunku. Mikę podbiegł do niej.

— Musimy usunąć wszystkich z sali. Szybko! Niech pani to ogłosi. Lepiej zabrzmii, jeśli pani to powie. Proszę kazać wszystkim wyjść na zewnątrz.

Mary patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

— Ale... dlaczego? Co się stało?

— Znaleźliśmy zabawkę naszego przyjaciela — odrzekł ponuro Slade. Wskazał w górę. — Te balony. To one mają zabić.

Mary spojrzała w górę i na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

— Czy nie możemy ich stamtąd ściągnąć?

— Jest ich chyba z tysiąc — przerwał jej Mikę. — Zanim zdążymy je wszystkie ściągnąć, każdy oddzielnie...

Czuła w gardle taką suchość, że z trudem udało jej się wydobyć słowa.

— Mikę... Ja wiem, jak to zrobić.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią.

— Kaprys Ambasadora. Dach. Rozsuwa się na dwie części.

Slade starał się opanować podniecenie.

— Jak to działa?

— Za pomocą przycisku, który...

— Nie — przerwał jej Mikę. — Nic elektrycznego. Iskra mogłaby spowodować wybuch. Czy można to zrobić ręcznie?

— Tak — odparła szybko. — Dach jest podzielony na dwie części. Po obu stronach jest korba, która... — mówiła już tylko do siebie.

Slade i McKinney biegli po schodach jak szaleni. Na drugim piętrze zobaczyli drzwi prowadzące na strych. Pospiesznie weszli do środka. Stała tam drewniana drabina, po której robotnicy czyszczący sufit w sali balowej wchodzili na niewielki pomost powyżej. Do ściany przymocowana była korba.

— Musi być jeszcze jedna po drugiej stronie — powiedział Mikę.

Zaczął iść wąskim pomostem, torując sobie drogę wśród śmiercionośnych balonów, z trudem utrzymując równowagę i starając się nie patrzeć na tłum ludzi daleko w dole. Strumień powietrza pchnął na niego balony i Mikę stracił równowagę. Jedna stopa zsunęła mu się z pomostu i zaczął spadać. Cudem zdołał złapać się desek, z których zbudowany był pomost i zawisł pod sufitem. Powoli podciągnął się w górę. Cały zlany

był potem. Posuwając się centymetr po centymetrze dotarł do ściany, do której przymocowana była korba.

— Jestem gotów — zawołał do McKinneya. — Ostrożnie. Żadnych nagłych ruchów.

— W porządku.

Mikę bardzo wolno zaczął kręcić korba.

Czasomierz pod stołem wskazywał dwie minuty.

Slade nie widział pułkownika McKinneya, ponieważ zasłaniały go balony, ale słyszał dźwięk obracającej się drugiej korby. Powoli, bardzo powoli, dach zaczął się rozsuwać. Kilka balonów, unoszonych przez hel, odpłynęło w noc, a w miarę jak dach otwierał się szerzej, coraz więcej balonów zaczynało uciekać w górę. W końcu setki ich wyleciało przez otwór w dachu, tańcząc na tle nieba usianego gwiazdami, wywołując okrzyki zachwytu u gości w sali i ludzi na ulicy.

Na czasomierzu zostało czterdzieści pięć sekund. Pęk balonów zaczepił o brzeg sufitu, tak że Mikę nie mógł go dosięgnąć. Wychylił się do przodu, starając się je odczepić. Kołysały się tuż obok koniuszków jego palców. Slade przesunął się ostrożnie na pomoście, nie mając się czego przytrzymać, i wyprostował się cały, żeby móc wypchnąć balony. Teraz!

Stał na pomoście, patrząc, jak ulatują ostatnie balony. Wznosiły się wyżej i wyżej, barwiąc aksamitną czerń nocy swymi jaskrawymi kolorami, aż nagle niebo wybuchło.

Rozległ się potężny huk i języki czerwonych i białych płomieni wystrzeliły wysoko w niebo. To była uroczystość Czwartego Lipca, jakiej jeszcze nigdy nie było. W dole wszyscy klaskali.

Mikę patrzył, kompletnie wyczerpany, zbyt zmęczony, żeby się poruszyć. Było po wszystkim.

\* \* \*

Zgodnie ze ściśle ustalonym planem oblawa miała odbyć się w różnych zakątkach świata jednocześnie.

Floyd Baker, sekretarz stanu, był właśnie w łóżku ze swoją

kochanką, kiedy nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszło czterech mężczyzn.

— Co, u diabła, to ma znaczyć...?

Jeden z mężczyzn wyjął legitymację.

— FBI, panie sekretarzu. Jest pan aresztowany.

Baker gapił się na nich z niedowierzaniem.

— Chyba oszaleliście. O co jestem oskarżony?

— O zdradę, Thor.

Generał Oliver Brooks, Odin, jadł spokojnie śniadanie w klubie, kiedy do jego stolika podeszło dwóch agentów FBI i aresztowało go.

Sir Alex Hyde-White, Komandor Orderu Imperium Brytyjskiego i członek Parlamentu, Freyr, spełniał wygłoszony na jego cześć toast, kiedy podszedł do niego kierownik klubu.

— Przepraszam, sir Aleksie. Na zewnątrz czeka kilku dżentelmenów, którzy chcieliby z panem porozmawiać...

W Paryżu jeden z posłów, Balder, został wywołany z Izby Parlamentu Republiki Francuskiej i aresztowany przez DGSE.

Przed budynkiem parlamentu w Nowym Delhi przewodniczący Niższej Izby Parlamentu, Vishnu, został siłą wepchnięty do samochodu i zabrany do więzienia.

W Rzymie członek Izby Posłów, Tyr, odpoczywał w łaźni tureckiej, kiedy go aresztowano.

Czystka trwała.

W Meksyku, Albanii i Japonii aresztowano wiele wysoko postawionych osób i osadzono w więzieniu. Uwięziono również członka Niższej Izby Parlamentu w Zachodnich Niemczech, posła Rady Narodowej w Austrii oraz wiceprzewodniczącego Prezydium Związku Radzieckiego.

Aresztowano też prezydenta wielkiego towarzystwa przewozowego, potężnego przywódcę związkowego, telewizyjnego kaznodzieję i dyrektora kartelu naftowego.



Eddie Maltz został zastrzelony podczas próby ucieczki.

Pete Connors popełnił samobójstwo w momencie, kiedy agenci FBI wyłamywali drzwi jego biura.

Mary i Mikę siedzieli w Cichym Pokoju, czytając przysyłane z całego świata raporty.

Mikę rozmawiał przez telefon.

— Vreeland — powiedział. — Jest członkiem parlamentu Republiki Południowej Afryki. — Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Mary. — Mają już prawie wszystkich. Oprócz Zwierzchnika i Neusy Muñez — Angela.

— Nikt nie wiedział, że Angel jest kobietą?— Nie mogła się nadziwić Mary.

— Nie. Udało jej się wyprowadzić nas wszystkich w pole. Harry Lantz opisał ją członkom Zarządu „Patriotów Wolności” jako grubą, brzydką kretynkę.

— A Zwierzchnik? — spytała Mary.

— Nikt go nigdy nie widział. Wydawał rozkazy przez telefon. Doskonale to wszystko zorganizował. Zarząd podzielony był na małe komórki, tak że jedna grupa nigdy nie wiedziała, co robi inna.

Angel była zła, a nawet więcej niż zła, była rozwścieczona jak zwierzę. Z jakiegoś powodu jej plan się nie powiódł, ale była gotowa to nadrobić.

Zadzwoiła pod prywatny numer w Waszyngtonie i zmieniając barwę głosu na matową i obojętną, powiedziała:

— Angel mówi, żeby powiedzieć panu, żeby pan się nie martwił. Coś nie wyszło, ale on się tym zajmie, proszę pana. Następnym razem zginą wszyscy i...

— Nie będzie następnego razu! — wybuchnął głos w słuchawce. — Angel spartaczył robotę. Byle amator zrobiłby to lepiej.

— Angel powiedział mi...

— Nic mnie nie obchodzi, co on ci powiedział. Jest skończony. Nie dostanie ani centa. Po prostu powiedz temu

skurwielowi, żeby trzymał się z daleka. Znajdę kogoś, kto naprawdę zna się na robocie.

Usłyszała dźwięk rzuconej słuchawki.

Amerykańska świnia, pomyślała. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by ktoś potraktował Angela w ten sposób i żył dalej. Zraniono jej dumę. Ten człowiek musiał za to zapłacić. I to gorzko!

W Cichym Pokoju zadzwonił prywatny telefon. Odebrała Mary. Dzwonił Stanton Rogers.

— Mary! Jesteś bezpieczna! Czy z dziećmi wszystko w porządku?

— Wszyscy jesteśmy cali i zdrowi.

— Bogu dzięki, że już po wszystkim. Opowiedz mi dokładnie, jak to było.

— To był Angel. Próbowала wysadzić w powietrze rezydencję i...

— Chciałaś powiedzieć: próbował.

— Nie. Angel to kobieta. Nazywa się Neusa Muñez.

W słuchawce zapadła długa cisza.

— Neusa Muñez? Ta tłusta, obrzydliwa kretynka to Angel?

Mary poczuła nagły dreszcz przeszywający jej ciało. Powoli powiedziała:

— Tak jest, Stan.

— Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, Mary?

— Nie. Jadę teraz zobaczyć się z dziećmi. Do usłyszenia.

Położyła słuchawkę i siedziała bez ruchu, oszołomiona.

Mikę spojrział na nią.

— O co chodzi?

Odwróciła się do niego.

— Mówiłeś, że Harry Lantz powiedział tylko niektórym członkom Zarządu, jak wygląda Neusa Muñez.

— Owszem.

— Stanton Rogers właśnie mi ją opisał — powiedziała Mary.

Kiedy samolot wylądował na lotnisku Dulles, Angel poszła do budki telefonicznej i wykręciła prywatny numer Zwierzchnika.

— Stanton Rogers — powiedział znajomy głos.

Dwa dni później Mikę, pułkownik McKinney i Mary siedzieli w sali konferencyjnej w ambasadzie. Spece od elektroniki właśnie skończyli oczyszczać ją z aparatów podsluchowych.

— Wszystko teraz pasuje — stwierdził Slade. — Zwierzchnikiem m u s i a ł być Stanton Rogers, tylko że nikt z nas tego nie widział.

— Ale dlaczego chciałby mnie zabić? — spytała Mary.

— Na początku był przeciwny mianowaniu mnie na ambasadora. Sam mi to powiedział.

— Wtedy nie miał jeszcze do końca obmyślonego planu — wyjaśnił Slade. — Ale kiedy uświadomił sobie, co pani i dzieci symbolizujecie, klamka zapadła. Potem Rogers walczył o to, żeby pani dostała tę nominację. I to właśnie zbiło nas z tropu. Przez cały czas był przy pani, starał się, żeby zdobyła pani odpowiedni rozgłos w prasie i żeby poznali panią wszyscy na całym świecie.

Mary wzdrygnęła się.

— Z jakiego powodu chciałby wdawać się w... ?

— Stanton Rogers nigdy nie wybaczył Paulowi Ellisonowi, że to on został prezydentem. Czuł się oszukany. Rozpoczął jako demokratę i ożenił się z prawicową reakcjonistką. Przypuszczam, że to żona go przekabaciła.

— Czy już go znaleźli ?

— Nie. Zniknął. Ale nie uda mu się ukrywać zbyt długo.

Głowę Stantona Rogersa znaleziono na śmietniku w Waszyngtonie dwa dni później. Miał wydłubane oczy.

Prezydent Ellison dzwonił z Białego Domu.

— Odmawiam przyjęcia twojej rezygnacji.

— Przykro mi, panie prezydencie, ale ja nie mogę...

— Mary, wiem, przez co przeszłaś, ale proszę cię, żebyś została na swoim stanowisku w Rumunii.

„Wiem, przez co przeszłaś”. Czy ktokolwiek mógł mieć o tym jakieś pojęcie? Była tak niewiarygodnie naiwna, kiedy tu przybyła, wypełniona pięknymi ideami i wielkimi nadziejami. Miała być symbolem i duchem swojego kraju. Miała pokazać światu, jak naprawdę wspaniali są Amerykanie. A okazało się, że przez cały czas była tylko narzędziem. Została wykorzystana przez prezydenta, rząd, przez wszystkich wokół. Ją i jej dzieci wystawiono na śmiertelne niebezpieczeństwo. Pomyślała o Edwardzie, w jaki sposób został zamordowany, i o Louisie, o jego kłamstwach i śmierci. Pomyślała o zniszczeniach, które Angel rozsiała po całym świecie.

Nie jestem już tą samą osobą, którą byłam, kiedy tu przyjechałam, myślała. Byłam jak dziecko. Przeszłam wiele, ale w końcu dorosłam. Udało mi się czegoś tutaj dokonać. Wydostałam z więzienia Hannah Murphy, wystarałam się o umowę o dostawie ziarna. Uratowałam życie synowi Ionescu i sprawiłam, że Rumuni dostali pożyczkę bankową. Pomogłam Żydom wyjechać z tego kraju.

— Halo, jesteś tam? — spytał prezydent.

— Tak, panie prezydencie. — Spojrzała na Mike'a Slade'a, który siedział w niedbalej pozie na krześle po drugiej stronie biurka i przyglądał się jej.

— Spisałaś się naprawdę znakomicie — powiedział prezydent. — Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Czy widziałaś gazety?

Nic jej nie obchodziło, co pisali w gazetach.

— Jesteś osobą, której tam potrzebujemy. Wyświadcysz naszemu krajowi ogromną przysługę, moja droga.

Prezydent czekał na odpowiedź. Mary zamyśliła się, ważąc swą decyzję. Stałam się cholernie dobrym ambasadorem i jest jeszcze przecież tak wiele do zrobienia, pomyślała.

— Panie prezydencie — powiedziała w końcu — gdybym zgodziła się zostać, nalegałabym, żeby nasz kraj udzielił azylu Corinie Socoli.

— Przykro mi, Mary. Tłumaczyłem już, dlaczego nie możemy tego zrobić. Obraziłoby to Ionescu i...

— Przeboleje to. Znam Ionescu, panie prezydencie. Używa jej jako towaru wymiennego.

Prezydent milczał przez chwilę, zastanawiając się.

— W jaki sposób wydostałaby ją pani z Rumunii?

— Rano przylatuje wojskowy samolot z ładunkiem. Wyślę ją tym samolotem.

Chwila pauzy.

— Rozumiem. Dobrze. Załatwię to z ministerstwem. To wszystko...?

Mary ponownie spojrzała na Slade'a.

— Nie, panie prezydencie. Jest jeszcze jedna rzecz. Chcę, żeby Mikę Slade został tutaj ze mną. Jest mi potrzebny. Tworzymy zgrany zespół.

Mikę patrzył na nią uśmiechając się.

— Obawiam się, że to niemożliwe — odpowiedział prezydent stanowczym tonem. — Slade jest mi potrzebny tutaj. Wyznaczono już dla niego nowe zadanie.

Mary siedziała ze słuchawką, nic nie mówiąc.

— Przyślemy ci kogoś innego — ciągnął prezydent. — Możesz sama wybrać, kogo tylko zechcesz.

Cisza.

— Mikę jest nam tutaj naprawdę potrzebny.

Mary znowu zerknęła na Slade'a.

— Mary? Halo? Czy to ma być... szantaż? — spytał prezydent.

Mary czekała milcząc.

W końcu prezydent powiedział z ociąganiem:

— Cóż, myślę, że jeśli go naprawdę potrzebujesz, moglibyśmy odstąpić ci go na trochę.

Mary poczuła ogromną ulgę.

— Dziękuję, panie prezydencie. Z radością pozostanę tutaj jako ambasador.

— Jest pani piekielnie trudnym negocjatorem, pani

ambasador — powiedział uszczypliwie prezydent na pożegnaniu. — Mam dla pani pewne interesujące propozycje, kiedy pani tam skończy. Powodzenia! I staraj się unikać kłopotów.

Rozłączył się.

Mary powoli odłożyła słuchawkę i spojrzała na Mike'a.

— Zostaje pan tutaj. Powiedział, żebym starała się unikać kłopotów.

Slade uśmiechnął się.

— Ma całkiem niezłe poczucie humoru. — Wstał i zbliżył się do Mary. — Czy pamięta pani, jak powiedziałem, że ma pani doskonałą figurę?

Pamiętała, i to doskonale.

— Owszem.

— Myliłem się. T e r a z ma pani doskonałą figurę.

Mary zaczerwieniła się.

— Och, Mikę.

— Skoro zostaję tutaj, pani ambasador, to powinniśmy chyba porozmawiać o kłopotach, które mamy z rumuńskim ministrem handlu. — Zajrzał jej w oczy i miękko spytał: — Kawy?

# Epilog

## *Alice Springs, Australia*

Przewodnicząca przemawiała do Zarządu:

— Ponieśliśmy porażkę, ale dzięki temu doświadczeniu nasza organizacja stanie się jeszcze silniejsza. Rozpoczynamy głosowanie. Aphrodite?

— Tak.

— Athene?

— Tak.

— Cybele?

— Tak.

— Selene?

— Zważywszy na okropną śmierć naszego poprzedniego Zwierzchnika, czy nie powinniśmy poczekać, aż...

— Tak lub nie, proszę.

— Nie.

— Nike?

— Tak.

— Nemesis?

— Tak.

— Wniosek został przyjęty. Proszę panie o zachowanie zwykłych środków ostrożności.

## Spis treści

Prolog.....	9
Część I .....	11
Część II .....	127
Część III .....	197
Epilog .....	347